




*Perta w piasku* – historia nierządniczy Rachab,  
z której rodu wywodził się Jezus

Tessa Afshar

---

# PERŁA W PIASKU

Świat Książki



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autorki

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Podziękowania

Tessa Afshar

---

PERŁA  
W PIASKU

Z angielskiego przełożyła  
Maciejka Mazan

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
Pearl in the Sand

Wydawca  
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący  
Tomasz Jendryczko

Korekta  
Ewa Grabowska  
Mirosława Kostrzyńska

This book was first published in the United States by Moody Publishers 820 N.La Salle Blvd, Chicago, IL 60610 with the title Pearl in the Sand. Copyright © 2010 by Tessa Afshar. Translated by permission

Copyright © for the Polish translation by Maciejka Mazan, 2017

Świat Książki  
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
Marzenna Łopaciuk  
CMYK-DTP STUDIO

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o. o., sp. j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl), tel. 22 733 50 10  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-614-0

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dla Emi,  
mojej siostry, przyjaciółki, wielkiej radości*

# Od autorki



**T**ytuł tej powieści i wprowadzenie pereł do historii to licentia poetica. Choć w tamtych czasach Egipcjanie faktycznie używali w jubilerstwie macicy perłowej, archeologiczne dowody na używanie pereł pochodzą dopiero z czasów o parę stuleci późniejszych. Jednak *Macica perłowa w piasku* nie brzmiałaby tak samo dobrze.

Biblia mówi nam, że Rachab była nierządnicą (określenie „właścicielka gospody” było eufemizmem słowa „prostyutka”). Biblijni Hebrajczycy dysponowali dwoma słowami opisującymi kobiety sprzedajne. Pierwsze – *kedeshah* – określa prostytutki świątynne. Drugie – *zonah* – odnosi się do pozostałych. W przypadku profesji Rachab zawsze używane jest słowo *zonah*. Ta opowieść dotyczy właśnie tego rozróżnienia.

W Starym i Nowym Testamencie znajduje się wiele wzmianek, w których Rachab określona jest słowem *zonah*, co oznacza, że lud Izraela nigdy nie zapomniał o jej profesji. Choć większość opisów ma pozytywny wydźwięk, to określenie wskazuje, że Rachab mogła się spotykać w swojej nowej ojczyźnie z niejednoznacznymi reakcjami, podziwiana i mile widziana, choć nigdy nie udało się jej przekreślić przeszłości.

Imię Szalmon pojawia się w oryginalnej hebrajskiej Biblii w różnych formach, w tym jako Szalmon, Salmon i Sala. Zdecydowałam się na tę pierwszą pisownię. Myśl, że mój bohater miałby się nazywać jak pomieszczenie, wydała się mało

pociągająca i dla mnie, i dla moich czytelników.

Książka ta przy każdej sposobnej okazji czerpie ze źródeł biblijnych i archeologicznych. Scena w rozdziale 17, w której doświadczenie Rachab w Jerychu zostaje porównane z doświadczeniem Izraelitów w Egipcie podczas pierwszego święta Pesach, powstała z inspiracji książką Tivki Frymer-Kensky *Reading the Women of The Bible* (New York, Schocken Books, 2002, str. 297–300). Jednak nie zapominajmy, że jest to fikcyjna opowieść o postaci historycznej, która odegrała ważną rolę zarówno dla Żydów, jak i chrześcijan. Hebrajska Biblia wyjawia, że po zburzeniu Jerycha Rachab na stałe zamieszkała wśród Izraela (Księga Jozuego 6,25), ale nie podaje dalszych informacji o jej życiu. Chrześcijanie znają los Rachab z jednej trzeciej zdania w przytoczonym przez świętego Mateusza drzewie genealogicznym Jezusa. Te proste słowa ujawniają nam zadziwiające przeznaczenie mojej bohaterki: „Salmon ojcem Booza, a matką była Rachab”\* (Mt 1,5). Innymi słowy, Szalmon i Rachab wzięli ślub i spłodzili syna.

Biblia dostarcza nam informacji o pochodzeniu Szalmona dzięki kilku spisom genealogicznym (1 Krn 2,11, Rt 4,20–21). Wydaje się, że pochodził z bardzo szanowanej rodziny z domu Judy, a siostra jego ojca była żoną Aarona (Lb 2,3–4). Nie wiemy niczego o osiągnięciach i działalności Szalmona, ale to jedno zdanie z Ewangelii św. Mateusza nadal szokuje. Jak człowiek, który był de facto żydowskim arystokratą, na tyle wybitnym, że jego imię znalazło się w Piśmie Świętym, mógł poślubić Kananejkę, która zarabiała na życie, zabawiając mężczyzn? Spora część powieści odnosi się do tej właśnie kwestii.

Oczywiście ten aspekt historii jest czysto fikcyjny. Wiemy jedynie, że Szalmon poślubił Rachab i miał z nią syna, a także – że ta kananejska nierządnicą jest przodkinią samego Jezusa. O tym, w jaki sposób doszło do zawarcia tego związku i czy spotykał się on z przeszkodami, Biblia milczy.



Jednak lepiej nie studiować Biblii za pośrednictwem tej książki, lecz przeczytać oryginał. Ta historia w żaden sposób nie może zastąpić transformującej mocy, z jaką czytelnik spotka się w Piśmie Świętym. Biblijnych relacji o Rachab szukajcie w Księdze Jozuego 1–10, Księdze Rut i Ewangelii św. Mateusza 1,1–17.

---

\* Ten i inne cytaty za Biblią Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2000.

# Rozdział 1



Jeszcze nie świtało, gdy niecierpliwy kuksaniec wyrwał Rachab ze snu.

– Dość tego lenistwa, dziewczyno. Twoi bracia i ojciec są już prawie gotowi do wyjścia. – Matka szturchnęła ją niepotrzebnie jeszcze raz. Rachab jęknęła i pożegnała się z myślą o śnie. Obolała, z zapuchniętymi oczami, z wysiłkiem podniosła się z posłania. Od dwóch miesięcy wykonywała męską pracę, wstawała przed świtem i przez cały dzień pracowała na roli, prawie bez picia, jedzenia i odpoczynku dla podbudowania nadwątlonych sił. I wszystko na marne – nawet piętnastoletnia dziewczynka to rozumiała. Ich ziemia nie rodziła nic prócz pyłu. Jak reszta Kanaanu, Jerycho znalazło się w uścisku okrutnej suszy.

Choć wiedziała, że jej wysiłek nie ma sensu, codziennie wyteźała siły niemal poza granice wytrzymałości, bo dopóki pracowali, *abba* miał nadzieję. Nie mogła znieść myśli o jego rozpaczach.

– Szybciej, dziecko – warknęła matka.

Rachab, która już zwinęła posłanie i prawie skończyła się ubierać, nie przyspieszyła ruchów. Nie mogłaby się ruszać szybciej, nawet gdyby u drzwi stała królewska armia.

Ojciec wszedł do pokoju, jedząc apatycznie kromkę suchego chleba. Jego twarz, blada i ściągnięta, lśniła od potu. Rachab zawiązała szybko sakiewkę i chwyciła kawałek twardego

jęczmiennego podpłomyka, który miał jej posłużyć za śniadanie i obiad. Uścisnęła mocno ojca.

– Dzień dobry, *abba*.

Ten odsunął się od niej.

– Daj mi oddychać. – A odwracając się do żony, dodał: – Podjąłem decyzję. Jeśli dziś nic się nie zmieni, poddam się.

Rachab wstrzymała oddech. Matka jęknęła.

– Imri! Nie! Co z nami będzie?

Ojciec wzruszył ramionami i wyszedł. Najwyraźniej przestał się oszukiwać. Przyznał się do klęski. Oszołomiona Rachab poszła za nim. Wiedziała, że ten dzień nie będzie się niczym różnić od innych. Na myśl o tym, co czuje teraz ojciec, przechodził ją dreszcz.

Jej bracia Joa i Karem czekali na dworze. Karem jadł ciastko z rodzynkami – rarytas, który matka odłożyła dla najstarszego syna. Zoara, z którą ożenił się rok temu, stała obok niego, mówiąc zbyt cicho, żeby Rachab ją usłyszała. Pomimo zmartwienia dziewczyna uśmiechnęła się blado na widok ich splecionych dłoni. Brat zawarł małżeństwo z miłości – rzadki przypadek w Kanaanie. Rachab przekomarzała się z Karemem przy każdej sposobności, ale teraz jej serce ścisnęło się ze szczęścia na myśl o takim małżeństwie. Czasem, pod osłoną ciemności, gdy jej rodzina od dawna spała, marzyła o mężu, który zachwyci się nią tak, jak jej brat swoją Zoarą. Ale ostatnio zbyt zajmowały ją troski, żeby mogła pozwolić sobie na rojenia o szczęściu.

Czternastoletni Joa, najmłodszy, stał na samym krańcu malutkiego ogródka, wpatrzony w pustkę. Rachab od wielu dni nie usłyszała od niego więcej niż parę słów naraz. Tak, jakby jego język wysechł od suszy. Rachab zauważyła, że pod oczami brata pojawiły się ciemne sińce, a jego wysoka sylwetka wychudła. Pewnie wyszedł z domu na czczo. Sięgnęła za pazuchę, przełamała kawałek chleba na pół i podała bratu. Ta porcja, za

mała nawet dla niej, musiała wystarczyć dla obojga.

– Zjedz to, młodzieńcze.

Joa nie zareagował. Westchnęła.

– Chcesz, żebym gderała przez całą drogę na pole?

Zerknął na nią z irytacją i wyciągnął rękę. Została na tyle, żeby się przekonać, że zjadł chleb, po czym podreptała za ojcem.

Do bram miasta doszli szybkim krokiem. Rachab zauważyła, że nawet Karem, który rzadko miewał zły humor, poszarzał z niepokoju. W końcu przerwał milczenie, które nad nimi zawisło.

– Ojcie, poszedłem do Ebruma z targu, tak jak kazałeś. Nie chciał mi sprzedać oliwy ani jęczmienia za cenę, jaką wyznaczyłeś. Albo podwoił ceny od ostatniego razu, albo się pomyliłeś.

– Więc wyślij Rachab. Ostatnio to ona wynegocjowała cenę.

– Rachab... mogłeś powiedzieć od razu – mruknął Karem z dobrotliwym rozbawieniem w oczach. – Jedno spojrzenie na jej ładną buzię i z pustego łba Ebruma uleciały wszystkie myśli o cenach i zysku.

– Wcale nie! – zaprotestowała Rachab z oburzeniem. – To nie miało nic wspólnego z moją twarzą, wielkie dzięki. Po prostu lepiej się targuję od ciebie.

– Nazywasz to targowaniem? Raczej trzepotaniem rzesami.

– Zaraz ci zatrzepoczę miotłą, jeśli nie przestaniesz.

– Cicho – rzucił ojciec. – Głowa mnie przez was boli.

– Wybacz, *abba* – powiedziała Rachab, natychmiast skruszona. Jej ojciec nie potrzebował nowych trosk. Powinna się nauczyć panować nad odruchami. Ojciec dźwigał na barkach tak wielki ciężar... chciała mu go ująć, a nie dokładać.

Nie przyszyły jej do głowy żadne słowa pociechy. Posłuszna instynktowi, wzięła ojca za rękę. Przez chwilę nie zdawał sobie z tego sprawy. Potem spojrzął na nią niewidzącym wzrokiem i uświadomił sobie ich bliskość. Rachab uśmiechnęła się do niego

krzepiąco. Ojciec wyjął dłoń z jej uścisku.

– Jesteś za duża, żeby cię prowadzić za rękę.

Zarumieniła się i schowała dłoń w fałdach szaty. Zwolniła i została sama, za mężczyznami.

W polu przyjrzeni się kolejnym rzędom, szukając śladów życia. Oprócz paru żuków o twardych skorupach nie znaleźli niczego. W południe Rachab była już zbyt przygnębiona, żeby dalej pracować, więc usiadła. Mężczyźni zakończyli uważną inspekcję. Kiedy wrócili, ojciec mamrotał pod nosem: „Co robić? Co robić?”.

Rachab odwróciła wzrok.

– Wracajmy, *abba*.

W domu odsunęła postrzępioną zasłonę, służącą za drzwi, i weszła ociężale do środka. Matka natychmiast ją przepędziła.

– Daj ojcu i mnie trochę spokoju.

Rachab skinęła głową i wyszła. Usiadła oparta o kruszącą się glinianą ścianę, sama w wydłużających się cieniach. Bardzo chciała znaleźć sposób, żeby pomóc rodzinie, ale nawet Karem i Joa nie potrafili znaleźć pracy w mieście. Jerycho, już przepełnione zdesperowanymi rolnikami, szukającymi zarobku, nikogo nie witało z otwartymi ramionami. Jak ona, zwykła dziewczyna, mogła się na coś przydać?

Jej imię, dosłyszane przez okno, wyrwało ją z zamyślenia.

– Powinniśmy już rok temu oddać ją na żonę Yamowi, zamiast czekać na lepszą ofertę – mówiła matka.

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że susza nas zrujnuje? Poza tym cena, którą nam proponował, nie wystarczyłaby na dwa miesiące.

– Lepsze to niż nic. Porozmawiaj z nim.

– Kobieto, on jej już nie chce. Pytałem. Głoduje tak samo, jak my.

Rachab wsłuchiwała się w rozmowę, wstrzymując oddech, by nie przepadła jej ani sylaba. W normalnych okolicznościach nie przyszłoby jej do głowy podsłuchiwać, ale coś w głosie jej ojca

kazało jej zapomnieć o zasadach. Przywarła do ściany jak jaszczurka i słuchała.

– Imri, jeśli to zrobimy, nie będzie odwrotu.

– A co innego nam zostało? Powiedz! – Po tym ostatnim, gwałtownie rzuconym słowie, zaległo ciężkie milczenie. Po chwili ojciec znowu się odezwał, ciszej, ze zmęczeniem: – Nie mamy wyboru. Ona jest naszą ostatnią nadzieją.

Rachab słuchała ze ściśniętym żołądkiem. Co planował jej ojciec? Rodzice ściszyli głosy tak, że nie mogła nic dosłyszeć. Zniecierpliwiona poszła na skraj podwórka. Dwie wychudzone kozy przeżuwały w komórcie gałązki krzewu, już odarte z kory. Ponieważ wszyscy pracowali w polu, nikt nie wywoził stąd nawozu. Stężony smród zaatakował Rachab. Całkiem odpowiednio tło tych burzliwych emocji, pomyślała. Rodzice mówili, że jest ratunkiem dla rodziny... ale nie dzięki małżeństwu. W jaki inny sposób piętnastolatka może zarobić pieniądze? Rachab zachłysnęła się i zasłoniła twarz rękami. Abba nigdy by mnie do tego nie zmusił. Nigdy. Prędzej by umarł. To na pewno nieporozumienie. Ale supeł jej żołądka zaciskał się mocniej z każdą sekundą.



– Matka i ja omawialiśmy twoją przyszłość – zaczął ojciec następnego ranka, gdy Rachab podniosła się z posłania. – Możesz pomóc całej rodzinie, córko, choć będzie ci ciężko. Przepraszam... – Urwał, jakby nie wiedział, co powiedzieć dalej.

Nie musiał kończyć. Zgroza chwyciła ją tak mocno, że niemal wydusiła z niej powietrze. Wraz z rosnącym przerażeniem przyszła świadomość, że jej najgorsze lęki się urzeczywistniły. Koszmar, który poprzedniego dnia uznała za nieporozumienie, był realny. Ojciec zamierzał ją sprzedać do domu publicznego. Chciał przekreślić jej przyszłość, dobro, życie.

– Wiele kobiet, nawet młodszych od ciebie, musiało to zrobić – powiedział ojciec.

Rachab spojrzała na niego z przerażeniem. Chciała krzyczeć. Chciała rzucić się mu do stóp i błagać: „Wymyśl coś innego, abba. Proszę, proszę! Nie zmuszaj mnie do tego! Myślałam, że jestem twoim skarbem. Myślałam, że mnie kochasz!”. Ale wiedziała, że nic by w ten sposób nie zyskała. Ojciec podjął decyzję i jej błagania niczego nie zmieniają. Dlatego zdusiła te słowa, przełknęła wszystkie prośby i nadzieje. Nie będziesz już moim abba, pomyślała. Odkąd nauczyła się mówić, nazywała ojca „abba” – dziecięce zdrobnienie, wyraz jej uczuć do człowieka bliższego jej niż ktokolwiek na całym świecie. Ta dziecinna ufność została bezpowrotnie zdruzgotana. Smutek, który na nią spłynął, był niemal gorszy od świadomości, że będzie się sprzedawać za pieniądze.

– Jaki miałem wybór? – warknął ojciec, jakby słysząc jej niewypowiedziane słowa.

Rachab odwróciła się, żeby nie musieć na niego patrzeć. Człowiek, którego wielbiła jak nikogo innego, którego darzyła zaufaniem i miłością, chciał ją poświęcić dla dobra rodziny.

Takie rzeczy nie należały w Kanaanie do rzadkości. Wielu ojców sprzedawało córki, żeby przetrwać. Ale zwyczajność tej decyzji nie uspokoiła Rachab. Nie było nic zwyczajnego w fakcie, że wymagano od niej, żeby żyła jako nierządnicą.

Oddech ojca był przyspieszony, płytki.

– W świątyni spotkają cię zaszczycy. Będziesz dobrze traktowana.

Rachab drgnęła, jakby ją uderzył.

– Nie. Nie pójdę do świątyni.

– Masz być posłuszna! – ryknął ojciec. Potem pokręcił głową i dodał łagodnie: – Dziecko, potrzebujemy pieniędzy. W przeciwnym razie wszyscy, włącznie z tobą, umrzemy z głodu.

Rachab zdusiła rosnący w niej krzyk. Zmusiła się do spokoju.

– Nie odmawiam ci posłuszeństwa, mój ojciec. Ale nie pójdę do świątyni. Skoro mam to zrobić, nie mieszajmy w to bogów.

– Bądź rozsądna. Tam znajdziesz ochronę. Szacunek.

– Nazywasz to, co tam robią, ochroną? Nie chcę szacunku, który wiąże się ze świątynią. – Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy, a on spuścił głowę. Rozumiał ją. Rok temu starsza siostra Rachab, Izzie, oddała swoje pierworodne dziecko Molochowi. To dziecko było radością serca Rachab. Od chwili, gdy dowiedziała się o ciąży siostry, poczuła więź krwi z maleństwem. Wzięła je na ręce tuż po urodzeniu, mocno ściśnięte powijakami, otwierające i zamykające usteczka, jakby posyłało jej pocałunki, przeznaczone tylko i wyłącznie dla niej. Miłość do tego dziecka pochłonęła ją od tej pierwszej nieskalanej minuty. Ale siostra chciała zapewnić sobie bezpieczeństwo finansowe. Dlatego wspólnie z mężem Gerazimem postanowiła złożyć synka w ofierze Molochowi, by zyskać boskie błogosławieństwo.

Nie zwracali uwagi na Rachab, błagającą ich o zmianę zdania. Postanowili.

– Będziemy mieli następne dziecko – powiedzieli jej. – Tak samo słodkie. I zapewnimy mu wszystko, czego mu będzie trzeba. Nie skazemy go na dorastanie w biedzie.

W dniu ofiary Rachab poszła z nimi do świątyni. Miała nadzieję, że zmienią zdanie. Nie zdołała ich przekonać.

Nie tylko jej siostrzeniec został złożony w ofierze bogu. Dzieci było co najmniej tuzin. Wokół zebrał się tłum. Niektórzy ludzie zagrzewali do czynu stojących przed ogromnym ogniem kapłanów, od stóp do głów odzianych w biel. Rachab wzdrygnęła się ze wstrętem, myśląc o bogu, który obiecuje dobre życie za cenę śmierci bezcennego dziecka. Jakie szczęście można kupić w ten sposób? Tulila synka siostry, dopóki mogła, szczebiocząc do niego. Pachniał słodkim mlekiem i miodowymi ciastkami. Pocałowała go na pożegnanie i przytuliła po raz ostatni. Dziecko



krzyknęło, gdy szorstkie ręce wyszarpnęły je z ramion dziewczyny, ale nic nie mogło się równać z jego ostatnim wrzaskiem, gdy kapłan stanął przed szalejącym ogniem...

Rachab osunęła się na Gerazima. Izzie już się opierała o niego bezwładnie.

Tego dnia dziewczyna przysięgła sobie, że nigdy nie pokłoni się takim bogom. Nienawidziła ich. Mimo pozłoty widziała, kim byli naprawdę: pożeraczami ludzi.

A teraz ziemia Izzie i Gerazima była tak samo jałowa, jak pole Imriego. Oto błogosławieństwo Molocha. Nigdy nie będzie o nie zabiegać. Nie, świątynia nie była dla niej.

– Rachab – odezwał się błagalnie ojciec, skubiąc zębami już i tak poszarpany paznokciec. – Pomyśl, jakie życie czeka cię poza świątynią. Jesteś młoda. Nie rozumiesz.

Nie chodziło o to, że się nie bała. Życie prostytutek niezwiązanych ze świątynią było trudne, ryzykowne i hańbiące. Ale budziło w niej mniejszy strach niż służenie kananejskim bogom.

– Ojczy, proszę. Nie wiem, czy zdołam przeżyć w świątyni. – Córki miały bez dyskusji wypełniać rozkazy rodziców. Jej obiekcje i prośby można było uznać za nieposłuszeństwo. Ojciec mógł ją siłą zawlec do pierwszej lepszej świątyni i sprzedać, a ona nie mogłaby się bronić. Tłumaczyła sobie, że ojciec nigdy by się nie zniżył do takiego zachowania, ale potem przypomniawszy sobie swoją pewność, że nigdy by jej nie sprzedał. Ziemia ustąpiła jej spod nóg. Nic już nie było pewne.

Karem, który wszedł w połowie rozmowy, nie wytrzymał.

– Ojczy, nie możesz jej tego zrobić! Będzie zgubiona!

Imri machnął niecierpliwie ręką.

– Co, już znalazłeś sposób, by twoja rodzina przetrwała zimę? Masz pracę? A może dostałeś spadek po bogatym wujku, o którym dotąd nie wiedzieliśmy?

– Nie, ale nie spróbowałem jeszcze wszystkiego. Są inne prace,

inne możliwości. – Serce Rachab zatrzepotało z nadzieją, ale ta nadzieja umarła po kolejnych słowach ojca.

– Zanim uświadomisz sobie, że ta twoja buńczuczność nic nie znaczy, twoja piękna żona i nienarodzone dziecko umrą z głodu. Rachab jest naszą jedyną nadzieją na przeżycie. Naszą jedyną nadzieją – powtórzył z brutalną siłą.

Karem spuścił głowę i zamilkł.

Rachab osunęła się na podłogę. Nie mogła opanować łez. Imri usiadł w kącie, wpatrzony w pustkę. Niewypowiedziane słowa ich rozdzieliły, przerwały rozmowę. W tej ciszy Rachab czuła, jak między nią a ojcem rośnie mur, tak mocny, jak ten otaczający miasto.

Pomyślała, że oboje są zhańbieni. On – ponieważ poniósł klęskę jako ojciec, obrońca. Ona, ponieważ miała stać się tym, kim się stanie. Zdrada ojca wprowadziła ją w odrętwienie. Samotność mroczniejsza niż wszystko, co do tej pory знаła, zamknęła się nad jej sercem jak grobowa pieczęć.



Ostatecznie Imri nie odmówił jedynej prośbie córki. Jednak niezgoda Rachab na pójście do świątyni postawiła rodziców w trudnej sytuacji. Jak mieli znajdować dla niej klientów? W świątyni wszystko było jasne. Żadne z nich nie wiedziało, jak się zabrać do zrobienia tego tak, jak chciała Rachab.

– Za zakrętem mieszka kobieta, która przyuczała świątynne dziewczyny – powiedziała matka. – Teraz pomaga tym, które działają na własną rękę.

– Znam ją – szepnął Imri. – Jest straszna.

– Ja też ją znam. – Rachab widziała, jak jakaś dziewczyna oberwała od tej kobiety tak mocno, że z uszu pociekła jej krew. – To chyba nie najlepszy plan.

– Zawsze mi się sprzeciwiasz – skarciła ją matka. – Wiesz, jak ja

cierpię? Wiesz, co czuje matka, widząc ból swojego dziecka?

– Nie, chyba nie – odparła Rachab głosem suchym jak piasek. Uznała, że nie warto wspominać o własnym bólu. Wtedy matka dostałaby kolejnego ataku poczucia winy i cierpienia, a ona nie miała ochoty jej pocieszać. – Zrozum, dlaczego miałabym oddać połowę zarobku kobiecie, która mnie pewnie oszuka? Jeśli celem tego wszystkiego ma być zarobienie wystarczającej ilości pieniędzy, żeby przetrwać rok, nie możemy sobie pozwalać na nieuczciwą partnerkę.

– Rachab, nie wiemy, jak... jak się zająć tą sprawą – rzucił ojciec, uderzając pięścią w chwiejny stół.

Rachab poczuła w gardle smak żółci.

– Zaprowadź mnie do złotnika Zedeka – wychrypiała. – On będzie wiedział, co zrobić.

Ojciec od czasu do czasu załatwiał interesy z Zedekiem, bogaczem, który pracował jako złotnik dla króla i miał powiązania wśród arystokracji Jerycha. Przez ostatnie pół roku przy każdym spotkaniu na ulicy wpatrywał się w Rachab z intensywną żądzą, której nawet ona nie mogła nie zauważyć. Wiedziała, że złotnik nie chce jej za żonę, bo już by o nią poprosił ojca. Ale była pewna, że zechce dobrze zapłacić. I zamierzała wydusić z niego każdy grosz. Skoro musiała przejść przez tę potworność, zdobędzie coś więcej niż chleb na przebiedowanie roku suszy. Uwolni się od ojca. Nadal go kochała i pozostała wierna rodzinie, ale postanowiła, że nigdy więcej nie odda mu się pod opiekę.

– Co Zedek ma z tym wspólnego? – spytała matka.

Imri nie odpowiedział. Spuścił oczy, wytarł czoło wierzchem dłoni.

– Jak sobie życzysz.

Rachab wyszła do ogrodu, żeby rozplakać się w samotności.



– Ile nam trzeba, żeby nas wyżywić przez rok? – spytała ojca, kiedy szli w stronę sklepu Zedeka. Nogi trzęsły jej się przy każdym kroku, ale nie poddawała się strachowi, który trzymał ją za gardło.

– Bo co?

– Poproś o tyle. I o złoty naszyjnik, kolczyki i bransolety dla mnie.

– Dziewczyno, jesteś ładna, ale nie aż tak. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie zapłaci tyle za jedną noc, nawet z tobą

Czy była na tyle atrakcyjna, żeby namówić Zedeka do rozstania się z nabitą sakiewką? Wiedziała, że przyciąga męskie spojrzenia od dwóch lat, odkąd jej ciało rozkwitło, a włosy straciły dzikość i opadły na jej ramiona miękkimi, gęstymi kędziorami w kolorze głębokiej miedzi i brązu. Czy Zedekowi też się spodoba?

– Nie za jedną noc – odparła z roztargnieniem. – Za trzy miesiące. Będzie mnie miał, dopóki jestem jeszcze młoda i świeża... przed innymi... – Głos jej się załamał. Nie mogła znieść myśli, że będzie musiała przeżywać to noc po nocy, z kolejnymi mężczyznami. Stały kochanek mógłby stać się z czasem znośny.

– Poproszę, ale nie spodziewaj się, że się zgodzi.

– To dobra oferta. Zgodzi się. Ale trzy miesiące i ani dnia więcej, pamiętaj.

Ojciec spojrział na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Może i zobaczył. Sama siebie nie poznawała.

Zedek był dobrze odżywionym mężczyzną z wystającymi przednimi zębami. Nosił się bogato, zdobny w złoto, które lśniło w pierścieniach na jego brodzie i zgrabnych dzwoneczkach na materiałowych butach. Na widok Rachab, wchodzącej z ojcem do sklepu, podszedł, odsuwając na bok pomocnika.

– Witaj, Imri – powiedział, wpatrując się w Rachab.

Widziała w jego ciemnych tęczęwkach odbicie własnej twarzy

– wąski nos, pełne wargi, wielkie orzechowe oczy, zapuchnięte od łez. Umyła głowę przed wizytą i teraz spod welonu ukazywało się splątane bogactwo kasztanowych kędziorów, otaczających jej twarz i spływających kaskadami na plecy. Przypomniała sobie, dlaczego je umyła i zaczerwieniła się ze wstydu i desperacji, ale nie odwróciła spojrzenia.

Ojciec odkaszlnął.

– Czy możemy porozmawiać? Na osobności?

Zedek targował się zapamiętane, ale trzeba przyznać, że Imri się nie ugiął. Złotnik spojrzał na Rachab, pocierając wargi palcami i rzucił ostatnią propozycję. Gdy Imri pokręcił głową, Zedek odszedł. Rachab wzięła ojca za rękę i wstała. Ten rzucił jej zrozpaczone spojrzenie, ale pociągnęła go mocno i pozwolił się podnieść. Zedek chyba wyczuł ich zdecydowanie, bo wrócił i zgodził się na ich cenę. Rachab zauważyła zdumienie ojca. Sama przybrała niewzruszoną minę, by zatuszować własne zaskoczenie. Tak jak ojciec, nie spodziewała się, że Zedek zgodzi się tyle za nią zapłacić.

Przez trzy miesiące Zedek był jej nauczycielem. Podobało mu się, że o niczym nie miała pojęcia. Podobało mu się, że przez pierwszy tydzień za każdym razem płakała. Lubił ją też po wszystkim pocieszać. Nie traktował jej okrutnie. Nie bił jej ani nie wykorzystywał. A jeśli ona czuła obrzydzenie do niego i siebie, nigdy mu go nie okazała.

Po trzech miesiącach Zedek wręczył jej sakwę pełną złota. Dorzucił też parę bransolet na nogi, o które nie prosiła, a kiedy przeliczyła monety, przekonała się, że ich także jest za dużo. Uznała, że to pomyłka.

– Panie – powiedziała. – Dałeś mi zbyt wiele.

– Moja mała Rachab nie chce pieniędzy?

– Nie oszukuję moich klientów.

– Klientów? – powtórzył pobłaźliwie. – Miałaś tylko jednego.

I nie oszukałaś mnie, dziewczyno. Daję ci to z własnej woli.

Rachab ukłoniła się z wdzięcznością, tuląc pieniądze do piersi. Miała nieśmiałą nadzieję, że Zedek zatrzyma ją dłużej. Tak, nie знаła żadnych mężczyzn oprócz niego. Jego dotyk nie sprawiał jej przyjemności, lecz wolałaby być kurtyzaną jednego niż zabawką wielu. Ale on nie okazał zainteresowania dalszą znajomością. Najwyraźniej się nią nasycił.

Wróciła do domu i podała sakwę ojcu.

– Od Zedeka. Zapłata za trzy miesiące.

Ojciec w osłupieniu spojrzął na pieniądze.

– Jak wiele! Nie sądziłem, że da aż tyle.

– Więcej nie będzie. To już skończone. On mnie nie chce. – Rachab zamrugła, by pozbyć się łez.

– A czego się spodziewałaś? – Imri ledwie rzucił na nią okiem, zapatrzony w złoto. – Cud, że został z tobą tak długo. To światowy człowiek. Przywykł do tego, co najlepsze.

To znaczy, że ona nie jest najlepsza. Rachab osunęła się na poduszkę. Słowa ojca uświadomiły jej prawdę, której nie miała odwagi przyznać: gdy mężczyzna ją pozna, nie będzie jej już chciał. Musi mieć jakąś odrażającą wadę, jakiś niedostatek. Jej ojciec o tym wiedział. Zedek także. A teraz i ona. Nagle zrobiło się jej zimno. Oparła głowę na kolanach, otoczyła nogi rękami i zaczęła się kołysać. Ojciec poszedł do sąsiedniej izby, żeby pokazać matce i braciom złoto. Gdyby nie to, że Zedek czasem przysyłał im pszenicę i oliwę, rodzina już by umarła z głodu. Za to złoto przetrwają do końca roku i kupią ziarno na przyszłoroczny siew.

Przez cienką zasłonę między izbami słyszała ściszone głosy rodziców.

– Co się z nią teraz stanie? – spytała jej matka głosem cieniutkim i skrzypiącym. – Nie możesz namówić Zedeka, żeby ją zatrzymał?

– Niby jak? Znudził się nią i tyle.

– Co mamy z nią zrobić? Nikt jej nie poślubi.

– Znałaś odpowiedź od pierwszego dnia, kobieto. Będzie

musiała sobie radzić. Tak jak my. Uroda jej posłuży. Na pewno ktoś ją jeszcze zechce. Przynajmniej przez jeden sezon.

Rachab skuliła się bardziej i przełknęła jęk. Bezwiednie zacisnęła w pięściach luksusowy jedwab sukni, tak jak przestraszony niemowlak chwyciłby kocyk. Na myśl o przyszłości dławił ją strach – przed tymi wszystkimi Zedekami, którzy przejdą przez jej życie. Przez jej łóżko.

Opłakała marzenia, które się nie ziszczą, przeznaczenie, którego nie miała. Opłakała stracone szanse. W końcu, wyczerpana łzami i udręką, zamknęła oczy i położyła się na chłodnej podłodze. Raptem, w zamęcie tej rozpacz, przyszła jej do głowy myśl. Jednak miała wybór. Choć musiała sprzedawać swoje ciało, mogła wybierać kochanków. Mogła rozpoczynać i kończyć każdy romans zgodnie z własną wolą. Poznała smak odtrącenia przez Zedeka – zbyt gorzki, by go przełknąć. Przynajmniej tej goryczy sobie oszczędzi. Będzie panią swojego serca. Nikogo do niego nie wpuści i pożegna się z każdym mężczyzną, zanim ten zda sobie sprawę – tak jak Zedek – że nie warto jej pokochać.



Gdy żyła pod protekcją Zedeka, Rachab poznała innych wpływowych mężczyzn. Kilku zasugerowało jej, że kiedy Zedek z nią skończy, chętnie go zastąpią.

Rachab wybierała ostrożnie, po jednym kochanku naraz. Skąpiła im swoich łask. Jej klienci byli nieliczni, lecz hojni. Niezwykła wybredność przysporzyła jej popularności wśród wyższych sfer. Każdy chciał zostać wybrany. Rachab stała się trofeum, o które się ubiegano.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą w Jerychu – mówił niejeden. – Nawet na królewskim dworze nie mają równej tobie – szeptali jej do ucha.

Czasem takie słowa budziły jej uśmiech, choć była to jałowa przyjemność, która nigdy nie trwała długo. W głębi serca Rachab wierzyła, że każdy z tych mężczyzn, wysławiających jej wyjątkowość, znudzi się nią po trzech miesiącach i wyrzuci jak kości po uczcie.

Czasem po odejściu mężczyzny kulila się na materacu i dygotała, nie mogąc przestać. Zdarzały się dni, gdy całowała kochanka na pożegnanie, uśmiechała się do niego, jakby świata za nim nie widziała, a po zamknięciu drzwi wymiotowała. Nienawidziła swojego zajęcia, ale go nie rzucała. Uważała, że nie ma innego wyjścia. Kim innym mogłaby się stać po tym, co zrobiła? Jej los był przypieczętowany.

Gdy skończyła siedemnaście lat, miała już dość srebra, by kupić gospodę na miejskich murach. Opuszczenie domu przyszło jej łatwiej, niż sobie wyobrażała. Dwa lata samotnych nocy i hańbiących dni nauczyły ją odsuwania się od rodziny. Jej ciało w końcu podążyło za sercem. Nie przestała kochać rodziny, nie kochała jej mniej. Często tęskniła za nią w tej małej gospodzie, ale przekonała się, że towarzystwo bliskich potęguje jej samotność. Dlatego coraz więcej czasu poświęcała obowiązkom w gospodzie.

Pozostałe karczmarki z Kanaanu przeważnie także były nierządnicami, więc te dwa słowa stały się synonimami. Ale Rachab oddzielała je od siebie. Nie każdy gość był mile widziany w jej łóżku. Dopilnowała, by jej gospoda służyła z prostej elegancji i wygody. Ozdobiła ją tkaninami i grubymi dywanami, unikając krzykliwych ozdób, powszechnych w innych gospodach. Lokalizacja także zrobiła swoje. Mury Jerycha były ekskluzywnym miejscem, a zbudowane na nich mieszkania, mimo nieuniknionej ciasnoty, należały do najbardziej pożądanym. Gdy Rachab osiągnęła wiek dwudziestu sześciu lat, jej gospoda stała się równie popularna, jak ona sama, choć podobnie, jak jej ciało, często nie przyjmowała klientów. To właśnie przez tę niedostępność stała się tak pożądana.



## Rozdział 2



O Izraelu Rachab usłyszała po raz pierwszy od klienta. Leżąc w niedbale rozrzuconej pościeli, przyglądała się spod wpółprzymkniętych powiek swojemu kochankowi, Jobabowi, który krążył po pokoju. Czoło miał tak pomarszczone, że wyglądało jak skorupa orzecha włoskiego. Widziała jego wzburzenie, ale czekała cierpliwie, aż będzie gotów przemówić. Mężczyźni podziwiali kobiety, które potrafiły milczeć, kiedy trzeba. W końcu, gdy znudziło mu się krążyć jak uwięziony lew, przemówił.

– Wczoraj Hebrajczycy pokonali króla Sichona i jego synów. Wielki władca Amorytów przegrał z plemieniem nomadów. Teraz cały Kanaan jest w niebezpieczeństwie.

– Co ty mówisz? – rzuciła, siadając i osłaniając się prześcieradłem. – Sichon jest niezwyciężony.

Ten król Amorytów, jeden z wielkich władców na wschód od Jordanu, rządził swoimi ziemiami niczym orzeł. Rachab słyszała, jak nazywano go niepokonanym, a jego królestwo – wiecznie niezdobytym.

– A jednak dał się zwyciężyć. Hebrajczykom. Ich przywódca, starzec zwany Mojżeszem, wysłał Sichonowi prośbę o pozwolenie na przejście królewską drogą. Sichon nie tylko na to nie pozwolił, ale zebrał armię i zaatakował Hebrajczyków w Jahsa. Pewnie spodziewał się łatwego zwycięstwa. Ale Hebrajczycy wkrótce odwrócili losy bitwy. – Jobab zamilkł

i spojrzął w pustkę, jakby zabrakło mu słów. – Są krwiożerczy. Nie mają nawet porządnych zbroi. A kiedy wojska Sichona rzuciły się do ucieczki...

Rachab drgnęła.

– Armia królewska uciekła?

– No, przecież mówię! Rozbito ją w pył! A ci, których nie zabito, natychmiast uciekli. Ale ci Hebrajczycy, którzy nie mieli na sobie zbroi, biegli szybciej i ich dogonili. Kilku zabili z proc. Cheszon, wspaniała królewska stolica, zdobyty procami! Kto zdoła spokojnie zasnąć po czymś takim?

Rachab słuchała go z otwartymi ustami. Wieści wydały się jej niewiarygodne, tak jak wszystkim, którzy je słyszeli. Niemożliwe.

– Kim są ci Hebrajczycy? Nigdy o nich nie słyszałam. Jak zdobyli taką moc? – spytała głosem piskliwym z napięcia.

– W tym właśnie rzecz. To zera. Banda zbiegłych niewolników. – Jobab osunął się na podłogę i zastygł zgarbiony pod ścianą. – Czterdzieści lat temu uciekli z Egiptu i od tego czasu wędrują po pustyni. Nie mają miast, murów, pól uprawnych, winnic. Wszyscy ich lekceważyli.

– To bez sensu. Jak armia niewolników mogła uciec z Egiptu? Faraon nigdy by na to nie pozwolił. To chyba jakaś plotka. – Patrzyła na niego, powstrzymując strach. Założyła ręce na piersi i znowu opadła na poduszkę.

Jobab uniósł ręce w desperacji.

– Jesteś zbyt młoda, żeby to pamiętać. W Egipcie zdarzył się wielki bunt hebrajskich niewolników pod wodzą tego samego człowieka, Mojżesza. Twierdził on, że jego bóg chce, by faraon ich uwolnił. Początkowo faraon odmówił, ale na Egipcjan spadło tak wiele plag z rąk hebrajskiego boga, że w końcu trzeba było pozwolić im odejść. Egipt był w ruinie. Potem, w ostatniej chwili, faraon zmienił zdanie. Gdy Hebrajczycy odchodzili, on zmobilizował armię i ruszył w ślad za nimi.

– Nie powiesz chyba, że niewolnicy procami odparli atak

rydwanów – prychnęła Rachab.

Jobab westchnął.

– Nie było tak zwyczajnie. Uciekając, dotarli na skraj morza. Za nimi podążała niepokonana armia egipska. Przed nimi rozciągał się nieprzebyty obszar wód. Byli skazani na klęskę. A wtedy ich bóg kazał morzu się rozstać.

Rachab uniosła brew.

– Daj spokój.

– Mówię ci, morze się rozstało! Dokładnie na środku. Hebrajczycy przeszli suchą stopą na jego drugi brzeg, mając po obu stronach spiętrzone nad nimi fale. A kiedy faraon i jego wojska ruszyli za nimi, fale na nich runęły i zatopiły wszystkich.

Słuchając Jobaba Rachab przypomniała sobie, że już słyszała o tajemniczej zagładzie pewnego egipskiego faraona i jego wojsk. Wydarzyło się to w czasach młodości jej rodziców. Egipt do tej pory nie podźwignął się po tej stracie. Jaki bóg posiada taką moc? I jeśli naprawdę ją posiada, to kto może się mu sprzeciwić? Zaczęła rozumieć, dlaczego do Jobaba przywarł ten zapach strachu.

Pochyliła się, podniosła z tkanego dywanika koszulę i włożyła ją przez głowę.

– Życzysz sobie zostać na noc? Mogę ci przyrządzić kolację.

Lepiej skupić się na sprawach przyziemnych, nie na królach i bogach. Co ona, zwykła karczmarka, mogła mieć wspólnego z tak doniosłymi wydarzeniami?

Ale nie potrafiła zapomnieć o opowieści Jobaba. Rano żołnierze u bram potwierdzili jego słowa – te o pokonaniu Sichona. Cheszbon znalazł się w rękach Hebrajczyków. Ta wiadomość przerażała nawet bez historii o magicznych mocach.



Wkrótce – tak jak wszyscy mieszkańcy Kanaanu – Rachab

usłyszała nowe niepokojące wieści o Hebrajczykach. Po pokonaniu Sichona zwyciężyli w innych zdumiewających bitwach. Oblegali i zdobyli otoczone murami miasta Nofach, Madabę i Dibon, zabijając wszystkich mieszkańców. Po każdej klęsce na Kanaan spadał coraz większy strach. Pojawiły się plotki. Hebrajczycy byli olbrzymami. Ich armia nie miała końca. Ich broń wykuto z metalu, którego nie da się złamać. Mieli skrzydlate konie. Z każdym zwycięstwem rośli ponad ludzką miarę.

Rachab nie wierzyła w te przesadne opowieści. Pamiętała, co powiedział Jobab, opisując klęskę Sichona. Hebrajczycy byli zerami. Nie mieli dobrej broni, zbroi, ziem, bogactw. Wierzyła, że to prawdziwy obraz tego plemienia. A jednak podbijali kolejne miasta, pokonywali kolejne wojska. Co ci ludzie w sobie mieli?

Nawet Jerycho, wyrafinowane Jerycho o starożytnych murach i doskonale wyszkolonej armii, ogarnął niepokój. Kanaan mógł się pochwalić wieloma miastami otoczonymi murami, ale żadne nie mogło się równać z tym, w którym mieszkała Rachab. Mury Jerycha były cudem świata – tak grube, że można było wbudować w nie domy i sklepy. Gdy w kraju Kanaan chciano podkreślić czyjąś siłę, mówiono, że jest zbudowany jak mury Jerycha. Ale nawet mieszkańcy tego warownego miasta zaczęli się niepokoić wieściami o zdumiewających zwycięstwach Hebrajczyków na wschód od Jordanu.

Składano coraz więcej ofiar – ludzie szukali ochrony przed tym nowym przerażającym wrogiem. Rachab czuła smród palonego ciała, dolatujący ze świątyń, oddalonych o pięć kilometrów. Kapłani chodzili nieprzytomni i poszarzali od braku snu. Tłumy napływały do świątyń i na wyżyny – miejsca oddawania czci bogom. Podobno świątynne prostytutki pracowały dniem i nocą. Rachab myślała o nich z litością. Miała nadzieję, że już nie myślą i nie czują ze zmęczenia.

Ta desperacka pobożność ludu nie pociągała Rachab. Im

częściej widywała, jak ta wiara przejawia się w praktyce, tym bardziej jej nienawdziła. Nawet strach i rozpacz nie zagnałyby Rachab w objęcia Aszery, Baala czy Molocha.

Jej życie toczyło się dalej, pomimo burzliwych wypadków za murami. Rzuciła Jobaba i przez długi czas jej karczma i łóżko pozostawały puste. W tych niebezpiecznych czasach rzadziej podróżowano ze strachu przed maruderami. Rachab miała dość złota, by ten przestój ją niepokoił. Ojcu zawsze przydawała się dodatkowa para rąk do pracy na polu, więc całe dni poświęcała na ciężką harówkę. Skóra jej zbrązowiała, paznokcie się połamały. To w moim fachu niekorzystne, pomyślała pewnego popołudnia, przyglądając się im w palącym słońcu. Ta myśl przywołała uśmiech na jej wargi. Choć jako piętnastolatka bez namysłu wybrałaby pracę na roli, nigdy by z niej nie wyżyła. Życie robotnicy rolnej było krótkie i dalekie od szczęścia, a jej brakowało sił.

Pewnego wieczora otrzymała zaproszenie na ucztę, wyprawianą przez dalekiego kuzyna króla. Przez te lata Rachab stała się ulubionym gościem na przyjęciach wpływowych mężczyzn, którzy pragnęli wyrafinowanej rozrywki z dala od żon. Poszła, wiedząc, że nie może sobie pozwolić na przedłużającą się nieobecność, by nie zapomniano o niej w wyższych sferach.

Włożyła suknię z powiewnego kremowego jedwabiu ze srebrnym haftowanym szlakiem. Jej stroje nigdy nie zdradzały, że zajmuje się nierządem. Ubierała się jak każda modna dama, przedkładając prostotę nad nowinki. Zauważyła, że kobiece krągłości, wyeksponowane ze sprytną skromnością, robią o wiele większe wrażenie niż skandaliczne stroje. Wbrew obecnej modzie, wymagającej, by kobiety układały włosy w misterne cienkie kędziorki na czubku głowy, wolała rozpuścić swoje długie loki. Włożyła zwisające kolczyki i pasujące do nich bransolety, ozdabiające jej nagie ramiona. Nie zamierzała zostać dłużej na

uczcie, jedynie się pokazać.

– Rachab! – zawołał na jej widok gospodarz z uśmiechem na pociągłej twarzy.

Zdjęła jego rękę ze swojego biodra i dygnęła z wdziękiem.

– Do usług.

– Chciałbym.

Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

– Panie, twoja posiadłość rozjaśnia ten wieczór.

– Teraz, gdy tu jesteś – z pewnością.

Roześmiała się.

– Ach, ten niebezpieczny królewski urok. – Wiedziała, że wszyscy dalecy kuzyni króla lubią, kiedy się podkreślało ich przynależność do rodziny. Królewska dłoń zsunęła się zbyt blisko siedzenia Rachab, która odsunęła się szybko i wpadła na czyjeś twarde ciało. Odwróciła się.

– Proszę o wybaczenie – rzuciła.

Znała tego mężczyznę z widzenia. Służył jako generał armii – był jednym z głównych przywódców Jerycha. Jak się nazywał? Debir, przypomniała sobie.

– Odwrót taktyczny – powiedział poważnie. – Rozumiem.

Wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki śmiechu. Rachab zarumieniła się i szybko zerknęła na gospodarza przyjęcia. Odszedł, by porozmawiać z kimś innym.

– Przyjacielska potyczka.

Uśmiechnął się.

– Jestem Debir.

– Wiem. Sława cię wyprzedza, panie. Jestem Rachab.

– Wiem. Sława wyprzedza i ciebie.

Skłoniła głowę.

– Z pewnością stanowi temat ciekawych rozmów.

– Niestety, nie lubię pustej gadaniny.

– Ani ja. Wolę inteligentną rozmowę.

Oboje parsknęli śmiechem. Tego wieczora pojawiło się między

nimi wzajemne zrozumienie graniczące z szacunkiem. Po paru pierwszych godzinach znajomości Rachab postanowiła uczynić Debira swoim kochankiem.

On zaś zgodził się na to z zachwytem. Rachab wiedziała, że przychodził do niej nie z pożądania czy sentymentu, lecz ze zwykłego pragnienia, by na kilka godzin uwolnić się od odpowiedzialności. Nawet ktoś tak zdecydowany jak on potrzebował miejsca, w którym nikt nie będzie się od niego domagał decyzji, wyroków i słów mądrości. Wszędzie, gdzie się pojawiał, dźwigał brzemię niekończących się oczekiwań. Jego trzy żony i liczne dzieci potrzebowały go tak samo jak żołnierze. Dlatego Debir przychodził do Rachab po prostu po to, żeby u niej pobyc.

W przeciwieństwie do jej poprzednich kochanków, doceniał jej inteligencję i lubił z nią rozmawiać. Doszło do tego, że często opowiadał jej o sprawach politycznych, które przeciętny mężczyzna z Jerycha uważał za rzecz przekraczającą zdolności pojmowania kobiety. Nigdy nie wyjawiał tajemnic państwowych, miał w sobie zbyt wiele z żołnierza, lecz mówił o szalejących wokół nich wojnach i o zmianie, która zbliżała się do Kanaanu.

– Wygląda na to, że Hebrajczycy otoczyli Oga – powiedział pewnego wieczora z twarzą gładką i dziwnie pozbawioną wyrazu, jakby nie były to najbardziej druzgoczące wieści, jakie spadły na Kanaan w ciągu ostatnich stu lat.

Rachab zamarła. Og, król Baszanu, był podobno gigantem – zarówno jeśli chodzi o posturę, jak i zdolności. Jego żelazne łożo było tak szerokie i długie, że uważano je za jeden z cudów świata. Żaden Kananejczyk nie zdobyłby się na odwagę, by zaatakować Baszan.

– Teraz na pewno zostaną pokonani – powiedziała.

Debir uniósł brew i nie odpowiedział.

– Nie zgadzasz się?

– Powiedzmy, że wynik tej bitwy uważam za przesądzony.

– Nie sądzisz, że Og ich pokona? Myślisz, że Hebrajczycy opanują Edrei?

– Edrei to co innego. Z jednej strony chroni je wąwóz, z drugiej – góra. Miasto jest przytulone do zbocza. Mówiąc językiem wojskowym, jest niezdobyte. Nie wiem, w jaki sposób Mojżesz i jego zaczarowani wojownicy mogliby się do niego wedrzeć.

– Więc? Czy nie tam znajduje się Og?

– Na razie tak. Pozostało mu tylko siedzieć spokojnie i przeczekać Hebrajczyków. To będzie długie, męczące oblężenie, a Hebrajczycy nie mogą sobie pozwolić na takie mitręzenie czasu. Potrzebują jedzenia, wody i nowych pastwisk dla bydła. W końcu będą musieli się poddać i odejść.

Rachab zmarszczyła brwi.

– Myślałam, że boisz się o przegraną Oga. A teraz mówisz, że nie będzie musiał nawet walczyć.

Debir podszedł do okna i spojrział na równiny i wzgórza, za którymi znajdował się Jordan. Kiedy znowu się do niej odwrócił, jego uśmiech nie dotarł do oczu.

– Ukrywać się i nie walczyć – to wielki cios dla królewskiej dumy. Może nie przegrać, ale i nie wygra. Og jest wojownikiem, a jego mniemanie o sobie jest równie wielkie, jak on sam. Musiałby się wykazać ogromnym rozsądkiem, żeby wytrwać w Edrei.

– I uważasz, że dumy ma więcej niż rozsądku.

– Poczekamy, zobaczymy.



Og zdecydował się na wymarsz. Wyruszył z wojskiem na spotkanie Hebrajczyków jak dumny głupiec. Jeden żołnierz ocalał z tego starcia i żył na tyle długo, żeby opowiedzieć tę historię, a wędrowny kupiec przyniósł ją do Jerycha. Edrei zaatakowały chmary szerszeni. W mieście zaroilo się od nich.



Doprowadziły konie do szaleństwa, nie było przed nimi ucieczki. Ich żądła zabijały dzieci i starców. Nawet silni mężczyźni wyli z bólu i przeklinali. Og nie mógł tego znieść. Już to, że został uwięziony we własnym królestwie przez pośledniego wroga, wystarczająco go jątrzyło. Dodatkowe upokorzenie pokąsania przez szerszenie było nie do zniesienia. Czy był niewolnikiem, który musi się kryć przed przybłędami? A zatem wyruszył z synami i wojskiem na spotkanie Hebrajczyków.

A ci zabili ich wszystkich i zajęli ich ziemie.

– Wkrótce Mojżesz skieruje swój wzrok na Jerycho – powiedział Debir, skończywszy opowiadanie o klęsce Baszan. Leżał na plecach, wpatrzony w sufit. – Jesteśmy pierwszym wielkim miastem na zachód od Jordanu, a jeśli ma jakieś pojęcie o rzemiośle wojennym, to uzna nas za następny cel.

Rachab poczuła suchość ustach.

– Więc, na litość boską, nie otwierajcie bram i nie wyruszajcie im naprzeciw. Pod osłoną naszych murów będziemy bezpieczni.

Debir strzelił kciukiem i środkowym palcem w muchę, która usiadła obok niego. Miał doskonałe oko. Zginęła na miejscu.

– Wiesz, oni przeszli przez Morze Czerwone... uciekając przed faraonem. Morze rozstało się przed nimi i runęło na armię egipską.

Rachab opadła na puchową poduszkę i oparła się o wiszącą na ścianie materię ze szkarłatnym szlakiem.

– Nie powiesz mi, że wierzysz w te bzdury!

Debir spojrzał na nią spod krzaczastych brwi.

– Wierzę. Wierzę od prawie czterdziestu lat, odkąd o tym usłyszałem. Ich bóg ma moc, o jakiej nam się nie śniło.

– Kolejny krwiożerczy bóg – rzuciła z uśmiechem zaprawionym sarkazmem. – Cudownie. Dokładnie tego potrzeba w Kanaanie.

Debir pokręcił głową. W oczach nagle błysnęło mu rozbawienie.

– Wygłaszasz dziwne opinie. Cud, że bogowie dotąd cię nie pokarali.

– Nie zwracam na nich uwagi, a oni mi się rewanżują. Dlaczego wierzysz w te banialuki o rozstępującym się morzu i zatopionym faraonie? Przecież nie masz w zwyczaju dawać posłuchu plotkom.

– To nie plotka.

– Widziałeś to na własne oczy?

Debir przesunął dłonią po włosach.

– Nie. Ale widziałem to oczami prawdziwego świadka. Jednego z tych Hebrajczyków.

Rachab usiadła gwałtownie.

– Znasz jednego z nich?

– Znałem, czterdzieści lat temu. – Debir wstał z materaca i usiadł obok niej. – Poznałem go tuż przed szkoleniem wojskowym. Gdyby nie był tak młody, rozpoznałbym w nim szpiega. Ale wtedy uważałem go za kupca, za którego się podawał. Zauważył mnie przy bramie i dał mi równowartość tygodniowej płacy za oprowadzenie go po mieście.

Oczy Rachab zognomniały.

– Dlaczego wtedy nas nie zaatakowali? Po co czekali z rozpoczęciem kampanii czterdzieści lat?

– Nie wiem. Ten Mojżesz musi być już w podeszłym wieku. Wtedy też im przewodził.

– Może umrze przed dotarciem do Jerycha.

– Coś mi mówi, że nawet to by ich nie powstrzymało. Człowiek, o którym ci wspomniałem, powiedział, że ich prawdziwym przywódcą jest ich bóg. To bóg, który posłał Mojżesza do Egiptu, żeby uwolnił Hebrajczyków z niewoli. Powiedział Mojżeszowi, że widział cierpienie i nieszczęścia swojego ludu i że to go martwi. Chciał, żeby Hebrajczycy zostali wyzwoleni spod jarzma faraona.

Rachab zastanawiała się, marszcząc brwi. Słowo „martwić się” nie pasowało do słownika bogów. A jednak, jeśli Debir się nie

mylił, był to bóg, który patrzy na ludzkie cierpienie ze współczuciem. Myśl o współczującym bogu coś zmieniła w jej sercu. Ogarnęła ją taka tęsknota, że z oczu niemal popłynęły jej łzy. Tęsknota za kimś, kto ulituje się nad jej cierpieniem na tyle, żeby ją uratować.

Bardzo dokładnie i bezwzględnie zdusiła to zdradzieckie pragnienie.

– No, Egipcjanom nie okazał wielkiego współczucia, skoro ich zatopił. Czy troszczy się tylko o Hebrajczyków? Nie myślał o płaczących w Egipcie żonach i matkach?

Debir uniósł z jej ramienia gęsty pukiel i lekko go pociągnął.

– Ja też bym się nie troszczył o Egipcjan, gdyby traktowali mój lud tak, jak Hebrajczyków. Trudno uwierzyć, ale hebrajski bóg dał im mnóstwo szans na uwolnienie jego ludu bez rozlewu krwi. Zsyłał im ostrzeżenie za ostrzeżeniem. Ale oni byli zbyt dumni. Nie chcieli się nagiąć do jego woli. Gdyby nie rzucili się w pościg za Hebrajczykami, nie utonęliby.

Rachab odebrała mu swój lok.

– Co jeszcze powiedział ci ten człowiek o swoim bogu?

Debir wzruszył ramionami.

– Wydaje się bardzo dziwny. Nie pozwala stawiać sobie posągów, więc nie można go zobaczyć ani dotknąć. Twierdzi, że jest Jedynym Prawdziwym Bogiem, istniejącym wszędzie jednocześnie. Można by się z tego śmiać, gdyby nie ta potęga, której wciąż daje dowody.

– Bóg, którego nie widać? A to dlaczego? Jak ludzie mają w niego wierzyć, kiedy zmysły podpowiadają im, że go tu nie ma?

– Nie wiem, ale ten hebrajski szpieg powiedział mi, że to mu nie przeszkadza. Twierdził, że obecność boga można poczuć nie tylko przez jego wizerunki.

Rachab oparła się na łokciach, wpatrzona w Debira.

– Na przykład?

– Nie stałem się jego wyznawcą. Nie znam się na tym. Wiem, że jest idiotycznie surowy. Na przykład – to cię zainteresuje – zakazuje prostytucji, nawet jako formy oddawania czci. Jednym z miejsc, do których zaprowadziłem tego Hebrajczyka, była świątynia. Na widok prostytutek spółkujących z wiernymi zasłonił oczy i powiedział, że zgodnie z prawem hebrajskim zostałyby ukamienowane.

– Ukamienowane?

– Byłaby z ciebie bardzo kiepska Hebrajka, co? Albo bardzo martwa.

Rachab z trudem przełknęła ślinę. Obok niej znajdowała się flaszka, z której nalała sobie wina do ozdobnego srebrnego kubka, zapominając o Debirze. Trunek miał smak kurzu.

## Rozdział 3



Nikt lepiej od Rachab nie znał niszczącego wpływu jej profesji. Nikt lepiej od niej nie wiedział, co się dzieje z duszą, gdy oddaje się ciału bez emocjonalnego przywiązania, bez nadziei na przyszłość. Żadna rozkosz nie może zapełnić przepaści samotności, która pogłębia się z każdym dniem. Bywały dni, kiedy chciała udusić tych mężczyzn, którzy ją obmacywali, nie myśląc o jej sercu. A bywały i takie, kiedy myślała, że śmierć nie byłaby taka zła. I tak czuła się już częściowo martwa. Wyglądało na to, że bóg Hebrajczyków się z nią zgadza. A zatem był współczujący. Ale dla Rachab miał tylko kamienie.

– Mów dalej – poprosiła, jednocześnie z przerażeniem i fascynacją.

Debir pochylił się, wyjął z jej dłoni kielich i wychylił go jednym haustem.

– Wygląda na to, że bóg Hebrajczyków ma serce czułe jak kobieta. Wtedy w świątyni kapłani składali dzieci w ofierze. Uwierzysz, że szpieg rozplakał się na ten widok? Nigdy nie zapomnę jego łez. Wielki chłop, dobrze zbudowany, muskularny, pod żadnym względem nie był zniewieściały, gdyby nie te łzy płynące mu po twarzy. Jako młodzieniec uznałem go za słabeusza, który płacze na widok ofiar jak niedoświadczony smarkacz. Spytał mnie, czy nie czuję obrzydzenia. „Oczywiście, że nie”, odparłem. Powiedział, że ich bóg nie ścierpiałby czegoś takiego. A potem dodał: „Wasze serca zanadto stwardniały. Twój

lud nie zasługuje już na wybawienie. Nawet Pan do was nie dotrze. A to jedyny Bóg na niebie i ziemi”.

Rachab wpatrywała się w Debira, wstrzymując oddech. Bóg, który ceni życie? Bóg, któremu zależy na bezimiennych dzieciach? Bóg, który dostrzega nieprawość Kananejczyków i uważa ich za niegodnych wybawienia? Znowu poczuła tę tęsknotę, silniejszą niż dotychczas. A jednocześnie dostrzegła ironię sytuacji, żalną ironię – jerychońska prostytutka tęskniąca za bogiem Hebrajczyków.

– Więc sądzisz, że ich bóg nas osądził i systematycznie nas unicestwia?

Debir wzruszył ramionami.

– Nie jestem kapłanem. Jako żołnierz mogę powiedzieć, że odnoszą zwycięstwa, których nie powinni odnosić. Ich bóg mnie zadziwia. Ma chyba większą moc niż którykolwiek z naszych. Moc i współczucie. Nigdy nie widziałem niczego podobnego i jeśli chcesz wiedzieć, nie mam ochoty teraz stawiać mu czoła. Mam nadzieję, że bóg Hebrajczyków zadowolony się ziemiami po tamtej stronie Jordanu. Niech się tam osiedlą, a potem może zaczniemy robić z nimi interesy.

– Ale nie sądzisz, żeby tak się stało.

Pochylił się i nalał wina do srebrnego pucharu.

– Gdybym był ich głównodowodzącym, nie tak bym postąpił. Czy mogą być bezpieczni, utknąwszy w pułapce między Midianitami, Edomitami, Amorytami i Egipcjanami? Musieliby do końca życia przez wiele pokoleń mieć oczy dookoła głowy. Jeśli ich bóg pragnie, by jego lud zaznał spokoju, oszczędzenie nas nie byłoby dobrym planem.

– Boisz się go? Tego ich boga? – rzuciła nagle.

Każdy inny mężczyzna uznałby to pytanie za obelgę. Ale Debir nie zwrócił uwagi na niestosowność tych słów. Wstał gwałtownie i zaczął krążyć po wąskim pokoju.

– Pan. Tak go nazywają – powiedział, przyklękając bardzo

blisko Rachab. Poczwała ciepło jego przesyconego winem oddechu. – Wszyscy się go boją. Nawet w koszarach panuje strach. Jeśli Og i Sichon nie zdołali powstrzymać Pana, to jak nam ma się udać? Nie interesują go pertraktacje. Nie chce kompromisu. Jest jak niszczycielski ogień. Spytałaś, czy się boję. Nigdy nie znałem strachu... aż do teraz.

– Myślisz, że zginiemy. – To nie było pytanie. Widziała to przekonanie odcisnięte w jego rysach. Pan. W końcu znalazła boga potężnego i współczującego. I stał się jej wrogiem.

– Tak. Tak myślę. Przypuszczam, że do tego czasu minie jeszcze wiele tygodni. Rzeka nam sprzyja, bo jest wezbrana. Nie można jej przekroczyć, ale kiedy wyschnie, oni się zjawią.

– Jak się przebiją przez nasze mury? Od stuleci nikomu się to nie udało, odkąd ukończono ich budowę.

– Masz rację. Nie udało się to żadnej armii. Ale nie mówimy o żołnierzach, tylko o bogu. Jego woli nie przeciwstawią się żadne mury. – Debir spuścił głowę, a ona dostrzegła na jego twarzy przelotny wyraz, którego nigdy dotąd u niego nie widziała: rozpacz. Ten wielki generał stracił nadzieję. W tej samej chwili i ona uwierzyła w przypieczętowany los Jerycha.

Po odejściu Debira poczuła nagle potrzebę wyjścia, opuszczenia klatki czterech ścian. Zbiegła z tupotem sandałów po schodach w ciemne wnętrze murów, a potem z ulgą wyłoniła się na światło słoneczne. Odetchnęła głęboko i ruszyła, sama nie wiedząc dokąd.

Nieopodal gospody skręciła w wąską uliczkę i natknęła się na grupę bawiących się dzieci. Ich głosy oderwały ją od rozmyślań; przyjrzała się im z uśmiechem, który zbladł, gdy uświadomiła sobie, w co się bawią. Dzieci otoczyły żebraka i obrzucały go kamieniami i obelgami. Starzec skulił się w kącie, zasłaniając twarz drżącą ręką.

Gdy ostry kamień przeciął mu skórę na czole, krew popłynęła po pobrużdżonej twarzy i zalała oko.

Jakaś dziewczynka wskazała żebraka palcem i krzyknęła:

– Patrzcie, jak mu się trzęsie ta siwa broda, zaraz zacznie płakać! Uderzcie go jeszcze raz!

– Co tam płacz – rzucił chłopiec ze śmiechem. – On się chyba zsikał!

– Yyyy! – Kiloro dzieci skrzywiło się i parsknęło śmiechem.

– Dajcie mu spokój! – krzyknęła Rachab.

Chłopiec, który już się zamachnął kolejnym kamieniem, zatrzymał się i spojrzał na nią, spowitą w drogie szaty.

– Pani, to tylko żebrak, nie widzisz?

– Powiedziałam: dajcie mu spokój.

Teraz gapiły się na nią już wszystkie.

– Dlaczego? To zwykły żebrak. Śmierdzi!

Rachab skamieniała. To prawda, że jej naród traktował włóczęgów gorzej niż bezpańskie psy. Sama prawdopodobnie minęłaby go bez jednego spojrzenia. Nie znęcałaby się nad nim, ale na pewno nie pomyślałaby o jego losie.

Przyjrzała się wpatrzonym w nią buziom. Nie dostrzegła na nich skruchy, poczucia winy czy żalu. To były zwyczajne dzieci, ale już nauczyły się traktować słabych i nienawidzić bezradnych.

– Wynoście się stąd – warknęła. Dzieci usłuchały, bo była dorosła, ale też dostatniej ubrana niż one. Mieszkańcy Jerycha umieli szanować pieniądze.

Uklękła przy starcu.

– Bardzo cię skrzywdziły?

Skulił się i nie odpowiedział. Przyjrzała się jego ranie – była powierzchowna, kolejna z wielu, jakie zgromadził przez całe życie. Sięgnęła do płóciennej sakiewki i wyjęła parę srebrnych monet. Pewnie nigdy w życiu nie dostał takiej kwoty. Włożyła mu je w dłoń.

– Idź i znajdź bezpieczne schronienie, żeby się umyć i wyspać. I zjedz coś ciepłego. – Starzec otworzył usta; zobaczyła przegniłe zęby. Ten żaloszny widok – bezzębne dziąsła, cuchnące rozkładem



– sprawił, że serce ścisnęło się jej z litości zamiast z obrzydzenia.

Starzec zacisnął drżące palce na monetach. Uniósł chwiejną pięść.

– Niech będą przeklęte! Niech będą przeklęte po tysiąc razy!

– Ćśśś – szepnęła Rachab. Nie rozumiejąc własnego zachowania, wzięła włóczęgę w objęcia i przytuliła jak matka ukochane dziecko. Niespodziewanie rozszlochał się gwałtownie, urywanymi łkaniami, które zdawały się nie mieć końca.

Zrozumiała z bólem, że aż tak się nie różnią. Ona także miała ropiejące rany, choć głęboko ukryte. Ona także była wzgardzona i odrzucona. Jej życie także było zmarnowane. Nie, nie czuła do niego obrzydzenia. Tylko smutek i litość.

Gdy w końcu się uspokoił, wstała.

– Pani – wychrypiał. – Nikt mnie tak nie tulił od czasów dzieciństwa.

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Zmęczona tym przeżyciem ruszyła przed siebie, a potem rzuciła się biegiem w stronę domu.



Opowiedziała tę historię Debirowi podczas jego następnych odwiedzin. Wzruszył ramionami lekceważąco.

– To przecież żebrak. Nie wiem, po co się wysilałaś.

Rachab przyjrzała mu się w milczeniu. Od czasów dzieciństwa nie miała nikogo tak przypominającego przyjaciela, jak Debir. Lubiała jego bezpośredniość, jego inteligencję, rozkoszowała się niezwykłą akceptacją, jaką jej okazywał. A jednak musiała przyznać, że jest twardy. Nieprzenikniony.

– Myślisz, że bóg Hebrajczyków przejmuje się żebrakami? – spytała, usiłując naprowadzić go na właściwe tory.

– Skąd mam wiedzieć? Czy jestem Hebrajczykiem? Przejmuje się dziećmi i niewolnikami. Może żebrakami także.

Rachab odwróciła się z przygnębieniem.

– A jednak zamierza nas zgładzić.

– Tak.

Była rozdarta między strachem a tęsknotą. Strachem przed bogiem, który gardzi jej ludem, i tęsknotą do boga, który dba o zapomnianych. Zwyciężył strach. Bez namysłu sięgnęła po szorstką, szeroką dłoń Debiera i ścisnęła ją, aż pobielaly jej palce.

– Ucieknijmy. Ratujmy się z Jerycha.

– Nie ma ucieczki. Nie widzisz? Pan przeznaczył cały ten kraj dla swojego ludu.

– Więc uciekajmy gdzie indziej. Możemy...

– Rachab, przestań. Nie będę uciekać. Dlaczego mam klękać przed tą zbieraniną włóczęgów i ich bogiem o miękkim sercu? Jestem mieszkańcem Jerycha, kananejskim dostojnikiem. Nie zdradzę mojej godności ani ludu.

Odebrał jej dłoń i odsunął się od niej.

Rachab otworzyła usta, żeby mu się sprzeciwić, ale znowu je zamknęła. Debir nie podzielał jej tęsknoty, nie ciągnęło go do nowego boga. Bał się tylko jego siły. A ten strach nie mógł się równać z jego dumą. Jak Rachab mogłaby z nią konkurować, skoro nawet jego strach przed hebrajskim bogiem nie mógł go do tego skłonić?

Gdy tak patrzyła na jego zgarbione plecy, ogarnął ją wielki smutek. Zrozumiała, że to już koniec ich spotkań. Debir uważał się za człowieka bez przyszłości. Przygotowywał się na śmierć. Umierający mężczyźni wracają do swoich rodzin. Nagle dokładnie to, co ich tak drażniło i wydawało im się ciężarem, stawało się cenne i ważne. Nierządnicę nie mogły już zaspokoić ich potrzeb.

Podeszła do niego i czekała, aż zwróci na nią uwagę. Dotknęła czule jego twarzy.

– Obyś żył długo, panie.

– Czy to pożegnanie?

– Tak będzie najlepiej.

Skinął głową. Zdyscyplinowany żołnierski ruch.

– Oby bóg Hebrajczyków obszedł się z tobą łagodnie. Nasi bogowie chyba nas opuścili.

– Ja opuściłam ich pierwsza, więc nie jest to dla mnie wielki smutek ani strata.

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Przyślę ci dar. Nie staraj się go oszczędzać. Wydaj wszystko jak najszybciej.



Kolejne dni upłynęły Rachab na rozmyślaniach o przyszłości. Zastanawiała się nad destruktywnymi obyczajami Jerycha i bezsensownymi namiętnościami jej pobratymców, które prowadziły tylko do nieszczęścia i zniszczenia. Myślała o Hebrajczykach i ich dziwnych obyczajach. Ale przede wszystkim myślała o ich bogu. Nie potrafiła go wypędzić z głowy. Czy to naprawdę bóg władający wszystkim? Czy jest prawdziwy, ten hebrajski duch, który ratował jednych i skazywał na zagładę innych, kierując się niezrozumiałymi racjami? Czy naprawdę opiekuje się niewolnikami?

Po trzech dniach takich rozmyślań, bez żadnego kontaktu z ludźmi, zrozumiała, że musi znaleźć sobie zajęcie. Postanowiła złożyć wizytę rodzinie.

– Czy oczy mnie zwodzą, czy to moja młodsza córka naprawdę zaszczyciła mnie swoją obecnością?

Rachab uśmiechnęła się blado. Matka stanęła na palcach i pocałowała ją lekko w policzek.

– Izzie i Gerazim też tu są. Cała rodzina razem!

Przez chwilę Rachab poczuła przeszywający ból. Czy gdyby nie przyszła, zaprosiliby ją? I dlaczego mieliby to zrobić? W przeszłości odrzuciła wiele podobnych propozycji. Choć często przysyłała podarki, widywała ich rzadko.

– Cieszę się, że wszystkich zobaczę – powiedziała szczerze.

– Czy to moja siostrzyczka? – zawołała Izzie i podbiegła, by chwycić ją w ramiona. – Wyglądasz olśniewająco jak zawsze. Chodź, zabrudź swoją wytworną szatę. Gotuję i przyda mi się twoja pomoc. – Pochyliła się tak, żeby tylko Rachab ją słyszała. – Matka zaraz doprowadzi mnie do szału.

Rachab roześmiała się, czując, że napięcie opuszcza jej ciało. Gotowanie z Izzie było kuszącą perspektywą.

– Mamo, skoro Rachab przyszła, możesz odpocząć od gotowania – oznajmiła Izzie. – Pobaw się z wnukami.

– Co? Mam pozwolić, żebyście zepsuły kolację? Nie sądzę.

– Wybacz – warknęła Izzie – ale prowadzę własną kuchnię na tyle długo, że poradzę sobie z kolacją. A co do Rachab, ma sławną gospodę.

– Dzięki za przypomnienie. Jak bym mogła o tym zapomnieć – powiedziała matka pobielałymi ustami.

Teraz Rachab przypomniała sobie, dlaczego rzadko tu bywa. Izzie mocno wbiła jej w bok łokieć.

– Nie zwracaj na nią uwagi. Chodź.

Na szczęście matka nie poszła za nimi. Przez dwie godziny przygotowywały potrawy na rodzinną kolację. Po jakimś czasie dołączyły do nich bratowe i w końcu Rachab zaczęła się zaśmiewać z ich paplaniny. Stęskniła się za bliskimi pomimo ich drażniących uwag i męczących oczekiwań. Tęskniła za nimi i nawet o tym nie wiedziała.

W miarę upływu czasu przebywała z nimi coraz dłużej. Pielila ogród z kobietami, nosiła wodę, robiła ser i jogurt z koziego mleka, handlowała na bazarze i przędła wełnę. Z czasem nadeszła pora zbiorów lnu i jęczmienia, więc towarzyszyła rodzinie w polu bardziej z głodu towarzystwa niż dla zysku finansowego. Dar Debira okazał się sporym workiem złota, na tyle dużym, że zapewniłby jej przeżycie przez rok. O ile został jej jeszcze rok życia, w co wątpiła.

Nie wierzyła już, że ma jakąś przyszłość. A jednak obcierała ręce do krwi, wyrywając len, ostrożnie, by nie uszkodzić kruchych łądyg kryjących włókno. Kto będzie żył tak długo, żeby wykorzystać te łądygi? Kto osnuje przędzę na krośnie i utka z niej płótno? Kto je ufarbuje, uszyje, będzie nosić? A jednak rwała i rwała, aż oczyściła cały teren wokół siebie, a jej snopki spiętrzyły się wysoko.

Jej rodzina nie była nieświadoma grozy, jaka zawisła nad Jerychem. Do bram miasta docierały kolejne wieści o zwycięstwach Hebrajczyków. Zbiory ze swojej natury zmuszały do rozmyślania o przyszłości. A przyszłość malowała się w czarnych barwach. Wróg był blisko.

Po ostatnim dniu zbiorów nie okazywali radości, która zwykle im towarzyszyła. Rachab zawiozła do domu wózkiem swoją część lnu i rozłożyła go na dachu do wyschnięcia. Była zmęczona po pracy, zbyt zmęczona, by umyć spocone ciało. Osunęła się wzdłuż ściany i oparła głowę na kolanach.

Wszystko ją bolało, ciało i serce. Ogarnęło ją przenikliwe poczucie samotności. Mimo że spędziła z rodziną tyle czasu, mimo że doznała tyle życzliwości, nadal czuła, jakby do nikogo nie przynależała. Błagała sen, żeby uwolnił ją od bólu myślenia. Czucia. Ale sen nie nadchodził.

Była w pułapce – uwięziona w samotni serca, do której najwyraźniej nikt inny nie miał wstępu. Uwięziona w swoim ciele, ciele nierządnic, wielbionej przez dziesiątki mężczyzn. Uwięziona w Jerychu, drżącym przed wrogiem, którego nie zatrzymają mury z kamienia i zaprawy. Uwięziona w Kanaanie, skazanym na zagładę przez boga, który ogłosił się władcą całego świata. Uwięziona.

Czy istnieje ktoś, kto ją uwolni z tej niewoli? Znowu pomyślała o bogu Hebrajczyków. Jeśli naprawdę panował nad wszystkim, jak twierdzili, czy nie wynika z tego, że wszyscy, którzy żyją na świecie, w jakiś sposób do niego należą? Jeśli jest jedynym

prawdziwym bogiem... trudno uwierzyć w tak naciąganą historię, ale jeśli jednak jest, czy nawet nierządnicą Rachab, Kananejka Rachab, nic nieznacząca Rachab nie mogłaby zwrócić się do niego z prośbą?

Wyprostowała się. Co miała do stracenia?

– Boże Hebrajczyków – zaczęła i urwała. Nie miała pojęcia, jak przemawiać do bogów po tak długiej wrogości do nich. – Boże Hebrajczyków – podjęła z determinacją. – Słyszałam o twojej mocy. Twój lud twierdzi, że jesteś jedynym prawdziwym bogiem w niebie i na ziemi. Podobno słyszysz ich płacz i masz współczucie dla ich cierpienia. Jeśli to nie są bajki zrozpaczonych ludzi i jeśli naprawdę jesteś tym, za kogo cię uważają, pragnę, byś mi się pokazał. Pragnę, żebyś dał mi życie.



Mgliste światło świtu obudziło ją z głębokiego snu. Nadal siedziała tam, gdzie się osunęła, pod ścianą, skulona. Zdziwiło ją, że przespala mocno całą noc. Od miesięcy nie zaznała tak twardego snu. Słowa modlitwy do hebrajskiego boga nagle wyłoniły się z zapomnienia. Niewidzialny bóg. Bóg bez postaci i wizerunku. Bóg, którego nie można dotknąć. Bóg jej wrogów. A jednak tego ranka spłynął na nią spokój, jakiego nie zdarzyło się jej poczuć od wielu lat. Czy to dzieło tego niewidzialnego bóstwa? Czy po prostu zaczęła wariować? Czy wiadomość o jej szaleństwie zasmuci, czy ucieszy matkę? Co gorsze? Wariatka czy córka nierządnicą?

Wstała ze stęknieniem. Służąca miała przyjść dopiero za parę godzin, ale Rachab nie mogła czekać z kąpielą. Cuchnęła starym potem i ziemią. Uczciwą pracą. Napęliła letnią wodą wielką balię, dodała parę kropel wody różanej i olejku i zaczęła się myć. Ten spokój w niej pozostał. Jeśli to właśnie szaleństwo, to chętnie je przyjmie. Jeśli to dzieło tego hebrajskiego boga, to był

dokładnie taki, jakim go opisywali. Jeśli ten wróg jest jej wrogiem, stała po niewłaściwej stronie.

Niebo za oknem było bezchmurne i błękitne. Rachab postanowiła się przejść. Wybrała krętą ścieżkę obsadzoną młodymi sykomorami, piękną drogę prowadzącą na targ. Bez ostrzeżenia zaatakował ją smród spalonego mięsa i bicie w bębny. Podniosła głowę, rozejrzała się i uświadomiła sobie, że znalazła się w pobliżu świątyni Baala. Niespełna dziesięć kroków dalej stała czekająca prostytutka w opadającej z niej sukience, która nie wyglądała już świeżo. Ich spojrzenia się spotkały. To czyjaś córka, pomyślała Rachab. Czyjaś siostra. Ale bliscy złożyli jej życie w ofierze, wymienili je na obietnicę dobrobytu.

Dostatek, płodność, zdrowie – Kananejczycy składali w ofierze swoje dzieci w nadziei na większy zysk i satysfakcję wszelkiego rodzaju. Oprócz pieniędzy czcili z dzikim zapamiętaniem żądzę. Zaspokajając jedno pragnienie, mieli nadzieję, że bogowie spełnią także inne. Bezpieczeństwo finansowe i satysfakcja seksualna znaczyły w Jerychu więcej niż życie.

Rachab rozstała się z bogami swojego ludu wiele lat temu. Teraz zrozumiała, że nie tylko z bogami – także z rodakami. To oni wybrali te zasady. To oni wybrali tę religię i postępowali zgodnie z jej nakazami. Kanaan zmienił się w rynsztok świata, a Jerycho było rynsztokiem Kanaanu.

Czy to dlatego bóg Hebrajczyków chciał ich unicestwić? Czy nie widział dla nich nadziei? Szansy odkupienia? Odpowiedź wezbrała w niej jak mdłości, których nie mogła zlekceważyć. Posunęli się za daleko. I w dodatku zrobili to arogancko. Wyzywająco. Słabi, bezbronni, bezimienne noworodki, chorzy żebracy, dziewczynki zmuszone do posługi w świątyniach – jak ta, patrząca na nią pustymi oczami – dla nich nie było ucieczki. Nie było sprawiedliwości ani nadziei ocalenia. Albo ginęli od razu, albo powoli konali w coraz większym rozgoryczeniu, nie chcąc wybaczyć. A tymczasem bogacze grabili, łupili,

wykorzystywali i gwałcili do woli. To był ich dom. To było jej dziedzictwo.

Wytrącona z równowagi, odruchowo ruszyła w stronę rodzinnego domu. W małym ogródku Joa pielł chwasty.

– Rachab! – zawołał, prostując się.

– Chciałam kupić jedzenie na targu, ale straciłam do tego serce, zanim tam dotarłam.

– Całe Jerycho straciło serce. Chodź, popracuj ze mną.

Rachab uklękła na ziemi, nie myśląc o pięknej tunice.

– Myślisz, że bóg Hebrajczyków istnieje naprawdę?

– Może powinnaś spytać o to Oga lub Sichona. A, prawda. Obaj nie żyją.

– A może powinnam spytać samych Hebrajczyków. A, prawda, żyją, choć latami błakali się w dziczy, uciekali przed wojskami faraona i walczyli z najpotężniejszymi kananejskimi władcami.

– Najpierw w niego wątpisz, potem go bronisz. Zdecyduj się, siostró.

Rachab wzruszyła ramionami.

– Nie lubię naszych bogów. Za ludźmi też nie przepadam.

– Rachab!

– Tylko się zastanów. Gdzie w Jerychu znajdziesz dobroć? Współczucie?

Joa opuścił ciemne oczy.

– Nie różnimy się od innych. Wszyscy są tacy sami.

– Nie wszyscy. Hebrajczycy nie żyją zgodnie z naszymi zasadami.

– Hebrajczycy! – Joa rzucił to słowo z takim jadem, że Rachab szybko zmieniła temat. Ale jej brat pozostał w tak kiepskim humorze, że znowu straciła spokój i poszła do siebie.

I znów nie mogła usiedzieć w miejscu ani jeść. Krążąc z pokoju do pokoju, weszła w końcu po wąskiej drabinie na dach, gdzie suszył się len. Osunęła się na wiązki i spojrzała w dal, na skraj pól wokół Jerycha. Gdzieś za horyzontem Hebrajczycy



przygotowywali się do wojny.

– Czy widzę to samo co ty, kiedy patrzę na Kanaan? – spytała niewidocznego wroga. – Czy dziś zobaczyłam nas twoimi oczami? – Wyrwał jej się cichy jęk. – Boże Hebrajczyków, niewiele wiem o twoich obyczajach i nic o twoich myślach, ale jeśli jesteś bogiem współczucia, to mój lud na pewno ci się nie podoba. Proszę cię o wybaczenie.

Zrobiło się upalnie. Rachab zdarła z głowy cieniutki jak mgiełka welon i odrzuciła go niecierpliwie. Łagodny wietrzyk uniósł ciężką masę włosów z jej karku. Nadstawiła twarz na jego pieśczęty. Spokój, który ogarnął ją tego ranka – spokój, który nie potrzebował tłumaczeń ani analiz – znowu powrócił i spłynął na nią z nową siłą.

– Boże Hebrajczyków, czy to ty? – Naszło ją nieracjonalne przekonanie, że ten bóg jest prawdziwy, autentyczny i że w tej chwili jest tu z nią. – Jesteś prawdziwy – powiedziała i odetchnęła.

Spokój zintensywniał, gęstniejąc i otaczając ją niczym mgła.

– Wierzę w ciebie. Jesteś Bogiem na niebie i ziemi. Może oszalałam, ale w to wierzę.

Położyła się na wiązkach lnu i wyciągnęła ręce ku niebu.

– Wierzę! – krzyknęła.

Uderzyło ją brzmienie jej głosu. Po raz pierwszy od lat poczuła, że znalazła oparcie w czymś stałym. Czymś dobrym. Ta myśl sprawiła, że się poderwała.

– Tak jak mój lud, jestem niegodziwa. – Oczami duszy zobaczyła swoje łóżko i przypomniała sobie, co symbolizowało. Każde włókno zachowało wspomnienie jej nieprawości. Niepewności. Kłamstw. Żądzy. Zawsze oskarżała innych za to, co ją spotkało. Zdrada ojca. Egoizm matki. Potrzeby rodziny. Perfidia mężczyzn. Bezbożność bogów.

Wiele razy ją skrzywdzono, co do tego nie było wątpliwości. Ale także podejmowała własne decyzje. Czy Bóg nie pociągnie jej za nie do odpowiedzialności?

– Przepraszam – szepnęła. – Przepraszam Cię za to. Obiecuję, że rzucę to życie. Nie wrócę do niego do końca moich dni.

## Rozdział 4



Szalmon! – krzyknął znajomy głos, irytująco natarczywy. Szalmon skulił się bardziej pod osłoną głazu. Nie chciał rezygnować z rzadkiej chwili samotności, wyjątkowego luksusu, kiedy się podróżuje w chmarze ludzi. Jego przyjaciel Hanani nie rezygnował.

– Czas wyjść z ukrycia, o wielki dowódco. Jozue chce porozmawiać z przywódcami plemion.

To go zainteresowało. Z westchnieniem rozprostował długie nogi i wstał.

– Przestań płoszyć owce. Znalazłeś mnie. Czego chce Jozue?

– Wyglądam jak jego doradca? – spytał Hanani, drapiąc się po brodzie i ziewając. – Kazał cię znaleźć. Chce się spotkać z przywódcami plemion, więc przestań się kryć jak nieśmiała panna młoda w noc poślubną.

Szalmon uśmiechnął się lekko. Im bardziej lud Izraela zbliżał się do Ziemi Obiecanej, tym bardziej wydłużała się jego lista obowiązków. Jako przywódca pełnił funkcję doradcy, mediatora, wojownika, człowieka podejmującego decyzje i pasterza. Jego ojciec Nachszon, gdy przewodził plemieniu, miał nawet więcej powinności niż on i pod jego kierunkiem Szalmon wcześniej przywykł do tego brzemienia.

– Dziękuję, że mnie zawołałeś – powiedział i ruszył do obozu. Jozue nie zwoływał ludzi bez powodu. Jako człowiek czynu gospodarował swoim czasem oszczędnie.

Inni już się zebrali wokół Jozuego. Szalmon usiadł tak, żeby słyszeć go jak najlepiej. Krępa sylwetka przywódcy rysowała się wyraziście, wyprostowana na tle wzgórza. Jego szpakowate włosy unosiły się na ciepłym wietrze. Poza nim nikt się nie ruszał.

– Mam wieści o Mojżeszu – zaczął, ale głos mu zadrżał i umilkł. Dwa dni temu Mojżesz zwołał lud Izraela.

– Starzeję się i nie mogę już wami dowodzić – oznajmił.

Zebrani zaprotestowali ze zgrozą, bo Mojżesz mimo podeszłego wieku nadal miał wigor mężczyzny w kwiecie lat. Zachował młodzieńczy wzrok i potężne mięśnie, a chodził rześko i zwinnie.

Mojżesz tylko uniósł dłoń, nakazując milczenie. Przywykł do sprzeciwów swojego ludu i jego natarczywość już go nie skłaniała do zmiany zdania.

– Pan powiadomił mnie, że nie przekroczę z wami Jordanu. Wybrał na waszego przywódcę Jozuego, dlatego przekazuję mu władzę wraz z błogosławieństwem. Czas, żebym was opuścił. W przeciwnym razie nie wypełnicie waszego przeznaczenia. Nie musicie wierzyć w siebie ani we własne siły. Bądźcie silni w Panu. Gdy katastrofa wydaje się bliska, nie upadajcie na duchu. Bóg nigdy was nie zostawi.

A po skończonej przemowie Mojżesz wyruszył na górę Nebo. To wszystko wydarzyło się dwa dni temu, a teraz Jozue miał nowe wieści. Zgromadzeni przywódcy wstrzymali oddech, ledwie wążąc się odetchnąć.

– Przed odejściem Mojżesz znowu nałożył na mnie ręce i pobłogosławił – wyjął Jozue. Jego jabłko Adama parę razy podskoczyło przy przełykaniu śliny. – Powiedział, że nie wróci z góry Nebo. Jak zwykle miał rację. Bóg mnie powiadomił, że Jego sługa Mojżesz nie żyje.

Niektórzy jęknęli, inni siedzieli w osłupieniu. Czy to możliwe? Czy Mojżesz umarł? Wiedzieli, że nikt z jego pokolenia

z wyjątkiem Jozuego i Kaleba nie dotrze do Ziemi Obiecanej – sam Mojżesz to przepowiedział.

Szalmon wpatrywał się z niedowierzaniem w Jozuego. Zauważył w jego brązowych oczach lśnienie łez i zrozumiał z nagłą pewnością, że nigdy więcej nie zobaczy Mojżesza. Przez całe jego życie Mojżesz był jak latarnia morska, wskazująca światłem drogę swojemu ludowi. Nigdy nie spotka drugiego człowieka, który by tak wierzył. Izrael stracił swojego największego przywódcę. Szalmon chwycił się za tunikę na piersiach i rozdarł ją. Otaczający go mężczyźni spojrzeli na niego w osłupieniu, jakby to on sprawił, że śmierć Mojżesza stała się rzeczywistością.

Jozue skinął głową i także rozdarł swoją szatę.

– Jutro lud Izraela zacznie oficjalnie opłakiwać Mojżesza – oznajmił. – Żałoba będzie trwać trzydzieści dni. Potem musimy ruszać. Pan odda nam tę ziemię. Powiadomcie plemiona. Przygotujcie się na żałobę. I posłuszeństwo. – Uniósł ramiona. – Przygotujcie się na zwycięstwo! – krzyknął.

Szalmon wstał z resztą przywódców i wrócił do swojego namiotu, powłócząc nogami. Jeśli chodzi o żałobę, miał wprawę. Stracił rodziców. Stracił młodą żonę. Wiedział, że łzy nie każą na siebie czekać. Ale tuż za smutkiem czekała radość. W końcu, po całym życiu wypełnionym błakaniem się od jednego uedu do drugiego, od doliny do płaskowyżu, od żwirowej ścieżki po kamienne równiny, mógł uwierzyć, że kres wędrówki jest w zasięgu wzroku. Rozejrzał się po obozowisku, jedynym domu, jaki znał. Wszędzie namioty, duże i małe, prowizoryczne zagrody dla bydła – owiec, kóz, paru krów i wołów. Ich zapach i kurz przytłaczały. Jak by to było mieszkać w prawdziwym domu, mieć oborę, własną ziemię? Niedługo się dowie. Dom oznaczał kolejne walki i próby, ale także nową nadzieję na przyszłość.

W drodze do namiotu natknął się na Miszaela, Setura i Jedajasza. Dobrze. Ci szanowani mężowie pomogą mu

przekazać wieści innym.

– Panie, czy to prawda? Mojżesz naprawdę nie żyje? – spytał Miszael. Szalmon lubił tego tęgiego, o parę lat starszego mężczyznę za stateczność.

– Tak, niestety. To nasza największa dotychczasowa strata, a jednak Jozue zapewnia, że za miesiąc ruszymy na tereny na zachód od Jordanu.

– Boże, miej litość! – krzyknął Setur. – Jesteśmy w rozsypce! Jak zdołamy wygrać jakąkolwiek bitwę bez Mojżesza?

Szalmon spojrzał na niego oczami zwężonymi namysłem.

– Ach tak, w rozsypce? Rozumiem, że Bóg bez Mojżesza nie zdoła wypełnić swoich obietnic.

Setur machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Bóg posłużył się Mojżeszem, by wybawić nas z niewoli egipskiej. Posłużył się nim, by ocalić nas na tej przeklętej pustyni. Posłużył się nim, by poprowadzić nas do zwycięstwa w każdej stoczonej bitwie.

Szalmon założył ręce na piersi.

– A teraz posłuży się Jozuem. A może masz lepszy plan? Wolisz wrócić i znowu być niewolnikiem faraona?

– Mówię tylko...

– Więc już nie mów. Siejesz panikę. Nigdy nie pokładaliśmy naszej wiary w Mojżeszu ani żadnym innym człowieku. Pokładamy wiarę w Bogu. Każdego z nas można zastąpić, nawet Mojżesza.

– Czy Jozue ma plan? – spytał Miszael.

– Jeszcze wcześniej. Przecież go znasz. Rozmawia z Bogiem częściej niż z nami. Będzie miał plan w odpowiednim czasie. Na razie mamy przez cały miesiąc opłakiwać Mojżesza.

Szalmon odwrócił się, spojrzał na Jedajasza i drgnął. Mężczyzna z trudem powstrzymywał łzy. Szalmon zgromił się za głupotę. Jak mógł zapomnieć o głębokim uczuciu Jedajasza do Mojżesza? O specjalnej więzi między starszym i młodszym

mężczyzną? Jedajasz nie tylko podziwiał Mojżesza, on go kochał.  
Szalmon chwycił go za ramię.

– Bardzo cię przepraszam. Wiem, ile znaczył dla ciebie Mojżesz. I wiem, ile ty dla niego znaczyłeś.

Usta Jedajasza zadrżały jak u małego chłopca, a po policzkach potoczyły mu się wielkie łzy, które znikły w gąszczu brody.

– Przykro mi... – powtórzył Szalmon, zasmucony. Znał się na żałobie na tyle, by nie spieszyć się z pocieszeniami. Rozpacz trzeba przeżyć, to wszystko. Nie istnieje droga na skróty. – Od jutra rozpoczyna się oficjalna żałoba. Jeśli chcesz pomóc, powinieneś odwiedzić jego rodzinę.

Jedajasz skinął głową i prawie pobiegł do namiotu Mojżesza. Szalmon przypuszczał, że konkretne zadanie umożliwi mu wyładowanie żalu.

– Więc wkrótce będziemy walczyć – odezwał się Miszael w zapadłej ciszy.

– Tak. Bóg daje nam ten kraj.

– Jesteś bardzo pewny zwycięstwa – zauważył Setur.

– W rzeczy samej. Jestem pewny naszego Boga. Wiesz, że nasi ojcowie stracili wiarę. Choć mieli Mojżesza, nie chcieli walczyć ze strachu przed przegraną. Ja nie zamierzam popełnić tego błędu. Nie stracę mojej szansy, tak jak mój ojciec.

Setur nerwowo obliznął spękane wargi.

– Ja też nie chcę jej stracić.

Szalmon klepnął go w plecy.

– I dobrze. Ufaj Bogu. A kiedy skończy ci się zaufanie, po prostu wykonuj Jego rozkazy.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny Szalmon poświęcał całą swoją niemałą energię na zwołanie najważniejszych mężczyzn i kobiet, którymi się opiekował, przekazanie im wieści o Mojżeszu i poleceń Jozuego. Życie bez Mojżesza wydawało się niewyobrażalne. Może Pan chciał im uświadomić, że ich istotą nie jest ciało i krew, lecz dusza.

Szalmon rozumiał, że jeśli porzucą bezpieczeństwo wiary, uświadomią sobie, jak niepewne jest zwycięstwo w czekających ich bitwach. Izraelscy wojownicy nie mieli żadnej przewagi nad zaprawionymi w walce żołnierzami i kananejskimi miastami-fortecami. Mieli tylko Boga. I to wydawało się aż nadto wystarczające.



Kiedy przeminał trzydziesty dzień żałoby, Jozue wezwał przywódców plemion. Był wieczór. Zebrali się w jego wielkim namiocie. Szalmon usiadł, wciśnięty między Kaleba i Elidada, przywódcę plemienia Beniamina. Ich szorstkie samodiałowe szaty drapały mu łydki długich, muskularnych nóg. Ogarnęło go dziwne zadowolenie – radość płynąca z towarzystwa braci, choć wbijali mu łokcie w żebra i musiał niewygodnie zgiąć nogi. Ich bliskość napełniała go otuchą. Poczul się bezpieczny.

W tym niewielkim pomieszczeniu głos Jozuego brzmiał jak świst wypuszczonej z łuku strzały.

– Musimy przygotować ludzi do przeprawy przez Jordan.

Elidad odkaszlnął.

– Ale Jordan jest wezbrany. Nie do przejścia. Czy nie byłoby lepiej poczekać? To już prawie czterdzieści lat. Co znaczy parę miesięcy więcej?

Szalmon odwrócił się gwałtownie i spojrzał na niego w osłupieniu. Ku swojemu przerażeniu dostrzegł sporo przytakujących.

Jozue zmrużył oczy.

– Czy tak rzekł Pan?

Elidad poruszył się nerwowo.

– No, nie... Mówię tylko, co podpowiada rozsądek.

– Zatem pozwólcie, że coś wam powiem. W tych bitwach nie wygramy ludzką mądrością. Wygra je sam Bóg, tak jak to czynił



od dnia, w którym Mojżesz wyprowadził nas z ziemi egipskiej. Nie jesteśmy ludem wojowników w takim znaczeniu, w jakim inne narody rozumieją rzemiosło wojenne. Jesteśmy ludem wiary. Naszą tarczą jest prawo boskie. Naszym mieczem jest Jego słowo. To On jest naszą warownią i On jeden da nam zwycięstwo. Gdyby nie On, moglibyśmy już zacząć kopać dla siebie groby.

W namiocie zapadło milczenie. Jak łatwo zapomnieli, że nie mogą żyć jak inne narody. Jak łatwo uciekli w dumę i ludzki rozsądek, na które nie ma miejsca wobec Boga. W końcu Elidad znowu przerwał ciszę.

– Jeśli Pan poprowadzi nas w wezbrane wody Jordanu, to w nie pójdziemy. Pójdziemy za Nim wszędzie.

Szalmon poczuł, że jego spięte mięśnie się rozluźniają.

– To dobrze. – Jozue błysnął idealnie zdrowymi i równymi zębami. – A teraz słuchajcie. Niech każdy z was przejdzie przez obóz. Powiedzcie ludziom, żeby przygotowali zapasy. Powiedzcie, że w tym tygodniu przeprawimy się przez Jordan. I jeszcze jedno. Chcę wysłać na drugi brzeg dwóch mężczyzn z misją szpiegowską. Szczególnie potrzebne są nam informacje o Jerychu. Nie wymagam żadnych bohaterskich czynów. Chciałbym tylko wiedzieć, jakiego powitania mamy się spodziewać.

Szalmon poderwał się z ziemi.

– Wyślij mnie, panie.

– Nie, ty jesteś mi potrzebny tutaj. Ale sprowadź swojego przyjaciela Hananiego. Wyślę go razem z Ezrą.

Szalmon spuścił głowę, z trudem przełykając to rozczarowanie. Od dawna nauczył się panować nad odruchami. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak Ezra i Hanani ucieszą się, że Jozue wybrał ich do tej ważnej misji.



Brody wezbranej rzeki były nie do przejścia. Hanani i Ezra musieli wybrać trudną drogę – we dwójkę stawiając opór wodzie, tworząc dla siebie nawzajem oparcie, gdy jeden stał nieruchomo, starając się nie przewrócić, a drugi szedł naprzód. Tylko wysiłkiem woli rzucali się do walki z nieustępliwym żywiołem, zmagając się z rwącym nurtem i głębinowymi prądami, niemal zwalającymi ich z nóg przy każdym kroku. Wyczerpani, w końcu zdołali się wyczołgać na zachodni brzeg, czepiając się zwisających gałęzi. Mało brakowało, a utonęliby.

Hanani odzyskał oddech i zerknął z udręką na Ezrę. Lud Izraela nie miał szans przepłynąć się przez tę rzekę.

– Idźmy od razu do Jerycha – zdecydował. – To ono najbardziej interesuje Jozuego, a czasu mamy mało.

– To także najbardziej niebezpieczna część naszej misji. Przejście przez bramy miasta bez zwrócenia na siebie uwagi nie będzie tak łatwe, jak zbieranie manny.

Hanani pociągnął się za ciemną brodę.

– Nie zdołamy tego uniknąć. Spuść głowę i staraj się nie gapić jak egipskie cielę na malowane wrota. Wejdziemy w czasie południowego szczytu i miejmy nadzieję, że nikt nas nie zauważy.

– Nie będę się gapić, jeśli ty nie będziesz paplać jak dziewczyna. Ten akcent wyda nas, zanim skończysz pierwsze zdanie.

Hanani spojrział na przyjaciela z udawanym gniewem.

– Przynajmniej potrafię mówić. A ty? „Witaj, Mi-Mi-Miriam”. Porywające. Urocze. Po takiej konwersacji Miriam na pewno popędzi do brata i będzie go błagać, żeby ją ci oddał.

– A żebyś się udławił tą swoją brodą.

Hanani był zbyt rozkojarzony, żeby ciągnąć ten pojedynek; rzucał docinki bez przekonania, tylko po to, żeby nie zdradzać ogarniającego go niepokoju. Podejrzewał, że Ezra zmagał się z takim samym brzemieniem.

Zrobiło się nieprzyjemnie gorąco. Ich przemoczone ubrania

szybko wyschły. Wkrótce obaj zdjęli wierzchnie szaty i ruszyli dalej w prostej samodziiałowej bieliźnie. Droga do Jerycha była wysypana drobnym, niekaleczącym stóp żwirem. Hanani, zaprawiony przez lata wędrówek, prawie nie czuł zmęczenia.

Mury Jerycha, choć odległe, pojawiły się w zasięgu ich wzroku. Widać było chodzących po nich parami żołnierzy, bez trudu mijających grupy nadchodzące z naprzeciwka.

– Ładna robota – zauważył Hanani. – Ciekawe, jak grube są te mury.

Ezra burknął coś pod nosem. Już przedyskutowali ten plan. Wejdą, nie starając się ukrywać, wmieszają się w tłum, będą mieli uszy i oczy otwarte i wyjdą przed zmrokiem, nie odzywając się do nikogo. Ich zadaniem było słuchanie. Jak mieszkańcy Jerycha reagują na zwycięstwa Izraelitów na wschodzie ich kraju? Czy w ogóle wiedzą o tym, co się wydarzyło przez ostatnie miesiące? Czy przygotowują się do bitwy?

Ten plan już na samym początku napotkał trudności. Strażnicy przy bramie sprawdzali wszystkich. Każda rozmowa ciągnęła się w nieskończoność, długa i szczegółowa, co przekreśliło ich nadzieję na niepostrzeżone wejście. Gdy obaj szpiedzy się zbliżyli, jeden strażnik stanął Hananiemu na drodze, drugi dźgnął Ezrę w pierś grubym palcem.

– Co tu robicie? – spytał.

– Jesteśmy kupcami – oznajmił Ezra.

– Skąd?

– Zasadniczo z Midian, ale podróżujemy.

Strażnik zmarszczył brwi.

– Dziwnie mówisz.

Hanani rozejrzał się desperacko. Nie mieli szans na walkę, nie mieli dokąd uciec. Wokół bramy roilo się od strażników. Ich jedyną nadzieją była brawura.

– Mówimy dziwnie z powodu kurzu, bracie. Pragnienie mnie zabija. A on – wskazał głową Ezrę – jest tak głodny, że mógłby

pożreć wielbłąda z kopytami. Wpuść nas, przyjacielu. Mamy pieniądze, które chcemy wydać w Jerychu.

– Tak, wpuść ich, przyjacielu – rozległ się niespodziewanie kobiecy głos. – Mogą wydać te pieniądze w mojej gospodzie. Już od wieków nie zabawiałam podróżnych, a ty, Hamiszu, mi w tym nie pomagasz.

Hanani odwrócił głowę... i wstrzymał oddech. Pod murem naprzeciwko niego stała kobieta w długiej szacie z błękitnego jedwabiu. Włosy koloru dojrzałych kasztanów spływały poniżej pasa w lśniących kędziorach, ledwie osłoniętych trzepoczącym na wietrze przezroczystym welonem. Wielkie oczy barwy wiosennego miodu kryły się w cieniu gęstych, wygiętych rzęs, a smukły nos niczym strzała wskazywał pełne wargi, zbyt czerwone, by były naturalne. Błękitny jedwab opływał uwodzicielsko jej kształtną figurę, niewiele zostawiając wyobraźni.

Hanani z trudem przełknął ślinę. Powiedziała, że ma gospodę. Wszystko, co jej dotyczyło, było dla niego zakazane. Nerwowo spuścił wzrok.

Na szczęście strażnik był równie rozkojarzony jak on. Stracił zainteresowanie przesłuchaniem i zwrócił się do kobiety:

– Rachab! Z pewnością interesy nie podupadły aż tak, żebyś miała zabawiać w swojej gospodzie mężczyzn w samodziale!

– Ależ podupadły. Dzięki wam i waszym przyjaciom żołnierzom, którzy płoszą moich klientów. A teraz pozwól tym miłym młodym kupcom wejść do mojej gospody, gdzie wydadzą dużo srebra na dobre jerychońskie wino.

Strażnik zastanowił się przez chwilę.

– Co będę z tego miał?

– Dam ci dziś wieczorem dzbanek jęczmiennej wody. Ale tylko, jeśli przestaniesz dręczyć moich klientów.

– Najpierw woda.

Hanani zerknął ukradkiem na kobietę. Przez chwilę

przyglądała się im zmrużonymi oczami, potem odwróciła się na pięcie i znikła na schodach wyciosanych w murze. Nie miała wątpliwości, że właśnie ocaliła im życie.

– Wy dwaj, stańcie tam. Jeśli wróci, możecie z nią iść. O ile wróci. Moim zdaniem na próżno się tak stara. Nie widzę u was kieszeni wypchanych srebrem.

Nawet stojąc na uboczu, przyciągali zbyt wiele zaciekawionych i wrogich spojrzeń. Ocaleni przez karczmarcę... prostytutkę! Może jednak śmierć w męczarniach nie jest taka zła. Hanani nie wyobrażał sobie, jak wyjaśni Jozuemu ten rozwój wypadków.

W końcu kobieta, którą strażnik nazwał Rachab, wróciła. Podeszła do Hamisza niespiesznie, przy każdym kroku kołysząc biodrami. Te jej płynne ruchy ucieszyły Hananiego, bo wszyscy mężczyźni w okolicy przestali gapić się na niego i Ezrę i skupili się na Rachab.

– Oto twój napój, młody żołnierzu. A teraz oddaj mi moich klientów i uprzykrzaj życie komu innemu.

Hamisz przyjął dzbanek.

– Hej, przyjaciele, patrzcie, co mam. Sama Rachab przyrządziła dla mnie swoimi białymi rączkami jęczmienną wodę. I żaden z was nie dostanie ani kropelki.

Hanani i Ezra nie czekali ani chwili. Z wielką ulgą poszli za Rachab do jej gospody w murach Jerycha.

## Rozdział 5



Rachab zdziwiła się niepomierne, widząc dwóch hebrajskich szpiegów niespełna dziesięć łokci od jej drzwi. Rozpoznała ich od razu. Oprócz obcego akcentu zdradzała ich też sylwetka: byli muskularni i szczupli jak żołnierze, a nie jak kupcy o miękkich ciałach. Z całą pewnością obudzili podejrzenia strażników i gdyby się nie wtrąciła, zostaliby aresztowani. Jerycho drżało ze strachu przed Hebrajczykami od czasu klęski Oga. Wszyscy obcy przybysze byli sprawdzani przy bramie z brutalnym zapalem.

Każdy inny obywatel Jerycha podniósłby na jej miejscu alarm. Zażądałby sprawdzenia przybyszów. Ale Rachab przeraziła się, przypuściwszy, że grozi im niebezpieczeństwo. Nie mogła znieść myśli, że ludzie wybrani przez Boga zostaną zgładzeni. Musiała im pomóc. Ruszając ku nim, nie miała żadnego planu ani sprytnego pomysłu. Wiedziała tylko, że musi odwrócić od nich uwagę strażników. Dlatego zaimprovizowała.

A teraz dwaj Hebrajczycy dreptali za nią jak lwiątko za matką. Kto pierwszy ją zaatakuje? Hebrajczycy czy jerychońscy żołnierze? Najwyraźniej oszalała. Teraz była już tego pewna. Ale nawet w tej chwili zastanawiała się, czy jej postępek spodobał się Bogu Hebrajczyków.

Ledwie przekroczyli próg gospody, zdjęła welon i powiedziała:  
– Siadajcie, panowie. Musicie być zmęczeni po podróży. Podać napoje?

Mężczyźni zatrzymali się przy drzwiach, nieruchomi, jakby bali się czegokolwiek dotykać. Ten niższy, którego broda drgała nerwowo, pokręcił głową.

– Nie, dziękujemy. Mamy własne.

Rachab wskazała im miejsce przy stole i postawiła przed nimi kielichy z winem. Ten nerwowo wyjął z kieszeni coś owiniętego w szmatkę. Był tak roztrzęsiony, że potrącił kielich i Rachab musiała przynieść ścierkę, żeby wytrzeć kałużę. Ich spojrzenia omijały jej twarz i ciało, miotały się, żeby znaleźć jakiś punkt oparcia.

Przypomniała sobie słowa Debira: ci ludzie skazywali nierządnicę na śmierć. Czy była dla nich odrażająca? Zmarszczyła brwi. Potem postanowiła ich sobie zjednać. Zaskńczyć na ich dobrą opinię. To chyba nic trudnego? Połowa mężczyzn w Jerychu jadła jej z ręki. Hebrajczycy chyba nie są aż tak odmienni?

– Jak się nazywacie?

– Jestem Ezra, a to Hanani – odezwał się ten wyższy. Miał zaskakująco jasną skórę, kontrastującą z ciemnymi włosami, a garbaty nos ratował go przed etykietką niemęsko ładnego. Ten, którego nazwał Hananim, spiorunował go wzrokiem, najwyraźniej niezadowolony z wyjawienia niestosownej informacji.

– Nie szukamy tu... niczego z wyjątkiem noclegu. Nie chcemy... to znaczy, chcemy tylko wypocząć i ruszać w drogę – powiedział.

Rachab wstała i cofnęła się o krok. Jej głos zabrzmiał zimno.

– Jesteście w mojej gospodzie tylko gośćmi. – A potem, ku swemu zaskoczeniu, usłyszała, jak dodaje: – Z tamtym już koniec.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Potem Rachab powiedziała:

– Wypoczywajcie spokojnie. Jesteście u przyjaciółki. Choć

muszę was ostrzec, żebyście nie czuli się bezpiecznie.

– Jak to? – spytał Hanani, wstając tak gwałtownie, że znowu przewrócił kielich, tym razem pusty.

Pochyliła się i go podniosła.

– Chodzi mi o to, że jesteście Hebrajczykami i każdy strażnik po zastanowieniu się dojdzie do takiego samego wniosku.

– Skąd ci się wzięło takie przekonanie? – spytał Hanani, zerkając na drzwi.

– Na razie nie wychodźcie. To by był błąd, za wielu tu żołnierzy. U mnie będziecie bezpieczniejsi. Nie widzieliście, jak podejrzliwie patrzyli na was strażnicy? Mówicie z obcym akcentem. Wyglądacie i zachowujecie się jak żołnierze. A w Jerychu panuje wielki niepokój z powodu wielu bitew, które wygraliście na wschód od Jordanu. Gdybym nie wkroczyła, dawno by na was spadły baty i noże.

Ezra odkaszlnął, jakby te ostatnie słowa utknęły mu w gardle.

– Dlaczego mielibyśmy ci ufać? – spytał.

Rachab zerknęła przez okno na bramę.

– Bo jeśli się nie mylę, ten posłaniec niesie właśnie wiadomość ludziom króla. Zaraz przyjdą was szukać.

Hanani stanął obok niej, przywierając do ściany, żeby nie rzucać się w oczy. Wyraz jego twarzy świadczył, że zauważył posłańca. Podobnie jak grupę strażników, spoglądających na gospodę Rachab. Jeden z nich powiedział coś i splunął na ziemię.

– Musimy się zbierać – rzucił do Ezry.

– Jak? – spytała Rachel, unosząc brew. – Tylko zejźcie po tych schodach, a zostaniecie zatrzymani. – Przelotnie zasłoniła twarz rękami. „Nie wierzę, że to robię”. – Słuchajcie, mam lepszy pomysł. Ukryję was.

– Dlaczego miałabyś to zrobić? – spytał Ezra podejrzliwie.

– No, na pewno nie dla twoich pięknych wąsów. – Rachab wyduła wargi, żeby uspokoić gniew, który budziła w niej nieufność Hananiego i Ezry. Wiedziała, że nie może ich winić.



Sama nie całkiem rozumiała, czemu się tak zachowuje.

Dlaczego ryzykuje życiem, żeby uratować dwóch niemiłych Hebrajczyków? Z powodu ich Boga. Chciała Go mieć po swojej stronie. W głębi duszy wierzyła, że Pan zgładzi Jerycho i chciała uratować siebie i swoją rodzinę. „Chcę wam pomóc, bo bardziej wierzę w waszego Boga niż w naszych bogów. Chcę wam pomóc, bo wolę Jego zasady niż obyczaje Jerycha”.

– Nie chcę występować przeciwko waszemu Bogu. No więc, chcecie przeżyć czy nie? Jeśli tak, to słuchajcie.

Wzmianka o ich Bogu jakby ich uspokoiła.

– Dobrze – wymamrotał Ezra, nadal nieprzekonany.

Rachab wskazała klapę, prowadzącą na dach.

– Suszę tam len. Przynieście drabinę z pokoju na zapleczu i ukryjcie się pod wiązkami. Zapadł zmierzch i jeśli będziecie uważać, nikt was nie dostrzeże w ciemnościach.

Jej gospoda była wysoka; dach wystawał nieco ponad krawędzie murów, pozostając po stronie miasta. Trzy razy dziennie mijali go strażnicy. Rachab wiedziała, że kolejna grupa przejdzie dopiero o świcie, dzięki czemu Hebrajczycy byli przez parę godzin bezpieczni. Weszła po drabinie za mężczyznami i patrzyła, jak układają się pod wiązkami lnu.

– Jak wysoko – szepnął Hanani, rozglądając się. Jego głos trochę drżał.

Rachab przypomniała sobie własny lęk, kiedy po raz pierwszy się tu wspięła.

– Miejsca jest dosyć – zapewniła. Inne niebezpieczeństwa przerażały ją bardziej niż wysokość. – Zrozumcie, moje życie także jest w niebezpieczeństwie. Jeśli będziecie nieostrożni, zginę gorszą śmiercią niż wy, bo stałam się zdrażczynią własnego ludu.

Schodząc po drabinie, usłyszała jeszcze ciche kichnięcie. Nawet zamknięta klapa nie stłumiła odgłosu. Rachab zamknęła oczy i zadrżała. Widywała już taką reakcję na schnący len. Dziś zwykłe kichnięcie mogło ją kosztować życie.

Zaraz potem na schodach rozległ się tupot nóg. Rachab złodowaciała. Drabina! Chwyciła ją i powlokła na zaplecze. Była niespodziewanie ciężka. Na ogół nosiła ją służąca, a jeśli Rachab nie miała pomocy, przesuwała ją po podłodze. Teraz nie ośmieliła się hałasować, żeby nie ostrzec żołnierzy. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu, gdy małymi kroczkami przesuwała się w stronę zaplecza, trzymając drabinę w obolałych rękach. Trąciła stopą dolny szczebel i straciła równowagę, omal nie wypuszczając ciężaru. Kroki na schodach się zbliżyły. Rachab zatoczyła się, ale złapała równowagę.

Żołnierze stanęli pod jej drzwiami w chwili, gdy wepchnęła drabinę za błękitną płócienną zasłonę. Ledwie zdążyła odetchnąć, a już rozbrzmiało pukanie. Odwróciła się i z przerażeniem zobaczyła, że jeden z Hebrajczyków zostawił na poduszkach swoją wierzchnią szatę. Z gardła wydarł się jej cichy pisk. Obok opończy zostały kielichy. Chwyciła wszystko, schowała w pościeli i nakryła haftowaną kapą w nadziei, że żołnierze nie zwrócą uwagi na dziwną wypukłość. Na wszelki wypadek rzuciła na łóżko kilka poduszek z podłogi. Znowu rozległo się pukanie, niecierpliwe i głośniejsze.

– Wstrzymajcie rydwany, już idę! – zawołała i otworzyła. Za progiem stali dwaj mężczyźni w mundurach królewskiej straży. – Królewscy! Nie mówcie, że król zażyczył sobie mojego towarzystwa.

Ich wargi zadrgały, po czym znowu znieruchomiały w poważnym wyrazie. Jeden żołnierz miał oczy wyłupiate jak u żaby, ukryte pod krzaczastymi brwiami. Te oczy patrzyły czujnie, gdy zawołał:

– Nie, najjaśniejszemu panu niczego nie brakuje. Jesteśmy tu po twoich gości. – Wyciągnął szyję i zajrzał Rachab przez ramię do pokoju. – Przyrowadź mężczyzn, których zabrałaś do gospody – warknął bardziej opryskliwie. – To szpiedzy, szkodzący naszemu narodowi.

– Szpiedzy! – zawołała Rachab. – Mogli mnie zamordować!  
Żabiooki poruszył się niecierpliwie.

– Tak, tak. Przyprowadź ich, kobieto.

– Przecież ich nie wyczaruję. Jak mam ich przyprowadzić, skoro ich tu nie ma?

– Zaprzeczasz, że tu przyszli?

– Oczywiście, że nie. Przyszli, a jakże. Ale skąd miałam wiedzieć, że to szpiedzy? Myślałam, że to zwykli wędrowcy. Nie moja wina, że wyszli.

– Wyszli? Kiedy? Dokąd?

– O zmroku, przed zamknięciem bram miejskich. Nie spędzili tu wiele czasu i jeszcze mniej wydali. Nie wiem, dokąd poszli, ale jeszcze ich dogonicie. Nie wyszli dawno.

Żołnierze odsunęli ją i rozejrzeli się po gospodzie. Jeden z nich bez ostrzeżenia podszedł do łóżka i kopnął je. Rachab omal nie zemdląca. Gdyby znalazł ubranie Hebrajczyka, z pewnością by ją aresztował. Ale jego stopa ominęła o włos trzęsącą się wypukłość na środku posłania. Rachab z trudem odzyskała oddech. Sprawdzili drugi pokój, wyjrżeli przez okno i nie znalazłszy nikogo, wyszli bez przeprosin.

U stóp schodów na żołnierzy oczekiwał pluton uzbrojonych strażników. Rachab patrzyła, jak otwierają bramy i ruszają w ślad za szpiegami drogą prowadzącą do brodu na Jordanie. Brama zamknęła się za nimi.

Rachab oparła się o ścianę, bliska zemdlenia. Z trudem łapała oddech. Uniosła drżącą dłoń do głowy i zaczęła się śmiać. Udało się! Uratowała Hebrajczyków i siebie. Zdradziła swój kraj, lud i jego obyczaje. Ciężar tej decyzji przygniótł ją jak kamień. Zdradziła swój lud dla Hebrajczyków. Nie. Nie dla nich. Dla Pana.

Ostrożnie, bo kolana się jej trzęsły, poszła po swoich gości, ukrytych pod lnem. W gospodzie umyli się i zaspokoiли najważniejsze potrzeby. Rachab postanowiła, że gdyby królewscy wrócili, ukryje mężczyzn znowu na dachu. Ale niespodziewanie

dla siebie rzuciła:

– Opowiecie mi o Panu?

Ezra, który siedział bliżej, spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Jak to?

– Chcę wiedzieć o Panu. Waszym Bogu. Powiecie mi o nim?

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko.

Hanani prychnął, a potem zaczął się śmiać tak długo, aż Ezra wbił mu łokieć w bok. Ku zachwytowi Rachab przybysze nie odmówili. Przez całą godzinę zabawiali ją historiami o Panu. Jak chronił i opiekował się ludem Izraela przez cały długi czas wygnania. I że jest jedynym prawdziwym Bogiem. Z każdym słowem Rachab czuła coraz większe pragnienie tego boga – Boga – którego twarzy nigdy nie widziała.

W końcu powiedziała z żalem:

– Zatrzymałam was zbyt długo. Musicie znowu ukryć się na dachu. Żołnierze mogą wrócić.

Hanani i Ezra znowu wspięli się po drabinie, tym razem ociążale, i ukryli się pod lnem. Rachab poszła z nimi i została przez parę minut. Zapach schnących łodyg wypełnił jej nozdrza – cierpka i miła roślinna woń.

– Musicie odejść bardzo wcześnie, przed wschodem słońca – szepnęła cicho na wypadek, gdyby ktoś ich podsłuchiwał. – Strażnicy obchodzą mury przy pierwszym brzasku i mogliby was zauważyć.

Hanani skinął głową.

– Słyszeliśmy, jak rozmawiasz z królewskimi sługami. Dlaczego ty, która jesteś... która tu mieszkasz, postanowiłaś uratować lud Izraela?

Kiedy kładli się pod wiązkami, uklękła, żeby ich zasłonić. Gdyby ktoś na dole spojrzał na dach, widziałby tylko ją. Zrobiło się ciemno, a ona czuła, że noc przygniata ją jak duszący koc. Gwiazdy, migoczące w tym mroku, były jak pulsowanie nadziei.

Zastanowiła się nad pytaniem Hananiego. Dlaczego pomogła wrogowi? Dlaczego doprowadziła do tego, że jej imię będą przeklinać kolejne pokolenia Kananejczyków? Bo, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, tak należało postąpić.

– Pomagam wam, bo wiem, że Pan dał wam tę ziemię. Wszyscy mieszkańcy tego kraju struchleli ze strachu przed wami. Słyszeliśmy bowiem, że Pan osuszył wody morza, gdy uchodziliście z Egiptu. Widzieliśmy, co zrobiliście dwóm amoryckim królom, Sichonowi i Ogowi. Kiedy usłyszeliśmy o tych zwycięstwach, odwaga nas opuściła. Ale ja wiem, że wasz Pan jest Bogiem wysoko na niebie i nisko na ziemi. Wiem, że to On stacza wasze walki i On je wygrywa. Dlatego was uratowałam.

Z obawy przed śmiesznością nie powiedziała, jak rozpaczliwie pragnie ich Boga. Była pewna, że ją wyszydzą. Że sam ich Bóg ją odtrąci. Dlatego postanowiła zawrzeć z Nim układ przez Jego ludzi.

– Hanani i Ezro, okazałam wam życzliwość. Uratowałam wam życie. Czy mi się zrewanżujecie? Czy przysięgniecie, że gdy zdobędziecie miasto, oszczędzicie mnie i moją rodzinę?

Hanani odsunął wiązki lnu, zasłaniającą mu twarz. W ciemnościach błysnęły tylko białka jego oczu.

– Nie wątpisz, że Bóg da Izraelowi zwycięstwo, prawda?

Skinęła głową.

– Masz bardzo mocną wiarę. Nie sądziłem, że spotkam kogoś takiego poza Izraelem.

Jego słowa sprawiły, że do oczu napłynęły jej łzy. Odwróciła się, żeby nie dostrzegł ich w blasku gwiazd. Słowa pochwały w ustach mężczyzny, który niedawno uważał ją za godną jedynie pogardy! I zdobyła tę aprobatę nie kobiecymi sztuczkami, lecz wiarą. Ale na co aprobatą martwej kobiecie?

– Więc oszczędzicie nas? Oszczędzicie moich rodziców, braci, siostry i ich dzieci?

Hanani dotknął rąbka jej szaty.

– Nasze życie w zamian za wasze – przysiągł z żarliwością, która ją przekonała. – Jeśli nikomu nie powiesz, co robimy, okażemy wam życzliwość, gdy Pan da nam zwycięstwo.

Rachab z trudem przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło. Czy to się dzieje naprawdę? Czy rzeczywiście wyjednała życie dla siebie i rodziny?

– Niech was Bóg błogosławi – szepnęła.

– I ciebie – odparł Hanani z uśmiechem. – Gdyby nie ty, okrywałyby nas całuny, nie len.

– Spróbujcie się przespać. Wkrótce muszę was wyprowadzić. Wasze przygody jeszcze się nie skończyły.

Moja także.

Rachab czuwała przez całą noc. Myślała o tym, że zawarła umowę z Panem przez Jego ludzi i że On się na nią zgodził. Zrobiła coś dla Niego, a teraz On robi coś dla niej.

Nie chcąc ryzykować, weszła na dach na długo przed świtem. Hebrajczycy spali spokojnie jak dzieci. Uświadomiła sobie, że mają więcej odwagi niż doświadczenia w szpiegowskim fachu. Przecież jeden z nich powinien zostać na straży. No, ale Bóg dbał o ich bezpieczeństwo. Zastanowiła się, czy ona sama jest częścią Jego planu.

Gdy znaleźli się w gospodzie, wskazała okno.

– Musicie zejść po murze. Tu się aż roi od strażników, a jeśli zejdziecie po schodach, od razu was zobaczą. Zeszłej nocy widziałam, jak żołnierze królewscy jadą do brodu na Jordanie. Musicie iść w stronę gór na północy, żeby was nie znaleźli. Ukrywajcie się tam trzy dni, bo żołnierze nigdy dłużej nie szukają. Potem możecie ruszać w drogę.

– Zastanawiałem się... – odezwał się Hanani. – Nie możesz oczekiwać, że żołnierze będą pytać w trakcie walki, gdzie mieszkasz. Musisz jakoś oznaczyć swój dom, żeby nasi rozpoznali go i oszczędzili. – Rozejrzał się i dostrzegł gruby szkarłatny sznur, otaczający materiał na ścianie. – Przywiąż ten

sznur za oknem. I musisz sprowadzić do domu całą rodzinę. Nie możemy gwarantować życia tym, którzy znajdą się poza gospodą. Jeśli ją opuszczą, krew ich spadnie na ich głowy. Ale każdemu, kto pozostanie w tym domu, gwarantujemy bezpieczeństwo. Ale, Rachab... jeśli nas zdradzisz, przysięga przestanie nas obowiązywać.

– Daję słowo, że pozostanę wierna wam i Bogu.

– Niezwykła z ciebie kobieta! – zawołał Hanani, a Ezra przytaknął.

– A wy dwaj zaczynacie mi się podobać – odparła z zadowolonym uśmiechem.

– Musimy ruszać, zanim zrobi się jasno – wpadł im w słowo Ezra. – Drabina nie sięgnie na dół. Masz mocny sznur, czy mamy pofrunąć?

– Pan sprawił, że morze rozstało się przed wami. Chyba nie sprawi mu trudu wyposażenie was w skrzydła?

– Owszem, ale zanim nam wyrosną, mogłabyś znaleźć jakąś linę – warknął Hanani.

– Oto i lina, mój hebrajski przyjacielu. – Rachab wyjęła zwój ze skrzyni, a Hanani bez zwłoki przewiązał się nim mocno w pasie. Ezra asekurował go podczas schodzenia po ścianie, dysząc z wysiłku. W końcu stopy Hananiego dotknęły ziemi tuż za murami Jerycha.

Ezra obwiązał się sznurem w pasie, a drugi jego koniec przerzucił przez hak w ścianie, na którym zwykle wisiała lampa. Zatraskany, podał koniec sznura Rachab.

– Dasz radę mnie utrzymać? Jeśli puścisz, może hak mnie utrzyma, ale przy tej prędkości mogę złamać kręgosłup.

Rachab poczuła suchość ustach.

– Nie puszczę. Tylko... pospiesz się z tym schodzeniem. Nie zatrzymuj się, żeby podziwiać widoki. Nie trać czasu.

Ezra prychnął.

– Nie martw się, mam już dość Jerycha. Ale w dniu bitwy

wrócę po ciebie i twoją rodzinę. A teraz mocno trzymaj linę; moje życie spoczywa w twoich rękach. – Rzucił jej ostatni krzepiący uśmiech i wyszedł przez okno. Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę zawisł na parapecie. Rachab zaparła się stopami o ścianę i parokrotnie owinęła linę wokół ramienia. Wtedy skoczył. Rachab wydała stłumiony pisk, gdy sznur szarpnął ją naprzód z nieubłaganą siłą. Prześlizgnęła się bezwolnie po podłodze, ciągnięta przez ciężar Ezry. Oczyma wyobraźni widziała go, spadającego w dół. Zaparła się stopami o próg, zacisnęła palce ze wszystkich sił i napięła mięśnie.

– Boże, o Boże, Boże, pomóż mi! – wykrztusiła. Potem odzyskała równowagę i oddech i zaczęła powolutku wysuwać sznur z dłoni. Ezra starał się jej pomagać, jak mógł, czepiając się występów w murze, ale było ich niewiele i zbyt daleko od siebie, więc Rachab dźwigała jego ciężar przez całą drogę na dół. Jeszcze nigdy nie musiała się tak wysilić. Ten człowiek ważył więcej niż dwie Rachab po dniu obżarstwa. Zaparła się mocniej stopami i ścisnęła linę, która otarła jej dłonie do krwi. Ale Rachab nie zważała na krew i ból. Ezra był w połowie drogi, gdy lina zsunęła się jej z ramienia, zdzierając sporą część skóry. Ezra runął w dół z przerażającą prędkością, a Rachab nie miała dość powietrza, żeby krzyknąć. Ścisnęła linę, wyteżając wszystkie siły. Przełknęła z trudem ślinę. Ezra zatrzymał się na wysokości ludzkiego ciała nad ziemią, a potem powoli zjechał w dół – najłagodniejszy etap drogi.

Ledwie rozplątał węzeł, obaj ruszyli biegiem ku wzgórzom. W ciemnościach przedświtu Rachab wkrótce straciła ich z oczu. Szybko wciągnęła linę i schowała ją na wypadek, gdyby żołnierze znowu przyszli zrewidować jej dom. Potem zajęła się drabiną, a na koniec otartym i zakrwawionym ramieniem i dłońmi. Przynajmniej tym razem pamiętali, żeby zabrać ze sobą wszystkie rzeczy, Bogu niech będą dzięki.

Teraz pozostało jej tylko przekonać swoich bliskich, że



w rękach Pana będą bezpieczniejsi niż pod opieką swoich bogów.  
Przekonać ich, żeby uwierzyli w obietnicę najstraszniejszego  
wroga.

# Rozdział 6



Oszalałaś? – rzucił jej brat Joa.

– Straciłaś do reszty rozum? – ryknął Karem.

Rachab otworzyła usta, ale Joa jeszcze nie skończył. Była nawet zadowolona, że jej przerwał. Nie czuła się uprawniona do jakiejś żarliwej obrony.

– Gdyby dowiedzieli się, że ukryłaś hebrajskich szpiegów, zabiliby cię. A nas razem z tobą, bo mamy pecha być twoją rodziną!

Po ostatnich słowach brata zapadło przerażone milczenie. Rachab z trudem przełknęła ślinę. Nie dziwiła się tej niechęci, ale i tak ją bolała.

– Jak mieliby się dowiedzieć? – spytała, z trudem panując nad głosem. – Co właściwie macie do stracenia? Jeśli nic nie powiecie, nikt się nie dowie. Ale jeśli Hebrajczycy przyjdą i zdobędą to miasto tak jak pozostałe, to zostanieie oszczędzeni. W przyszłym tygodniu przyjdziecie do mnie z rodzinami. Możecie jak zwykle chodzić do pracy, ale niezbyt daleko. Na widok armii Hebrajczyków zostanie ogłoszony alarm i zdążycie wrócić do bezpiecznego schronienia. A jeśli nie przyjdą, wróćcie do domu i nic nie straciecie. Pomyślcie tylko, co by się stało, gdyby przyszli, pokonali nasze wojska, a was by tu nie było. Pomyślcie, co wtedy byście učinili? Od wielu tygodni nie mówicie o niczym innym prócz strachu przed Hebrajczykami. Teraz nie musicie się bać. Ocalicie życie bez względu na to, co się wydarzy.

– Jak możesz im ufać? Wierzyć na słowo dzikim poganom! Co ci z tego przyjdzie? – rzucił Joa.

– Ich Bóg traktuje przysięgi z wielką powagą, a oni są mu ślepo posłuszni. I znowu spytam: co stracisz, idąc za moją radą?

W końcu wszyscy postanowili zamieszkać na parę tygodni z Rachab. Przez następne siedem dni kupowali najważniejsze rzeczy. Reszta mieszkańców Jerycha także sposobila się na nadchodzące oblężenie, co doprowadziło do pojawienia się długich kolejek, astronomicznego wzrostu cen, frustracji i czasem bezowocnego oczekiwania. Przynajmniej miasto należało do tych nielicznych w Kanaanie, w których nie trzeba było się martwić o wodę; w Jerychu było wiele naturalnych źródeł, które po roku suszy znowu zaczęły obficie bić.

Wszyscy martwili się długim, męczącym oblężeniem. Rachab przygotowała się na krótkie i rozstrzygające. Kupiła mało, bo wiedziała że jeśli Hebrajczycy wygrają, będzie mogła zabrać tylko tyle, ile uniesie na plecach. Nie wiedziała, jak to osiągną, ale była pewna, że mury jej rodzinnego miasta runą. Hebrajczycy zwyciężą.



Hanani i Ezra zostali w górach trzy dni, tak jak radziła im Rachab. Hanani podzielił ich skromne racje żywnościowe tak, żeby wystarczyły im do powrotu do domu. Niewielki strumyk zapewniał dostatek wody do picia, a ponieważ dni były nadal ciepłe, brak koców stanowił niewielką niewygodę. Na zmianę trzymali w nocy straż, wypatrując zbliżającego się ataku. Rachab jeszcze raz udowodniła, że mogą na niej polegać. Nie zjawił się żaden wróg.

Czwartego dnia o świcie zeszli ze wzgórz i ruszyli truchtem do obozu Izraelitów. Dotarcie do Jordanu zajęło im większość dnia, a gdy przybyli na brzeg, Hanani spojrział na wzburzone wody.

Rzeka pieniała się i wrzała z perwersyjną złośliwością, jakby śmiała się z tych, którzy chcieli ją przekroczyć. Była jeszcze bardziej wezbrana niż dotąd.

Ezra wskoczył do niej bez wahania. Hanani, nie chcąc zostać w tyle, nabrał tchu i ruszył za nim. Od pierwszego kroku poczuł, że przeprawa będzie trudna, ale wiedział, że nie wolno mu stanąć, bo nurt go powali. Brnął przed siebie, ledwie widząc, oczy zalewała mu woda. Wytężył wzrok i ujrzał, że znajdujący się w pewnym oddaleniu Ezra ma poważne kłopoty. Bardziej zbliżył się do brzegu, ale najwyraźniej utknął w kleszczach gwałtownego prądu, który wciągał go pod wodę.

Hanani jęknął. Musiał jakoś dotrzeć do Ezry. Zauważył przed sobą długą gałąź zanurzoną w wodzie. Musiał zaufać, że jest mocna. Zamierzał wykorzystać ją jako linę, której się przytrzyma, kiedy będzie wyciągał przyjaciela. Popatrując to na gałąź, to na Ezrę, ruszył z większą determinacją. Nareszcie! Ale gdy chwycił gałąź, Ezra zniknął pod wodą. Hanani ścisnął mocno konar i dał się ponieść rzece w miejsce, w którym ostatnio widział swojego towarzysza. „Gdzie jesteś, przyjacielu? Wróć, pokaż mi się!”. Nagle nad powierzchnię wody wyłoniła się ciemna głowa.

– Ezra! – krzyknął Hanani, wyciągając rękę. Jego przyjaciel wydawał się nieprzytomny i zdezorientowany. Hanani chwycił go za włosy i pociągnął ze wszystkich sił.

– Aaaa! – Ezra oprzytomniał na tyle, żeby zrozumieć, co się dzieje. Odwrócił się i wpił palce w ramię Hananiego. Stali, dopóki obaj nie odzyskali oddechu, a potem znów zaczęli brnąć do brzegu. Przewracali się, dyszeli i pluli wodą wdzięczni za powietrze, które wypełniało ich płuca. Po paru chwilach Hanani wstał i pociągnął Ezrę za sobą.

– Dziękuję – wykrztusił ten i zwymiotował. Obficie. Hanani skrzywił się i odwrócił, żeby zapewnić przyjacielowi choć złudzenie samotności.

– Już dobrze? – spytał, kiedy spazmy ustały.

– Tak. Dziękuję, że uratowałeś mi skórę.

Hanani uniósł rękę.

– Rzeka Jordan nie może się równać z furią twojej siostry, gdybym przyniósł do domu twoje martwe ciało.

Sine wargi Ezry drgnęły w uśmiechu, a on usiadł z jękiem.

– Dom... brzmi miło. Chodźmy. Mam dość tego całego szpiegowania.



Na widok znajomych namiotów, rozsianych na jałowej ziemi, Hanani poczuł uniesienie. Tak jak przewidywał, wieść o ich powrocie szybko się rozeszła i sam Jozue wyszedł im na powitanie.

– Dobrze, dobrze – rzucił po zdawkowych powitaniach. – Czas nas goni. Raduje mnie wasz powrót, ale powiedzcie, czego się dowiedzieliście. Spotkamy się w moim namiocie.

I po tych słowach odszedł.

Hanani, obolały po niedawnej walce z rzeką, w której prawie utonął, i po długim marszu, usiłował nadążyć za starszym mężczyzną, nie zdradzając zmęczenia. Kątem oka zauważył znajomą postać.

– Hanani i Ezra! – zawołał Szalmon, biegnąc ku nim. – Szalom! Ach, co za widok – dodał żartobliwie, wskazując brodą poplamione ubrania i rozczochrane włosy Hananiego, które przez trzy dni nie zaznały grzebienia. – Jak dobrze, że obaj wróciliście!

– Tak, tak, dobrze – przerwał mu Jozue. – Ale będziemy się z tego cieszyć później. Ten syn Judy musi złożyć raport. Szalmonie, możesz do nas dołączyć, bo Hanani jest twoim podopiecznym i przyjacielem – dodał, nie zwalniając.

Szalmon poszedł za nimi. Hanani, który znał go od urodzenia,

zauważył jego napięte mięśnie i zaciśnięte usta – wyraźne oznaki zdenerwowania. Szalmon płonął z ciekawości. Hanani rzucił mu spojrzenie i uśmiech, pomimo zmęczenia usiłując wyrazić mu swoje uniesienie. Raport jest pozytywny, przyjacielu, powiedział bez słów. Nie przypomina raportów zeszłego pokolenia. Usta Szalmona złagodniały, mięśnie się rozluźniły. Między starymi przyjaciółmi, którzy ramię w ramię wypowiedzieli wojnę i budowali pokój, słowa bywają niepotrzebne.

Jozue wszedł do namiotu i zamknął za sobą wejście. Zbliżał się wieczór, robiło się chłodniej, ale w środku panował gorący zaduch. Hanani jakby tego nie zauważył. Jak inni Izraelici przywykł do trudnych warunków i niewygód życia nomadów. Gdy tylko namiot został zamknięty, Jozue odwrócił się do niego.

– No więc, mów. Czego się dowiedzieliście?

Hanani mimo woli spojrzał na miękkie poduszki, zajmujące część podłogi, i zastanowił się, czy obraziłby Jozuego, gdyby zdał raport na siedząco. Westchnął, pożegnał się z tą myślą i zmienił postawę, żeby ulżyć obolałym udom. Może kiedy Jozue usłyszy dobre wieści, pozwoli mu spocząć.

– Nie ma wątpliwości, że Pan oddał tę ziemię w nasze ręce – zaczął.

– Mieszkańcy Jerycha i reszty Kanaanu mówią o nas z trwogą – podjął Ezra. – Spodziewają się klęski. Drżą przed nami.

– Ach! Te wieści podniosą naszych na duchu. A teraz zacznijcie od początku. Nie było was wiele dni. Gdzie się zatrzymaliście?

– W gospodzie – powiedział Ezra.

– W gospodzie? – Jozue poderwał głowę, a Szalmon obejrzał się tak szybko, że cud, iż nie skręcił sobie karku. – U nierządniczy?

– Nie, to nie tak. Rachab nam pomogła. Ocaliła nam życie – wychrypiał Hanani.

Szalmon przewrócił oczami.

– Jeszcze tego brakowało! Musiała was uratować akurat kananejska *zonah*?

– Nie, to nie tak... – powtórzył Hanani.

– Tak powiadasz? A jednak wydaje się, że znasz ją bliżej. – Miły ton Szalmona nie zwiódł Hananiego, który przełknął ślinę i zaczął gorączkowo tłumaczyć, połykając słowa:

– Strażnicy zwrócili na nas uwagę od pierwszej chwili, już przy bramie. Z powodu naszych zwycięstw są nieufni wobec obcych. Każdy, kto przypomina Izraelitę, jest dla nich podejrzany, a my w dodatku mówiliśmy z obcym akcentem. Ale gdy zaczęło się robić niebezpiecznie, wkroczyła Rachab. Powiedziała strażnikom, że jesteśmy jej gośćmi i przekupiła ich jęczmienną wodą. Potem, gdy królewscy gwardziści rewidowali jej dom, ukryła nas pod lnem, suszącym się na jej dachu. Mówię wam, uratowała nam życie, ryzykując własnym.

– Dlaczego kobieta z Jerycha miałyby to zrobić? Czemu zdradziła swoich dla dwóch nieatrakcyjnych przybyszów? – spytał Szalmon.

Hanani spojrzał z zaskoczeniem na przyjaciela. Rysy jego przystojnej twarzy o kwadratowej szczęce i nosie zbyt prostym jak na żołnierza stwardniały z podejrzliwości. Oczy patrzyły oskarżycielsko. Hanani uniósł dumnie głowę.

– Słucham?

– Bez urazy, ale mieliście za mało pieniędzy i jeszcze mniej uroku, żeby zrobić wrażenie na kobiecie z miasta.

– Uspokójcie się – przerwał im Jozue. – Mówisz, że ta kobieta ocaliła wam życie. Czy powiedziała dlaczego?

– Zrobiła to dla naszego Pana. Ma więcej wiary w Boga niż nasi rodzice. Mówiła jak jedna z nas. Spytaj Ezry.

Ezra skinął gorliwie głową, która zakołysała się jak jabłko na gałęzi w wietrzny dzień.

– Powiedziała, że Pan jest Bogiem wysoko na niebie i nisko na ziemi.

– A to... niezwykle.

– Dokładnie tak pomyśleliśmy. Żaden z nas nie chciał mieć

z nią nic wspólnego, ale kiedy powiedziała to o Bogu i uratowała nam życie, musieliśmy... no, tak się godziło, nie sądzisz, Ezra?

– Co się godziło? – spytał Jozue, unosząc brew.

– No... Coś jej obiecaliśmy... – wyjąkał Hanani. – Naraziła życie, żeby nas ratować. Najpierw przyjęła nas do swojej gospody. Potem okłamała żołnierzy, którzy nas szukali. Na koniec opuściła Ezrę z okna. Na linie. A to taka delikatna istotka... – Dostrzegł wyraz oczu Szalmona i szybko dodał: – Ten mięśniak mógł jej złamać kręgosłup. – Ezra znowu przytaknął bez urazy. – A na pożegnanie radziła nam ukrywać się w górach przez trzy dni, żeby żołnierze nas nie znaleźli. Więc uratowała nam życie cztery razy.

– Rozumiem. Wspomniałeś o jakiejś obietnicy. Mogę wiedzieć jakiej?

Hanani pociągnął się za ucho.

– Obiecaliśmy oszczędzić ją i jej rodzinę. Widzisz, ona wie, że podbijemy Jerycho. Wierzy, że Bóg już dał nam to zwycięstwo. Dlatego prosiła o łaskę jeszcze przed rozpoczęciem walki. Taką wiarę należy nagradzać, nie sądzisz? Czy sam Bóg by jej nie nagroził?

– To ma być żart? – ryknął Szalmon, który do tej pory milczał.

– Nie, to nie żart – oznajmił Jozue głosem niewiele głośniejszym od szeptu. Szalmon spojrział na niego w osłupieniu. Starszy mężczyzna tylko pokiwał głową, jakby myśląc o informacji znanej tylko jemu. – Sądzę, że dobrze postąpili.

– Obiecali nierządnicy i jej rodzinie nietykalność, choć Bóg kazał nam zniszczyć całe Jerycho!

– Czy nie rozumiesz, że to Bóg zaprowadził ich do domu tej kobiety? Gdyby ich nie zauważyła, zginęliby. Czy w całym Jerychu istnieje inna osoba, która pomogłaby naszym? Czy istnieje inna osoba, która czci Pana? Ci ludzie mogą się Go bać, gdyż Jego sława rośnie, ale czy Mu służą? I jak to się stało, że ta kobieta dostrzegła Hananiego i Ezrę dokładnie w tym momencie,



co trzeba? To ręka Boga, nic innego, Szalmonie. Kto wie, czy nie tak wyglądał Jego plan od samego początku. – Jozue zamilkł na chwilę, zastanawiając się. – Dotrzymam ich obietnicy.



Szalmon był oszołomiony. Nie wierzył własnym uszom, słuchając opowieści szpiegów. Jego uczucia wznosiły się i opadały jak zarys wielbłądziego garbu. Najpierw przepełniło go uniesienie na widok bezpiecznie powracających przyjaciół, potem runął w otchłań zgrozy, gdy dowiedział się, że spędzili noc z nierządnicą. To było poważne pogwałcenie Prawa. Następnie odetchnął z ulgą, słysząc, że jej nie tknęli. A teraz zaczęli z niej robić jakąś bohaterkę wiary, którą powinna ominąć nakazana przez Boga całkowita zagłada.

Wydawało mu się, że rozumie powody Jozuego. A jednak oszczędzenie życia tej kananejskiej nierządnicy wydawało się naciągnięciem miłosierdzia Bożego do absurdalnych granic. Czy Bóg pozwoliłby na zagładę całego narodu, oszczędzając życie kogoś tak niegodnego? Szalmon nigdy by nie sprzeciwił się Jozuemu, ale to nie znaczyło, że się z nim zgadzał.

Rano wszyscy z rozległego obozu usłyszeli, że mają się szykować do wymarszu. Tego samego dnia ruszyli w pierwszy etap podróży do Jerycha. Wieczorem rozbili namioty tuż nad brzegami wezbranego Jordanu. Jozue i przywódcy plemion przez dwa dni pościli i modlili się, żeby poznać wolę Boga. Trzeciego dnia zrozumieli z całą pewnością, że Pan szykuje dla nich cud. Nie powiedzieli ludziom, co się wydarzy ani że przekroczą Jordan, tylko że mają iść za Arką Przymierza, świętą skrzynią na kamienne tablice z Dziesięcioma Przykazaniami. Jozue nie chciał, żeby w tych ostatnich godzinach czekania zwątpienie wstrząsnęło jego ludem, dlatego postanowił do ostatniej chwili nie wyjawiać co bardziej zdumiewających szczegółów.

Następnego ranka w całym obozie wyczuwało się napięcie, niczym bezgłośnie błyskawice. Jozue wezwał wszystkie plemiona i oznajmił, że mają się spodziewać nadzwyczajnego cudu.

– Arka Przymierza Pańskiego wejdzie w wody Jordanu przed wami. Gdy tylko niosący ją kapłani postawią stopę na dnie rzeki, jej wody się rozstąpią.

Tłum jęknął. Szalmon, który stał obok Hananiego i Ezry, zauważył ich bladość. Słyszał opowieść o tym, jak przeprawili się przez rzekę i wiedział, że nie palą się, żeby znowu brnąć w tych szalejących wodach. Położył im ręce na ramionach.

– Bóg ma dla was tym razem inne plany, przyjaciele. Nawet nie zamoczyć szat. Zapomnijcie o pływaniu, tym razem przejdziecie spacerkiem.

Obaj spojrzeli na niego ze zdumieniem i zwątpieniem jednocześnie. Szalmon parsknął śmiechem.

– Bądźcie silni, moi odważni przyjaciele. Wkrótce staniecie się świadkami cudu, jakie widywali nasi rodzice podczas ucieczki z Egiptu. Bóg najwyraźniej miał cel, wybierając tak niedogodną porę do przejścia rzeki. Chce nas pouczyć o swojej mocy i chwale.

Szalmon nie dodał, że według niego Bóg chce, by to młodsze pokolenie przeżyło coś, co przygotowuje je na trudy walki. Chciał sprawić, by rozstąpione wody otworzyły ich serca, robiąc Mu miejsce.

Hanani zmarszczył nos.

– Byłoby łatwiej, gdyby Bóg zechciał nas nauczać o swojej wielkości, nie narażając nas na złamanie karku. Wejście w tę szalejącą rzekę nie jest całkowicie normalne, rozumiesz?

Szalmon zagryzł wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

– Podejrzewam, że nie potrafimy naprawdę pojąć Bożej prawdy, jeśli nie zapłacimy za to wysokiej ceny. Jeśli chcemy ujrzeć, jak te wody się rozstępują, musimy być gotowi w nie wejść.

Szalmon chwycił Hananiego za ramię, usiłując bez słów dodać

mu otuchy. Potem odszedł, by zająć swoje miejsce na czele czekającego na niego plemienia. Oczy mu zwilgotniały od łez, gdy uświadomił sobie, jak bardzo jest zależny od Boga. W zwykłe dni, gdy zajmowała go opieka nad tysiącami podwładnych, łatwo mógł popaść w przekonanie, że jest samodzielny. Jego wola ukradkiem przejęła kontrolę i zaczął polegać na sobie bardziej niż na Bogu. Jego talenty, ludzka siła, niezawodna, niezłomna stałość uratowały go z wielu trudnych sytuacji. Ale tego dnia, wstrząśnięty, uświadomił sobie, że takie nastawienie nic mu nie da. Odarty ze wszelkich złudzeń posiadania kontroli nad sytuacją poczuł, że zalewa go nowe poczucie wolności, bo świadomość, że to Bóg we własnej osobie musi być źródłem jego siły, uwolniła go od ciężaru fałszywej odpowiedzialności.

Kapłani tylko czekali, aż Szalmon osiągnie ten stan całkowitego zapomnienia o sobie, po czym ruszyli w stronę rzeki, niosąc Arkę. W tej samej chwili woda płynąca z góry zatrzymała się i utworzyła jakby jeden wał na znacznej przestrzeni od miasta Adam, podczas gdy woda spływająca do Morza Słonego oddzieliła się zupełnie. Koryto rzeki zmieniło się w szeroki gościniec, tak ogromny, że ludzie przeszli ławą obok stojących na środku Jordanu kapłanów. Cały lud Izraela za sprawą cudu Bożego ruszył na zachód od rzeki do Ziemi Obiecanej. Zatrzymali się na chwilę, żeby zabrać z dna Jordanu dwanaście potężnych głazów, z których zbudowali pomnik ku pamięci przyszłych pokoleń.

Dla Szalmona najpotężniejszym znakiem był Jordan, wracający w swoje koryto w chwili, gdy kapłani wyszli na zachodni brzeg. Nikt nie mógł wątpić w intencje i potęgę Pana.

Tego wieczora lud Izraela rozbił obozowisko na ziemi, która miała się stać ich nowym domem. Rozpoczął się czas, gdy wiele rzeczy zdarzy się pierwszy raz, pomyślał Szalmon. Pierwsze obrzezania synów Izraela po pokoleniach zaniedbania. Pierwsza Pascha na zachodnim brzegu, spędzona na wspomnianiu wyjścia z Egiptu, domu niewoli i śmierci. Ich pierwsze zbiory zbóż,

których nie zasiali. Był to także czas, gdy ostatni raz jedli mannę, to cudowne pożywienie, które utrzymywało ich przy życiu przez niemal czterdzieści lat. Ostatni raz snuli się jak bezdomni. Szalmon uświadomił sobie, że wkrótce zaczną się uczyć uprawiać ziemię i siał jak reszta świata. Od zwykłego, ustabilizowanego życia dzieliło ich tylko jedno: wojna. Żołądek ścisnął mu się na tę myśl. Miał całe tygodnie, by zastanawiać się nad takimi sprawami, gdy wraz z innymi młodymi mężczyznami, urodzonymi podczas tułaczki, dochodził do siebie po obrzezaniu krzemiennym nożem. Nie będzie bitwy o Jerycho, dopóki nie odzyskają sił. Bóg, któremu tak się spieszyło z przejściem przez wezbraną rzekę, nie miał nic przeciwko temu, żeby czekali na jej brzegu.



Jozue nie mógł spać. Lud Izraela niemal odzyskał pełnię sił i był gotowy do walki. Wiedział, że jego los zależy od równowagi w nadchodzącej bitwie. A ta świadomość go przygniatała. Jakże często Pan musiał powstawać i dodawać mu odwagi. Jakże często potrzebował, by Bóg go umocnił.

Jozue wstał z posłania – zwinnie jak na swój wiek – i wdział szatę z samodziału. Wyszedł z namiotu i szedł tak długo, aż stopy wyniosły go poza obozowisko. Kiedy zbliżył się do Jerycha, słońce już zaczęło palić ziemię. Jozue znalazł się na tyle blisko miasta, że ujrzał jego mury i uświadomił sobie, że nawet drabiny i tarany, których nie posiadali, na nic by się tu nie zdały. Miał przed sobą niezdobytą twierdzę. Spuścił wzrok, usiłując nie poddawać się w wewnętrznej walce ze zniechęceniem.

Kiedy podniósł oczy, z gardła wydarł mu się krzyk. O parę kroków od niego stał mężczyzna z dobytym mieczem w dłoni. Wysoki i muskularny, wyglądał na urodzonego wojownika. A jego miecz nie był pod żadnym względem zwyczajny – lśniący

jak światło księżyca, z rękojeścią wysadzaną klejnotami i nieprawdopodobnie naostrzony. Jozue zapragnął uciec, ale przecież też był wojownikiem, odważnym i silnym. Co to za mężczyzna i co tu robi? Zacisnął zęby i zrobił krok w jego stronę.

– Jesteś tu dla nas czy dla naszych wrogów? – spytał, przyglądając się z natężeniem nieznanemu.

Z bliska dostrzegł, że jego twarz jaśnieje nieziemskim spokojem. Nie zdradzała jego wieku. Skóry nie szpeciły żadne zmarszczki, blizny czy obwisłości, a oczy patrzyły z odwieczną mądrością. Jozue nie mógł odwrócić wzroku od tego nieruchomego spojrzenia.

– Dla nikogo z was – powiedział przybysz.

Jozue uniósł brew. Ani wróg, ani przyjaciel? Więc kto? Następne słowa nieznanego sprawiły, że zapomniał o wszystkim.

– Jestem dowódcą armii Pana.

Jozue padł twarzą na ziemię. To nie był zwykły człowiek. Sama myśl o tym prawie go sparaliżowała. Jak Abraham, został zaszczycony wizytą niebiańskiego gościa.

– Jaką wiadomość ma Pan dla swojego sługi? – spytał.

– Zdejmij sandały, bo miejsce, w którym stoisz, jest święte.

Jozue uczynił to pospiesznie. Wokół zapadło głucho milczenie. Po jakimś czasie ośmielił się podnieść wzrok tylko po to, by się przekonać, że dowódca boskich zastępów zniknął równie niepostrzeżenie, jak się pojawił. Jozue powoli podniósł się na kolana. Co to miało znaczyć? Dlaczego Bóg przysłał mu tego człowieka? Skoro dał mu dowódcę jego armii, dlaczego nie powiedział, że stoi po stronie Izraela?

Wtedy dotarło do niego, że Bóg nie stoi po stronie Izraela; On chce, żeby Izrael stanął po Jego stronie. Jozue nie mógł zaanektować Boga dla siebie i własnych interesów, tak jak inne ludy zawłaszczają sobie swoje bóstwa. Pan zawłaszczył Jozuego i naród wybrany.

Gdy w końcu wstał, doznał kolejnego olśnienia. Nie on był dowódcą wojskowym Izraela. Nie on odpowiadał za to niemożliwe zadanie. Bóg wysłał dowódcę własnych zastępów, który miał stoczyć tę bitwę. Nagle mury Jerycha przestały się wydawać takie niezdobyte. Nie teraz, gdy ruszyły na nie zastępy Boga.

# Rozdział 7



Jerycho czekało w trwodze, niczym świnia wyczuwająca bliskość rzeźni. Szpiedzy przynieśli przerażające raporty o rozstąpieniu się Jordanu i Hebrajczykach, którzy przeszli po dnie rzeki, jakby spacerowali po polu. Twierdzili, że wrogowie są liczniejsi niż mrówki. Król rozkazał zamknąć bramy miasta. Nikt nie mógł wyjść ani wejść do Jerycha. Rachab nie wiedziała, co chciał przez to osiągnąć. Skoro wezbrana rzeka nie powstrzymała wroga, to czy zdoła tego dokonać kamienny mur?

Ale Hebrajczycy nie zaatakowali od razu. Przeszedłszy przez wezbraną rzekę, zamiast czekać, aż jej wody opadną, jak uczyniłyby wszystkie normalne ludy, teraz nie spieszyli się z atakiem. Wypoczywali. Ucztowali. Lenili się. Rachab wraz z resztą Jerycha zastanawiała się nad ich zachowaniem. To czekanie wykańczało wszystkich.

Gdy Hebrajczycy w końcu zechcieli się zjawić, jakby ostatecznie raczyli zająć się Jerychem, ich nadejście wręcz rozczarowało. Najpierw zjawiała się zbrojna straż, a potem ludzie wyglądający na kapłanów, niosący trąby zrobione z baranich rogów i ozdobną skrzynię, z którą obchodzili się nadzwyczaj ostrożnie. Za nimi zjawily się główne siły Hebrajczyków. Ich trąby wyły upiornie, gdy całymi godzinami chodzili wokół murów Jerycha jak niekończąca się procesja. Widząc ich, strażnicy murów zaczęli zasypywać ich strzałami. Obserwująca ich z okna Rachab wstrzymała oddech. Strzały padały tuż przed

Hebrajczykami, jakby ci precyzyjnie wymierzyli zasięg jerychońskich łuków. A jednak żaden z nich nie odpowiadał na atak. Po prostu szli, krok po kroku, amma za ammą, stadion za stadionem. Mieszkańcy Jerycha nigdy nie widzieli niczego podobnego. Co to było? Pokaz siły? Na co im się zda w starciu z kamiennymi murami?

Pierwszego dnia Hebrajczycy okrążyli miasto raz i odeszli. Drugiego dnia zjawili się znowu, tak wcześnie, że wszystkie niemowlęta zbudziły się na dźwięk ryku trąb i wspomogły je własnym krzykiem. Rodzina Rachab zebrała się w jej domu i od tego dnia go nie opuszczała. Mówili niewiele. Wraz z resztą Jerycha obserwowali i czekali, bezradni i zdenerwowani.

Rachab nauczyła się rozmawiać z Panem w ciszy swojego serca, bo jej malutka gospoda była pełna ludzi i nigdzie nie można było znaleźć w niej spokojnego miejsca. Rachab nie wiedziała, czy Bóg słyszy jej myśli. Jeśli tak, to miała nadzieję, że nie uzna ich za niestosowne czy pozbawione szacunku. Po prostu rozmowy z Nim kołły jej lęki. A miała się czego bać, bo armia Hebrajczyków nigdy nie oddalała się od miasta.

Trzeciego dnia strażnicy muru zaczęli nękać maszerującą armię. Hebrajczycy nie reagowali. Żaden z nich się nie odezwał. Maszerowali, patrząc przed siebie i nie zwracając uwagi na żołnierzy. I tak nie słyszeli zbyt wiele przez ryk trąb.

Przyszli też czwartego i piątego dnia. Napięcie rosło, ludzie tracili panowanie nad sobą. Jakby mało było, że tuż za murami czeka wróg, mężczyźni rwali się do bójek o byle co, a kobiety prawie bez powodu kłóciły się z dawnymi przyjaciółkami. Rachab, tkwiąca na swoim miejscu w oknie, podsłuchiwała żołnierzy, którzy rozmawiali o sprawach Jerycha. Mówili, że ludzie składają jeszcze więcej ofiar. Nikt nie marnował krwi baranów ani byków. Zwierzęta były podczas oblężenia cennym towarem. Składano ofiary z ludzi, częściej niż kiedyś. Rachab pomyślała, że to ułatwia zadanie Hebrajczykom.



Wiele osób kryło się w chatach, płacząc i zasłaniając uszy. Inni rzucali obelgi z murów, prześcigając się w znalezieniu najbardziej wyszukanych przekleństw. Byli pomysłowi i doskonale się przy tym bawili. Ale ich słowa nie miały żadnego wpływu na rzesze wrogów.

Siódmego dnia Hebrajczycy zmienili taktykę. Pojawili się wcześniej niż zwykle i nie poprzestali na jednym przemarszu. Okrążyli miasto dwa, trzy, cztery, pięć razy, nieustannie dmąc w te straszne trąby. Nawet ci, którzy krzyczeli z murów, zamilkli i poszarzali ze strachu. Rachab spędziła cały dzień w oknie, wypatrując Hananiego lub Ezry, ale wojska były zbyt daleko. Nieustannie dotykała szkarłatnego sznura, upewniając się, że nie zniknął. Ozdabiał jej część muru jak symbol nadziei. Na tej czerwonej nitce wisiała jej przyszłość i życie, a także życie wszystkich jej ukochanych. Jej przyszłość zależała od czerwonego sznurka. „Nie”, upomniała się. „Moja przyszłość zależy od Boga”.

Po siódmym niekończącym się przemarszu wokół miasta trąby ryknęły głośnie, niemal nieznośnie głośno. I raptem rozległ się krzyk tysiąca głosów, od którego włosy Rachab się zjeżyły. Od tych głosów zatrzęsała się ziemia. Rachab zasłoniła uszy, usiłując się obronić przez tym hałasem.

Ale i tak słyszała, że dźwięk narasta i poczuła, że ziemia się trzęsie. Wychyliła się z okna i ujrzała, że niezdobyte mury Jerycha padają! Jak okiem sięgnąć, kruszyły się i osuwały w dół. Bez jednej wypuszczonej strzały, bez ognia i taranów, za pomocą jedynie dźwięku Pan zburzył fortecę. Jerycho zostało zdobyte.

W oczach Rachab stanęły łzy. Skamieniała. Gdy gęsty pył zaczął opadać, ujrzała rozmiar zniszczeń. Z wyjątkiem jej części murów, cudownie ocalonej, jak okiem sięgnąć ciągnęły się ruiny. Gdzieniegdzie pozostał murek, sięgający nie wyżej niż do kolan. W innych miejscach nie został nawet on. Rachab zauważyła ze zgrozą kończyny wystające spod rumowiska i zrozumiała, że

wojenna rzeź się rozpoczęła. Na chwilę straciła mowę. Potem uświadomiła sobie, że musi ostrzec bliskich, trwających w uścisku w głębi pomieszczenia, z dala od okna.

– Zbierzcie swoje rzeczy – krzyknęła drżącym głosem, otrząsając się z otępienia. – Przygotujcie się. Mury runęły, a oni wkrótce się tu zjawią.

– Mury runęły? To stąd ten hałas? Ale to przecież niemożliwe!  
– Joa miał zachrypnięty, obcy głos. – Chcę zobaczyć.

Rachab odsunęła się, dając mu dostęp do okna. Jej brat jęknął cicho.

– Nie... nie! Jak to się stało? Przecież nawet nie zbliżyli się na odległość strzału. Czy to magia... jakieś potężne zaklęcie?

– Nie. – Rachab przypomniała sobie, co powiedział Ezra: że Pan nie lubi magii, medium i wróżb. – To moc Boga.

Karem stanął obok nich.

– Patrzcie! – Wskazał palcem. – Reszta muru runęła, ale nasza część ocalała. Gdyby także upadła, gruzy przygniotłyby nas jak innych. Wygląda na to, że ten Bóg ocalił nasze życie.

Rachab uświadomiła sobie, że się uśmiecha – w najgorszym dniu historii jej narodu. Nie Hanani, nie Ezra, nie armia Izraela, nie wymuszona obietnica, ale sam Bóg postanowił ją uratować. To Jego dłoń ich osłoniła.

– Chodźcie – odezwała się z większą pewnością siebie. – Musicie być gotowi. Gdy przyjdą po nas, nie będziemy mogli zwlekać. Weźcie to, co możecie unieść, tak jak mówiłam. Zostawcie wszystko, co nie jest niezbędne.

Dzieci płakały, płakały też siostra i bratowe Rachab. Jej rodzice płakali, jej bracia bez słowa wytarli łzy i jak w oszołomieniu zaczęli zbierać pakunki. Ich dotychczasowe życie się skończyło. Bóg ich ocalił, ale byli zbyt wstrząśnięci i zrozpaczeni, żeby poczuć wdzięczność.

Słyszeli już armię Hebrajczyków idących przez Jerycho. Rozległy się odgłosy walki, tupot stóp, krzyki, płacz, szamotanina,

zgrzyt metalu. Potem Rachab usłyszała, że ktoś wbiega po schodach. Na chwilę zamarła. A jeśli nie dotrzymają obietnicy? A jeśli ją zdradzą? Potem przypomniała sobie słowa Hananiego i zrozumiała, że ktoś taki jak on musiał spełnić to, co przysiągł.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i w progu stanął sam Hanani z Ezrą za plecami. Byli brudni i uśmiechnięci od ucha do ucha. Na ich widok Rachab odzyskała siły i rzuciła się ku nim, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Przyszliście! Przyszliście po nas!

– Czy nie to ci obiecaliśmy? Jozue, nasz przywódca, kazał nam wyprowadzić was z Jerycha. Zaprowadzimy was nieopodal naszego obozu. Weźcie wszystko, co będzie wam potrzebne. To miasto spłonie do fundamentów. Mamy rozkaz nie pozostawić żadnego budynku.

Obaj uprzejmie udawali, że nie widzą przerażenia i nowych łez krewnych Rachab. W pokoju zapadła chwila niezręcznego milczenia; wróg usiłował stać się przyjacielem.

Rachab, która miała więcej czasu na przystosowanie się do tej sytuacji, nie musiała ze sobą walczyć. Już wierzyła w moc Pana, w to, kim był.

– Dziękuję – wykrztusiła. Tylko tyle przyszło jej do głowy. Pod wpływem impulsu chwyciła szkarłatny sznur i schowała go do swojej sakwy. Zawsze będzie jej przypominał dobroć Pana i to, że Bóg zdecydował się ją ocalić.

Schody do jej gospody pozostały tak mocne, jak były, choć wszędzie dokoła szerzyły się zniszczenia. Hanani szedł pierwszy, potem Rachab z rodziną, na końcu Ezra. Smród uderzył w nich od razu, gdy znaleźli się za progiem – swąd spalonego drewna i ciała, odór krwi, unoszącego się w powietrzu popiołu i sadzy, tak intensywny, że gardło ją zapiekło. Miała zajęte ręce i nie mogła zasłonić nosa. Zaczęła oddychać ustami, usiłując się nie krztusić. W chwili gdy mieli się wyłonić na otwartą przestrzeń, Hanani zatrzymał się gwałtownie. Rachab, zgięta pod ciężarem dwóch

wypchanych sakw, wpadła na niego.

– Och! Przepraszam.

Hanani pokręcił głową.

– Nie patrz w dół – rzucił do niej. Potem podniósł głowę i zwrócił się do pozostałych: – Nie patrzcie w dół. I zasłońcie oczy dzieciom.

Rachab poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Hanani znowu zaczął iść; podążyła za nim, czując, że zasycha jej w ustach. Na progu drzwi na parterze leżało ciało, martwe i zakrwawione. Rachab musiała nad nim przejść. Usiłowała nie patrzeć, a jednak nie mogła nie zauważyć szyi, kończącej się miazgą tam, gdzie powinna być głowa. Zanim zdążyła się opanować, wyrwał się jej jęk przerażenia. Odwróciła twarz tylko po to, by ujrzeć odciętą głowę, leżącą pod krzakiem różowych róż: wytrzeszczone oczy, usta rozdziawione bardziej z zaskoczenia niż bólu. Znała tę twarz. Należała do strażnika Hamisza. Z jego ust wyleciała wielka końska mucha i Rachab zagryzła wargi, żeby nie wymiotować.

Zmusiła się, żeby iść dalej, wpatrzona w plecy Hananiego, skupiona na tym małym kawałku materiału, pod którym przy każdym kroku napinały się i rozluźniały mięśnie. Ponieważ mieszkała na murach, nie musieli oglądać zbyt wielu trupów, ale i tak to, co ujrzeli, wystarczyło im na resztę życia. Od tego dnia słowa „wojna” albo „bitwa” zawsze przywoływały przed jej oczy te obrazy.

W miejscu, w którym znajdowała się wielka brama miejska, Hanani zatrzymał się niespodziewanie.

– Muszę powiedzieć Jozuemu, że was znaleźliśmy. Nie odchodźcie stąd. Ezra, zaraz wracam! – krzyknął, żeby towarzysz usłyszał go w otaczającym ich hałasie. Ezra machnął ręką na znak, że zrozumiał.

Rachab odstawiła sakwy i drżącą ręką zasłoniła nos i usta. Otaczały ją przerażające dźwięki, niedające się pomylić z niczym innym: odgłosy zniszczenia i zagłady.

Nie wiadomo skąd pojawił się wysoki wojownik, który zbliżył się do ich grupy. Odwrócił się ku niej jak błyskawica z mieczem, którego szerokie ostrze brudziła czerwień. Rachab zachłysnęła się i uniosła ręce w odruchowym geście poddania. Ezra wyskoczył za Joi.

– Szalmonie, stój! – krzyknął. – Oni są z nami.

Mężczyzna odwrócił się do niej i przez ulotną chwilę ich spojrzenia się spotkały. Jego podłużne, prawie czarne oczy zmrużyły się, patrząc na nią uważnie. Choć przystojny, z ładnie ukształtowanymi ustami i rzeźbionym nosem, emanował jakimś surowym mrokiem, który nadawał jego rysom odpychający wygląd. Był piękny, ale zimny.

– Lepiej ich stąd zabierz, zanim ktoś inny ich skosi – warknął.

Hanani, który wracał do nich biegiem, usłyszał słowa Szalmona.

– Zrobimy to natychmiast. Zaniósłem tylko wiadomość Jozuemu.

Rachab miała wrażenie, że w oczach mężczyzny błysnęło rozdrażnione zniecierpliwienie. Potem Szalmon krzyknął do grupy żołnierzy, którzy natychmiast podbiegli. Dopiero gdy odwrócił się do niej plecami, zdołała swobodnie odetchnąć. Z ulgą podjęła przerwany marsz za Hananim, krok za krokiem wyprowadzającym ich z ruin jej narodu.

Przez godzinę szli w głuchym milczeniu, zanim Rachab zdołała się znowu odezwać.

– Podbijacie też inne miasta?

– Tak – powiedział Hanani.

Pokiwała głową. To naturalne, Pan nie zadowoliliby się tylko Jerychem. Czy Debir nie powiedział jej tego samego? Na myśl o nim w oczach stanęły jej łzy. Nie miała złudzeń co do jego losu – losu, który sam sobie wybrał. Oplakiwała go, bo był jej przyjacielem.

Nie mogła powiedzieć nic więcej. Trasa okazała się trudna

i choć Hanani i Ezra pomagali im, jak mogli, bagaże nieźnośnie im ciążyły. Młodsze dzieci trzeba było nieść przez całą drogę. Rachab usiłowała nie zwracać uwagi na kolkę w boku i dotrzymać kroku innym pod palącymi promieniami słońca. Strużki potu rzeźbiły kręte ścieżki na jej ciele, przysypanym grubą warstwą pyłu ze zburzonych domów Jerycha. Bliscy wlekli się za nią, przygnieci smutkiem i rozpaczą, bardziej niż ciężarem dobytku. Prawdopodobnie nie wierzyli, że Bóg zburzy Jerycho.

Niedługo po dwunastej dotarli na małe wzgórze, otoczone palmami i paroma drzewami akacji.

– Na razie musimy was tu zostawić – powiedział Hanani. – Jozue kazał nam przynieść do obozu Izraela wstępne raporty wojenne. Wracając do miasta, wstąpimy tutaj, żeby przynieść wam wodę. W pobliżu nie ma żadnej studni.

Rachab skłoniła się im nisko.

– Uratowaliście nam życie.

– Tak jak ty uratowałaś je nam – odparł Ezra, pochylając głowę.



Z ulgą znaleźli się w cieniu. Nikt nie czuł głodu, a dzieci, wyczerpane po tym okropnym marszu, zasnęły bez marudzenia. Izzie pomogła Rachab rozłożyć koce, żeby stworzyć bardziej przytulną atmosferę. Rozwiesiły też koc na szkarłatnym sznurze, rozciągniętym między dwoma drzewami, by stworzyć iluzję zaciszności. Od murów Jerycha do koca. Na to im przyszło.

Dorośli usiedli razem, usiłując znaleźć jakąś pociechę w swojej bliskości. Rachab nieustannie myślała o odpowiedzi Hananiego – że Izrael będzie dalej toczył wojnę z Kanaanem. Co to znaczy dla niej i jej rodziny? Czy zmiłują się nad nimi bogowie i mieszkańcy tego kraju? Czy będą zdani na łaskę niezwyciężonej armii Izraela, która znowu zaatakuje? Czy zaryzykowała życiem tylko po to,

żeby teraz zostać porzucona? Uświadomiła sobie, że potrzebuje o wiele więcej niż ten chwilowy ratunek. Chciała trwałego bezpieczeństwa. Chciała narodu, który mogła szanować. Chciała Pana.

– Chcę poprosić Ezrę i Hananiego, żeby wstawili się u Jozuego w naszej sprawie – rzuciła nagle. – Może pozwolą nam z nimi zamieszkać.

Po jej słowach zapadło zdumione milczenie. Potem Joa odwrócił się do niej powoli.

– Słońce wypaliło ci rozum, kobieto? Hebrajczycy właśnie mordują naszych braci, a ty chcesz z nimi mieszkać? Wydaje ci się, że jak nas potraktują?

– To wykluczone – dodał jej starszy brat. – Zostaniemy tutaj do ich powrotu, żeby okazać im szacunek. Potem ruszymy na zachód. W Kanaanie są inne miasta. Osiedlimy się daleko stąd.

– I co będziecie jedli? – rzuciła wyzywająco. – Wasze ziemie należą teraz do Hebrajczyków, jeśli zapomniawsz. Jak się utrzymacie?

– Tak samo jak wtedy, gdybyśmy z nimi zostali. Będziemy pracować – oznajmił Karem.

– Na roli? I ile czasu minie, zanim poumieracie z głodu? Było wam wystarczająco trudno, kiedy mieliście własną ziemię.

– Myślisz, że ci ludzie nam ją dadzą? – spytał Joa z gorzkim sarkazmem. Odwrócił się i uderzył pięścią w pień drzewa. Rozległ się suchy, obrzydliwy trzask. Rachab skrzywiła się, mając nadzieję, że to nie odgłos łamiących się palców. Jej brat uniósł rękę do ust i odwrócił się. Zauważyła jego otarte, zaczerwienione kostki, ale wyglądało na to, że nie zrobił sobie większej krzywdy. Odetchnęła z ulgą.

– Oni żyją inaczej niż my – odezwała się po paru chwilach. – Nikt z nich nie głoduje. Pan się o nich troszczy.

– Pan! Pan! Mam już dość tego imienia! – krzyknął Joa. – Chcę się od niego uwolnić, najszybciej jak zdołam.

Podeszła do niego.

– Joa...

Ale nie znalazła żadnego słowa pociechy, więc tylko mocno go uścisnęła. Zaczął płakać.

– To jakiś koszmar... – powtarzał raz po raz.

Rodzice Rachab usiedli obok niego, tak samo bezradni i bliscy łez. Jej siostra i bratowe krzętały się, rozpalając ogień i przygotowując ciepłą strawę, więc przegapiły większość rozmowy. Teraz, przyciągnięte rozpaczą Joi, także się zbliżyły.

– Co się dzieje? – spytała Izzie.

– Rachab chce, żebyśmy zamieszkali z Hebrajczykami – powiedziała matka.

– Pozwoliliby nam?

– Izzie! Chyba tego nie chcesz – odezwał się Gerazim z naganą.

– No, a gdzie mamy iść?

– Właśnie – wtrąciła Rachab. – Nie możecie odejść tak daleko na zachód Kanaanu, żeby uciec przed Hebrajczykami. Przyjdą wcześniej czy później – za naszego życia albo za życia waszych dzieci. Nie pojęliście tego jeszcze? Oni chcą całej tej krainy. Bezpiecznie jest tylko z nimi. Wśród nich.

– Będziemy ich niewolnikami? – spytała Izzie.

– Nie! Chyba... – A niech to! Nie zrobiliby tego, prawda? Gdyby chcieli mieć niewolników, już by ich uwięzili. – Myślę, że gdybyśmy wyrzekli się naszych bogów i czcili tylko Pana, mogliby pozwolić nam, żebyśmy zamieszkali z nimi jako wolni ludzie.

Izzie zmarszczyła brwi.

– Wyrzec się naszych bogów? W każdej chwili.

Mąż spojrzał na nią, jakby oznajmiła, że przerzuciła się na dawny zawód Rachab.

– Co ty mówisz?

Odwróciła się do niego z zaciekleścią, która uciszyła wszystkich.



– Oddałam moje dziecko Molochowi. Moje dziecko! I co zyskałam? Co mi dała ta ofiara oprócz żalu i rozpaczki? Tyle lat – i ciągle jestem bezpłodna. Nie ma żadnego błogosławieństwa. Żadnego bogactwa. Przez ostatni tydzień ten hebrajski bóg wykazał się większą mocą niż nasi przez całe moje życie. Chętnie się ich pozbędę! Niech będzie pochwalony Pan. Rachab, jestem z tobą. – Zagryzła wargę małymi, równymi zębami, a potem spytała ciszej: – Myślisz, że przyjmą kogoś, kto oddał własne dziecko Molochowi?

– Tak, jeśli przyjmą była nierządnicę.

Karem przesunął ręką przez włosy.

– Rachab, jesteś pewna, że zaatakują także inne rejony Kanaanu?

– Jak najpewniejsza.

– Na razie ani razu się nie pomyliłaś. Gdyby nie ty, siostrze, już byśmy nie żyli, jak tu stoimy. Nikt z nas nie miał dość rozumu, żeby ci podziękować. Zawdzięczamy ci życie. I jeśli o mnie chodzi, nie chcę przeżyć następnej takiej bitwy. Chętnie dołączę do Hebrajczyków, jeśli potraktują nas jak równych sobie, nie niewolników. Moja rodzina i ja będziemy stać przy tobie.

Izzie spojrzała na Gerazima. Skinął słabo głową, tak blady, że aż zielonkawy i bliski wymiotów. Rachab nie dziwiła mu się. Równie dobrze mogliby próbować zmienić swój gatunek. Co oni wiedzieli o życiu Hebrajczyków? Rozciągało się przed nimi jak ciemna, nieprzenikniona noc.

Rodzice Rachab milczeli, wodząc wzrokiem od Joi do reszty. Ale Joa nie odezwał się już tego dnia. Wpatrywał się w dal, tam, gdzie kiedyś znajdowało się Jerycho, a jego usta drżały od czasu do czasu. Jego żona siedziała przy nim; dzieci, nadal zaspane po drzemce, podeszły do nich. Ale nawet ich bliskość nie obudziła go z osłupienia. Całą noc przesiedział pod drzewem. Jeśli zasnął, Rachab tego nie zauważyła. Kiedy się obudziła, znajdował się w tym samym miejscu, równie ponury jak poprzedniego dnia.

– Joa – szepnęła, kucając przed nim. – Co się dzieje? Co cię dręczy?

– To wróg. Mam wrażenie, że przeszłaś na stronę wroga.

– Chcesz zabrać swoją rodzinę w głąb Kanaanu? Możesz, jeśli tak zdecydujesz, bracie. Dali nam wolną rękę.

– Jeśli odjadę, stracę was. Czy nie dość było już strat?

Rachab skinęła głową. Więcej niż dość.

– Obóz Hebrajczyków to na dłuższą metę nasza jedyna szansa. Możesz się nauczyć żyć z wrogiem, zaprzyjaźnić się z nim... albo odejść tam, gdzie twoje dzieci nie będą miały przyszłości. Tylko taki masz wybór.

– Rachab... dlaczego chcesz służyć ich bogu?

Jak mogła ubrać w słowa coś, co sama ledwie rozumiała?

– Bo jest prawdziwy. – Nie była to najbardziej wyczerpująca z odpowiedzi, ale Joa jakby zrozumiał. Przełknął z trudem ślinę. Skinął głową.

– Pójdę tam, gdzie wy – powiedział, ale z przygnębieniem, bez nadziei.

Rodzice Rachab także dali swoją zgodę, tak jak się spodziewała. Cała rodzina stała za sobą murem, choć z krańcowo odmiennych powodów. Dla Rachab Hebrajczycy oznaczali nadzieję. Byli spełnieniem jej pragnienia, którego nawet nie potrafiła nazwać. Siostra podjęła decyzję, ponieważ nie miała nic do stracenia, a jej mąż poszedł za nią jak zwykle. Starszy brat Kareem zdecydował się, bo dostrzegł, że to mu się opłaca. Poszedł na ten moralny i pragmatyczny kompromis, by zapewnić przetrwanie sobie i rodzinie. Joa zrobił to z rozpaczą. Bez względu na to, jakie mieli motywy, Rachab zdołała ich przekonać, żeby połączyli swój los z Hebrajczykami. Ale czy zdoła przekonać Hebrajczyków, żeby ich przyjęli?



Kiedy Hanani i Ezra wrócili, odciągnęła ich na bok i spytała bez wstępów:

– Czy możemy dołączyć do ludu Izraela? Słyszałam, że są wśród was cudzoziemcy. Czy zechcecie przyjąć i nas? Czy pozwolicie nam żyć ze swoim ludem? – Słowa, nieprzećwiczone, padały z jej ust gorączkowo, utykając.

Hanani spojrział na nią spod ciemnych wygiętych brwi i szybko odwrócił wzrok.

– To nie zależy od nas. Ale zapytamy Jozuego, gdy wszystko, co dotyczy Jerycha, się ułoży, a on będzie miał czas zająć się innymi sprawami.

– Przypomnijcie Jozuemu... przypomnijcie mu, że porzuciłam życie nierządniczy dla Pana. Nigdy do tego nie wrócę.

Hanani zastanawiał się przez chwilę.

– Naprawdę przestałaś to robić ze względu na Pana?

Rachab skinęła głową.

– Wiele miesięcy temu.

– Nasz lud kamieniuje kobietę za taki grzech. Staje się nieczysta w oczach Pana. Dobrze, że to rzuciłaś. Powiemy Jozuemu, ale niczego nie możemy zagwarantować.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Jozue wierzy, że to sam Bóg przysłał cię do Ezry i do mnie. Może to go poruszy.

– Pan uratował mnie i moją rodzinę nie po to, żebyśmy przepadli w innym kananejskim mieście – odparła z uśmiechem.

– Musiał mieć w tym jakiś cel.

Hanani pokręcił głową.

– Nigdy nie wątpisz w nasze zwycięstwo?

– Oczywiście, że nie. Jak Pan mógłby przegrać?

– Izrael zapamięta cię na zawsze za twoją wiarę – odezwał się Ezra.

Rachab poczuła przeszywającą radość. Czy to możliwe, że zostanie zapamiętana za cokolwiek z wyjątkiem byłej profesji?

## Rozdział 8



Szalmon osunął się na kolana wśród zwęglonych ruin. Krótki miecz, który ścisnął przez tak wiele długich godzin, upadł ze szczękiem na ziemię. Szalmon z trudem przełknął ślinę przez ścisłane spazmami gardło. Smród śmierci atakował ze wszystkich stron, a on walczył z nagłą potrzebą opróżnienia prawie pustego żołądka. Rój much brzęczał wokół niego, zwabiony wonią krwi, schnącej na jego ubraniu. Nie miał siły się opędać. Kątem oka zauważył idącego w jego stronę człowieka. Jozue. Wolałby zostać sam, żeby jakoś sobie poradzić z wewnętrznym zamętem. Ale Jozue szedł nieubłaganie prosto na niego. Wszedł na stertę gruzu i przez jakiś czas trwał nad Szalmonem. W końcu otoczył jego sztywne ramiona mocnym, ogorzałym ramieniem jak znanym kocem.

Szalmon przez chwilę wzbraniał się przed tą pociechą. Wycofał się głębiej w siebie. Potem spuścił głowę i pozwolił, by napięcie go opuściło.

– Nigdy nie przywyknę do zabijania – wyszeptał ochryple. Drżącą ręką potarł policzek, zostawiając na nim smugi popiołu.

– Bóg także nie czerpie z niego przyjemności, mój synu – odparł Jozue. – Wiesz, że nienawidzi krzywdy, tak jak matka, gdy na jej dzieci spada zaraza. Jak za czasów Noego, dzieci Adama dopuściły się takiego zepsucia, że ich obecność zagraża wszystkiemu, co żyje. Dlatego Bóg powstał w swojej świętości. Ale sądzę, że tak jak potop, ta część naszej historii nie będzie

trwała wiecznie. To tylko krótki jej etap, który niebawem się skończy. Bóg ma inne plany dla naszego ludu. Obiecał Abrahamowi, że przez niego będą błogosławione wszystkie narody tego świata. Przez nas. To nasze ostateczne przeznaczenie.

Szalmon jęknął.

– Chciałbym, żeby ten okres błogosławieństwa nadszedł jak najszybciej. Tego jednego obowiązku zrzeknę się bez żalu. Dni takie jak ten, rozdzierają mi duszę. Pewnie jestem niewdzięczny, bo Pan zrobił dla nas tak wiele...

– Jesteś zmęczony. – Jozue wyprostował się i powiódł wzrokiem po otaczających ich ruinach. – Wkrótce wyruszymy do obozu. Sama ziemia, na której stało to miasto, jest przeklęta. Nie spędzimy tu ani jednej nocy.

Szalmon uświadomił sobie, że ktoś się do nich zbliża. Hanani.

– Panie, szukałem cię wszędzie – wydyszał, zgodnie z zasadami zwracając się najpierw do Jozuego. Nieświadomy burzy emocji, przez którą przechodził Szalmon, uśmiechnął się bez troski. – Cieszę się, że nic ci się nie stało – rzucił i odwrócił się znowu do Jozuego. – Skoro skończyłeś już zajmować się miastem, czy możesz mi poświęcić parę chwil?

– Tak, o sławetny szpiegu. Jak poszło z Rachab i jej rodziną? Zaprowadziliście ich w bezpieczne miejsce?

– Tak. Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Rachab poprosiła o pozwolenie, by mogła żyć z ludem Izraela. Ona i jej rodzina.

Szalmon prychnął, ale Jozue pominął to milczeniem.

– Naprawdę? Ta twoja *zonah* to szczególna kobieta.

Hanani oblał się rumieńcem.

– Z pewnością nie jest moja i sądzę, że nie jest już nierządnicą. Kazała ci powiedzieć, że zrezygnowała z tego życia. Dla Pana.

Jozue przesunął stwardniałą dłonią po brodzie i szarpnął za włosy tuż przy skórze. Jego nozdrza rozdęły się podczas głębokiego wydechu.

– Jestem pewien, że to Bóg ją do nas przysłał. Choć nie może o Nim wiele wiedzieć, z zapalem za Nim idzie. Odkąd zaczęła się nasza wędrówka, mieliśmy wśród nas mniej godnych przybyszów. Jeśli Rachab i jej rodzina odrzucą swoich bożków i zgodzą się żyć zgodnie z naszym prawem, to powinienem im pozwolić, by do nas dołączyli.

Szalmon, który do tej pory nie wyjawiał swojego zdania, nie wytrzymał.

– Chyba tak nie myślisz!

– Nie? A to dlaczego?

– Właśnie wyrznęliśmy w pień cały ich lud, jeśli zapomniałeś – rzucił Szalmon, zbyt rozgorączkowany, by dostrzec niebezpieczny blask w oczach Jozuego. – Myślisz, że po czymś takim będą żyć w pokoju wśród nas? Nigdy nie zaśniemy spokojnie, bo zawsze będziemy się bać, że w nocy zarzną nas żądni zemsty ocaleni z Jerycha.

Jozue pokiwał głową.

– To zrozumiałe, że się o to martwisz. Ale ta kobieta pomogła w zniszczeniu własnego domu, wspierając naszych ludzi. A jej rodzina zrobiła to samo, dochowując milczenia. Gdyby Jerycho było im tak drogie, usiłowałiby je ratować, dopóki mogli. Nie robią nam krzywdy. Mogą być pogrążeni w żalu, lecz nie zapragną zemsty.

– A co z Rachab?

Jozue przechylił głowę.

– A co ma być?

– To *zonah*, nawet jeśli twierdzi, że to rzuciła. Jest nieczysta.

Jozue uniósł dłoń, zwróconą wierzchem do góry.

– Przejdźmy się. – To był głos dowódcy, nieznoszący sprzeciwu. Szalmon usłuchał z ciężkim sercem.

Jozue nie odzywał się, dopóki nie weszli do samotnego zagajnika tuż za miejscem, w którym do niedawna wznosiły się mury Jerycha. Szalmon człapał w ciężkim milczeniu,

zastanawiając się, czym obraził dowódcę. Jozue zatrzymał się gwałtownie i odwrócił się do niego.

– Twoje serce wbiło się w dumę, mój młody przyjacielu.

Wstrząśnięty Szalmon otworzył szeroko oczy.

– Panie...? – Oficjalny tytuł Jozuego niemal utknął mu w gardle.

– To nieprzyjemne, wiem. Ale muszę ci to powiedzieć wprost: mylisz się co do tej kobiety. Nie mam do ciebie o to pretensji. Rozumiem, skąd się bierze twoja opinia, wiem, jak do niej doszedłeś. To wynika z waszego dorastania. Wasze pokolenie dostało trudną lekcję. Brak wiary i nieposłuszeństwo waszych rodziców i dziadków zmieniło wasze życie. Zamiast urodzić się i wychować we własnym domu, musieliście znosić trudy tułaczki. Nie znacie stabilnego domowego życia. Jediną pewną rzeczą jest dla was Pan. Dlatego trwacie przy nim tak, jak nie potrafili wasi rodzice. Może pokolenie waszych dzieci nie odziedziczy po was tej żarliwości. Może to właśnie dlatego Bóg pozwolił wam stać się wędrowcami. Ale każda mocna strona ma swój słaby punkt, a twój się właśnie ujawnił. Starając się zachować prawość, zbyt łatwo wydajesz wyroki.

– Stwierdzam tylko fakt.

– Ach tak. Ta kobieta jest nieczysta. Zbrukana grzechem. Cóż za niezwykła koncepcja dla ludu Izraela. Bo nasz największy przywódca Mojżesz nigdy nie zabił człowieka w gniewie. A nasz najwyższy kapłan Aaron nigdy nie stworzył złotego bożka. Twój własny nieskazitelný przodek Juda z pewnością nie ignorował praw wdowy po swoim synu. I Boże uchwaj, żeby miał wejść do namiotu ładnej dziewczyny, którą przez omyłkę wziął za prostytutkę. Cóż za straszliwą hańbą stałaby się Rachab dla czystego, nieskalanego Izraela.

Szalmon zacisnął zęby.

– Porównujesz tę nierządnicę do Mojżesza?

– W pewnym sensie. Chyba zapomniałeś, mój młody

przyjacielu, że krew jagnięcia w dniu Paschy zmywa także twoje grzechy. – Szalmon poczerwieniał. Jozue pokiwał głową. – Czy pamiętasz, jak mówiłem o spotkaniu z dowódcą zastępów Pana? Powiedział mi tamtego dnia, że nie stoi ani po naszej stronie, ani po stronie wroga. Wówczas ukazał mi na chwilę serce Pana. Stoi On po stronie wszystkich, którzy stoją po Jego stronie. A Rachab stoi po Jego stronie. Tylko duma nie pozwala ci tego dostrzec. Duma to hańba dla ludzi prawych. Z pozoru możesz się wydawać lepszy od kobiety z taką przeszłością, ale Bóg widzi nasze serca. Tak bardzo się zająłeś przestrzeganiem przykazań i pilnowaniem, żeby wszystko wyglądało jak należy, że zapomniałeś, iż twój wewnętrzny świat nigdy nie ujdzie uwagi Pana. I nie zauważyłeś, że przez twoje drzwi zakradło się zadufanie. Mylisz potępienie ze słusznym osądem.

Teraz dam ci nowe zadanie, żebyś mógł się uporać ze swoim problemem. Umieszczam Rachab i jej rodzinę pod sztandarem plemienia Judy. Oddaję ich pod twoją opiekę.

– Ale...

– Dość. Nie chcę słyszeć ani słowa z wyjątkiem: „Tak, panie”. Oczekuję, że potraktujesz tych ludzi z szacunkiem. Pomóż im się zadomowić. Naucz ich naszych obyczajów. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, panie – wymamrotał Szalmon, ledwie poruszając wargami. Czuł się jak złodowaciały. Jozue jeszcze nigdy nie skarcił go tak surowo. Człowiek, którego tak podziwiał, uważał go za zadufanego, dumnego, skłonnego do pochopnych sądów. I to wszystko z powodu kananejskiej nierządniczy! Tak wiele wysiłku kosztowało go zdobycie szacunku Jozuego. Opinia mentora tak wiele dla niego znaczyła... a jego dezaprobata zraniła go do żywego. Jego słowa zatruiły mu serce goryczą.

Przepełniła go niechęć do Rachab i jej rodziny. Początkowo dla zasady sprzeciwiał się obecności tej kobiety. Nie żywił do niej żadnej osobistej urazy. Ale po tym spotkaniu z Jozuem w jego



sercu pojawiła się antypatia do niej. Obrócił się na pięcie i poszedł w stronę sterty gruzów, która do niedawna była Jerychem. Zmrużonymi oczami rozejrzał się za Hananim. Jozue zlecił mu zadanie, a on zamierzał je wykonać. Zamierzał też zmusić tę Kananejkę, żeby ujawniła swoją prawdziwą naturę.

Znalazł Hananiego siedzącego nad posiłkiem złożonym z ciastek daktylowych i prażonego ziarna. Dla niego Hanani był skalany przez samą znajomość z tą kobietą. To on ją tu sprowadził.

– Dokąd zabrałeś te kobietę? – rzucił Szalmon bez wstępów ani zwykłego ciepła. – Jozue oddał ją i jej rodzinę pod moją pieczę.

Hanani przełknął kęs ciastka.

– Mówisz o Rachab? Ulokowałem ją w miejscu o jakąś godzinę marszu od naszego obozu. Możemy tam wstąpić w drodze do domu, jeśli chcesz.

– Nie, dotarlibyśmy tam w środku nocy. Niech przenocują tam, gdzie są. Rano się z nimi rozmówimy.

– Hm... nie bardzo się cieszysz?

– Ja się nie cieszę? Szaleję ze szczęścia. Dokładnie tego pragnąłem dla mojego plemienia – kananejskiej nierządnicy i jej zdemoralizowanych krewnych. Oni zaprowadzą pokój wśród moich ludzi.

– Nie myślę...

– Dokładnie. Nie myślisz – warknął Szalmon i odszedł.

Przez następne dwie godziny doglądał ludzi, których mu powierzono, sprawdzał stan rannych, słuchał ich opowieści o bitwie, organizował pomoc dla tych, którzy jej potrzebowali. Burzliwe uczucia schował głęboko i znowu obdarzał swoich ludzi zwykłym ciepłem, chwając ich za akty odwagi i doceniając osiągnięcia. Odbył krótkie spotkanie z dowódcami, którzy złożyli mu raport przed udaniem się do obozu.

Księżyc świecił na niebie od wielu godzin, gdy w końcu Szalmon ruszył w drogę powrotną. Tuż przed obozem zdjął

ubranie i zmył krew i pot bitewny. Wówczas powlókł się do namiotu, wyczerpany i zmęczony ponad wszelką miarę. To, co powinno być uniesieniem, zostawiło gorzki smak w jego ustach. Wiedząc, że posłańcy już powiadomili żony, matki i siostry, skierował się prosto do swojego namiotu.

Jego młodsza siostra Miriam, nazwana tak na cześć sławnej siostry Mojżesza, niemal przewróciła go, rzucając mu się z rozpędu w ramiona i dusząc go w uścisku.

– Uch! – stęknął, usiłując złapać oddech. – Gdyby jerychońscy żołnierze walczyli tak, jak ściskasz, moglibyśmy nie wygrać.

Uderzyła go w ramię.

– Cieszę się, że wróciłeś cały i zdrowy.

Szalmon pogłaskał ją po głowie, zapominając, że ma do czynienia z dorosłą kobietą.

– Cały, zdrowy i nieprzytomnie zmęczony.

– Więc kładź się spać. Jutro opowiesz mi o walce i zburzeniu murów. Ezra to opisał, ale musiał się spieszyć. Mam nadzieję, że twoja wersja będzie ciekawsza.

– Aleś ty krwiożercza. Idź stąd, bo nabawię się przez ciebie koszmarów.

Szalmon runął na posłanie, rozciągnął obolałe mięśnie, usiłując się odprężyć. Nie modlił się nawet, żeby podziękować Bogu za jego cudowną interwencję lub własny bezpieczny powrót. Wytłumaczył sobie, że jest zbyt zmęczony, ale w głębi duszy wiedział, że to nie zmęczenie, ale gniew dzieli go od Boga. Był rozgniewany na swoją niesprawiedliwą kłótnię z Jozuem. Gniewał się na Rachab, która była mu ciężarem. A największy gniew czuł na myśl, że Jozue mógł mieć co do niego rację.



Ranek przyniósł ze sobą pogodne niebo, lecz Szalmonowi nie dał pogody ducha. Miriam zjawiała się ze śniadaniem i uśmiechem

szczęścia. Cały lud Izraela chodził dziś uśmiechnięty. Ta radość go drażniła. Nie mieli żadnych nieprzyjemnych obowiązków, które skazyłyby im słodycz zwycięstwa. Nie musieli mieć do czynienia z kananejską nierządnicą.

Właściwie co miał zrobić z tymi obcymi? Nie mógł ich tak po prostu sprowadzić do obozu. Nie wiedzieli o setkach zasad i praw, które nieświadomie złamaliby już w pierwszej godzinie pobytu. Postanowił zostawić ich, gdzie są, dopóki nie opanują podstaw.

– Co z tobą, bracie? Jesteś ranny? – spytała zaniepokojona Miriam.

Szalmon usiadł na materacu i uderzył pięścią w poduszki, niby po to, żeby je strzepnąć.

– Nie, nie jestem.

– To dlaczego zachowujesz się jak wielbłąd z bolącym zębem?

Przesunął dłonią przez włosy, które zjeżyły mu się jak ciemne kolce, i tak już zmierzwił po nocy.

– To skomplikowane.

Miriam prychnęła.

– No, to się szybko ubierz. Pójdę z tobą, żeby ci pomóc.

– Pomóc? W czym? O czym ty mówisz?

– W tej twojej komplikacji. Zdaje się, że ma na imię Rachab i przybyła w towarzystwie paru krewnych.

Szalmon prawie drgnął z zaskoczenia.

– Skąd o niej wiesz?

– Uspokój się, bo jeszcze dostaniesz pustynnej gorączki. Jozue powiedział mi dziś rano. Prosił, żebym ci pomogła.

– Ty! Niby po co? Przydzielił mi jakąś dziewczyninę na szpiega, w dodatku własną siostrę! – Szalmon spojrzał na Miriam jak na zdrajczynię.

Ta machnęła lekceważąco ręką.

– Ależ skąd. Poprosił mnie, żebym pomogła kobietom. Będiesz skrepowany, usiłując wyjaśnić im reguły, które ich dotyczą. Pomogę im się dopasować.

– Ach.

– Nie ma za co. Jedyne brat i taki niegrzeczny. W dodatku w dniu wielkiego zwycięstwa Izraela. Można spytać dlaczego?

Szalmon wzruszył ramionami.

– W tej sprawie nie zgadzam się z Jozuem. Uważam, że sprowadzenie tych ludzi to błąd. Jeśli Bóg kazał nam ich oszczędzić, niech tak będzie. Nie chcę niepotrzebnie rozlewać krwi. Ale żeby od razu mieszkali wśród nas?

– Ta kobieta wydaje się odważna i pełna wiary. Co masz przeciwko niej?

– To *zonah*! Właściwie nie wiem, czy powinnaś się z nią kontaktować. Niech Jozue pośle do niej własną siostrę, skoro tak bardzo chce jej pomóc.

– Hanani i Ezra spędzili u niej całą noc. Sam na sam z nią. I nie ulegli zepsuciu. Śmiem twierdzić, że i ja zdołam się oprzeć jej niszczyielskiemu wpływowi. Poza tym Jozue poprosił właśnie mnie i nie zamierzam go rozczarować.

– Jozue powinien najpierw poprosić mnie o pozwolenie.

– Więc załatw to z nim, jeśli chcesz. No, to kiedy do nich idziesz?

Szalmon jęknął. Nie mógł się spierać jednocześnie z Jozuem i siostrą. Tych dwoje miało największy wpływ na jego serce. I szczerze mówiąc, nie martwił się o Miriam. Mogła sobie poradzić z dziesięcioma kananejskimi nierządnicami, nie odnosząc żadnej szkody. Po prostu szukał pretekstu, żeby nie wykonać polecenia Jozuego. Z niechęcią i energią zrodzoną z rozdrażnienia włożył szatę przez głowę, jednocześnie wsuwając nogi w znoszone sandały.

– W tej chwili. Idziemy do nich w tej chwili. Znajdźmy Hananiego, wskaże nam drogę. Właściwie Ezra też ją zna. Weźmiemy pierwszego, na którego trafimy.

Nieopodal namiotu natknęli się na Ezrę. Niósł wodę, nucąc wesołą melodię.

– Ezra! – zawołał Szalmon.

– Dzień dobry. – Na widok towarzyski Szalmona Ezra uśmiechnął się tak szeroko, że rozboleły go policzki. – Witaj, Miriam.

– Witaj. Mój brat i ja potrzebujemy twojej pomocy.

– Wszystko. Dla ciebie wszystko...

– Tak, tak – przerwał mu Szalmon. – Muszę iść do obozu Rachab. Znasz drogę?

– Oczywiście. Zaprowadziliśmy ich do pobliskiej oazy. – Ezra rozejrzał się za miejscem, w które mógłby odstawić dzban, ale potem zmienił zdanie i oparł go sobie na ramieniu. – Wezmę to. Przyda im się świeża woda.

Szalmon zamamrotał coś pod nosem.

Przez większość drogi mówili Ezra i Miriam – a raczej Miriam mówiła, a Ezra słuchał, wniebowzięty. Szalmon ignorował oboje i umiłał sobie czas rozmyślaniami, jak długo będzie musiał znosić tych niedobitków z Jerycha, zanim pokażą swoje prawdziwe twarze.

W oddali ukazał się mały obóz. Trzy kobiety przygotowywały nad ogniem posiłek. Czwarta pilnowała dzieci, bawiących się w cieniu wysokich palm. Jakiś mężczyzna zbierał drewno, inny spał, dwaj rozmawiali cicho. Scena wydawała się znajoma, swojska. Niewinna. Kompletnie niewinna. Ci ludzie stracili wszystko i wszystkich, uświadomił sobie Szalmon. Pewnie są zdruzgotani. Przełknął ślinę przez gardło zaciśnięte nagłym poczuciem winy. W jego rozmyśleniach stali się abstrakcyjnymi, dwuwymiarowymi istotami, nie ludźmi. Scena, ku której się zbliżał, zdjęła mu bielmo z oczu.

Rodzina Rachab zauważyła ich i porzuciła swoje zajęcia. Nawet śpiący mężczyzna się zbudził, a dzieci ucichły. Gdy Szalmon i jego towarzysze się zbliżyli, na ich powitanie wyszła kobieta. Była ubrana w skromną suknię z dobrej tkaniny. Włosy przysłoniła fałdzistym welonem z ciemnego materiału. Wielkie,

szeroko rozstawione oczy patrzyły na Szalmona spod gęstych rzęs. Błysnęło w nich rozpoznanie, po czym pośpiesznie je spuściła. On także nie zapomniał jej twarzy, choć ich spotkanie w płonącym mieście trwało tak krótko. Kobieta miała skórę tak przezroczystą, że słońce zdawało się ją przeświecać. Jej niezwykła karnacja – złote oczy i kasztanowe włosy, wyglądające spod woalu – akcentowały egzotyczną kobiecość, promieniejącą z jej rysów. Szalmon otrząsnął się z zapatrzenia. Czy naprawdę stał i podziwiał Kananejkę? Co tam Miriam, to on potrzebował ochrony.

Kobieta odwróciła się do Ezry i skłoniła się mu z szacunkiem na modłę kananejską.

– Witaj.

– Witaj, Rachab. Przynieśliśmy wam trochę wody.

Rachab! To była Rachab? Czy istnieje kobieta mniej podobna do nierządnic? A gdzie nausznice i bransolety? Gdzie przejryste welony, obcisłe spódnice i makijaż? Gdzie bezczelna mina i natrętna seksualność?

– Rachab, to Szalmon, syn Nachszona, jeden z przywódców plemienia Judy – oznajmił Ezra, wyrywając Szalmona z otępienia. – A to Miriam, jego siostra. Szalmonie, to jest Rachab, która uratowała Hananiego i mnie przed pewną śmiercią.

Rachab znowu się skłoniła, tym razem niżej, stosownie do jego pozycji.

– Zaszczycasz nas swoją obecnością, panie.

Przedstawiwszy członków swojej rodziny spytała:

– Czy zechcesz zjeść z nami posiłek? Mamy świeże podpłomyki i ciastka z rodzynekami.

Szalmon, rozdrażniony, że ma spędzić pół dnia z ludźmi, którym nie ufał, i jeszcze bardziej zły na siebie, że zrobiły na nim wrażenie wygląd i maniery Rachab, zacisnął usta.

– Nie. Przyszliśmy, żeby wam powiedzieć, iż Jozue zezwolił waszej rodzinie zamieszkać w obozie Izraela. Pod pewnymi

warunkami.

Zanim zdążył otworzyć usta i wymienić te warunki, Rachab ku jego przerażeniu upadła przed nim na ziemię.

– Dziękuję, panie! Dziękuję. Niech Bóg cię błogosławi.

W jej wielkich oczach zabłyśły łzy.

– Wstań, kobieto – warknął Szalmon. – Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy leżysz twarzą na ziemi.

Miriam jęknęła. Szalmon nie zwrócił na to uwagi. Właściwie nie chciał być tak opryskliwy, ale widok łez Rachab i jej uderzającej pokory wstrząsnęły nim i wytrąciły z równowagi. Zirytowany na swoje niewczesne współczucie, usiłował otrzeźwić myśli. Ta kobieta mogła zrujnować plemię Judy, jeśli jej się na to pozwoli. Świadomie lub nie, mogła doprowadzić do zepsucia i zamieszania. Dlatego zamknął swoje mięknące serce i zmrużył oczy.

Rachab pobladła śmiertelnie, wstając.

– Przepraszam.

Szalmon ścisnął palcami nos u nasady. O, niechby ktoś starł ten bolesny wyraz z twarzy tej kobiety.

– Posłuchaj. Powiedziałem „pod pewnymi warunkami”, i to prawda. Musicie wyrzec się swoich idoli i fałszywych bożków. Rozumiesz? Wszystkich. Pan jest zazdrosnym Bogiem. Nie znosi bałwochwalstwa. Ci, którzy chcą żyć z ludem Izraela, muszą poświęcić się Panu. I musicie przestrzegać naszego prawa. Jozue oddał was pod moją opiekę, do plemienia Judy. Jestem teraz odpowiedzialny za to, by nauczyć was tego, co musicie wiedzieć. Kiedy będziecie gotowi, możecie się wprowadzić do naszego obozu. Do tego czasu musicie tu zostać.

Starszy brat Rachab podszedł, kłaniając się nieśmiało.

– Panie... jak mamy poznać te prawa? I jak mamy poznać Pana?

– Moja siostra Miriam pomoże waszym kobietom. Ja wyślę mężczyznę, który będzie mógł poświęcić dzień na to, by was

uczyć. Teraz musicie mi powiedzieć: czy każde z was chce się wyrzec swoich bożków i czcić jedynie Pana? Bowiem zrozumcie: karą za bałwochwalstwo będzie najprawdopodobniej śmierć.

– Rachab już nam wyjaśniła, że musimy porzucić bogów, wśród których dorastaliśmy – odparł ten sam brat. – Wszyscy się na to zdecydowaliśmy, bo Pan jest potężny. Udowodnił swoją wyższość nad innymi bogami. Ale obawiam się, że poza tym tkwimy w nieświadomości.

Przynajmniej się do tego przyznali. Pokora mogła im zapewnić drogę do pomyślniej asymilacji, zauważył Szalmon. Zanim zdążył zareagować, z grupy wystąpił młodszy brat. W jego zachowaniu było coś nerwowego, jakiś przymus. Ten jeszcze się waha, pomyślał Szalmon. Spojrzał uważnie na młodszego mężczyznę, oceniając jego nastawienie, usiłując rozszyfrować wyraz jego twarzy. Czy to nienawiść? Żądza zemsty? Gwałtowność? Stęzał, nieświadomie przyjmując postawę bojową.

– Czy jeśli z wami zamieszkamy, będziemy waszymi niewolnikami? – Głos męczyzny zadrżał pomimo jego wyraźnych wysiłków, by zachować spokój.

Szalmon uznał, że wyczuwa strach, brak zaufania, ale nie agresję. Zmusił swoje napięte mięśnie, by się rozluźniły. Pytanie było zrozumiałe.

– Nie. Nie jesteście naszymi jeńcami. Wasza siostra kupiła wasze życie i wolność, ratując naszych ludzi przed rozpoczęciem bitwy. Dołączcie do nas jako ludzie wolni. Jednakże nie macie obowiązku do nas dołączać, jeśli tego nie chcecie. Nie jesteście nam niczego winni. Wasze życie zostało kupione za uczciwą cenę.

– I jak mamy żyć? Mieliśmy małe pole przed... no, w Jerychu. Żyliśmy z ziemi. Czym teraz nakarmimy rodziny, jeśli do was dołączymy?

Szalmon wzruszył ramionami.

– Wasi młodzieńcy pójdą do walki wraz z resztą naszych.



Będziecie mieć swoją część ziem i łupów jak wszyscy. Kobiety i dzieci zostaną w naszym obozie i będą pomagać w codziennych obowiązkach.

Kilku mężczyzn zachłysnęło się nerwowo.

– Walka? – wykrztusił jeden z nich.

A czego się spodziewali? Że pochodzenie z Kanaanu uchroni ich przed nieprzyjemnymi obowiązkami? Jak sądzili, co oznacza wejście do innego narodu?

– Jeśli do nas dołączycie, macie żyć jak my.

Rachab, która stanęła za braćmi, znowu wyszła naprzód. Głos miała tak cichy, że Szalmon musiał wyteńczyć słuch. Zauważył, że unikała jego spojrzenia.

– Panie, moi bracia i ojciec nie byli szkoleni w walce. Są rolnikami. Słyszałam, że niektórzy z was będą się osiedlać na ziemiach, które niegdyś należały do Oga i Sichona. Czy nie będziecie potrzebować kogoś, kto umie orać i siać? Żyjąc w drodze, zapewne nie zdążyliście się nauczyć uprawy ziemi. Jeśli wasi mężczyźni znikają na długi czas, ciężka praca na roli spadnie na kobiety, które nie mają doświadczenia. Wiele stracie, ucząc się tego do podstaw. Moi bracia i ojciec mogą wam służyć wielką pomocą. Znają ziemie w tych okolicach – wiedzą, które rośliny będą tu rosnać, a które zginą. Rozumieją, co użyźnia glebę, a co czyni ją jałową. Czy Izrael nie zyska więcej, wykorzystując ich wiedzę, zamiast marnować ich życie w walce, do której ich nie przeszkolono?

Szalmon spojrzał na nią ostro. W ciągu paru chwil zdołała przedstawić swoją rodzinę jako bezcenny skarb dla Izraela, podając przy okazji ważny powód, by ocalić ją przed walką. I ani razu nie skorzystała z kobiecych sztuczek, co zauważył z pewną przyjemnością. Z zaskoczeniem zauważył, że kobieta rumieni się pod jego wzrokiem. Spuściła rzęsy, co skłoniło go do jeszcze uważniejszego spojrzenia. Jak dotąd, żadna kobieta go tak nie zaskoczyła. Ani nie pociągała. Na tę myśl omal nie jęknął.

Zapraǳnał rzucić sie do ucieczki, dopoki nogi go beda niosly,  
a potem poyczyć nowe nogi i biec, a one take sie zuyją.

## Rozdział 9



Rachab ukradkiem przyglądała się Szalmonowi. Stał sztywno wyprostowany, z zaciśniętymi pięściami i zębami, obserwując ją i jej rodzinę tak, jak pasterz mógłby obserwować zgraję zapchlonych wilków. Nawet nie starał się ukrywać, że za nimi nie przepada. Zimniejsze od jego zachowania były tylko jego słowa. Jednym tchem przekazał jej najlepsze wieści, jakie dostała w życiu, i zganił ją, jakby sam jej widok obrażał jego uczucia.

Gdy oznajmił, że będzie ich przywódcą, serce jej się ścisnęło. Była w nim siła, która ją onieśmiała. Po latach wędrówek po pustyni jego wysokie ciało stało się muskularne, a po niedawnych bitwach jeszcze gotowała się w nim agresja. Ale to nie jego fizyczna siła ani nawet zimna uroda ją tak onieśmiały. Jego wzrok zdawał się przeszywać człowieka jak sztylet i bezlitośnie sięgać do najtajniejszego wnętrza. Sądząc po twardej linii ust, to, co ujrzał w Rachab, nie zachwyciło go ani trochę. Choć starała się ukryć w swoich nowych, godnych szatach, przy Szalmonie czuła się jak niegrzeczne dziecko.

Potraktowana tak ostro, zamknęła usta i odzywała się najrzadziej, jak mogła. Aż w końcu rzucił od niechcienia ostatni grom: jej bracia mieli walczyć wraz z resztą ludu Izraela.

Zastanawiała się nad tą możliwością podczas długich godzin oczekiwania. Bo czego innego mogli od nich wymagać Izraelici? Jak lepiej mogliby udowodnić swoje dobre zamiary i wierność?

Nie zwierzyła się rodzinie z tych podejrzeń, ale od razu zaczęła szukać rozwiązania. Dlatego gdy wszyscy osłupieli, słysząc słowa Szalmona, ona wystąpiła naprzód z gotowym przemówieniem. Musiała zebrać w sobie całą odwagę, żeby się odezwać. Mdlilo ją z przerażenia. Gdyby nie chodziło o życie jej braci, nigdy by nie zabrała głosu w obecności tego człowieka.

Nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy, ale nie mogła powstrzymać zerknięcia spod rzęs, by ocenić jego reakcję. Twarz miał nieprzeniknioną jak sfinks. Jego spojrzenie paliło ją tak, że poczuła rumieniec. Zagryzła wargę. Była na siebie wściekła za ten idiotyczny powrót do dziewczęcej nieśmiałości.

Szalmon założył ręce na piersi i cofnął się o krok.

– I pewnie ten argument przyszedł ci do głowy w tej chwili?

Rachab obiecała sobie, że jeśli ci ludzie ją zaakceptują, będzie żyć z nimi w zgodzie. Wiedziała, że Pan chciałby, żeby mówiła prawdę, ale gdyby powiedziała prawdę w tej chwili, równie dobrze mogłaby sobie obciąć język i wręczyć go Izraelitom jako powitalny prezent. Bała się, że ten wyniosły hebrajski dowódca uzna ją za intrygantkę, skoro przygotowała się zawczasu. Była pewna, że jeśli przyzna się do dalekowzroczości, Szalmon źle o niej pomyśli. A tak rozpaczliwie pragnęła zrobić dobre wrażenie, zasłużyć na akceptację... „O Panie, pomóż mi cię czcić”.

Nabrała powietrza w płuca.

– Nie, zastanawiałam się nad tym w nocy.

Zauważyła, że Szalmon drgnął. Po chwili uniósł ciemną brew.

– Kto ci powiedział, że mężczyźni pójdą na wojnę?

– Nikt. Domyśliłam się. Nie możecie wymagać od nas mniej niż od własnego ludu. Raczej więcej. Nowi muszą udowodnić swoją lojalność.

Szalmon rozplótł ramiona.

– To... słuszne podejście. – Wydawało się jej, że od razu pożałował, że to powiedział. – Zastanowię się nad tym – dodał po chwili. – A na razie nikt z was nie może wejść do obozu, nie

nauczywszy się podstaw Prawa. Skoro Ezra już tu jest, może zacząć was uczyć. Miriam, kiedy Ezra skończy z dziesięcioma przykazaniami, zajmiesz się nauczaniem kobiet, podczas gdy on powiadomi mężczyzn o bardziej szczegółowych nakazach Pana. Później wróćcie razem do obozu. Mówcie do nich w naszym języku. Choć ich język i nasz są podobne, ale różnice między nimi utrudnią im porozumienie się w obozie Izraela. Nie możemy im ułatwiać, bo inni nie będą tak uprzejmi.

Na chwilę odwrócił się do Rachab. Wyglądał tak, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale zmienił zdanie i zwrócił się do jej starszego brata Karema.

– Ile macie zapasów?

– Jedzenia wystarczy nam na tydzień... na dłużej, jeśli będziemy rozważni. Brakuje nam wody.

– Będę ją codziennie przysyłał. Również jedzenie, gdy go wam zabraknie. Widzę, że nie macie namiotu.

– Nie moglibyśmy go unieść podczas ucieczki. Zresztą niczego nam nie brakuje. Wieczory są ciepłe i mamy koce.

– Są, na razie. Ale kiedy nadejdzie zima, będziecie potrzebować stosownego schronienia. Macie złoto lub srebro na kupno paru namiotów? Gdy przeprowadzicie się do naszego obozu, będą wam potrzebne.

Karem zastanowił się, marszcząc brwi.

– Sprawdzę, ile zbierzemy.

Szalmon skinął głową. Odwrócił się, znieruchomiał i znowu się obejrzał.

– Proszę, zrozumcie. Krok, który uczynicie, to decyzja na resztę życia. Postanowiliście zmienić wszystkie swoje obyczaje. Kompletnie. Podliczcie zyski i straty, zanim się zdecydujecie.

I odszedł, nie dając im pożegnać się ukłonem.

Rachab usiadła ciężko na piasku. Dopiero teraz dotarło do niej, że nogi się pod nią uginają. Oparła głowę na kolanach, walcząc ze łzami. Dlaczego tak chciała dołączyć do ludu Izraela? Skąd to

pragnienie, które toczyło ją z pasją dotychczas jej nieznaną? Jej rodzina nadal tęskniła za Jerychem. Nadal opłakiwała utracone życie. Z nią było inaczej. Nie poświęciła utraconemu domowi ani jednej myśli – z wyjątkiem tych o swoim przyjacielu Debirze. Cały jej umysł skierował się ku Izraelowi.

A jednak Szalmon słusznie ich ostrzegał. Co mogła wiedzieć o życiu wśród Izraelitów? Mimo wszystkich grożących jej strasznych konsekwencji, bardziej niż dotąd pragnęła jednak stać się prawdziwą wyznawczynią Boga.

Ktoś delikatnie dotknął jej ramienia. Drgnęła.

– Przepraszam – odezwała się Miriam z uśmiechem. – Nie chciałam cię przestraszyć.

– Dręczą mnie rozmyślania. Chętnie się od nich oderwę.

– Nie pozwól, by Szalmon cię martwił. Mój brat czasem nie zna własnej siły. Ma dobre serce. Postąpi z tobą i twoją rodziną jak należy. Poza tym sam Jozue oznajmił, że możecie do nas dołączyć.

– Myślisz, że... taka kobieta, jak ja, naprawdę zdoła się nauczyć, jak się dopasować do twojego ludu? – spytała Rachab, nie potrafiąc powstrzymać drżenia głosu. Nie wyznała wszystkiego, nie powiedziała „taka *zonah* jak ja”, choć było jasne, że tak pomyślała.

– Oczywiście. Każdy widzi, że już kochasz Pana. Jesteś dzielna i prawdomówna. Dbasz o swoją rodzinę. To cechy, które ceni mój lud. Początkowo nie będzie łatwo. Nie wszyscy są mili dla przybyszów. Ale jeśli wytrwasz, niechęć przeminie.

Rachab omal nie uściskała Miriam za tę dobroć, ale w ostatniej chwili przestraszyła się, że lud Izraela uważa takie gesty za niestosowne, więc tylko uśmiechnęła się nieśmiało.

Przez cały ten dzień Ezra i Miriam uczyli ich o Panu i prawach rządzących ludem Izraela. Rachab słuchała w skupieniu, zapamiętując każdą nową informację, żeby później się nad nią zastanowić.

– Więc kto jest waszym władcą? – spytał Joa w połowie rozmowy o przywództwie.

– Nasz Pan – odparł Ezra.

– No tak. Ale takim ziemskim?

– Nie mamy ziemskich władców.

– Zatem kto jest księciem? Jozue? Czy Szalmon?

Ezra pokręcił głową.

– Nie mamy królów ani książąt. Pan namaścił Jozuego na przywódcę Izraela. Istnieje dwanaście plemion, a każde ma własnego przywódcę. Plemieniem Judy rządzi Kaleb, który jest rówieśnikiem Jozuego, człowiekiem silnego serca. Naczelnikom plemion podlegają dowódcy wojskowi. Mamy takich, którzy dowodzą tysiącami – taki jest Szalmon – i podlegających im dowódców setek. Im podlegają głowy rodzin. Nasze spory zanosimy sędziemu. Nie potrzebujemy królów, którzy mogą się stać despotami, ani książąt, którzy mogą się stać próżni i okrutni.

Imri pokręcił głową.

– Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym.

– Ale to się sprawdza. Nasz szacunek dla siebie nawzajem wynika z wiary w Pana. Jozue udowodnił już sto razy swoją skuteczność. Ale tak naprawdę ufamy mu i idziemy za nim w największe niebezpieczeństwo, ponieważ wiemy, że Pan go wybrał i dał mu siłę.

Izzie przysunęła się nieco bliżej.

– Więc skoro od czterdziestu lat błąkacie się po pustyni, nie macie domów, sklepów ani świątyń... ani dróg, ani murów... jak sobie radzicie?

Miriam właściwie się nie uśmiechnęła, choć z jednej strony jej ust pojawił się dołeczek.

– Mamy świątynię Pana. Nazywamy ją przybytkiem. Ale rzeczywiście nie jest to taka świątynia, do jakiej przywykliście, choć jest o wiele wspanialsza niż się wydaje: ze skręconego bisioru z fioletowej i czerwonej purpury, z karmazynu –

z tkanymi cherubami i wieloma misternie kutymi ozdobami ze srebra i złota. Jednak to Bóg sprawia, że przybytek budzi podziw, bo gdy się On objawia, jest to coś cudowniejszego od najwspanialszych świątyń, jakie wyszły spod ludzkiej ręki. – Serce Rachab zadrżało przy tych słowach. Myśl, że pewnego dnia wejdzie do przybytku Pana, doświadczy Jego chwały i zostanie dotknięta Jego obecnością przepełniła ją jednocześnie trwogą i rozkoszą.

– Mieszkamy w namiotach, nie w domach – ciągnęła Miriam. – Niektóre są bardzo duże i wygodne. Wszystko musi dać się przenosić, więc mamy niewiele ciężkich mebli, oprócz tych, które są przeznaczone dla Pana. Nie mamy sklepów. Mężczyźni i kobiety prowadzą handel wymienny.

Oczy Izzie błysnęły.

– Potrafię dobrze tkać.

Miriam pochyliła się i dotknęła jej szaty.

– To piękne. Sama to utkałaś?

Izzie skinęła głową.

– Zajęło mi to pół roku. Utkalam ten wzór, który widzisz na skraju tkaniny. To nie farba.

– Jaki delikatny i subtelny! Z czego go zrobiłaś?

Rachab zauważyła, że policzki jej siostry różowieją z zadowolenia.

– Splotłam wełnę ze lnem.

Przez twarz Miriam przemknął dziwny wyraz. Dziewczyna zagryzła czubek kciuka i zerknęła na Ezrę, pochłoniętego rozmową z Imrim. Najwyraźniej coś ją zaniepokoiło, choć Rachab nie potrafiła zgadnąć co. Izzie, niczego nie zauważając, paplała radośnie o pożytkach splatania ze sobą różnych włókien. Miriam słuchała tego z coraz większym przerażeniem.

W końcu Rachab wykorzystała pierwszą pauzę w przemowie siostry i spytała:

– Miriam, możemy przez chwilę pomówić na osobności?



Dziewczyna skinęła głową i poszły razem na skraj obozu, gdzie stanęły w cieniu palmy.

– Powiesz mi, co się stało? Widzę, że coś cię dręczy.

Miriam jęknęła.

– Twoja biedna siostra... nie mam serca jej powiedzieć.

– O czym?

– O jej sukni. Nie może jej nosić, kiedy do nas dołączy. Szaty z różnych rodzajów nici są dla nas zakazane. Będzie musiała je wyrzucić... taka piękna robota! O, Rachab, twoja biedna siostra!

Rachab otworzyła usta i zamknęła je znowu. Izzie z pewnością ciężko to przeżyje. Pracowała nad tą suknią mnóstwo długich godzin. A nie miała wiele strojów. Uratowała z ruin Jerycha to, co ceniła najbardziej.

– Tak bardzo mi przykro – dodała Miriam.

Rachab zagryzła wargę i zastanowiła się przez chwilę.

– Nie ma na to rady.

Wróciwszy do obozu, od razu wzięła byka za rogi.

– Izzie, kochana, niestety, mam złe wieści – zaczęła, przygotowując się wewnętrznie na burzę z piorunami. – Właściwie... to dotyczy nas wszystkich. Nie wolno nam nosić szat, w których spleciono wełnę i len. Dozwolone są ubrania z jednego lub drugiego.

– Co? – Krzyk Izzie zwrócił na nią uwagę wszystkich. – Co ty mówisz?

Miriam zrobiła krok naprzód.

– Bardzo mi przykro... Twoja szata jest piękna. Wszystkie izraelskie kobiety podziwiałaby ją tak samo, jak ja. Ale widzisz, nie wolno nam nosić odzienia, w którym wełna splata się ze lnem.

– Dlaczego, w imię bogów? To idiotyczne!

Po pierwszym okrzyku Ezra pobladł. Rachab zauważyła w jego oczach zmieszanie i rozterkę. Pewnie dziwił się, że kobieta, która pogodziła się z utratą miasta i domu, traci panowanie nad sobą

z powodu jednej marnej sukienki.

– Przepraszam – odezwał się Ezra w ciszy, która zapadła. – Widzę, że to dla ciebie bardzo trudne. Ale proszę, powinnaś zrozumieć, że jeśli chcesz żyć wśród nas, powinnaś się nauczyć nie wzywać innych bogów, nawet w gniewie czy zapomnieniu. A gdybyś wzywała imienia Pana nadaremno, byłoby jeszcze gorzej, tak jak wyjaśniłem to rano.

Izzie spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby nagle wyrósł mu ośli ogon.

– Rozmawiamy o mojej sukni – wycedziła głosem jedynie odrobinę cieplejszym od lodu.

– Tak, ale... – Miriam położyła rękę na ramieniu Ezry, uciszając go. Rachab odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Czy powiedzą Szalmonowi? Czy dojdzie do wniosku, że jej rodzina jest niereformowalna i nie powinna mieć wstępu do obozu Izraela? Sytuacja okazała się bardziej złożona niż można się było spodziewać.

Miriam wzięła Izzie za rękę.

– Pewnie wydaje ci się, że to absurd. Ja na twoim miejscu bym tak pomyślała. Ale za tym wymogiem stoi pewna zasada. Pozwól, że ci to wyjaśnię, bo ta zasada będzie się stosować niemal do wszystkich aspektów życia wśród nas. Pan uczynił nas narodem wybranym. Należymy do Niego i przestrzegamy wyłącznie Jego zasad. Nie jesteśmy jak inne narody. On wie, jak szybko poddaje się wpływom ludzki umysł. Jak łatwo byłoby nam skłonić się ku kananejskim wierzeniom. Dlatego dał nam wyraźne zasady, żebyśmy każdego dnia pamiętali, że należymy do Niego i nikogo innego. Że musimy być odmienni w myśleniu i czynach od całego otaczającego nas świata. Niektórzy twierdzą nawet, że zakazując noszenia ubrań z mieszanych włókien, Bóg symbolicznie przypomina nam, iż nie wolno nam się mieszać z ludźmi innych wyznań. Ja tego nie rozumiem. Ale wiem, że wolę być posłuszna Panu, nie rozumiejąc jego zamierzeń, niż

podążać za własną ograniczoną wiedzą. Może pewnego dnia nadejdzie czas, gdy naród wybrany nie będzie potrzebował już tych przypomnień. Może pewnego dnia Pan wypisze swoje prawo w naszych sercach, a my będziemy mogli przestać przestrzegać tych surowych reguł. Jednak do tego czasu musimy być posłuszni Jego woli. To wyrzeczenie, którego dokonujemy ze względu na Niego. Wiemy, że Bóg nie kieruje się okrucieństwem, wnikając w te szczegóły naszego życia. Jest opiekuńczym ojcem, który pragnie uchronić swoje lekkomyślne dzieci przed kłopotami. Poprzez te codzienne akty posłuszeństwa uczymy się ważniejszych zasad prawego życia. Pan wie, ile będzie cię kosztowało wyrzeczenie się tej szaty. Ale uradujesz Jego serce, jeśli to zrobisz.

Rachab podeszła do siostry i wzięła ją w ramiona.

– Zrób to dla Pana. Nie ze względu na zasady ani dla Izraela. Zrób to dla Niego, a przepełni cię radość. Jeśli zrobisz to dla tamtych, poczujesz tylko gorzkość.

Miriam spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Tak, dokładnie!

Rachab zauważyła, że gniew i napięcie opuszczają jej siostrę. Izzie zastanawiała się przez parę chwil, podczas gdy oni czekali. Gdyby mężczyźni byli końmi, mogłaby przysiąc, że grzebią kopytami w ziemi – nie mieli cierpliwości, żeby trwać w takim napięciu.

Koc, który zawiesiły poprzedniego dnia na szkarłatnym sznurze, nadal wisiał między dwoma drzewami jak prowizoryczna ściana, za którą można było się ukryć. Izzie znikła za nim. Po paru minutach pojawiła się w prostej lnianej koszuli, niosąc suknię przewieszoną przez rękę. Podeszła do ogniska, nadal palącego się po południowym posiłku, i po chwili wahania, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, wrzuciła szatę z misternym haftem do ognia. Wszyscy patrzyli na nią w osłupieniu i z podziwem. Potem matka Rachab odwróciła się

i przejrzała własny dobytek. Wyjęła parę sztuk odzieży i wrzuciła je do ognia. Kolejno wszyscy pozbyli się strojów z mieszanego włókna.

Rachab pomyślała, że praktyczniej byłoby zachować te ubrania i sprzedać je w jakimś kananejskim mieście, ale ten akt ofiary dał im radość, jakiej nie odczuli od czasu przystąpienia do obozu Izraela. Niemal jakby Pan przelał na nich swoje zadowolenie.

Kiedy Miriam i Ezra ruszyli w drogę powrotną, Rachab odprowadziła ich kawałek drogi, jak nakazywała uprzejmość. Miriam zwolniła kroku, a kiedy obie zostały z tyłu, zwróciła się do Rachab:

– Jak się domyśliłaś, że szatę należy oddać ze względu na Boga, a nie innych ludzi? Idę z Panem przez całe życie, a dopiero niedawno zaczęłam to rozumieć.

– Masz o mnie zbyt dobre zdanie. Nie zasługuję na podziw. – Rachab stanęła i wyciągnęła rękę do młodszej kobiety. Zawahała się i parę razy przełknęła ślinę, zanim odważyła się mówić dalej. – Mieszkając w Jerychu, robiliśmy... moja rodzina i ja... okropne rzeczy. Wiesz, że byłam nierządnicą. Mój ojciec poprosił mnie o to, kiedy miałam piętnaście lat. A ja postanowiłam z tego nie rezygnować, kiedy już mogłam sobie na to pozwolić. Miałam tuzin kochanków, co w tej profesji nie jest wielką liczbą, ale dla Izraela i Pana to o tuzin za dużo. Izzie oddała swojego syna Molochowi. Szereg naszych grzechów i występków ciągnie się w nieskończoność. Musisz o tym wiedzieć. Powiedz swojemu bratu. Powiedz Jozuemu. Muszą wyrazić zgodę, wiedząc o tym wszystkim. Przed Bogiem nic się nie ukryje, więc nie ma sensu wstępować do waszego obozu, usiłując to zataić. Serce mi pęknie, jeśli nas odtrącicie, ale jeśli przyjmiecie nas, nie znając w pełni, moje serce nic na tym nie zyska.

Odetchnęła i znieruchomiała. No więc powiedziała to. Przyznała się. Stała ze spuszczoneymi oczami. Nie mogłaby znieść

wstrętu, który z pewnością pojawił się na twarzy Miriam. Teraz dziewczyna prawdopodobnie przestanie ją lubić i cofnie wszystkie komplementy, którymi ją tak wspaniałomyślnie obdarzyła. Cisza przeciągała się, a potem Rachab poczuła, wstrząśnięta, że wokół niej zamykają się ramiona, ściskając ją z taką siłą, że omal się nie przewróciła.

– Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro, że musieliście to przeżyć.

– Co?

– Wasze życie wydaje się straszne. Dźwigaliście potworny ciężar. Myślisz, że bym was odtrąciła, skoro Bóg was przyjął? Skoro on przymknął oczy na waszą przeszłość, to ja także to zrobię.

– A twój brat? A Jozue? – spytała Rachab słabo.

– Jozue robi to, co każe mu Pan. A Szalmon usłucha Jozuego, choć może coś tam mamrotać pod nosem. Wytrwaj w swoim postanowieniu. Zdaj się na łaskawość Pana. Szalmon z czasem do niego dołączy.

Problem polega na tym, pomyślała Rachab, wracając ociężale do obozu, że nie jestem wcale pewna aprobaty Boga. Wmówiłam ją sobie – to bardziej prawdopodobne niż to, że On spojrział na mnie łaskawie. No i jest Szalmon, a on z całą pewnością mnie nie akceptuje.

# Rozdział 10



Siostra Szalmona przygotowała na kolację soczewicę na gęsto. Niedogotowane ziarna chrupały mu w zębach. Chleb z zakalcem przywierał do podniebienia. Miriam chlusnęła kolejną łyżkę brei do jego i tak pełnej miski, tak roztargniona, że nie zauważyła, iż płyn przelał się przez brzegi i ściekł na rękę brata.

– Miriam, co cię dręczy? – spytał Szalmon.

– Hmm? – Dziewczyna drgnęła i wstała z podłogi, żeby sprzątnąć naczynia ze stołu, nie pamiętając, że dopiero przed chwilą je napełniła. Szalmon odetchnął z ulgą. Przynajmniej nie musiał już udawać, że je.

– Mów szczerze. Powiedz, co cię martwi. I czy mogłabyś mi przynieść szmatę? Skoro uparłaś się oblewać mnie wrzątkiem, mogłabyś go przynajmniej wytrzeć.

– A, oczywiście – mruknęła i podała mu podłużny kawałek materiału. Był to jego najlepszy pas. Szalmon odłożył go na bok suchą ręką, wziął dzbanek z wodą i wyszedł na zewnątrz, żeby opłukać palce i rękaw. A także aby się zastanowić. Przesunął mokrą ręką po włosach, odzyskując spokój. Potem wrócił do namiotu.

– A teraz powiedz mi, siostro, co cię trapi.

– Zauważyłeś? Jakiś ty wrażliwy.

– Miriam!

– Skoro nalegasz... – Miriam usiadła z rozmachem na poduszce

naprzeciwko miejsca, w którym się położył. – Rozmawiałam z Rachab.

– Mogłem się domyślić – warknął Szalmon. Uderzył dłonią dywan i poderwał się na równe nogi. – Pierwszy dzień i od razu problemy.

– Lubię ją. Bardzo ją lubię. I gdybyś przestał zachowywać się jak uparty muł, też byś ją polubił.

– Świetnie. Zatem na czym polega problem?

– Opowiedziała mi o swojej przeszłości. Wyznała grzechy, swoje i swojej rodziny, bo nie chce niczego ukrywać przed tobą i Jozuem. Z całego serca pragnie do nas dołączyć, ale nie chce udawać kogoś, kim nie jest. Chce, żebyście się zgodzili na ich obecność wśród nas, wiedząc o nich wszystko. To jej wyznanie obudziło mój podziw. Niewiele osób w jej sytuacji zdobyłoby się na taką szczerość. Rachab stara się zrobić wszystko jak należy. Woli rozstać się z marzeniami niż zrezygnować z prawości.

Szalmon westchnął ciężko i przeciągle i opadł na poduszki.

– No, to opowiedz mi o tej przeszłości.

Miriam przekazała zwięźle i treściwie to, co usłyszała od Rachab. Szalmon pokręcił głową, rozdarty między niechętnym podziwem i desperacją.

– Jak mam sprawić, że ci ludzie dopasują się do nas? Ofiary z dzieci? Sprzedanie własnej córki? Nierząd? Jozue powierzył mi niemożliwe zadanie. Niech to on się z nim zмага. Idź do niego.

– Już poszłam.

– Oczywiście – mruknął Szalmon, opierając się o poduszki. – Idiota ze mnie, jak mogłem zapomnieć, że ostatnio przywódca Izraela stał się twoim najlepszym przyjacielem. I co miał do powiedzenia, jeśli wolno spytać?

– Powiedział: „Jak to, myślałaś, że zgadzając się przyjąć Kananejczyków, spodziewałem się, iż będą nieskalani jak synowie Lewiego?”.

– Przynajmniej się nie zdziwił, choć nie rozumiem, jak potrafi

się pogodzić z takim ogromem grzechu.

– Wierzy, że co było, minęło. To sprawa Boga. Powiedział też: „Naszym zadaniem jest ratowanie teraźniejszości przed zgnilizną”. Powiedział, że podziwia prawdomówność Rachab.

– Służę wzorowi wszelkich cnót – burknął Szalmon. – Coś ci powiem, siostrzyczko. Przypuszczam, że to mnie przypadnie wykopanie grobu dla tego gnijącego ścierwa teraźniejszości.



Następnego ranka Szalmon niechętnie poszedł do obozu Rachab. Towarzyszyła mu radośnie podskakująca Miriam. Zastali rodzinę przy podliczaniu finansów. Szalmon przyklęknął obok Karema i spytał:

– Wystarczy wam na namioty?

– To zależy od ich ceny. – Karem podał mu uzbieraną sumę.

– Wystarczy na jeden duży. Będzie trochę ciasny dla czternaściorga osób, ale jakoś sobie poradzicie. Wówczas zostanie wam dość pieniędzy, by kupić kilka kóz i może cielę. – Rzucił Izzie spojrzenie z ukosa. – I parę owiec. Dzięki nim będziecie mieli mleko, masło, ser, jogurt i wełnę. Jeśli przyłożycie się do pracy na roli, za rok będzie was stać na drugi namiot.

Rachab odwróciła się do niego.

– Do pracy na roli, panie? Czy to znaczy, że postanowiłeś, iż moi bracia i ojciec mogą uprawiać ziemię zamiast walczyć?

– Wiedziałem, że ci to nie umknie – mruknął Szalmon. – Tak, postanowiłem, że wykorzystamy waszą wiedzę o rolnictwie. Zakładając, że nauczycie się przestrzegać Prawa. – Rachab spuściła głowę, żeby nie zauważył jej miny. Zaczęło jej to wchodzić w nałóg, co go irytowało. Zacisnął usta i odwrócił się do Izzie.

– Miriam powiedziała mi, co zrobiłaś wczoraj. To akt odwagi. Brawo.



Izzie zarumieniła się z przyjemności.

Miriam wstała i podeszła do niej, niosąc złożony materiał.

– To dla ciebie – oznajmiła, wręczając go Izzie. – Sama to utkałam w zeszłym roku. Prezentuje się skromnie w porównaniu z twoim mistrzostwem. Chciałabym, żebyś mnie nauczyła tak tkąć. W całym Izraelu nie mamy nic tak wspaniałego jak twoje dzieło.

– To dla mnie? – wykrztusiła Izzie.

Miriam parsknęła śmiechem.

– No, na pewno nie dla twoich braci. Są zbyt szerocy w pasie.

Szalmon uśmiechnął się w duchu.



Dwa tygodnie później Szalmon znowu znalazł się w obozie jerychończyków. Usiłował się skupić na Joim, który mówił o ofiarach, ale przyłapał się na tym, że jego wzrok co chwila biegnie ku Rachab. Trzymała na kolanach jedną ze swoich siostrzenic, ucząc przędzenia drugą, starszą. Szalmon zauważył, że w towarzystwie dzieci napięcie z niej uciekało, a pełne wargi często się uśmiechały. Musiał przyznać, że była piękna. Początkowo uważał tę urodę za odstręczającą; zbyt wyraźnie przypominała mu o jej byłej profesji. Ale w tej kobiecie nie było nic kojarzącego się z nierządnicą. Zachowywała się powściągliwie, a nawet nieśmiało. Jej sposób bycia, choć bezpośredni, przystałby raczej izraelskiej pannie. Czasem niemal zapominał o jej przeszłości i musiał się upominać, by oprzytomnieć. Takich spraw nie wolno tracić z oczu.

Z wysiłkiem skierował wzrok i uwagę na krąg mężczyzn wokół siebie. Joa przez ostatnie dziesięć dni stracił tę znękaną minę. Wydawało się, że punkt widzenia Pana autentycznie go interesuje.

– Panie...?

– Hmmm?

– Dlaczego Pan żąda ofiary za mimowolny grzech? Czy można grzeszyć, jeśli się nie wie, że się grzeszy?

– Niezależnie od tego, czy czynisz zło świadomie, czy nie, ma to swoje konsekwencje. Powiedzmy, że złamię ci nogę celowo, ponieważ mam do ciebie urazę. Mój gniew i brak samokontroli przyczyni ci wiele bólu. A teraz przypuśćmy, że zrobiłem to nieumyślnie. Czy twoja kość będzie boleć mniej, ponieważ została złamana przypadkiem? Czy będziesz biegać szybciej, bo nie chciałem cię skrzywdzić? Taki jest grzech. Czy jesteś świadom swojego postępowania, czy nie, robisz komuś krzywdę. A to ma konsekwencje. W swojej świętości Pan domaga się sprawiedliwości. Domaga się poniesienia tych konsekwencji. A jednocześnie jest miłosierny dla naszych błędów. Dlatego sam daje nam możliwość poniesienia konsekwencji poprzez złożenie ofiary. – Szalmon zmienił pozycję, by usiąść wygodniej, a obracając się, zauważył, że Rachab zostawiła bratanice pod opieką bratowej i przysunęła się na tyle, by słyszeć ich rozmowę. Przez te minione dni zauważył, że zawsze przyciągało ją wszystko, co miało związek z Panem.

Rachab dostrzegła, że ją zauważył i odkaszlnęła.

– Więc Pan wybacza temu, który grzeszy nieświadomie?

Szalmon odwrócił się do niej.

– Jeśli złożysz odpowiednią ofiarę.

Rachab uparcie miała spuszczone rzęsy. Ukrywała przed nim wyraz swoich oczu. Szalmon zacisnął pięść. Zaczynało go drażnić to, że jej spojrzenie zawsze ucieka przed nim, jakby ze strachu. Czy przez te dwa tygodnie pomimo wszystkich obiekcji wobec niej choć raz potraktował ją źle? Czy ją obraził? Poniżył? Dlaczego potrafiła się uśmiechać do Ezry, Hananiego, Miriam i najwyraźniej każdej istoty ludzkiej pod słońcem, a jego jednego traktowała z rezerwą i dystansem? Miał okropną ochotę wziąć ją pod brodę i unieść ku sobie jej twarz, ale tylko mocniej zacisnął

palce.

– A co z mieszkającymi wśród was przybyszami? – spytała cicho, bez nacisku.

– A co ma być? – warknął. Nie potraktował jej pytania poważnie. Nadal zastanawiał się nad jej chłodem. Niechęć wezbrała w nim, nieracjonalna i przenikliwa, nadając jego głosowi ostrzejsze brzmienie niż zamierzał.

Rachab usłyszała je i źle je zrozumiała. Jej jasna skóra poróżowiała mocno, a on zbyt późno dostrzegł jej przerażenie.

– Wybacz, panie. Nie chciałam przerywać lekcji – szepnęła i chciała wstać. Szalmon chwycił ją za rękę i pociągnął w dół, zanim zdążył sobie uświadomić, co robi.

– Zostań. Nie przerwałaś mi. – Przez chwilę usiłowała odebrać mu rękę, ale przytrzymał ją i zmusił, żeby została. – Spytaj jeszcze raz – dodał, z wysiłkiem przybierając łagodny ton.

Rachab skamieniała. Szalmon uświadomił sobie, że nadal trzyma jej rękę i natychmiast ją puścił. Nonszalancko oparł się na łokciach, odsuwając się od Rachab.

– Chciałam... chciałam spytać, czy obcy, mieszkający wśród was, mogą także otrzymać przebaczenie, składając ofiarę.

To nie było pytanie o rytuał. To nie było pytanie, które miało jej pomóc dopasować się do nich albo uniknąć popełnienia kosztownych błędów. Tego pytania nie podyktowały względy praktyczne. Rachab chciała ucieszyć Boga, znaleźć przebaczenie i odkupienie.

Czy Bóg dałby je komuś takiemu jak ona? Czy Szalmon znał odpowiedź na to pytanie? Echo dawnych nauk odezwało się gdzieś w głębi jego umysłu. Co mówił Mojżesz o obcych?

– Mojżesz powiedział kiedyś w imieniu Pana: „Dla tubylca spośród Izraelitów i dla przybysza osiadłego pośród was jedno prawo będzie dla wszystkich, którzy zgrzeszyli nieświadomie”. Chodziło o składanie ofiar.

– Powiedział, że obcy jest w jego oczach tym samym co wy? –

W nagłym poruszeniu Rachab zapomniała o unikaniu spojrzenia Szalmona. Pozbyła się zwykłej rezerwy i spojrzała na niego bez nieufności. Szalmon odetchnął gwałtownie. Uświadomił sobie – być może wyraźniej niż ona sama – że włożyła w to pytanie całe swoje serce. Wydarła je sobie, odsłoniła je, wypowiadając te słowa, bo ich istotą była ofiara złożona z samej siebie, jej pragnienie przynależności do Pana i Izraela ze świadomością, że może zostać odtrącona, wygnana, uznana za niegodną akceptacji.

Zmarnował tyle czasu, nie wierząc w jej lojalność, obawiając się zdradzieckiej kananejskiej skłonności do bałwochwaltwa, powątpiewając w jej motywy. Jak mógł się tak strasznie pomylić? Rachab chciała tylko oddać się Panu. Była Go spragniona, łaknęła Go. Nie miała dość Jego nauk. I nie szukała wiedzy, lecz przynależności. Chciała samego Boga.

Czy ktoś taki jak ona mógł stać się istotą Bożą? Czy Pan ją zaakceptuje, przyjmie, zakryje jej hańbę i grzech? Czy to ją miał na myśli Pan, mówiąc o obcych przybyszach? Szalmon nie chciał jej dawać fałszywych zapewnień czy pustych obietnic. W milczeniu poprosił Pana, by naprowadził go na właściwą odpowiedź.

– Tak, Mojżesz tak powiedział – zaczął. – Mówił o ofiarach i o tym, że obcy przybysze, mieszkający wśród ludu Izraela, muszą się dostosować do jego zasad. Muszą składać takie same ofiary. – Przerwał i zastanowił się głęboko przez parę chwil. – Powinniśmy pamiętać, że dla Izraela ofiara nie jest symbolicznym gestem. Osiąga się przez nią coś realnego. Ofiara to jednocześnie przyznanie się do winy i cena wybaczenia. Więc jeśli Bóg prosi obcego o złożenie ofiary, nie wymaga od niego przestrzegania pustych rytuałów. Bóg nie prosiłby o ofiarę, gdyby nie zamierzał dać w zamian swojego wybaczenia i akceptacji. – Na chwilę zamilkł i zapatrzył się w poruszający się piasek. – Dziwne. Nigdy dotąd o tym nie myślałem.

Rachab wyglądała, jakby pytania ją rozsadzały. Ale to

pragnienie znalezienia odpowiedzi mieszało się z czymś jeszcze, czymś bardziej pierwotnym. Strachem? Przełknęła ślinę i nie odezwała się, znowu schowała się w swojej warowni. Szalmon przyjął to z rozdrażnieniem i ulgą jednocześnie. Miał ochotę – tak gwałtowną, jak nigdy – roztrzaskać te jej mury, znowu doświadczyć jej otwartości i zaufania. A jednak wiedział też, że niektóre pytania, jakie pragnęła mu zadać, postawiłyby go pod ścianą. „Czy Pan wybaczy mi rozwiązłe życie? Czy wybaczy mojemu ojcu, że zmusił mnie do zostania prostytutką? Czy wybaczy mojej siostrze i jej mężowi oddanie syna w ofierze Molochowi? Czy po tym wszystkim będziemy mogli zacząć od nowa?”.

Potarł kark dłonią stwardniałą od miecza. Jak brzmi odpowiedź na te zagadki? Wszystkie te grzechy były uznane za ciężkie i za każdy groziły poważne konsekwencje. Czy Bóg wybaczy? Czy da tej rodzinie drugą szansę?

Miriam wybrała sobie akurat tę trudną chwilę, żeby do niego dołączyć. Od godziny rozmawiała z matką Rachab. Szalmon zauważył cienie pod oczami siostry. Dziś wstała przed nim i przez parę godzin gotowała i zajmowała się chorymi, zanim wybrała się z nim na spotkanie z Rachab i jej rodziną. Zmęczenie odcisnęło się na jej twarzy. Powinienem był to zauważyć wcześniej, pomyślał z ukłuciem wyrzutów sumienia. Wstał zwinnie i pociągnął ją za sobą.

– Chodź. Czas wracać do domu. – Przed odejściem odwrócił się jeszcze do mężczyzn. – Jutro porozmawiam z Jozuem o osiedleniu was w naszym obozie. Sądzę, że jesteście gotowi. – Potem ruszył, prowadząc delikatnie siostrę przed sobą, by uciec, nim radosne podziękowania zaczną mu grać na nerwach.

Wracali do domu w milczeniu. Miriam była zbyt zmęczona, żeby rozmawiać, a on zastanawiał się nad pytaniami, których nie zadała mu Rachab.

– Kocha Pana, prawda? – odezwała się Miriam. – Tak

naprawdę, głęboko. Takiej wiary nie spotyka się często.

– Hmmm?

– Rachab. Podśluchałam waszą rozmowę.

– Hmmm.

– Mój brat, elokwentny mówca. Ja nie żartuję. Pamiętasz ten dzień, kiedy spalili swoje ubrania? Nie mówiłam ci, co Rachab powiedziała wtedy Izzie. Kiedy ja tłumaczyłam, że nie wolno jej wnieść tej sukni do naszego obozu, Rachab wyjaśniła, że Izzie powinna oddać szatę wyłącznie ze względu na Pana. „Zrób to dla Pana. Nie ze względu na zasady ani dla Izraela. Jeśli zrobisz to dla tamtych, poczujesz tylko gorycz”. Zdumiała mnie tą swoją mądrością. Ledwie rozumiała wtedy podstawowe przykazania, a jednak doskonale pojęła różnicę między przestrzeganiem rytuałów a oddawaniem czci. Rozumiała, że ofiara dokonana dla Pana przynosi radość, podczas gdy spełnianie oczekiwań ludzi może się skończyć jedynie bólem.

– To... niezwykła kobieta.

– Czy to dlatego tak często bywasz w ich obozie?

– Co?!

– Daj spokój. Mógłbyś posłać do nich kogokolwiek, byle kogo. Każdy mógłby ich nauczać. A ty co i rusz postanawiasz zrobić to osobiście. Dwa tygodnie temu rwałeś sobie włosy z głowy, bo Jozue ci ich narzucił, a teraz rozdzielić cię z nimi nie można.

– Chciałem sam ocenić ich charakter – odparł.

Miriam prychnęła, ale miała dość rozumu, żeby na tym poprzestać. Szalmon zacisnął wargi z rozdrażnieniem. Jej słowa brzmiały niepokojąco prawdziwie. Sam stoczył już ze sobą niezliczoną ilość utarczek, w których wyrzucał sobie to samo, co Miriam. Każdego ranka powtarzał, że ma lepsze zajęcia. Tłumaczył to sobie, kiedy nogi same niosły go do obozu Rachab. Wmawiał sobie, że te wizyty wynikają z licznych problemów, jakie stwarza wprowadzenie między lud Izraela rodziny z wrogiego narodu. Potencjalne pułapki, kryjące się w tym

głupim planie Jozuego, mogły przyprawić młodzieńca o siwiznę. Niebezpieczeństwo urazy, nienawiści, skrytego bałwochwalstwa, niemoralności, rozłamu i dziesiątków innych gróźb wisiało nad jerychońskimi przybyszami niczym chmura burzowa. Szalmon niemal zdołał sobie wmówić, że odwiedza ich tak często, żeby zapobiec nieszczęściu.

Jedyna słabość tego znakomitego rozumowania miała imię. Rachab. Zbyt często o niej myślał. Jego wzrok sam jej szukał. Choć dręczył go fizyczny pociąg do tej Kananejki, był niczym w porównaniu z rosnącą fascynacją, jaką w nim budziła. Odkrył, że ta kobieta ma wspaniały umysł. Inteligentna i błyskotliwa, często zdawała się wyprzedzać wszystkich swoich krewnych o pięć kroków. Przewidywała liczne konsekwencje każdej decyzji z precyzją, którą Szalmon mógł tylko podziwiać. A najbardziej pociągała go jej wiara. Rachab obudziła w nim dawne pragnienie.

Szalmon ożenił się jako młody chłopak. Znał swoją Annę od dziecka. To rodzice mu ją wybrali, choć on chętnie przystał na ich wybór. Przez krótkie lata ich małżeństwa poznał, co znaczy dobroć wiernej żony. Poznał towarzystwo cierpliwej i troskliwej kobiety. Ale w głębi serca pragnął czegoś więcej. Anna wierzyła w Pana i przestrzegała jego nakazów, ale w jej wierze nie było żarliwości. Nie mówiła o Nim z mężem, nie rozpłomieniała się bardziej z każdym nowym krokiem wiary. Gdy Szalmon usiłował poruszyć ten temat, unikała go. A on pragnął zanurzyć się z nią w tajemnicach Boga, dzielić się najcenniejszym i najświętszym pragnieniem swojej duszy. Jego małżeństwo, choć przyjemne i ciepłe, nie miało żaru największej pasji jego życia.

Choć Anna umarła wiele lat temu, Szalmon nie ożenił się ponownie, ponieważ pamiętał jałowość tego małżeństwa i bał się jej. Pragnął więcej niż zaznał z Anną. Czuł się zdrajcą przez sam fakt, że o tym myślał, jakby wyrzucał Annie jakieś niedociągnięcia. Bo w czym zawiniła?

W Rachab dostrzegł mgnienie pasji, inteligentnego,

poszukującego umysłu, głodu Pana, którego i on pragnął. Jednak pomimo wielu talentów była całkowicie dla niego nieodpowiednia. Jej pochodzenie, nie wspominając już o skalanej przeszłości, skreślały ją jako małżonkę dla jakiegokolwiek Hebrajczyka, a zwłaszcza dla izraelskiego przywódcy – syna Nachszona, który niegdyś był przywódcą plemienia Judy! Po prostu do siebie nie pasowali.

A jednak ciągnęło go do niej...

Przewidział wszystkie możliwe niebezpieczeństwa, grożące ludowi Izraela ze strony Rachab i jej rodziny, ale tego jednego nie wziął pod uwagę. Ta niestosowna fascynacja wydawała się niepotrzebną ironią losu. Od jutra będę od nich stronić, postanowił surowo. Skoro Miriam zaczęła zauważać jego skłonność, wybiła ostatnia godzina, żeby temu położyć kres. Kopnął kamień, niechcący wzbijając w powietrze chmurę pyłu i piasku. Miriam, która szła, cicho nucąc, zachłysnęła się nim.

– Fu! – zawołała, wypluwając ziarenka. – Co robisz, wypowiadasz wojnę piaskowi?

– Przepraszam.

Nie zgadła, nie chodziło o piasek. Tę wojnę wypowiedział samemu sobie.



– Jozue, moim zdaniem Rachab i jej rodzina mogą już zamieszkać z nami.

Szalmon siedział w towarzystwie Jozuego na kamienistym wzgórzu. Spomiędzy głazów gdzieniegdzie wystawało parę ździebeł trawy, kołyszących się na łagodnym wietrze.

Jozue szybko stłumił półśmiech, zanim się do niego odwrócił – nie dość szybko dla Szalmona.

– Cieszę się, że to słyszę. Więc już się nie obawiasz?

Szalmon zacisnął wargi.



– Tego bym nie powiedział. Po prostu mam pewność, że wierzą szczerze i że dobro Izraela leży im na sercu.

Jozue prychnął.

– Jakiś ty wspaniałomyślny. Połowa obozu już wie o niezwykłej wierze tej kobiety. Sam chciałbym ją poznać. Może jutro przyprowadzisz ją do mnie?

– Poproszę o to Hananiego.

– Nie, nie. Ty ją przyprowadź. Twoja obecność też jest mi potrzebna.

Szalmon omal nie przewrócił oczami.

– Oczywiście – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

# Rozdział 11



**A** jednak następnego poranka Szalmon znowu ruszył wydeptaną ścieżką do obozu jerychończyków. Przynajmniej tym razem ze względu na Jozuego. Po dotarciu na miejsce jak najdłużej odwlekał spotkanie z Rachab. Najpierw poszedł do jej braci i ojca.

– Możecie się spakować i dziś po południu przybyć do naszego obozu. Wiem o namiocie, który spełni wasze wymagania. Dopilnuję, żebyście go dziś dostali. Po południowym posiłku przyślę paru ludzi, którzy pomogą wam przenieść rzeczy.

Kiwnął głową, gdy mężczyźni zaczęli mu dziękować. Ich autentyczny zachwyty go krępował. Poczul, że mu doskwiera jakieś uczucie, nieprzyjemnie podobne do wyrzutów sumienia. Przyszło mu do głowy, że ze względu na swój stosunek do nich bardziej zasługuje na ich niechęć niż wdzięczność. Z czasem nauczył się okazywać im szacunek, a nawet stopniowo pozbywał się uprzedzeń. Ale nigdy nie okazywał im ciepła ani życzliwości.

Odsunął od siebie tę myśl i – nie mogąc dłużej wymigiwać się przed swoim prawdziwym zadaniem – odwrócił się, żeby poszukać Rachab. Znalazł ją po drugiej stronie obozu, klęczącą przy ogniu. Nie spieszył się z podejściem. Bał się jej bliskości. I tęsknił za nią. Te sprzeczne uczucia skręcały mu żołądek.

Zbyt szybko do niej dotarł i przez chwilę stał nad nią. Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Wydawało mu się, że dostrzegł w nich mgnienie strachu, zanim ukryła je za rzęsami.

– Rachab – odezwał się, kiwając głową.

– Dzień dobry, panie.

– Jozue chce się z tobą widzieć – rzucił bez dalszych wstępów.

– Ze mną?

– Tak. Z tobą. – Nie drgnęła. – Zaraz, jeśli możesz.

– Zaraz?

– Jeśli będziesz powtarzać każde moje słowo, ta rozmowa potrwa dłużej, niż się spodziewałem.

– Ale dlaczego mnie wzywa? Czy zrobiłam coś złego?

Szalmon przykucnął, by spojrzeć jej w twarz. Przyglądał się przez chwilę, uważnie badając jej reakcję. Jej pełne wargi zadrżały. Zagryzła je. Splotła palce tak mocno, że pobieleły. W oczach koloru miodu pojawił się strach. Szalmon poczuł nagle, że ma ochotę otoczyć ją ramionami i trzymać w objęciach tak długo, aż ten strach ją opuści. By nie dopuścić do takiego szaleństwa, założył ręce za plecami.

– Chce się tylko z tobą spotkać, nic więcej. Uratowałam jego ludzi. Może nawet ci podziękuje. Nie masz się o co martwić. Powiedziałem już twojej rodzinie, że możecie dziś przenieść się do naszego obozu. Na stałe. Paru moich ludzi przyjdzie, żeby wam pomóc.

– Dziś? – Zasłoniła usta ręką. – Wiem, wiem, powtarzam twoje słowa. Po prostu... mam wrażenie, że śnię. Czy naprawdę możemy zamieszkać wśród ludu Izraela?

– Już dziś.

Roześmiała się – melodyjny dźwięk, pełen ulgi i uniesienia. Szalmon, który zaledwie dwa tygodnie temu walczyłby do ostatniej krwi, żeby nie dopuścić jej do swojego ludu, uśmiechnął się wraz z nią i pomyślał, że mógłby częściej sprawiać jej radość.

– Skoro mam się spotkać z Jozuem, muszę się przebrać. I spakować przed przeprowadzką.

– Pakowanie zostaw krewnym. Na pewno dadzą sobie radę. – Zerknął na nią z ukosa. – Możesz się przebrać, jeśli chcesz, ale

wyglądasz pięknie tak, jak jesteś.

Rachab nerwowo wygładziła lnianą suknię.

– Lepiej włożę coś stosowniejszego. To nie potrwa długo – obiecała i wstała. Długo klęczała, więc kiedy się wyprostowała, na chwilę straciła równowagę. Szalmon wyciągnął rękę; jego refleks zadziałał bez zastanowienia. Przez jedną niezręczną chwilę dotykali się, pochyleni ku sobie. Dłoń Szalmona spoczywała na ramieniu Rachab. Jej skóra była sprężysta, zachęcająca. Ten zwykły dotyk wyzwolił w nim ogłuszający spazm pożądania, a to go rozgniewało i ten gniew irracjonalnie obrócił się przeciwko kobiecie, która w nim to wszystko obudziła. Odepchnął ją i cofnął się o krok.

Rachab poczerwieniała jak owoc granatu.

– To... nie potrwa długo – powtórzyła i uciekła.

– Nie potrwa długo – wymamrotał Szalmon pod nosem, kiedy oddaliła się na tyle, by go nie słyszeć. Wytarł dłoń o tunikę z samodziła – niemal jakby chciał wytrzeć wspomnienie dotyku jej skóry. To wszystko przez Jozuego. Powinien odstawić Rachab pod namiot przywódcy i skończyć z tą sprawą. Niech Jozue się o nią martwi. On sam załatwi ten wielki namiot dla rodziny i każe go rozbić jak najdalej od swojego. Przy odrobinie starań może się nie spotykać z nią częściej niż raz na miesiąc. O, i to jest dobry plan.



Pomimo zapewnień Szalmona Rachab uznała, że jej suknia jest pomięta i nieświeża. Brak wody w ich malutkim obozie oznaczał, że to, co otrzymywali od Hebrajczyków, przeznaczano tylko do picia, gotowania i najbardziej niezbędnych ablucji. Pranie stanowiło luksus, na który nie mogli sobie pozwolić od dawna. Na szczęście przewidująco odłożyła czystą suknię na dzień, w którym się wprowadzą do obozu Izraela.

Podczas ostatnich tygodni w Jerychu, zanim armia Izraela stanęła pod jego murami, Rachab postanowiła sprzedać większość swoich szat, welonów i sarongów z przedniego jedwabiu. W nocy, w której obiecała Bogu, że odmieni swoje życie, stały się dla niej bezużyteczne. Na ich miejsce kupiła parę długości zwykłego, mocnego materiału, z którego zrobiła kilka sukni dobrej jakości, lecz skromnego kroju. Widząc, jak ubierała się Miriam, cieszyła się ze swojego daru przewidywania. Jeśli tak samo wyglądają inne Izraelitki, to nowe szaty Rachab wydadzą się im luksusowe, lecz całkiem stosowne.

Umyła się pobieżnie szmatką zanurzoną w ciepłej wodzie, po czym włożyła czystą płócienną suknię. Włosy miała splecione w warkocz spadający na plecy. Nie zostało jej dość czasu, żeby coś z nim zrobić. Przetrzęsnęła sakwę i znalazła mały słoiczek cennej wody różanej, którą zwilżyła włosy. Natychmiast tego pożałowała. Czy zapach przypomni Jozuemu o jej przeszłości? Czy kobiety Izraela uważają perfumy za niemoralny zbytek? Zaczęła gorączkowo trzeć szmatką głowę, aż skóra ją rozbolała. Potem chwyciła długi szal i zarzuciła go sobie na włosy. Wiedziała, że dłuższe czekanie wpędzi Szalmona w zły humor. W jeszcze gorszy humor, pomyślała. I tak już ledwie nad sobą panował. Kiedy się zachwiała, odepchnął ją, jakby ją uważał za wcielenie grzechu. Jakby stanowiła obrazę dla niego i nieba. Jęknęła. Nie mogła znieść tej swojej desperacji, żeby zyskać jego aprobatę. Nie mogła znieść tego, że wszystkie jego najdrobniejsze gesty mają na nią taki wpływ.

Kiedy wyszła zza prowizorycznej zasłony, Szalmon ledwie rzucił na nią okiem. Ruszył bez słowa, a ona musiała przyspieszyć, żeby za nim nadążyć. Miał o wiele dłuższe nogi i co parę kroków musiała podbiegać. Jeśli to zauważył, to nie zareagował.

– Czy obóz jest daleko? – zaryzykowała po długim milczeniu.

– Nie.

Minęły kolejne minuty. W porannym słońcu zaczęła sapać, ale zamęt w głowie przeszkadzał jej bardziej.

– Dobrze znasz Jozuego? – spytała.

Z każdym krokiem spotkanie z przywódcą Izraelitów przerażało ją coraz bardziej. A jeśli się mu nie spodoba? Jeśli po spotkaniu z nią zmieni zdanie i nie pozwoli im zostać?

Szalmon zwolnił.

– Znam go od zawsze.

– Czy to... dobry człowiek?

– Najlepszy. – Szalmon przez chwilę przyglądał się jej. Potem odwrócił wzrok. – Dlaczego się boisz?

Wzruszyła ramionami, zbyt zawstydzona, żeby się przyznać do zwątpienia w siebie. Sama sobie wydawała się dziecinna.

– Dlaczego? – powtórzył. – Powiedz.

W takich momentach łatwo było zrozumieć, dlaczego tysiące ludzi szło za tym człowiekiem. Siła jego osobowości była miażdżąca jak koła rydwanu. W każdym razie Rachab nie zdołała się mu przeciwstawić.

– Może zmienić zdanie, kiedy mnie pozna – wyznała drżącym głosem.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

Poczuła, że za chwilę się rozplacze. Im bardziej zbliżali się do obozu izraelskiego, tym większą zyskiwała pewność, że Jozue jej nie polubi. Zwolniła, a w końcu całkiem stanęła.

– Może to błąd.

Szalmon zatrzymał się parę kroków przed nią. Zawahał się z jedną stopą podaną naprzód, drugą zarytą w piasku, jakby nie mógł się zdecydować, czy ją tu zostawić, czy do niej podejść. Jęknął cicho i zawrócił.

– Chodź. To nie jest błąd.

Pokręciła głową.

– Jozue nie rozumie brudu naszego dawnego życia. Gdyby rozumiał, nigdy by nam nie pozwolił do was dołączyć.

– Rozumie to lepiej od ciebie. I nadal was chce widzieć wśród nas.

Rachab usiadła ciężko na piasku i ukryła twarz w dłoniach. Ku swojemu przerażeniu nie zdołała powstrzymać łez. I to akurat w obecności Szalmona! Poczowała na czubku głowy jego oddech, a potem uświadomiła sobie, że przywódca przy niej ukląkł.

– Ćśśś... wszystko jest dobrze – szepnął. Przynajmniej raz nie usłyszała w jego tonie potępienia ani desperacji. Dziwne, ale to szczere współczucie sprowokowało ją do jeszcze gwałtowniejszego płaczu. Szalmon delikatnie uniósł jej dłoń i wziął ją w obie ręce. Jego dotyk wydawał się czysty, bezpieczny. Już to samo nią wstrząsnęło. Kiedy ostatnio jakiś mężczyzna dotknął ją w cnotliwy sposób? W jego obecności, która otaczała ją jak bezpieczne mury, ciężar minionych tygodni rozładował się w potopie cichych łez. Ze wszystkich ludzi w Kanaan Szalmon byłby ostatnim, którego wybrałaby sobie na pocieszyciela. Ale nie potrafiła płakać w obecności rodziny, bo wszyscy polegali na jej sile. Polegali na jej pomysłowości, musiała być dla nich opoką w czasie niepewności.

– Wybacz – wykrztusiła, kiedy wypłakała chyba ostatnią kroplę wilgoci ze swojego ciała. – Nie wiem, co mnie naszło.

Szalmon puścił jej rękę i odsunął się od niej.

– Bardzo długo byłaś odważna. Twoja siła ma granice, to wszystko. Ale nie musisz się obawiać Jozuego. Chodź. Chodź i sama się przekonaj.

Rachab skinęła głową i wstała. Piasek zasypał jej nową suknię. Łzy zostawiły ślady na twarzy. Z nosa jej ciekło.

– Ależ wyglądasz – powiedział Szalmon z łagodnym uśmiechem, w którym nie było już uszczypliwości.

– Wiem. – Wytarła twarz chusteczką i otrzepała suknię, jak mogła najdokładniej. Szalmon czekał bez słowa. Nie tupał nogą, nie bębnił palcami, demonstrując zniecierpliwienie. Gdy znowu ruszyli, szedł o wiele wolniej, dopasowując się do jej drobnych

kroków.



Jozue powitał Rachab szerokim uśmiechem, który w niczym nie złagodził jej napięcia. Serce jej łomotało z tak absurdalną siłą, że wszyscy powinni to słyszeć. Rachab dygnęła z szacunkiem należnym królowi. Przez spuszczone rzęsy przyjrzała się Jozuemu, usiłując go ocenić. Miał uderzający wygląd, choć trudno by go nazwać przystojnym. Orli nos, mocne usta, oczy o przenikliwym spojrzeniu świadczyły o silnym charakterze, który nie znosi sprzeciwu. Nie był to człowiek, którego chciałaby mieć za wroga. Ale podejrzewała, że przyjaźń z nim jest równie słodka, jak gorzka jest jego nieprzyjaźń.

– Czekałem niecierpliwie na to spotkanie – przemówił. Ale zanim zdążył coś dodać, do namiotu wbiegł niezapowiedziany młodzieniec, zakurzony, w ubraniu w nieładzie. Zaskoczona Rachab odstąpiła na bok. Czy to normalne – to niegrzeczne wtargnięcie do namiotu przywódcy ludu Izraela? Przybysz dyszał ciężko, jakby musiał przebiec znaczną odległość, a słowa wydobywał z siebie z trudem wraz ze spazmami oddechu.

– Jozue! O, Jozue...

– Elam? Jakie wieści z Aj?

– Ponieśliśmy klęskę! Pokonali nas mieszkańcy Aj! Odpędzili nas od bram miasta aż po kamieniołomy i strącili z ich urwisk. Trzydziestu sześciu ludzi nie żyje.

W namiocie Jozuego zapadło ciężkie milczenie. Rachab wiedziała o Aj. Był to mały, niewarty wspomnienia kraik, którego król władał najwyżej dwunastoma tysiącami poddanych. Jak to możliwe, że ludzie, którzy pokonali Oga i Jerycho, ponieśli klęskę pod Aj? Ta wiadomość nie miała sensu.

Szalmon i Jozue stanęli przy Elamie. Ciężkie milczenie zastąpił grad pytań, zrozumiałych tylko dla wojskowych. Jozue musiał



zapomnieć o obecności Rachab, bo drgnął, gdy zauważył ją, ze skrępowaniem stojącą na uboczu.

– Wyprowadź ją stąd – warknął do Szalmona. – I szybko wracaj. Wezwij do mnie starszyznę. Musimy stanąć przed Panem i prosić o jego orędownictwo.

Szalmon poszarżał. Chwytał Rachab za ramię i prawie wybiegł z nią z namiotu.

– Muszę znaleźć Miriam – wymamrotał.

Rachab biegła, potykając się, za nim, zarażona jego zdenerwowaniem. Wieści były bardzo złe. Szalmon zatrzymał się nagle. Rachab wpadła na niego, omal nie wykręcając sobie ręki. Skrzywiła się i potarła posiniaczone ciało. Szalmon, choć pochłonięty innymi zmartwieniami, zauważył to i natychmiast ją puścił.

– Zrobiłem ci krzywdę?

– To nic takiego.

– Przepraszam. – Przesunął rękami po ciemnych włosach, które zjeżyły się mu jak burzliwe fale. – Rachab, muszę cię o coś prosić. Przysięgnij, że nie powiesz tego, o czym się dowiedziałaś, nikomu, nawet Miriam.

– Oczywiście. Ludzie straciliby pewność siebie, gdyby zbyt szybko lub w niewłaściwy sposób dowiedzieli się o tym wydarzeniu.

– No, właśnie. Właśnie – powiedział z ulgą. – Mogę zaufać, że informacje o Aj zachowasz dla siebie?

– Tak, Szalmonie.

– Dobrze. To dobrze. – Przez chwilę patrzył jej w oczy. Mimo napięcia i troski, odcisniętych na jego twarzy, odmalowało się na niej także coś podobnego do aprobaty. – A teraz znajdę Miriam i zostawię cię z nią. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie, ale nie zdążę zadbać o kupno namiotu dla twojej rodziny.

– Nie martw się o nas. Nie zaszkodzi nam spędzenie paru więcej nocy pod gwiazdami. Czy Miriam pokaże nam, gdzie dziś

przenocujemy?

– Tak. Powiedz jej, żeby poprosiła Ezrę o pomoc, on ma zmysł do takich praktycznych spraw, a poza tym lubi twoją rodzinę.

Znowu ruszył w szalonym tempie i Rachab zapomniała o wszystkim, starając się za nim nadążyć. Poruszanie się w izraelskim obozie z taką karkołomną prędkością nie było łatwe. Trasa była usiana namiotami, wszędzie kręcili się ludzie, bawiły się dzieci, płonęły ogniska, a na prowizorycznych pastwiskach pasło się bydło. Wychowanej w mieście Rachab wydawało się, że otacza ją chaos, ale Szalmon pokonywał ten tor przeszkód z wprawą. Mieszkał w takich obozach przez całe życie.

Szli w ten sposób co najmniej dziesięć minut, gdy nagle, bez ostrzeżenia, zatrzymali się przed obszernym namiotem w kolorze szafranu. Szalmon uniósł jego klapę wejściową gestem zdradzającym, że to jego domostwo.

– Miriam?

Kilka płóciennych przepierzeń dzieliło wnętrze namiotu na prywatne „pokoje”. Zza jednego z nich wyłoniła się siostra Szalmona.

– Co ty tu robisz?

– Jozue ma dla mnie pilne zadanie. Rachab wyjaśni, czego potrzebuje. Muszę iść. – Wybiegł, zanim Miriam zdążyła o coś spytać.

– Gdzie się pali?

– A, no wiesz. Sprawy Jozuego.

Miriam parsknęła śmiechem.

– Nie spędziłaś tu nawet dwóch godzin, a już mówisz jak on. Chcesz coś wypić albo zjeść? Oczywiście, że chcesz. Czy ten mój brat w ogóle pomyślał o czymś tak przyziemnym, jak kubek wody, gdy los naszego plemienia wymaga jego uwagi? Chodź, usiądź. Chyba jesteś zmęczona.

Rachab osunęła się na stertę puchowych poduszek, wdzięczna za ich miękkość. Wyrwało jej się błogie westchnienie. Po dwóch

tygodniach życia na wolnym powietrzu ten skromny namiot wydawał się jej pałacem.

– O, jak ja lubię poduszki – szepnęła.

– Pewnie jesteś obolała po sypianiu na ziemi przykrytej tylko kocem.

– Mam szczęście, że żyję. Nie narzekam.

– Nic nie uczy wdzięczności tak, jak utrata wszystkiego. Ja też coś o tym wiem. – Miriam uśmiechnęła się ze smutkiem. – Moje pokolenie urodziło się w czasach ubóstwa. Dzięki temu jesteśmy wdzięczni za każdy drobiazg.

Rachab pomyślała – nie po raz pierwszy – że Miriam jest nadzwyczajną kobietą.

– Czy wszystkie izraelskie kobiety są tak mądre, jak ty? – spytała impulsywnie.

– Ależ skąd! Jestem klejnotem wyjątkowej ceny.

Obie parsknęły śmiechem.

– No to co za ważne sprawy Jozuego wezwały mojego brata? Był jakiś dziwnie skrzywiony.

Rachab uświadomiła sobie z poczuciem winy, że rozkoszując się puchowymi poduszkami i inteligencją swojej gospodyni, zapomniała o wielkiej próbie Izraela i trzydziestu sześciu zabitych młodzieńcach.

– Chyba jakaś narada. W każdym razie będzie zajęty przez cały dzień. Szalmon prosił, żebyś razem z Ezrą pomogła mojej rodzinie urządzić się tu przynajmniej na jedną noc. Nie zdąży załatwić kupna naszego namiotu.

– To nie w jego stylu. Zastanawiam się, co się dzieje.

Rachab wzruszyła ramionami.

– Powie nam, kiedy będziemy musiały wiedzieć. A na razie... gdzie ta woda? Jeśli mam galopować za kolejnym długonogim osobnikiem, muszę zwilżyć gardło.

Miriam uśmiechnęła się, zdejmując pokrywkę z wielkiego glinianego dzbana i nabierając chochlą wody dla Rachab.

– Tak, Ezra ma długie nogi. Ale przecież dobrze o tym wiesz, skoro to ty go spuściłaś z jerychońskich murów. Kiedy po raz pierwszy o tym opowiedział, ludzie żartowali sobie z rozmiarów kananejskich kobiet. Zaczekaj, aż cię zobaczą na własne oczy. Właściwie jak ci się to udało? On jest chyba ze dwa razy większy od ciebie.

– Pewnie Bóg dał mi siłę. Zresztą nie miałam wyboru. Gdybym go puściła, złamałby kark.

– Tobo była szkoda, bo kark ma ładny. – Rachab zauważyła, że Miriam się zarumieniła, ale postanowiła o tym nie wspominać. Jej gospodyni szybko zmieniła temat. – Kiedy przybędzie twoja rodzina?

– Szalmon powiedział, że po południu. Kazał swoim ludziom pójść po nich. Ale do tego czasu minie jeszcze parę godzin, kiedy odchodziłam, jeszcze nie zaczęli się pakować.

– Zatem mamy czas przygotować parę rzeczy. Znajdźmy Ezrę, niech się zabiera do pracy.

Cała trójka przez parę godziny wybierała odpowiedni kawałek gruntu, należący do plemienia Judy. Ezra powiedział, że kiedy kupią namiot, mogą go postawić w tym samym miejscu. Pomógł też im zrobić palenisko, przynieść wody i rozciągnąć między palmami linę do rozwieszenia koców, dających pewną osłonę. W pobliżu stało parę namiotów i Miriam przedstawiła Rachab kobietom z każdego gospodarstwa. Rachab zauważyła, że wszystkie traktują ją w najlepszym razie z rezerwą. Nie uśmiechały się, nie proponowały przyjaźni. Żadna nie zachowała się niegrzecznie, ale też nie dążyły do zawarcia z nią znajomości. Jej wnętrzości ścisnęły się ze strachu.

– Nie martw się – szepnęła Miriam, gdy wyszły z ostatniego namiotu. – Słyszały o tobie dobre rzeczy. Jozue, przemawiając do ludu po upadku Jerycha, nazwał cię kobietą wiary. Z czasem zaakceptują cię, tak jak on.

Rachab rzuciła jej imitację uśmiechu i opanowała mdłości.

Mieszkając wśród własnego ludu, przez dziesięć lat nie zdołała znaleźć żadnej przyjaciółki, więc dlaczego z izraelskimi kobietami miałyby być inaczej? Jak mogła mieć nadzieję na ich sympatię?

# Rozdział 12



**R**odzina Rachab przybyła przed zachodem słońca. Rachab wyjaśniła, że Szalmon zajmuje się nagłą sprawą.

– Byłam świadkiem, jak Jozue wysłał go z misją. Przez parę dni nie będzie miał czasu załatwić nam namiotu. Martwił się, że nie dotrzymał danego słowa, ale zapewniłam go, że damy sobie radę.

– Skoro odciągnęła go nagła sytuacja, to nie musimy się martwić. Szalmon zasłużył na nasze zaufanie – powiedział Joa, wzruszając ramionami. Rachab przyjrzała się mu. Przez ostatnie dwa tygodnie często potrzebował podnoszenia na duchu. Jego reakcja na brak namiotu świadczyła o wielkiej zmianie, jaka w nim zaszła.

W tej samej chwili pojawił się Hanani, jak zwykle serdeczny. Otoczona autentyczną opieką jego, Ezry i Miriam Rachab niemal mogła uwierzyć, że inni Izraelici z czasem ich zaakceptują. Razem przez parę godzin rozkładali ich dobytek i poznawali nowe miejsca zamieszkania. W ich skromnym obozie rozbrzmiewał śmiech, gdy rozpakowywali się i dyskutowali, w którą stronę będzie obrócony namiot i gdzie znajdzie się miejsce dla bydła.

Ezra wyjaśnił im zasady rządzące izraelską architekturą i Rachab zrozumiała, że obóz nie jest chaotycznym labiryntem, lecz starannie zaprojektowaną strukturą.

– Na środku obozu znajduje się przybytek z dziedzińcem – zaczął Ezra. – Dwanaście plemion Izraela rozlokowało się wokół

tej centralnej budowli, każde w określonym porządku.

– Zastanawiam się, czy dziś ją minęłam – odezwała się Rachab.  
– Jak ona wygląda?

– Zauważyłabyś ją – wtrąciła Miriam. – Całą budowlę otacza białe ogrodzenie z lnianych zasłon zawieszonych na słupach. To ogrodzenie ma za zadanie bronić przybytku i świętych przedmiotów przed przypadkowym dotykiem.

– Jak daleko od nas się znajduje?

– Jakies piętnaście minut marszu na zachód – powiedział Ezra.  
– Plemię Judy jest największe w Izraelu, liczy ponad siedemdziesiąt tysięcy osób, więc nasz obóz jest ogromny. Sąsiaduje od północy z plemieniem Issachara, a od południa – z plemieniem Zabulona.

Krewni Rachab zaczęli pytać o inne plemiona, zafascynowani ich historiami. Rachab słuchała z roztargnieniem, myśląc o Aj. Usiłowała określić konsekwencje takiej klęski. Dlaczego Pan pozwolił pokonać swój lud? Teraz groziły mu inne ataki ze strony Kananejczyków. Okazując pierwszą oznakę słabości, dowiedli, że można ich pokonać.

Tego wieczora, gdy hałas ogromnego obozowiska zmienił się w leniwy gwar, rozległ się niespodziewany ryk rogu. Rachab omal nie zemdląca ze strachu. Hanani spojrział na Ezrę, ściągając brwi.

– Co? To wezwanie na spotkanie. Musimy natychmiast iść do Jozuego.

Joa wyszedł naprzód.

– My też?

– Tak, wszyscy. Cały lud Izraela musi się stawić, a wy należycie teraz do nas.

Joa uśmiechnął się.

– Czy to normalne? Tak późne zebranie?

– Nie, wcale – odparł zaniepokojony Ezra. – Dowiedzmy się, o co chodzi.

Kiedy dotarli na miejsce, zastali już tysiące zebranych ludzi. Jozue stał na wzgórzu, żeby jego głos dotarł daleko. Nawet to nie gwarantowało, że usłyszą go wszyscy, bo Pan pobłogosławił Izrael i jego lud był liczny. By wszyscy mogli usłyszeć swojego przywódcę, rozstawiono heroldów, którzy przekazywali jego słowa dalej. W ten sposób nikt nie odszedłby nieinformowany.

Ludzie byli przyzwyczajeni do takich publicznych zebrań, choć rzadko odbywały się późno w nocy. Nikt się nie przepychał, nikt nie napierał. Wszyscy zachowywali godną podziwu samokontrolę, zważając na ludzi wokół siebie.

Rachab i jej rodzina znajdowali się na tyle blisko, że słyszeli głos Jozuego, który odczekał parę minut, aż wszyscy się rozlokują, i zaczął mówić.

– Mam złe wieści. Wiecie, że niedawno wysłaliśmy mały oddział, by zniszczyć Aj, gdyż jest to niewielki naród. Dziś do naszego obozu dotarł raport: zostaliśmy pokonani.

Reakcja była natychmiastowa: strach ogarnął zebranych, którzy zaczęli szeptać między sobą. Ci ludzie stoczyli wystarczająco wiele walk, by zrozumieć konsekwencje takiej przegranej. Zanim groza zdążyła się na dobre rozgościć w ich sercach, Jozue uniósł obie ręce.

– Posłuchajcie mnie, bo mam też nowe wiadomości. Gdy tylko otrzymaliśmy ten raport, wraz ze starszyzną padłem na twarz przed Panem. Przez cały dzień zgłębialiśmy Jego wolę w tej sprawie. On zaś przemówił do nas. – Cały obóz wstrzymał oddech. Jozue zamilkł i powiódł wzrokiem po zebranych. – Pan powiedział do mnie: „Wstań! Dlaczego tak leżysz twarzą do ziemi? Izrael zgrzeszył”. Przyczyną, dla której nie mogliśmy zwyciężyć naszego wroga, jest to, że jeden z nas ukradł to, co należy do Boga i okłamał nas. Zostało powiedziane, że gdy wejdziemy do Jerycha, wszystko musi zostać zniszczone z wyjątkiem tego, co ma zostać oddane Panu. Ktoś nie usłuchał tego rozkazu. Skradł to, co się należy Bogu. Jutro Pan pokaże



nam winnego. Przejmuje mnie śmiertelny żal, bo konsekwencje tego nieposłuszeństwa będą straszne. Straciliśmy trzydziestu sześciu spośród naszych najlepszych wojowników. Mogliby żyć, gdybyśmy nie zdradzili woli Boga. Jutro niewątpliwie zginą następni, bo nie istnieje żadna wystarczająco święta ofiara, która wynagodziłaby tak ciężki grzech. Poleje się nowa krew. Przepęlnia mnie smutek na myśl o tej niepotrzebnej stracie. Teraz odejdźcie i poświęćcie się przygotowaniom do jutrzejszego dnia. Jutro stawicie się tu wszystkimi plemionami, a Pan wskaże winnego. Dopiero wtedy da nam siłę, byśmy znowu mogli przeciwstawić się naszym wrogom.

Ludzie początkowo ruszyli do swoich namiotów w ciężkim milczeniu. Z czasem ta cisza utonęła w tysiącach szeptów. Wszyscy zastanawiali się, kim jest winny, z jakiego pochodzi plemienia, z jakiego rodu. Zapewniali się nawzajem, że to z pewnością nie oni.

– Nic dziwnego, że Szalmon nie miał czasu kupić nam namiotu – odezwał się Joa. – Pewnie był zajęty tą sprawą przez cały dzień.

W drodze do swojego obozu rodzina Rachab zauważyła, że sąsiedzi patrzą na nich z jeszcze mniejszą sympatią. Rachab pomyślała, że to naturalne, iż Izraelici podejrzewają obywateli Jerycha, mających okazję i motyw. Mimo to była to gorzka pigułka do przełknięcia. Te milczące oskarżenia bolały. Pierwsza noc i już uznano ich za złodziei.

„Panie, Ty wiesz, że jesteśmy niewinni. Zrobiliśmy wszystko, by oddać Ci cześć, a to nadal za mało. Czy nigdy nie zdołamy zadowolić tych ludzi? Czy zawsze będziemy dla nich podejrzani?”.

Myśl, która pojawiła się w jej wzburzonym umyśle, brzmiała jak szept:

„Musicie zadowolić tylko Mnie. A Ja jestem zadowolony. Zostawcie sprawiedliwość w Moich rękach. Wezwałem cię i dochowam ci wiary”.

Spłynął na nią słodki, niewytłumaczalny spokój. Bóg zadba o jej sprawiedliwość, więc ona nie musi się bać. Nie musi wskazywać hipokryzji i nieżyczliwości swoich sąsiadów, żeby poczuć się lepiej. Nie musi ich poniżać, żeby się wywyższyć. Bóg się nimi zajmie, gdyż on dochowuje wiary. Uśmiechnęła się, otoczona kokonem spokoju, który On jej zesłał. Uniosła głowę, spojrzała w górę oczami lśniącymi taką radością, że żaden niepokój nie mógł jej z niej odrzeć – i przekonała się, że patrzy prosto w oczy Szalmona. Gdy ich spojrzenia się spotkały, surowe zmarszczki znikły z jego czoła. Szalmon przykucnął przed nią.

– Martwiłem się o ciebie – powiedział cicho, ochryple.

– O mnie?

– No, o was. Zakładam, że sąsiedzi nie okazują wam sympatii?

Uśmiechnęła się.

– Jakoś nie. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, już byś kopał nowe groby.

– Jutro wszystko się wyjaśni. Wiem, że w tej sprawie jesteście niewinni. Jutro wieczorem to wasi sąsiedzi będą się za siebie wstydzili.

Szalmon wierzył w ich niewinność! Bez żadnych wyjaśnień, bez żadnych próśb. Po prostu wierzył. Serce Rachab przepełniło ciepło; poczuła, że coś, co od dawna w niej zamarzło, zaczyna topnieć. W ustach jej wyschło. Przełknęła z trudem ślinę.

– Wszystko jest dobrze – powiedziała, choć jej głos zabrzmiał jak szept. – Pan dał mi swój spokój.

– Widziałem go w twoich oczach. To więcej niż spokój. Dał ci swoją radość.

Rachab skinęła głową.

– To niezwykle uczucie. Napełnił mnie taką nadzieją... Cały mój lęk, gniew i pragnienie sprawiedliwości ulotniły się bez śladu. Powiedział, że muszę się podobać tylko Jemu. Czy to nie wspaniale?

– Przemówił do ciebie?

– W pewnym sensie. Nie głośno, nie tak, by go słyszeli inni. To bardziej wewnętrzny szept.

Oczy Szalmona rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Może na chwilę zstąpił na ciebie Jego Duch.

– Czy to normalne?

Szalmon pokręcił głową.

– Zostałaś bardziej pobłogosławiona niż inni.

Nie potrafiła opanować szerokiego uśmiechu.

– W tej chwili rzeczywiście tak się czuję. To cudowne.

Szalmon wstał płynnym ruchem.

– Muszę wracać. Nie potrzebujecie mojej pomocy.

– Co się wydarzy jutro?

Twarz Szalmona zmieniła się w maskę.

– To, co będzie konieczne.

Rachab nie spała ten nocy. Otoczona spokojem słów Boga, rozkoszowała się wrażeniem Jego obecności. Przepęłniało ją zadowolenie. Od czasu do czasu przed oczami stawała jej twarz Szalmona, jego ciemne oczy, gdy szeptał: „Martwiłem się o ciebie”.



Następnego ranka słońce wzeszło szybko, jakby chciało mieć za sobą udrękę sądu. Wkrótce potem Rachab ujrzała mocną sylwetkę Hananiego, zbliżającego się do ich prowizorycznego obozu.

– Szalmon posłał mnie po was. Uznał, że jeszcze nie znacie naszych obyczajów i ten dzień może się wam wydać niepokojący – powiedział markotnie. Jego zwykła wesołość zniknęła. Brzemie wczorajszych wieści przygniatało go niczym kamień młyński i serce Rachab ścisnęło się ze współczucia.

– Jest przewidujący – powiedział Imri. – Zastanawiałem się, co mamy zrobić.

– Zebrać się całymi rodzinami. Każda rodzina przynależy do rodu. Każdy ród przynależy do plemienia. Więc wy trzymacie się w obrębie plemienia Judy, którym dowodzi Kaleb. Jozue najpierw wezwie przywódców plemion, by określić, które z nich dopuściło się przewinienia.

– Czy mamy iść za Szalmonem?

– Tak. Trzymacie się blisko mnie i mojej rodziny. My także należymy do tego samego rodu.

I znowu Rachab pomyślała z uznaniem o nadzwyczajnym porządku panującym wśród ludu Izraela. Po modlitwie i poświęceniu Jozue wezwał dwunastu przywódców plemion. Stanęli przed nim z powagą. Każdy występował naprzód i czekał, aż Jozue skinie szpakowatą głową, pozwalając mu odejść. Gdy przyszła kolej Kaleba, wyszedł z szeregu wyprostowany, z ponurą miną. Jozue długo wpatrywał się w swojego starego przyjaciela i towarzysza broni.

– Juda – powiedział głosem, który nagle wydał się bardzo stary.  
– Bóg pokazał mi, że to plemię Judy.

W tłumie zerwał się głośny pomruk. Rachab uświadomiła sobie, że osoby stojące najbliżej nich rzucają im mordercze spojrzenia.

– Parszywe psy! – krzyknął jakiś anonimowy głos.

Ktoś rzucił kamieniem. Zanim Rachab zdążyła zareagować, pocisk drasnął jej kość policzkową i upadł na ziemię. Odruchowo uniosła rękę do bolącego miejsca i z niepokojem ujrzała zakrwawione palce. Kątem oka zauważyła Hananiego, który rzucił się ku nim. Zasłonił ją własnym ciałem i krzyknął coś, czego nie rozumiała, ale furia tłumu nie osłabła. Rachab dostrzegła przez mgłę niedowierzania, że inni także podnoszą z ziemi kamienie.

– Stać! – Ryk Szalmona przebił się przez gwar. – Co robicie?

Stanął obok Rachab. Jego twarz skamieniała w niedowierzaniu. Rachab zrozumiała, że to jego ludzie. Pewnie znał każdego z nich

z imienia.

– Rozum straciliście? – ryknął znowu.

– Przecież to oni! – wrzasnął mężczyzna nadal ściskający kamień. – Jozue wybrał plemię Judy, sam widziałeś. A ci Kananejczycy niedawno do nas dołączyli. Wiesz, że to oni!

– Wiem tylko jedno, Jakimie: to Bóg wskaże winnego. Jeśli nie przemówił do ciebie wcześniej niż do Jozuego, lepiej upuść ten kamień. Mówię do wszystkich!

Stawił im czoła z drapieżnością, której nie okazywał często. Przez parę sekund nic się nie działo. Szalmon zrobił krok naprzód. Jeden zwyczajny krok, pomyślała Rachab. A jednak świadczył o takiej tłumionej furii, że Jakim upuścił kamień na ziemię. Inni poszli za jego przykładem.

Szalmon odwrócił się do rodziny Rachab.

– Chodźcie ze mną. Musicie trzymać się blisko mnie, dopóki nie zostanie znaleziony prawdziwy winowajca. Do tego czasu grozi wam niebezpieczeństwo.

Rachab nawet przez mgłę wstrząsu i bólu zauważyła, że na jego poszarzałej twarzy maluje się powściągany gniew. Idąc, ustawił ją tak, że znalazła się między nim i Joą.

– Jesteś ranna? – rzucił, nie patrząc na nią.

– To nie ma znaczenia. – Z pewnym wysiłkiem zdołała opanować drzenie głosu.

Szalmon prychnął, ale nic nie powiedział. Kiedy dotarli do jego rodziny, pochylił się nad nią.

– Pokaż to.

– To nic takiego. Ledwie draśnięcie – powiedziała, rozpaczliwie pragnąc odwrócić uwagę od siebie. Publiczne upokorzenie sprawiło, że jej wnętrzości się skręciły.

– Pokaż. To – wycedził przez zaciśnięte zęby. Rachab uznała, że to gniew na nią, ponieważ przyczyniła mu trosk. To on od pierwszej chwili protestował przed przyłączeniem ich do Izraela, twierdząc, że samą swoją obecnością i zachowaniem sprowokują

złe emocje. A teraz okazało się, że miał rację, choć w niczym tu nie zawiniła.

Zesztywniała ze wstydu, urażona, zraniona niesprawiedliwością Szalmona zastanowiła się, czy nie odejść. Byłoby to dziecinne i niebezpieczne zachowanie, pomyślała. Zrezygnowana podniosła ku niemu twarz. Ostrożnie zbadał ranę na jej policzku. Jego dotyk był lekki jak piórko i delikatny. Mimo to drgnęła z bólu.

– Przepraszam – powiedział sucho, cofając rękę. – Krwawienie ustało, ale zostanie brzydki siniak. Kiedy wrócimy do domu, Miriam da ci jakąś maść, żeby nie doszło do infekcji.

– Czy wspomniałeś moje imię? – zaszcebiotała Miriam, stając obok nich. Oceniła sytuację – puchnący policzek Rachab, napięcie jej krewnych, ledwie powściągany gniew Rachab. – Co się stało? – krzyknęła.

– Ktoś rzucił kamieniem w Rachab, gdy Jozue ogłosił, że złodziej znajduje się w domu Judy – warknął jej brat. – Chcieli ich ukamienować, uwierzysz?

– To nie była nasza wina! – zawołała Rachab, nie mogąc się dłużej powstrzymać. Myśl, że Szalmon ją oskarża i ma do niej pretensje, stała się nieznośna.

– Jak to? – Szalmon spojrzał na nią z zaskoczeniem. – Kto powiedział, że twoja?

– Ty! Gniewałeś się!

– No pewnie, że się gniewałem! Mój lud dopuścił się czegoś strasznego. Bardzo by cię skrzywdzili, gdybym nie wkroczył. Mam ochotę uciąć parę łbów! – Urwał i spytał ciszej: – Dlaczego myślałaś, że gniewam się na ciebie?

Rachab odwróciła głowę.

– Nie miałbyś tego dodatkowego kłopotu, gdyby nie my.

Szalmon potarł policzek.

– Nie jestem tak nierozsądny, by mieć wam to za złe w takiej chwili. To ciebie skrzywdzono. Masz mnie za aż takiego szaleńca,

żeby cię o to oskarżać? – Wskazał jej posiniaczony policzek.

Przepełniła ją ulga. Izzie podeszła i objęła ją, a ona długo tuliła się do niej, unikając spojrzenia Szalmona, który obserwował ją czujnie jak jastrząb. Mętnie zdała sobie sprawę, że kolejne rody Judy nadal stają przed Jozuem i po kolei odchodzą, uwolnione od winy. Potem nadeszła kolej rodu Zeracha. Jozue zatrzymał go gestem ręki. Rachab zrozumiała, że ten wybór – choć jeszcze nie wskazywał złodzieja – natychmiast oczyścił ją i jej rodzinę z podejrzeń. Następnie wydarzenia potoczyły się w gwałtownym tempie. Rodziny należące do rodu Zeracha zaczęły podchodzić i Jozue zatrzymał Zimriego. W końcu winnym okazał się jego wnuk Akan.

Akan przyznał się do winy po paru chwilach przesłuchania, być może wiedząc, że zaprzeczenia na nic się zdadzą. Wybuchnął płaczem i powiedział:

– To prawda. Zgrzeszyłem przeciwko Panu.

W jego namiocie znaleziono zakopane w ziemi zakazane skarby: złoto, srebro i piękny babiloński płaszcz.

Jozue położył rękę na ramieniu Akana.

– Synu, czy warto było skalać swoje serce dla tych bezwartościowych rzeczy? Jakiż niepotrzebny kłopot ściągnąłeś na nas i na wszystkich, którzy cię kochają – powiedział i osunął się na ziemię, chowając twarz w dłoniach. Po paru chwilach milczenia uniósł głowę, mówiąc: – Również i twoje życie pójdzie na marne, ponieważ okazałeś nieposłuszeństwo Bogu i skłamałeś, i kłamałbyś dalej, gdyby cię nie przyłapano. Zbyt tanio sprzedałeś swoje życie.

Zdezorientowana Rachab spojrzała na Szalmona, wiedząc, że on rozumie wyrok zawarty w słowach Jozuego. Ten odchylił głowę i spojrzał w niebo niewidzącym spojrzeniem.

– Miriam.

– Tak.

– Miriam, wiesz, co musi nastąpić?

Dziewczyna skinęła głową ze śmiertelną powagą.

– Jego synowie i córki musieli o tym wiedzieć, łup znajdował się tuż pod podłogą ich namiotu. A jednak nic nie powiedzieli. Oni także będą ukarani.

– O, Szalmonie...

– Nie musisz tu zostać. Może wrócisz do domu? Rachab, idź z Miriam. Niech opatrzy ci twarz. Już puchnie i pewnie boli. Może twoja rodzina także zechce do was dołączyć.

Rachab zagryzła wargę.

– Co się teraz stanie?

– Kara śmierci. Przez ukamienowanie.

– Och... – Jej ręka sama sięgnęła do pulsującego policzka. Zbyt namacalnie przekonała się, co oznacza taki wyrok. – W Kanaanie złodzieje także są karani śmiercią.

– Wśród nas kradzież rzadko się tak karze, ale Akan miał czelność ukraść coś przeznaczonego dla Boga. To oznacza nie tylko nieludzką chciwość, ale także brak szacunku dla Pana. Czy naprawdę wydawało mu się, że ujdzie mu to na sucho? Dlatego kara jest tak surowa. To nie była zwykła kradzież. – Odwrócił się i przez chwilę patrzył na mieszkańców Jerycha. – Pięknie zaczyna się wasz pierwszy dzień wśród nas. Możecie odejść, zaczekać w moim namiocie. To przyjemniejsze niż prażenie się w tym słońcu.

Na myśl o odejściu Rachab odetchnęła z ulgą. Zaczynała już drzeć w reakcji na niehonorowy atak na nią. Policzek nieustannie pulsował jej bólem i gdyby nie ramiona Izzie, pewnie nie ustałaby na nogach. Chłodny namiot Szalmona z miękkimi poduszkami i spokojną atmosferą wzywał ją jak oaza. Ponieważ obóz prawie opustoszał, będzie w nim panować wyjątkowy spokój i cisza.

– Dziękuję. Chciałabym już iść. – Spojrzała na swoich krewnych, by się upewnić, co postanowią. Kobiety, jakby na dany znak, zeszły się i postanowiły wracać, mężczyźni zostali



z Szalmonem, by być świadkami losu Akana.

Miriam, która z ulgą przyjęła możliwość uniknięcia tej części procesu, ruszyła przed siebie, prowadząc kobiety krętym labiryntem izraelskiego obozu. Szły w ciężkim milczeniu, każda pogrążona w myślach. W namiocie Miriam zajęła się raną Rachab, oczyściła ją delikatnie i troskliwie, po czym nałożyła na nią maść własnego wyrobu.

– Gdyby była trochę głębsza, musiałabym ją zaszyć – powiedziała. – A tak blizna z czasem zniknie. Dam ci trochę tej maści, musisz ją nakładać na ranę codziennie przez tydzień. Widziałas, który bydlak ci to zrobił?

– Nie. Wszystko działo się zbyt szybko.

Wszystkie kobiety były straszliwie zmęczone i Miriam zaproponowała im skromny posiłek. Bratowe i matka Rachab wymówiły się i wróciły do własnego obozu, żeby odciążać najstarszą bratanicę Rachab, która została, by opiekować się dziećmi, ale Rachab i Izzie zostały z Miriam i posiliwszy się jęczmiennymi podpłomykami i zupą warzywną, pomogły jej w sprzątaniu.

– Nadal cię boli? Wydajesz się roztargniona – odezwała się Miriam, kiedy schowały naczynia do kosza z przykrywą.

– Nie. Ból zniknął dzięki twojemu cudownemu lekowi. Chyba się niepokoję. Myślisz, że nasi sąsiedzi przestaną nas teraz podejrzewać?

– Mam nadzieję. Z pewnością mają wyrzuty sumienia przez to, co zrobili rano. Może zechcesz się pomodlić, skoro się martwisz?

Rachab nigdy dotąd nie modliła się głośno z inną osobą. Perspektywa zrobienia tego z kimś tak doświadczonym jak Miriam, była kusząca. Dziewczyna mogłaby ją uznać za głupią ignorantkę, ale z drugiej strony trudno jej było wyrzec się modlitwy z przyjaciółką.

– Nie potrafię się modlić jak należy. Wydam ci się niezdarna – wyznała.

– Nie wiem, jak Bóg ocenia niezdarność, ale wątpię, żeby miał te same kryteria co my. Szalmon powiedział mi kiedyś, że Pan rozmawiał z Mojżeszem twarzą w twarz, jak się rozmawia z przyjacielem. Nigdy tego nie zapomniałam. Nie jestem Mojżeszem, ale szukam Jego przyjaźni. Modłę się tak, jak mnie nauczono, wypowiadam słowa błogosławieństwa, które przekazali mi rodzice, ale modłę się także z serca, jakbym rozmawiała z przyjacielem. Z ojcem. Znam na pamięć niektóre modlitwy wielkich przywódców naszego ludu – słowa, które Mojżesz powiedział do Pana albo pieśń Miriam. Mogę cię ich nauczyć. Ale ważniejsze jest to, że Bóg chce nas usłyszeć. Radujemy Jego serce, zwracając się do niego szczerze, bez udawania.

Rachab pragnęła doświadczyć tej bliskości, którą opisywała Miriam. Izzie także chciała się nauczyć modlić, więc wszystkie trzy wstały z szacunkiem i Miriam zaczęła od tradycyjnego błogosławieństwa: „Błogosławionyś, o Panie Boże, królu wieczności”. Dodała do modlitw słowa Mojżesza: „Daj mi poznać swoje zamiary, abym poznał, żeś mi łaskaw”. Rachab zauważyła, że Miriam zaczęła mówić własnymi słowami, prostymi i skromnymi, szczerymi zdaniami, które wypowiadała, nie myśląc o tym, jak zabrzmia. Ona także poczuła się uprawniona do takiej modlitwy. Przypomniała sobie zdania z Prawa i błogosławieństwa, których nauczono ją w tymczasowym obozowisku. Izzie również się do nich dołączyła. Przestały zauważać upływ czasu i weszły w słodki świat, który wydawał im się bardziej realny niż ten, w którym żyły na co dzień.

Gdy skończyły, Miriam przyniosła podniszczoną harfę i nauczyła je pieśni Mojżesza i Miriam. Rachab nigdy nie czuła się bliżej Boga ani prawdziwej przyjaźni.

# Rozdział 13



Szalmon wszedł do swojego namiotu. Za nim podążał blady i zmęczony Jozue. Śpiew kobiet dobiegł ich, jeszcze zanim je zobaczyli. Obaj zostawili buty przed namiotem, więc weszli bezgłośnie. Kobiety, nieświadome ich przybycia, nie przerwały śpiewu. Szalmon odruchowo spojrział na Rachab. Przyjrzał się jej pochylonej twarzy, by się upewnić, że jej rana nie jest poważna. Brzydkie rozcięcie, które dopiero co przestało krwawić, biegło przez jej biały policzek blisko wąskiego nosa. Szalmon przypomniał sobie chwilę, gdy zauważył lecący kamień i zrozumiał, że nie zdąży jej przed nim osłonić. Nadal dygotał na tę myśl. A jeszcze bardziej wyprowadzało go z równowagi to, że tak bardzo się tym przejmował. W spokojnej atmosferze namiotu napięcie zaczęło go opuszczać. Z wolna znajoma pieśń zaczęła go interesować bardziej niż atak na Rachab czy nawet ona sama. Żaden z nich się nie odezwał, jakby na mocy niemego porozumienia. Obaj stali w milczeniu, zafascynowani zwyczajną świętością tej sceny.

Ale po chwili nie mogli się dłużej opierać i dołączyli swoje niskie głosy do śpiewu kobiet:

„Wiodłeś swą wiernością lud, który wybawiłeś”.

Radosna melodia urwała się; kobiece okrzyki zmieszały się z męskimi usprawiedliwieniami.

– Musicie nam wybaczyć, moje córki, że wam przerwaliśmy – powiedział Jozue, kiedy udało mu się zapanować nad rozmową. –

Wchodząc tu, czuliśmy się, jakbyśmy z burzy piaskowej wkroczyli do cichego ogrodu. Dziękujemy wam za tę słodką pieśń. Dała wytchnienie memu sercu, a bardzo go potrzebowałem.

Szalmon przytaknął w milczeniu.

– Panie – powiedziała Miriam, padając na twarz przed Jozuem.  
– Zaszczyciłeś Szalmona i mnie wizytą w naszym namiocie. Pozwól, że przyniosę poczęstunek.

Jozue pochylił się z wdziękiem i podniósł ją z ziemi.

Rachab wstała, co zirytowało Szalmona.

– Izzie i ja powinniśmy już wracać. Wybacz nam natręctwo.

Jozue machnął ręką.

– Nonsens. To z tobą przyszedłem się spotkać.

– Ze mną?

– Uważaj, Jozue – odezwał się Szalmon. – Kiedy się zdenerwuje, będzie powtarzać wszystko, co powiesz.

– A dlaczegoż to miałyby się zdenerwować? Pójdź, córko, usiądź przy mnie.

Szalmon zacisnął usta, widząc, że Rachab nerwowo przełyka ślinę. Z wahaniem podeszła do patriarchy i uklękła obok niego. Ukryła dłonie w fałdach szaty, żeby ukryć ich drżenie. Szalmon zmarszczył brwi, nie rozumiejąc jej onieśmienia w obecności Jozuego. Albo samego siebie. Dlaczego ta kobieta nie pojmuje, że jest już bezpieczna?



Rachab usiłowała opanować gwałtownie łomoczące serce. Nie pojmowała, dlaczego dostojnik taki jak Jozue miałby się nią zajmować.

– Szalmon powiedział mi, co się wydarzyło tego ranka – wyjaśnił Jozue, jakby w odpowiedzi. – Chciałem sam sprawdzić twój stan.

– Nie powinieneś się trudzić, panie. Jak widzisz, nic mi nie jest.

– Widzę piętno nieprawości mojego ludu na twojej pięknej twarzy. – Jozue westchnął, jakby powietrze mu zbyt ciążyło. – To był najobrzydliwszy dzień. Akan nie żyje, jest pogrzebany w dolinie. Ludzie już zaczęli nazywać ją doliną Akor ze względu na problemy, które na nas spadły. Jestem wściekły, że mój lud jeszcze spotęgował te problemy, podnosząc na ciebie rękę. Proszę, wybacź nam naszą arogancję i uprzedzenia.

Rachab pokręciła głową.

– Rozumiem ich podejrzenia. – Ze złamanym sercem, ale naprawdę je rozumiała. – Mam nadzieję, że z czasem nam zaufają.

– Zrobię dla was wszystko, co mogę. Mogę obiecać, że nikt z nas nigdy więcej nie podniesie ręki na nikogo z waszej rodziny. Ale przez jakiś czas mogą was traktować chłodno i na dystans. Musicie się uzbroić w cierpliwość, dopóki lepiej was nie poznają. Nie dajcie się zniechęcić.

– Dziękuję, panie, za pomoc.

– Nie musisz mi dziękować. – Jozue uśmiechnął się krzywo. – To się wam należy. Jesteście jednymi z nas, bez względu na to, jak traktują was dzieci Izraela.

Rachab spuściła wzrok. Były to słodkie słowa, chyba najśłodsze, jakie kiedykolwiek słyszała. Słowa zaświadczające o przynależności. Słowa o sprawiedliwości. Jozue traktował ją, jakby naprawdę ją akceptował. Nawet dbał o jej dobre samopoczucie. Wydawało się niemożliwe, że taki człowiek – nie tylko święty, ale i na tak wysokim stanowisku – miałby się zniżyć do dbania o jej potrzeby. A jednak tu przyszedł, wyczerpany po bezsennej nocy i dźwigający brzemię koszmarnego dnia, przyszedł wyłącznie po to, żeby ją pocieszyć.

Może to dlatego nie mogła całkiem uwierzyć w jego słowa. Słyszała je. Jej umysł je rozumiał. Ale w głębi duszy ich nie przyjmowała. W głębi duszy wierzyła, że z czasem Jozue się nią

rozczaruje. Jak wszyscy, odwróci się od niej, kiedy ją pozna. Zagryzła wargę i zmarszczyła czoło. Wiedziała, że odczuje gorycz jego odtrącenia bardziej niż słodycz obecnej życzliwości. To odtrącenie będzie prawdziwe, realne. Jego pochwały wydawały się puste, nierzeczywiste.

– Jest zmęczona – powiedział Jozue, źle tłumacząc sobie wyraz jej twarzy. – Odprowadź Rachab i jej siostrę do ich obozu i dopilnuj, żeby ich sąsiedzi potrafili się zachować. Po kolacji przyjdź do mojego namiotu. Powiem przywódcom, co zrobimy w sprawie Aj.

Wszyscy wstali, kiedy wyszedł, ale nie chciał, żeby ktoś go odprowadził. Po jego odejściu namiot wydał się mniejszy. Szalmon spojrzął na Rachab.

– Chciałabyś odpocząć przed drogą?

– Nie, czuję się dobrze. I nie musisz nas odprowadzać. Izzie i ja potrafimy się o siebie zatroszczyć.

– Tak? – Bez ostrzeżenia przesunął palcem po jej policzku, omijając rozognioną ranę na jej delikatnej skórze. Zadrżała; cofnęła palec, zaciskając pięść. – Odprowadzę was – powiedział przez zaciśnięte zęby. Zrozumiała, że znowu go rozdrażniła. W czym zawiniła?

Izzie, błogo nieświadoma jej gwałtownego, żalosnego chaosu uczuć, uśmiechnęła się wesoło.

– Jesteś dla nas dobry. Cieszymy się z twojego towarzystwa.

Szalmon zerknął na Rachab z ironicznym półuśmiechem.

– O, nie wątpię.

Miriam spakowała zapas maści, a także dużą gomółkę świeżego sera i sześć podpłomyków, które wcisnęła Izzie i Rachab.

– Sporo dziś przeżyliście. Drobny posiłek was rozweseli. – Rachab była zbyt zmęczona, żeby się sprzeciwić, a Izzie zbyt ucieszyła się prezentem, żeby odmówić.

Kiedy wychodziły, Miriam wróciła pośpiesznie do namiotu

i przyniosła puchową poduszkę.

– Rachab, weź to. Dziś musisz oprzeć policzek na czymś bardziej miękkim niż piasek.

– O, nie, nie mogę ci zabrać poduszki. Zjadłam twój obiad, wypiliśmy twoją wodę, zabrałam twój ser, dostałam twój chleb, pożyczyłam od ciebie masło... to za wiele.

– Na litość, bierz tę poduszkę! Nie będziesz dziś spać na piasku. Koniec dyskusji – rzucił Szalmon z rozdrażnieniem bijącym z każdej sylaby.

– Ale...

– Ani słowa więcej! Nie chcę słyszeć nawet jednego westchnienia. Nawet jednego pisku. Koniec sprzeciwów. Jasne?

– Szalmonie! – krzyknęła wstrząśnięta Miriam.

– To dotyczy także ciebie. Teraz pójdziemy sobie miło i spokojnie do obozu. Następnie pouryvam łby waszym sąsiadom. A potem wrócę miło i spokojnie do namiotu.



Następnego dnia Rachab obudziła się, tuląc poduszkę Miriam, oszołomiona po męczących snach. Dzieci, już niemilosierne i energiczne, hałasowały, bawiąc się w chowanego. Rachab usiadła i od razu się skrzywiła. Policzek ją bolał. W głowie tętniło. Jej ciało protestowało przeciwko tyłu nocom bez porządnego posłania. Marzyła o cichej kryjówce, w której mogłaby się schronić. Tymczasem czteroletni chłopczyk i pięcioletnia dziewczynka z ośmioletnim kuzynem zwalili się na nią, domagając się, żeby ciocia Rachab ukryła ich pod kocem. Przytulili ich miękkie ciała i zanurkowała z nimi w pościeli. Rozchichotali się okropnie, kotłując się tak długo, aż zmienili się w płataninę rąk i nóg.

– Nie ruszajcie się tak, bo inni was znajdą – ostrzegła bratanka. Ten, usiłując się uspokoić, uniósł łokieć i trącił nim jej twarz, zbyt

blisko zranionego policzka.

– Och! – W głowie eksplodował jej ból. Usiadła i zamrugła, żeby odzyskać wzrok. Nad nią stał Szalmon, wysoki jak wielki dąb, z twarzą ukrytą w blasku słońca. Uświadomiła sobie, że słońce stoi już wysoko na niebie i jest późny ranek.

– Myślałem, że już nie śpisz – powiedział Szalmon.

– Hm.

– Rano nie jesteś rozmowna?

– Nie.

Zniecierpliwione dzieci znowu zaczęły się wiercić. W końcu najpierw jedno, potem drugie i trzecie wyskoczyło spod koca i uciekło.

Szalmon odprowadził je wzrokiem z dobrodusznym zainteresowaniem.

– Zawsze sypiasz z takim tłumem? – spytał, spoglądając na Rachab.

Drgnęła, wstrząśnięta. Szalmon nagle znieruchomiał, a jego twarz powlekła się ciemną czerwienią. Rachab zrozumiała, że po prostu palnął gafę. Nie zastanowił się nad swoimi słowami. Gdyby powiedział to samo z rozmyślną złośliwością lub sarkazmem, obroniłaby się równie kąśliwie. Ale w tych okolicznościach ją to rozbawiło. Zasłoniła usta ręką, ale śmiech i tak się jej wyrwał.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co? – Spojrzał na nią, jakby rozum ją opuścił.

– Że na chwilę zapomniałeś o mojej przeszłości. Nigdy byś tak nie powiedział, gdybyś pamiętał.

Zmarszczył brwi i cofnął się o krok.

– Dostarczyłem wasz namiot. Chciałem ci to powiedzieć. Już go macie. Paru moich ludzi pomogło mi go przynieść. Zostaną i pokażą wam, jak się go rozbija. Nie zastałem twoich braci ani ojca, więc przyszedłem do ciebie.

Jak na niego, była to gorączkowa paplanina. Śmiech zamarł jej



na wargach. Ogarnięta falą przygnębienia siedziała, omijana jego wzrokiem. Szalmon mógł chwilowo zapomnieć o jej przeszłości, ale z pewnością nie popełni więcej tego błędu. Nadal była Rachab, kananejską nierządnicą, którą kazał mu się zaopiekować Jozue, a on nadal był wielkim przywódcą ludu Izraela, poważanym i szanowanym. Ta przepaść między nimi nigdy nie zniknie. Dlaczego coś tak oczywistego aż tak ją przygnębiało? Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Znowu uświadomiła sobie, że w jej głowie pulsuje ból i uniosła rękę do skroni.

Zbyt długo pozostawała w łóżku. Wstała niezgrabnie. Zasnęła w ubraniu, zbyt zmęczona, żeby się przebrać. Teraz wstała, skromnie okryta od szyi po łydki, choć w pomiętej szacie. Spoconą ręką spróbowała wygładzić materiał – bez skutku. Szalmon i tak siedział ze spuszczoną głową, więc nie zgorszył się jej wyglądem.

Zadał sobie sporo trudu, żeby znaleźć dla nich namiot w tak trudnym, burzliwym momencie. Zamiast skupiać się na tym, czego nie mógł jej dać – szacunku, podziwu, poczucia prawdziwej przynależności – powinna docenić to, co od niego dostawała. Był przecież wspaniałomyślny, pomocny, uczciwy, opiekuńczy wobec swojej trzódki, nawet jeśli tej trzódki nie akceptował.

– Dziękuję, że zadałeś sobie dla nas tyle trudu – powiedziała.

Skinął głową, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś się tak szybko ruszał.

Westchnęła, rozejrzała się i zauważyła stojących na środku ich obozu dwóch mężczyzn, którzy pomogli mu przetransportować namiot. Rozmawiali, nie zwracając na nią uwagi. Zerknęła z ciekawością na namiot. Gigantyczny pakunek leżał na ziemi. Nic nie zdradzało, gdzie ma przód, a gdzie tył. Był zrobiony z jakiejś skóry w kolorze nawozu, na tyle grubej, żeby wytrzymać napór deszczu i żar słońca. Ogromny i obfity, musiał być niesiony przez trzech mężczyzn. W żaden sposób nie dało się go nazwać eleganckim, ale zapewniał więcej wygody niż noclegi

pod gołym niebem.

Rachab podeszła do mężczyzn i przedstawiła się im.

– Znamy cię – powiedział ten chudy. Obaj byli o wiele młodszy, niż jej się początkowo wydawało, mogli mieć koło siedemnastu, osiemnastu lat.

Ten drugi, tęższy, z ledwie kiełkującą brodą, spytał:

– Czy to prawda, że sama spuściłaś po murze Ezrę ben Isaaca? Chciałbym to zobaczyć. Pokaż mi, jak ci się to udało. Tam jest wysoka skała. Możesz mnie z niej opuścić tak jak Ezrę.

Rachab uniosła rękę.

– Pewnych rzeczy można doświadczyć tylko raz.

– Nie zaprezentujesz mi swojej siły?

– Nie, dopóki Pan mi jej znowu nie użyje.

– Aach... – Chudy pokiwał głową niczym największy mędrzec Jerozolimy.

– Wy macie dość siły, by powetować moją słabość, skoro zdołaliście tu przynieść ten namiot – powiedziała.

– No, Szalmon nam pomógł. Trochę – dodał drugi chłopak, który wyraźnie seplenił.

– Jak się nazywacie? Wy znacie moje imię.

– Jestem Abel – powiedział chudy. – A to mój kuzyn Adam.

– Miło mi.

– Dlaczego? – nie zrozumiał Adam. Abel trącił go łokciem.

– Ona mówi, że cieszy się, że nas poznała, ty geniuszu.

Choć ich języki miały te same korzenie i Rachab z każdym kolejnym dniem bardziej przyzwyczajała się do izraelskiej mowy, nadal różniły się akcentami, dialektem i wyrażeniami urozmaicającymi rozmowę. Także obyczaje, choć w niektórych punktach zgodne, groziły nieporozumieniami. Mieszkańcy Jerycha byli znacznie mocniej przywiązani do formalności niż Izraelici. Jednak czasem kananejskie zasady okazywały się o wiele bardziej liberalne. Pewnego popołudnia, gdy Hanani i Miriam odwiedzili ich w obozie, Joa, brat Rachab, niechętny

puścił bardzo hałaśliwe wiatry. Dla jerychończyków był to akceptowalny sposób pozbycia się napięcia ciała, ale Rachab zauważyła, że Hebrajczycy poczerwienieli i zasłonili usta rękami.

– Co was tak bawi? – burknął Joa, zawsze drażliwy.

Hanani tylko pokręcił głową i poczerwieniał bardziej, choć wydawało się, że to niemożliwe.

– Chodzi o dolny kaszel? – odgadła Rachab. – Czy Hebrajczycy nie robią tego publicznie?

– O co? – wykrztusił Hanani. – Nazywasz to dolnym kaszlem? – Zerknął na Miriam i oboje zgięli się wzdłuż, dygocząc.

Biedny Joa, zawstydzony i urażony, zeszywniał.

– Tam, skąd pochodzę, było to całkowicie dopuszczalne.

– O, nie wątpię – zapewniła go pospiesznie Miriam. – Tylko... nigdy nie słyszeliśmy...

– Co? Chyba nie powiecie, że nigdy nie słyszeliście dolnego kaszlu? Dajcie spokój. Nawet dzieciom Izraela musi się on czasem przytrafiać! – rzucił Joa.

Miriam ukryła twarz w rękach, dygocząc konwulsyjnie.

– Tak, tak, oczywiście – wybelkotał Hanani. – Choć zwykle w bardziej prywatnych okolicznościach... Po prostu nigdy nie słyszeliśmy takiej nazwy.

Ktoś odkaszlnął i Rachab oprzytomniała. Spojrzała na swoich młodych pomocników, którzy przydźwigali tu na plecach jej nowy dom, i uśmiechnęła się do nich szeroko.

– Tak, chodziło mi o to, że miło mi was poznać. A więc... Szalmon powiedział, że pomożecie nam rozbić namiot. Umiecie to zrobić?

Miała dość rozwagi, żeby nie dodać, iż wyglądają, jakby nie potrafili samodzielnie zawiązać sobie sandałów.

– Pewnie. Rozstawialiśmy i składaliśmy namioty setki razy. – Adam rozejrzał się dokoła. – O tej porze roku najlepiej ustawić namiot wejściem na północ. Będzie chłodniej.

Abel przestąpił z nogi na nogę.

– Gdzie mężczyźni? Rozstawianie namiotu wymaga siły.  
– Nie wiem. Zaraz sprawdzę. – Izzie gotowała owsiankę.  
Rachab podeszła do niej. – Gdzie mężczyźni?  
Izzie zamieszała breję jeszcze raz i wstała.  
– O wschodzie słońca odeszli z Ezrą. Chciał im pokazać ziemię i spytać o radę. Jozue życzy sobie, żebyśmy zaczęli siać jak najszybciej.  
– Przynieśli nasz namiot. Musimy go rozbić. Szalmon przysłał nam dwóch młodzieńców.  
Izzie zagryzła wargę.  
– Nie wiem, kiedy wrócą.  
Siostry wróciły do chłopców. Rachab przedstawiła Izzie.  
– Miło mi – powiedziała ta ostatnia.  
Adam uśmiechnął się do Abla.  
– Mnie również.  
– Moi bracia poszli z Ezrą obejrzeć pola. Nie wiem, kiedy wrócą.  
Abel potarł ogolony podbródek.  
– Musimy przynieść jeszcze tyczki, kołki i kółka. Zbliża się południe. Przed powrotem zjemy posiłek. Może wtedy już wrócą.  
– O, proszę, zjedzcie z nami. Będziemy zaszczycone – zawołała Rachab.  
Adam podrapał się po głowie.  
– Eee... no... dobrze... – Abel skinął głową, a potem nią potrząsnął. Rachab zbyt się ucieszyła, że będzie się mogła w niewielkim stopniu zrewanżować za ich przysługę, że zignorowała taki brak entuzjazmu.  
Rachab posadziła ich na kocu, który rozpostarli w cieniu namiotu sąsiada. Potem obie zajęły się przyrządzaniem solidnego posiłku. Rachab dodała do owsianki kilka cennych przypraw, które przytomnie zabrała z Jerycha. Izzie położyła na chlebie kawałki sera od Miriam. Poprzedniego dnia Rachab upiekła ciastka z rodzynekami według ulubionego przepisu rodziny.

Wiedziała, że nie łamie on żadnego z surowych izraelskich praw, dotyczących pożywienia, których Miriam cierpliwie uczyła ich przez wiele tygodni. Postawiły jedzenie przed gośćmi i przyłączyły się do posiłku. Po paru nieśmiałych kęsach Abel i Adam zaczęli pochłaniać pożywienie w imponującym tempie.

– Niesłychanie smaczne! – wybełkotał Abel z ustami pełnymi owsianki i chleba z serem. Jak na kogoś tak chudego miał niebywały apetyt. – Mógłbym zjeść tego całą beczkę! Czego tu dodałyście?

Izzie i Rachab uśmiechnęły się do siebie.

– Tylko przypraw. W ciastkach jest trochę cynamonu i miodu, i bardzo drobno zmielone orzechy. W tym cały sekret – wyjaśniła Rachab.

– Kobiety z Jerycha potrafią gotować, nie ma co – orzekł Adam między kęsami. Rachab przypomniała sobie, że jego pokolenie zostało wychowane na tajemniczej substancji zwanej manną. Najprawdopodobniej prawie nie znało przypraw ani sztuki mieszania różnych składników. Uświadomiła sobie z radością, że istnieje parę rzeczy, które potrafi robić lepiej niż Hebrajki.

# Rozdział 14



**B**racia i ojciec Rachab wrócili, gdy Adam i Abel dotarli do obozu, zdyszani od dźwigania kilku wielkich drewnianych pali. Postanowili, że sami zaczną stawiać namiot i przepędzili Izzie i Rachab. Rachab, podejrzewając, że zadanie zajmie im czas aż do wieczora, zwołała swoje bratowe, by wtajemniczyć je w plan wieczornego posiłku dla nowych towarzyszy.

Joa, Karem i Imri po godzinie wrócili do obozu i jeśli czuli się zmęczeni, to na widok namiotu od razu o tym zapomnieli. Do wieczora namiot był już rozstawiony i stał w pełnej krasie, podobny do wielu innych, które usiały tereny ogromnego obozu. Cała rodzina nalegała, żeby Adam i Abel zostali na kolację, a ci zgodzili się chętniej niż poprzednio.

Zjedli na dworze, w miłym wieczornym wietrzyku, podziwiając swoje nowe domostwo. W połowie posiłku do ich obozowiska zbliżyły się dwie kobiety. Prowadziły między sobą kędzierzawe, białe jagniątko, ledwie trzymające się na patykowatych nóżkach. Rachab myślała, że przeszkadzają im ich głośne rozmowy i wstała, żeby przeprosić.

Jedna z kobiet podeszła bliżej.

– Ty musisz być Rachab. Ezra wiele o tobie mówił. Jestem jego siostrą Abigail. A to Lea, bratowa Hananiego.

– Witajcie. Jestem zaszczyciona. – Rachab dygnęła pospiesznie.  
– Proszę, dołączcie do nas. Właśnie jemy.

– Nie, nie. Dziękujemy. Chciałyśmy tylko dać ci to. – Abigail

pociągnęła za krótki, wystrzępiony sznurek na szyi jagniątka. – To podarunek od naszych obu rodzin za uratowanie życia naszym braciom. Powinniśmy to zrobić wcześniej. Wybacz nam tę nieuprzejmą zwłokę. – Kobieta spuściła głowę.

– Dar? Dla mnie? Ale to zupełnie niepotrzebne. Oni dokładnie tak samo uratowali życie nam, jak ja im. Bardzo mnie raduje, że wasi bracia są naszymi przyjaciółmi. Pomagają nam bez ustanku. Jeśli można mówić tu o długi – a nie można – to już dawno go spłacili. Z odsetkami.

Abigail pokręciła głową i przyciągnęła jagnię bliżej.

– Ci mężczyźni to nasz cały świat. Nigdy nie przestalibyśmy ich opłakiwać, gdyby coś się z nimi stało. Wiemy, jak wiele ci zawdzięczamy. „Rachab niejedną raz uratowała nam życie”, powiadają. „Ma większą wiarę niż nasi rodzice”, powtarzają każdemu, kto ma uszy. Wszędzie cię wychwalają. Byłaś dla nich dobra. Musisz nam pozwolić, żebyśmy ci podziękowali.

Rachab zawahała się; nie chciała przyjmować daru za coś, na co nie zasłużyła, jak sądziła. Ale nie chciała też urazić krewnych Ezry i Hananiego. Uznała, że lepiej będzie ustąpić niż ryzykować, że kobiety się obrażą.

– Dziękuję. Nasze pierwsze jagnię w domu Izraela będziemy traktować jak skarb.

Abigail i Lea uśmiechnęły się jednocześnie. Rachab bez zastanowienia wzięła Leę za rękę.

– Czy nie zechcecie się dołączyć?

– Chodź, Abby. W życiu nie jadłaś czegoś takiego – zawołał siedzący przy ognisku Adam.

Abigail zmarszczyła brwi.

– Adamie ben Hoseo, czy to ty do mnie przemówiłeś z pełnymi ustami?

– Też powinnaś mieć pełne usta, gdyby starczyło ci rozumu, dziewczyno. Chodź tutaj. Nigdy nie jadłaś niczego takiego.

Abigail zasłoniła usta ręką i spojrzała na Rachab

z przerażeniem.

Rachab uniosła dłonie w uspokajającym geście.

– Jedzenie przygotowywałyśmy zgodnie z Prawem Izraela. Miriam, siostra Szalmona, nauczyła nas wszystkiego.

– Och...

– Dołączcie do nas, proszę. Skosztujcie choć trochę.

Lea podeszła pierwsza, unikając oskarżycielskiego spojrzenia Abigail. Usiadła obok Abla, który natychmiast zanurzył chleb w jednej z misek i jej go podał. Abigail, która wydawała się parę lat starsza od pozostałych, wyprostowała się i dołączyła do zebranych przy ognisku. Rachab przywiązała jagniątko do słupka namiotu, pogładziła je po kędzierzawym łebku i wróciła do gości. Wyczuła, że Abigail przyjęła zaproszenie tylko po to, żeby nad nimi czuwać. Ale z czasem jej nieufność zaczęła znikać i kobieta wdała się w rozmowę, śmiejąc się równie swobodnie jak wszyscy i nieustannie maczając chleb w miseczkach.

Rachab spojrzała na scenę przy ognisku i uświadomiła sobie, że jest cudem. W ciągu jednego dnia Bóg dał im nowy dom i nowych przyjaciół. Nadzieja rozwinęła się w jej piersi jak młody wiosenny listek. Rachab roześmiała się z czegoś, co powiedział Kareem, nawet nie słysząc jego słów. Zrozumiała, że jest szczęśliwa. Kiedy ostatnio czuła taką beztroską radość, nieskażoną poczuciem winy ani strachem?

– Wyglądasz o wiele lepiej niż rano – powiedział ktoś prosto do jej ucha.

Podskoczyła nerwowo i odwróciła głowę; Szalmon stał tuż przy niej. Przez chwilę spoglądała mu w oczy, nie mogąc drgnąć. Odetchnęła głęboko.

– Przestraszyłeś mnie.

– Tak?

– Uczujemy. Mamy gości i w ogóle. Dołączysz? Jedzenia jest pod dostatkiem.

Szalmon przeniósł spojrzenie na zebranych.



– Dziękuję. Nie. Mam mało czasu. Przyszedłem się pożegnać. Powinnaś odesłać dziewczęta do domu. Ezra i Hanani wyruszają jutro z nami.

– Pożegnać się? Dokąd idziecie? – Ale już znała odpowiedź.

– Do Aj. Musimy skończyć to, co zaczęliśmy. Inni zostali wysłani przodem już dzisiaj. Reszta wyruszy przed wschodem słońca.

W jednej chwili jej kruche poczucie szczęścia rozprysło się na tysiące kawałków. Myśl, że Szalmon znajdzie się w bitwie, narażony na strzały oraz ciosy mieczy i noży w rękach brutalnych mężczyzn, skręciła jej wnętrzności. Przed oczami stanął jej bezgłowy kadłub Hamisza, leżący przed jej gospodą. Ta scena wracała do niej w koszmarach, wraz z lepkiem odorem świeżej krwi. Nadal widziała tę końską muchę, wylatującą z ohydnych, rozdziawionych ust. Czy to samo spotka Szalmona? Myśl, że mogłaby go nigdy nie zobaczyć, zabolą ją w żołądku jak rana, która nie chce się zagoić. Wstrząsnęło nią nie tyle to, że Szalmon wybierał się na wojnę, ile to, że tak z tego powodu cierpiała.

Odwróciła się i wstała, przestraszona, że Szalmon może dostrzec to przerażenie w jej oczach, ale on chwycił ją za rękę i pociągnął w dół. Jego ciemne oczy przepalały ją spojrzeniem.

– Co, nie pożegnasz się? A ja przyszedłem z tak daleka.

Przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło. Bała się, że jeśli zacznie mówić, wybuchnie płaczem. Albo powie coś, co zdradzi jej uczucia. Wpatrywała się w niego głupio jak to nowe jagnię, niezdolna do spuszczenia oczu.

– Do widzenia – wychrypiała. Tylko na tyle się zdobyła. Potem cofnęła rękę i uciekła na oślep do nowego namiotu.



Gdy Szalmon żegnał się, myśląc z niechęcią o swojej potrzebie

zobaczenia się przed bitwą z tą Kananejką, ani przez chwilę nie zapomniał, że trzydzieści tysięcy najlepszych wojowników Izraela zbliża się właśnie do Aj. Pod osłoną najgłębszego mroku dotarli do grani Jebel et-Tawil, ukryci przed wzrokiem strażników z Aj i Betel, lecz na tyle bliscy obu miast, by je obserwować. Mieli się ukryć w ciszy, niezauważeni, i przeczekać tu długie godziny do rozpoczęcia walki.

Jozue wyruszył o świcie, prowadząc na Aj drugi, znacznie mniejszy oddział. W tych szeregach znalazł się Szalmon. Wojownicy nie starali się ukrywać. Zbliżyli się do miasta z jasną intencją i rozlokowali się na północ od miasta w pełnym słońcu. W przeciwieństwie do wojowników z pierwszego oddziału, którzy okręcili stopy grubym płótnem, żeby stłumić odgłos kroków, Szalmon i jego towarzysze broni mieli sandały na drewnianych podszwach. Na ubitej drodze drewniaki łomotały jak bębny. Serce Szalmona biło w rytmie tego bębna, a on sam poczuł się małą częścią jednorodnego tarana. Był gotowy. Gotowy pokazać mieszkańcom Aj, co potrafi zdziałać Pan. Niewielki oddział sunął za Jozuem jak ruchomy mur, aż dotarł do wąskiej doliny na północ od miasta. Tam zatrzymał się na wzgórzu oddzielnym doliną od Aj.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, Jozue wkroczył w dolinę, doskonale widoczny dla strażników z miejskich murów. Przeparadował przed ich nosami i pomachał przyjaźnie żołnierzom. Usłyszeli jego śmiech, kiedy ich strzały padały tuż przed nim, nie dosięgając jego serca. Szalmon uśmiechnął się z przymusem, gdy Jozue wdrapał się na wzgórze, wracając do swoich. Rano, gdy rozgorzeje prawdziwa walka, będą musieli się wspinać o wiele szybciej.

Na szczycie wzgórza rosło kilka srebrzystozielonych drzew. Szalmon oparł się o jedno z nich. Gdzieś tam, ukryci przed oczami Hebrajczyków i mieszkańców Aj, leżeli jego przyjaciele, ukrywający się już drugą noc i czekający na sygnał Jozuego. Jak

zwykle w noc poprzedzającą większość jego bitew, Szalmon był zbyt spięty, by zasnąć.

Pomyślał o Miriam i o tym, jak mocno go uścisnęła na pożegnanie. Serce mu złagodniało na myśl o niej. Chciał jej zapewnić bezpieczne życie. Czasem kipiał z niecierpliwości, gdy musiał dostosować swoje plany do zamiarów Boga. Czasami żałował, że Bóg nie chce się pospieszyć i szybciej zesłać im stabilizację. Na samą myśl o tym się czerwienił i dziękował za ciemności, które kryły jego twarz. Pod pozorami pobożnego posłuszeństwa i wiary nadal kryły się w nim otchłanie samowoli. Chciał być panem samego siebie. Chciał nagiąć Boga do własnych zamiarów. Trudno się dziwić, że Jozue zarzucił mu hipokryzję.

Na tę myśl przed oczami stanęła mu Rachab. A raczej znowu przed nie wróciła. Od chwili rozstania nawet na chwilę nie opuszczała jego myśli. Gdy Jozue ogłosił wymarsz, Szalmon poczuł gwałtowną potrzebę, żeby ją odszukać, napatrzeć się na nią tak, by jej twarz odcisnęła mu się w pamięci. By się pożegnać, może na zawsze. Wiedział, że bitwa oznacza śmierć. Stawał w obliczu tej prawdy przed każdą walką. Nawet zwycięzcy czasem giną. Można wygrać, ale zostać kaleką. Lub umrzeć. Ale to nie perspektywa śmierci go dręczyła, tylko myśl o odejściu bez spotkania z Rachab.

Powtarzał sobie, że nie ma powodu się z nią widzieć. Nie miała dla niego znaczenia i nigdy nie będzie miała. A jednak czuł, że jeśli do niej nie pójdzie, jeśli jej nie zobaczy, nie usłyszy, z pewnością się udusi. Dlatego poszedł niechętnie do jej obozu i znalazł ją roześmianą z przyjaciółmi, jakby od urodzenia należała do ludu Izraela.

Przełknął z trudem ślinę na wspomnienie jej oczu, kiedy powiedział, że idzie na wojnę. Te piękne złote oczy wypełniły się grozą, a jego ogarnęła chęć, by się nią zaopiekować. Nie był jej obojętny! Ta świadomość wyzwoliła w nim niewyczerpaną satysfakcję. A satysfakcja tylko bardziej go rozdrażniła. Burknął

pod nosem. Łatwiej poradzić sobie z Aj niż z własnym sercem!



Nim słońce wzeszło, mały oddział Jozuego stał już w formacji bojowej. Z niemal leniwą arogancją dotarli do terenów naprzeciw Arabów. Z punktu widzenia Izraelitów było to źle wybrane miejsce walki. Hebrajczycy byli odsłonięci ze wszystkich stron, co dawało przewagę wojownikom z Aj. Szalmon wiedział, że ludzie, którzy ich już raz pokonali, uważają ich za głupców. Łatwą zdobycz. Dokładnie tak, jak to zaplanował Jozue.

Król Aj zareagował zgodnie z oczekiwaniami. O pierwszym brzasku wyruszył wraz ze swoimi ludźmi z miasta, pewny siebie i buńczuczny, obrzucając obelgami niewielki oddział czekających na nich przeciwników.

„Wróciliście po jeszcze? Chcecie więcej trupów do kolekcji? Nasze gołębie walczą lepiej od waszych najlepszych żołnierzy! Może nasze małe dziewczynki udzielą wam paru lekcji?”.

Tego ranka obelg nie brakowało. Szalmon nie pozwolił sobie na zmianę wyrazu twarzy; słuchał każdego słowa z kamienną miną. Duma nie grała roli w tym planie. Za parę chwil on i jego bracia wydadzą się jeszcze większymi głupcami. Żołnierze z Aj nieustannie napływali, ale na chwilę zanim pierwsza fala ich armii dotarła do szeregów Izraela, Jozue dał rozkaz odwrotu. Hebrajscy wojownicy odwrócili się i uciekli na pustynię, z dala od miasta. Przeciwnicy musieli ich uznać za tchórzy, których obleciał strach.

Armia Aj wydała głośny okrzyk. Niektórzy żołnierze śmiali się, inni wiwatowali, machając w powietrzu mieczami i pałkami. Szalmon miał świadomość, że ten nagły odwrót napełnił serca nieprzyjaciół nową brawurą. Wszystko się w nim burzyło, zmuszało go do zatrzymania się, powrotu i rozpoczęcia walki. Mimo to zmusił się, by biec jeszcze szybciej. Spod tysięcy

drewniaków, tupiących o ziemię, unosił się kurz. Szalmon czuł jego smak przy każdym oddechu – suchy, ziemisty, dławiący go w gardle i grożący zakrztuszeniem. Przełknął ślinę, zamknął usta i z wysiłkiem zaczął oddychać rytmicznie przez nos. Zerknął pospiesznie przez ramię i przekonał się z satysfakcją, że nawet strażnicy na murach porzucili swoje posterunki i dołączyli do pościgu. Wątpił, by w Aj lub Betel został choć jeden mężczyzna. Wszyscy ścigali ich, pewni zwycięstwa.

Nagle Jozue zatrzymał się i zawrócił. W jednej ręce trzymał miecz, w drugiej oszczep, którym wskazał Aj. W tej samej chwili wielki oddział, czekający w ukryciu, wyłonił się i ruszył na miasto.

Mieszkańcy Aj, nieświadomi zagrożenia, dogonili mniejszy oddział Jozuego i wdali się z nim w walkę. Entuzjastycznie siekąc mieczami, starli się z wrogiem, którego uważali za tchórzliwego i łatwego do pokonania. Szalmon, zawsze na pierwszej linii, stanął przeciwko dwóm mężczyznom jednocześnie. Pierwszy był barczysty i muskularny. Trzymał wielki miecz i władał nim z brawurą, którą Szalmon mimo woli podziwiał. Drugi był uzbrojony w nóż, którym manewrował z łatwością, przerzucając go z ręki do ręki i trzymając go mocno i z wdziękiem. Szalmon uniósł brew. To nie byli zwykli rolnicy, w chwili potrzeby zaciągnięci do wojska. Zostali dobrze wyćwiczeni. I najwyraźniej mieli ochotę skosztować na śniadanie jego wnętrza.

– Po kolei, dobrze? – zawołał.

Nożownik rzucił swoją broń w powietrze i przyjrzał się jej wirującemu ostrzu.

– Kto tak powiedział? – krzyknął, zwinnie łapiąc ją za rękojeść i ciskając prosto w pierś Szalmona, który uskoczył szybko jak błyskawica, ledwie unikając kontaktu z ostrzem. Wbił łokieć w szeroki grzbiet drugiego przeciwnika. Uderzenie kości o kość wstrząsnęło wysokim mężczyzną, który zrobił dwa chwiejne kroczki do tyłu. Szalmon wykorzystał tę chwilę, by przeciąć

mieczem jego potężne prawe ramię. Ostrze przeszło mięśnie i ściągnęło i dotarło do kości. Krew bluznęła na pierś przeciwnika, który krzyknął z bólu i wściekłości, ale nie wypuścił broni. Dowodząc ogromnej samokontroli, przełożył miecz do drugiej ręki i z niezwykłą precyzją dźgnął nim w brzuch Szalmona. Ten ledwie zdążył dostrzec błysk metalu. Odskoczył, zasłaniając się mieczem przed potężnym ciosem. Choć zminimalizował w ten sposób śmiertelną siłę uderzenia, nie mógł zupełnie zejść z linii natarcia i ostrze drasnęło jego brzuch, zostawiając cienką krwawą linię.

Szalmon zignorował przeszywający błysk bólu, wiedząc, że to powierzchowna rana. Kątem oka dostrzegł, że nożownik wyciąga zza pasa inną broń.

– Zależy mi na skończeniu tej walki tak samo jak tobie – odezwał się Szalmon, przekrzykując bitewną wrzawę – ale chyba powinienem cię ostrzec, że wasze miasto się pali.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię, a potem całkiem się odwrócił, wpatrzony w wielką kolumnę czarnego dymu. Drugi przeciwnik nie dał się rozproszyć.

– Milcz, hebrajskie ścierwo! Wypróbujesz swoje sztuczki w krainie umarłych, bo zaraz połamię ci te kurczące kosteczki – warknął. Uniósł miecz i rzucił się na Szalmona. Miał imponującą wprawę, bo pomimo rany każdy jego cios miał ogromną siłę. Bronią także władał lepiej niż Szalmon, choć był od niego wolniejszy. Szalmon uskoczył w prawo, unikając śmiertelnie groźnego pchnięcia, i natychmiast zrobił zwód w lewo, usiłując się zbliżyć do mężczyzny od strony jego zranionego boku. Zgodnie z oczekiwaniami wojownik dźgnął w lewo, a Szalmon odwrócił się w prawo i runął na przeciwnika. Mężczyzna potrzebował tylko ułamka sekundy, by znowu skierować miecz we właściwą stronę, ale tym ruchem odsłonił swój lewy bok i Szalmon wbił w niego broń.

Szok rozszerzył oczy wojownika. Z jego gardła wydarł się

dziwny bulgot i z ust na czarną brodę wypłynęła krwawa piana.

Gdy mężczyzna osunął się na ziemię, Szalmon wyjął sztylet zza jego pasa.

– Jeśli nie będziesz go już używać, to go wezmę. – Wytarł zakrwawiony miecz o tunikę mężczyzny i rozejrzał się, szukając nożownika, który na widok płonącego miasta ruszył biegiem przed siebie. Teraz stał w pewnej odległości, zapatrzony w płomienie. Nadal znajduje się w moim zasięgu, uświadomił sobie Szalmon. Wiedział, że mógłby zabić mężczyznę jednym szybkim rzutem noża, ale myśl o ataku z tyłu jakoś mu się nie uśmiechała. W walce nikt nie miałby mu tego za złe, ale on nie potrafił się do takiego ciosu przekonać. Uważał, że to niegodne.

W oddali ujrzał większy izraelski oddział, wyłaniający się z Aj i zmierzający w stronę bitwy. Nożownik utknie z resztą towarzyszy między dwoma wojskami, bez nadziei ucieczki. Szalmon wzruszył ramionami i zajął się walką z przeciwnikami, którzy znajdowali się bliżej niego.

Nie minęła godzina, a walka nabrała impetu, bo oddziały izraelskie zbliżyły się do siebie, otaczając ludzi z Betel i Aj. Wrogowie walczyli teraz z desperacją zrodzoną ze strachu, nie z brawurą ludzi spodziewających się zwycięstwa. Tak zaciekle bezwzględność wymagała od Izraelitów wspięcia się na najwyższy poziom skuteczności.

Szalmon, który znalazł się naprzeciwko wielkiego jak odyniec mężczyzny z toporem i pałką, skupił się głównie na przeżyciu. Płasał wokół kolosa niczym kananejska tancerka. Nieopodal Hanani walczył z żylastym mężczyzną, który z niebywałą wprawą władał dwoma mieczami. Hebrajczyk z trudem odpierał jego potężne ciosy.

Szalmon uświadomił sobie, że wkrótce będzie musiał ruszyć przyjacielowi na pomoc, ale na razie kolos zajmował jego całą uwagę. Pochylił się, unikając ciosu i zamachnął się mieczem na nogi mężczyzny, usiłując go powalić. Ten skoczył na łokieć

w górę, bez trudu unikając ciosu. Szalmon zastygł na chwilę z otwartymi ustami, po czym pospiesznie odskoczył przed spadającym w stronę jego głowy toporem wojownika, który już wylądował na ziemi.

Szalmon cofnął się o parę kroków, zbliżając się do Hananiego.

– Trzymaj się, zaraz do ciebie idę! – ryknął. Hanani nie miał siły nawet skinąć głową.

Przeciwnik Szalmona zamachnął się toporem; Szalmon odwrócił się, żeby uniknąć wypatroszenia. W tej samej chwili zauważył nożownika, z którym niedawno walczył. Mężczyzna stał jakieś pięć łokci dalej, trzymając nóż w zręcznych palcach. Spoglądał na Hananiego.



# Rozdział 15



**N**ie! – krzyknął Szalmon. Rozejrzył się z desperacją, która nadała gwałtowność jego ruchom. Nikt nie mógł im pomóc. To jego wina. Duma skłoniła go do zignorowania niebezpiecznego przeciwnika i teraz jego przyjaciel za to zapłaci. – Nie – powtórzył, tym razem szeptem. Uniósł miecz wysoko, całkowicie odsłaniając się na cios topora. Przeciwnik rzucił się na niego bez wahania. Tuż przed starciem Szalmon obrócił się wokół własnej osi; ostrze topora minęło go o włos. Szalmon uderzył mieczem, trzymając go pod nieprawdopodobnym kątem. Tego przeciwnik z toporem się nie spodziewał. Gdy miecz wbił się z obrzydliwym młaśnięciem w jego odsłonięty bok, zgiął się wpół ze stęknieniem.

Szalmon nie tracił czasu na odzyskiwanie miecza. Sięgnął za pas i wyszarpnął nóż, który tam schował. Zobaczył niemal w zwolnionym tempie, jak nożownik unosi swoją broń, celuje i bierze zamach. W tej samej chwili przeciwnik Hananiego zdołał zablokować jego uderzenie i przygotował się do wbicia drugiego miecza w brzuch. Ten cios byłby śmiertelny.

Szalmon stracił dech. Dwóch przeciwników, dwa śmiertelne ataki, oba przeciwko Hananitemu. Ten z dwoma mieczami stał bliżej, akurat z odsłoniętą szyją. Szalmon szybko wycelował i rzucił. Nóż wbił się w tętnicę szyjną; wojownik osunął się na ziemię, brocząc strumieniem krwi z rany. Szalmon tym samym płynnym ruchem rzucił się na Hananiego,

przewracając go. Ale wtedy to on znalazł się w miejscu, gdzie przed chwilą był jego przyjaciel. Dokładnie na trajektorii lotu noża. Nie mógł go uniknąć. Ostrze przecięło jego płaszcz i szatę i wbiło się w brzuch z siłą, która rzuciła Szalmona na kolana. Poczuł przeszywający ból, a potem dziwne odrętwienie.

Hanani przypadł do niego, biały jak piasek, na którym ukląkł.

– Nie, nie, nie! O, Panie! Panie, pomóż nam! – krzyknął.

Szalmon zaczął dygotać tak gwałtownie, że stracił równowagę. Hanani chwycił go w samą porę, ratując przed upadkiem na ziemię, który spowodowałby nowe obrażenia. Delikatnie posadził go na piasku. Szalmon zdołał chwycić go za szatę.

– Wyciągnij to ze mnie – wykrztusił.

Hanani spojrział na niego oczami rozszerzonymi z przerażenia i pełnymi łez. Pokręcił głową.

– Zrób to. Szybko.

Hanani przez chwilę spoglądał w niebo, po czym ujął rękojeść sztyletu i wyszarpnął go gwałtownie. Szalmon jeszcze nigdy nie doświadczył takiego bólu. Zawył, nie potrafiąc powstrzymać tego niemal zwierzęcego skowytu. Nie stracił przytomności; oddychał z trudem, ale myślał logicznie, choć przez mgłę bólu.

– A teraz go zabij – szepnął drżącym głosem. – Zanim kogoś skrzywdzi. Weź ten nóż.

Hanani skinął głową i wstał, trzymając broń ociekającą krwią przyjaciela. Półprzytomny z bólu Szalmon uniósł głowę i zauważył, że Hanani musiał otrzeć oczy, żeby ruszyć w pościg. Nożownik usiłował uciec, ale wymijanie zmarłych i walczących go spowolniło. Hanani wycelował starannie i cisnął nóż, który trafił mężczyznę w bieg.

Szalmon stracił na chwilę przytomność. Głowa opadła mu ciężko na piasek. Ocknął się w ramionach Hananiego, osłabiony i oszołomiony.

– O, Szalmonie – jęknął Hanani.

– Nic mi nie będzie.

– To moja wina. Wybacz mi. To powinienem być ja...

Szalmon chciał pokręcić głową, ale okazało się, że nie ma na to siły. Spojrzał w dół; jego ubranie i ziemię wokół niego barwiła krew. Wyglądała jak zapowiedź śmierci. Przełknął ślinę i zamknął oczy. „Panie, miej nade mną litość”. Znowu zmusił się, by otworzyć oczy i spojrzeć na Hananiego.

– Nie jesteś niczemu winien. Miałem okazję zabić go wcześniej i nie zrobiłem tego. – Uniósł głowę, żeby spojrzeć na krwawiącą ranę. Ten wysiłek sprawił, że na czoło wystąpił mu pot. – Źle to wygląda. Jeśli mi się nie uda, zadbaj o moją siostrę.

– Sam o nią zadbaj. Nawet się nie waż myśleć o śmierci. Będiesz żył, Szalmonie ben Nachsonie, bo inaczej zrobię z ciebie miazgę.

Szalmon uśmiechnął się blado drżącymi wargami.

– Idź wygrać tę walkę. Ja tu sobie poradzę. – Hanani zawahał się, nie chcąc go opuszczać. – Idź.

Przyjaciel skinął głową. Odpiął od pasa sakiewkę i wsunął ją pod głowę Szalmona, po czym oddalił się biegiem. Szalmon spojrzał w niebo. Dzień był piękny. Na horyzoncie unosiły się małe chmurki. Wietrzyk szumiał w gałęziach drzew, kołysząc nimi jak królewskimi wachlarzami. Tak dawno nie zdarzyło mu się dostrzec piękna otoczenia. „Panie, czy to dzień mojej śmierci? W Twoje dłonie oddaję życie moje”. Przeszył go spazm bólu, zapierając mu oddech i na parę chwil odbierając zdolność myślenia. Potem przeminął, a Szalmon znowu zaczął się modlić. „Proszę, zadbaj o moją siostrę. Niech pod moją nieobecność nie spotka jej nic złego”.

Kolejna twarz, inna niż twarz Miriam, stanęła mu przed oczami. Poważna, o wielkich oczach i pełnych wargach. Twarz w jednej chwili pełna czułości, a w następnej – strachu. Ważna twarz. Odetchnął z trudem. „I, Panie, zadbaj o Rachab”. Przeszył go żal ostry jak sztylet, który przebił mu brzuch. Żal za tym, co się nie stanie. Jęknął. To przez tę ranę nachodziły go takie szalone

myśli. Co za ironia, że ostatnią poświęcił tej kananejskiej... nie. Nie mógł powiedzieć tego słowa. W tej chwili stała się kimś innym, niż była. Przeszłość jej nie określała. Skoro miał o niej myśleć w ostatnich chwilach życia, nie będzie jej poniżać. „Panie, to kobieta wiary. Zadbaj o nią”.

– No i co najlepszego narobiłeś? – Znajomy głos przebił się przez jego myśli.

– Jozue?

– A kogo się spodziewałeś, króla Aj? Przyjrzyjmy ci się, młodzieńcze.

– Nie jest dobrze. Obiecasz, że zajmiesz się moją siostrą?

– Najpierw spojrzę, potem będziesz mnie zasypywał żądaniami. – Jozue bardzo delikatnie zbadał ranę, a jednak Szalmon omal nie zwymiotował z bólu. Z gardła wydarł mu się jęk. Jozue cofnął ręce. – Nie będę cię oszukiwać, synu. Ta rana jest poważna. Być może śmiertelna.

– A nie mówiłem? – wychrypiął Szalmon z bladym uśmiechem, rozkoszując się poczuciem przynajmniej jednego zwycięstwa nad Jozuem. Potem ogarnęła go ciemność, a on z nią nie walczył. „Byle tylko przestało boleć”. Ostatnim widokiem, jaki został mu pod powiekami, była pochylona w modlitwie głowa Jozuego.



Rachab siedziała na podłodze namiotu Miriam, robiąc bandażę. Od wymarszu wojsk Izraela do Aj nabrała zwyczaju codziennego przesiadywania godzinami u Miriam. Siostra Szalmona, weteranka w szarpiącym nerwy oczekiwaniu na wieści z pola bitwy, nauczyła Rachab, jak spędzać czas na przygotowywaniu opatrunków dla rannych. Tuż przed obozem Hebrajczyków rozstawiono nowy namiot dla mężczyzn, którzy odnieśli obrażenia podczas walki. Rachab nigdy nie wątpiła w zwycięstwo

Izraela. Każda jej myśl była podszyta tą pewnością. Ale nie mogła nie pamiętać, że nawet walki zakończone wygraną bywają tragiczne w skutkach, a ta myśl paraliżowała ją strachem. Usiłowała go ukryć przed przyjaciółką. Była jej wdzięczna za częste wspólne modlitwy. Modliły się o bezpieczeństwo izraelskich młodzieńców, o wsparcie Boże, o bezpieczny powrót Szalmona. Te modlitwy ocaliły jej zdrowie psychiczne.

Teraz, zwijając świeżo uprane bandaże, zastanawiała się, ilu rannych wróci z bitwy o Aj i na jaką opiekę mogą liczyć.

– Macie tu lekarzy czy tylko kobiety, które zajmują się chorymi? – spytała Miriam.

– Mamy kilku utalentowanych lekarzy. Najślawniejszy to Suf ben Juda. Wyruszył z oddziałem Jozuego – nie jako żołnierz, lecz by leczyć rannych najszybciej, jak to możliwe. Szybkość decyduje o przeżyciu. Nauczył niektóre kobiety – również mnie – jak przygotować się do opieki nad rannymi.

– Gdzie nauczył się leczyć? Przecież od czterdziestu lat snujecie się po bezdrożach. Skąd zdobył wykształcenie?

Miriam wzięła alabastrowy dzbanek i naląła do niego miodu.

– Nasi rodzice byli niewolnikami w Egipcie, który jest kolebką najświetniejszej wiedzy medycznej. Ojciec Sufa służył od dzieciństwa lekarzowi, który go polubił i przez lata wyjawiał mu nieco arkanów swojego kunsztu. Pewnie za sprawą Boga. Egipscy lekarze zazdrośnie strzegą swojej wiedzy, a jednak ten zaufał niewolnikowi. Gdy opuściliśmy Egipt, Juda poszedł z nami i przekazał wszystko, co umiał, Sufowi.

Zanim Rachab zdążyła odpowiedzieć, ktoś gwałtownie uniósł klapę namiotu. Hanani wpadł do środka, zapominając uprzedzić kobiety o swoim wtargnięciu.

Rachab i Miriam wstały pospiesznie.

– Szalmon...? – wykrztusiła Miriam.

– Jest ranny. Wzywa cię.

– Czy to poważne?

Zanim Hanani zdążył spuścić głowę, w jego oczach pojawiły się łzy. Miriam krzyknęła i rzuciła się w ramiona Rachab. Rachab miała wrażenie, że namiot zawirował wokół niej, ale zmusiła się, żeby przytulić Miriam, pocieszyć ją w tej pierwszej chwili paniki. Przybrała maskę współczucia, usiłując ukryć własną gwałtowną reakcję: tylko nie Szalmon!

Miriam cofnęła się i przesunęła drżącą ręką po czole.

– Przepraszam, nie chciałam się zachować jak tchórz. Rachab, pójdziesz ze mną? Pomożesz mi się nim zająć.

Rachab odetchnęła z ulgą. Nie zniosłaby rozłąki z nim w takiej chwili. Przynajmniej będzie u jego boku.

– Oczywiście – wychrypiała.

Miriam uścisnęła jej dłoń.

– Dziękuję.

Co za ironia, pomyślała Rachab. Przecież to ona zrobiła mi przysługę. Gdyby tylko wiedziała...

Wzięły dwa kosze i wypełniły je zapasami, które przygotowywały od trzech dni. W progu namiotu wpadła na nie zdyszana tęga kobieta.

– Miriam, właśnie się dowiedziałam! Chwała Bogu, że wygraliśmy, jego ofiara nie pójdzie na marne. Pójdę z tobą, pomogę ci się nim zająć. Pewnie strasznie cierpi. Rany wojenne bolą najbardziej, tak mi mówiono.

– Dina! – zawołała Miriam, blednąc.

– No, dalej. Na co czekasz? Czas ucieka. On pewnie już umiera! – ponagliła Dina, machając rękami jak rozgniewana gęś skrzydłami. Rachab spojrzała na nią zwięzionymi oczami; słowa kobiety przebiły się przez mgłę, która opadła na jej umysł. Nie było to najbardziej podnoszące na duchu przemówienie.

– Hm... Dina, dziękuję za pomoc, ale poprosiłam już Rachab – wymamrotała Miriam, wychodząc z namiotu.

– Kogo?!

– Rachab. Przepraszam, jeśli was sobie nie przedstawiłam. Jak

wspomniałaś, czas się kończy.

– Nie mówisz poważnie! Nie możesz zabrać takiej kobiety do Szalmona w jego ostatnich godzinach. To... to hańba! Poza tym jestem jego kuzynką. Powinnam stać u jego boku.

– A ja jestem jego siostrą i to ja zdecyduję, kto będzie u jego boku. I wybieram Rachab. Dobrego dnia, Dino. – Miriam mocno ujęła dłoń Rachab i pociągnęła ją za sobą, biegnąc za Hananim.



Suf wyprostował się po zakończonym badaniu.

– Uraz wątroby – oznajmił, oglądając się przez ramię na Miriam. – Nóż przebił ją, przecinając niemal na pół. Potężny krwotok bardzo go osłabił. Jest nieprzytomny od wielu godzin.

– Ale żyje – powiedziała Miriam pobielającymi wargami.

– Nie wiem, czy to dlatego, że tak się uparł, czy dzięki modlitwom Jozuego. Ale tak, żyje.

Rachab nie mogła oderwać oczu od Szalmona. Jego skóra nabrała koloru ciemnej żółci i była zimna od utraty krwi. Szalmon leżał na noszach, żółty jak tykwa, oddychając tak płytko, że jego obnażona pierś zdawała się nie poruszać. Miał obandażowany brzuch, pewnie niedawno, bo na bokach materiał był jeszcze biały i czysty. Ale wokół rany rozlewał się szkarłat świeżej krwi. „O Panie, nie zabieraj go. Nie zabieraj go. Nie zabieraj go”, rozbrzmiewała niekończąca się litania w głowie Rachab. Docierały do niej rozmowy, jęki innych rannych młodzieńców, cichy śmiech ulgi tych, którzy odnieśli lżejsze rany, słowa pociechy ich krewnych, słyszała to wszystko i rozumiała, ale litania trwała dalej. „Nie zabieraj go”. Nie zabieraj.

– Czy on wyzdrowieje? – Pytanie Miriam wyrwało ją z otępienia.

Suf zmarszczył nos w zamyśleniu.

– Mało prawdopodobne, choć niewykluczone. Wątroba ma zdolność regeneracji. Jeśli zdołasz go natchnąć siłą i zapobiegiesz infekcji, może przeżyje.

– Jak?

– Trzeba nad nim czuwać dniem i nocą. Zmieniać mu bandaż co najmniej cztery razy dziennie i dwa razy w nocy. Stosuj miód, dużo miodu. Zaszylem ranę, dbając o to, żeby węzły znalazły się wysoko w górze, ponad skórą. Dzięki temu nie będą jej drażnić podczas zmiany opatrunków. Ale i tak musisz uważać. Wcieraj w nią oliwę, żeby ją zmiękczyć. Niestety, nie miałem wina daktylowego i kadzidła, a bardzo by mu pomogły.

Rachab drgnęła.

– Mam obie te rzeczy.

Suf zmierzył ją spojrzeniem.

– A ty jesteś...?

– Rachab – wyjaśniła Miriam.

– Z Jerycha. Słyszałem o tobie. Mówisz, że masz wino daktylowe?

– I kadzidło. Chętnie oddam wszystko.

Suf skinął głową.

– Doskonale. To mu dobrze posłuży. Później pokażę wam, jak oczyszczać winem ranę, zanim nałożycie opatrunek z miodu. Kolejna ważna sprawa, którą musimy się zająć, to utrata krwi. Trzeba niemal nieustannie go poić. Ze względu na ranę wątroby nie wolno mu jeść nic tłustego. Nawet jednego kęska. Podawajcie mu wodę jęczmienną słodzoną miodem albo dobrze osolony bulion, ale taki, z którego zdejmiecie tłuszcz. Dopóki będzie nieprzytomny, wlewajcie to w niego. Dacie radę?

Obie kobiety skinęły głowami, zbyt wstrząśnięte, żeby mówić. Rachab pobiegła do swojego namiotu po wino i kadzidło. Pospiesznie, urywanymi zdaniem, wyjaśniła rodzinie, co się wydarzyło, jednocześnie wyszarpując rzeczy ze swojej sakwy. Zanim znalazła to, czego szukała, podłogę zasłały ubrania, butelki



i amfory.

– Idź, idź – ponagliła ją Izzie. – Ja to posprzątam.

Rachab skinęła głową i wybiegła. Dopadła namiotu z rannymi zdyszana i chora z niepokoju. Wręczyła pakunek Sufowi i osunęła się na ziemię obok Miriam, która czuwała przy posłaniu Szalmona.

Suf upił nieco wina i zatrzymał łyk w ustach na chwilę, zanim je połknął.

– Dobrze. I widzę, że kadzidło jest czyste. Ono także nam dobrze posłuży. A teraz pokażę wam, jak zmieniać opatrunki.

Rozwiązał bandaż Szalmona i zdjął je z wielką uwagą. W paru miejscach zaschnięta krew skleila szew w tkaninę. Suf oderwał ją metodycznymi ruchami, dbając, by rozjątrzone brzegi rany się nie rozeszły. Rana była pokryta grubą warstwą miodu. Suf podniósł na chwilę wzrok, sprawdzając, czy kobiety na niego patrzą.

– Miód wyciąga truciznę z rany i pomaga leczyć infekcję. Dlatego tak ważne jest, żeby często zmieniać bandaż.

W drewnianej misce zmieszał niewielką ilość kadzidła z winem i, zamoczywszy czystą szmatkę w tej miksturze, przystąpił do zmywania miodu. Gdy usunął większość lepkiego płynu, Rachab ujrzała żółtawą ropę, wyciekającą z zaczerwienionej, rozognionej rany. Suf wytarł ją z wielką ostrożnością, raz po raz zanurzając szmatkę w miksturze. Zapach starej i świeżej krwi dławił Rachab, która jednak zdołała powstrzymać odruch wymiotny. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę Szalmon, ten energiczny mężczyzna, którego jedno spojrzenie uciszało rozgniewany tłum, leży tu w smrodzie ropy i zgnilizny.

Miriam wyciągnęła rękę i ścisnęła palce Rachab w uścisku zdolnym miażdżyć kości. Pomimo bólu ten uścisk budził nadzieję. Rachab także uścisnęła małą, miękką rączkę. Razem patrzyły, jak lekarz przygotowuje nowy opatrunek, pokryty

cienką warstwą miodu dzikich pszczoł, którym następnie przykrył ranę Szalmona. Jego czynności w ogóle nie docierały do pacjenta, który leżał nieruchomy i blady, strącony w otchłań nieprzytomności. Rachab pomyślała, że to dobrze, iż nie czuje tego straszego bólu.

Suf wytarł ręce resztką mikstury.

– Pamiętajcie, żeby po kontakcie z raną umyć dłonie, tak jak ja to zrobiłem. Zdobądźcie jak najwięcej miodu. Zważywszy na pozycję Szalmona nie wątpię, że wszystkie rodziny pod jego dowództwem oddadzą wam swój roczny przydział. Jeśli przeżyje, będzie to długi i trudny proces. A co do ciebie Miriam... Opieka nad nim to nie kwestia dni, lecz tygodni, rozumiesz?

Miriam skinęła głową.

– To bez znaczenia. Dam radę.

– Będziesz potrzebować pomocy. Czy twoja najlepsza przyjaciółka Elżbieta nie spodziewa się dziecka? O ile sobie przypominam, jej czas się zbliża. Ani ona, ani jej matka ci nie pomogą.

– Ja pomogę – wyrwała się Rachab. Zarumieniła się, uświadomiwszy sobie, że nikt jej o to nie prosił. – To znaczy... jeśli sobie tego życzysz, Miriam. Bo już wiem, jak zmieniać opatrunki.

– Dziękuję. Oczywiście, że chcę, żebyś mi pomogła.

## Rozdział 16



Szalmon poczuł, że się dusi. Jakieś ręce nie pozwalały mu się podnieść; szarpnął się, żeby się wyrwać. Otworzył oczy, krztusząc się i kaszląc. Początkowo nie rozumiał, co widzi. Kiedy wzrok mu się wyostrzył, zrozumiał, że to unosząca się nad nim twarz kobiety. Rachab? Poruszył się i uświadomił sobie, że jego głowa spoczywa na jej kolanach. Gdzie on się znalazł?

– Co? – wychrypiał. W gardle go drapało. Z czystego uporu zmusił się, żeby mówić dalej. – Co ty robisz, chcesz mnie zabić? – zgrzytnął po kolejnym ataku kaszlu.

– Dzięki Bogu! Przebudziłeś się! Wiesz, kim jestem?

Jej głos brzmiał wyżej i piskliwiej, niż to zapamiętał. Uniósł do skroni omdlewającą, drżącą rękę. Wspomnienia nagle wróciły.

– Jesteś w gorszym stanie niż ja, skoro zapomniałaś własnego imienia.

Rachab parsknęła gwałtownym śmiechem i z niezmierną delikatnością położyła jego głowę na posłaniu. Kiedy się od niego odsunęła, ogarnęło go uczucie straty.

– Obudzę Miriam. Ależ się ucieszy!

Jego siostra leżała na posłaniu obok. Jej twarz, nawet wyglądzona przez sen, wydawała się zmęczona.

– Niech śpi. Od dawna się mną opiekuje?

– Osiem dni i nocy. Niedawno przekonałam ją, żeby trochę odpoczęła. Prawie nie odchodzi od twojego boku, nie sypia, tylko drzemie. To pierwszy raz, kiedy ocknąłeś się na tyle, żeby

rozmawiać. Wszyscy bardzo się o ciebie martwią.

Szalmon zmarszczył brwi. Nie pamiętał wcześniejszych chwil przytomności. Zaraz potem przyszła do niego bardziej pilna myśl.

– Co z bitwą?

– Bezwarunkowe zwycięstwo Izraela.

Zamknął oczy z ulgą. Został ranny tuż przed ostatecznym rozstrzygnięciem wyniku bitwy. Znowu uniósł powieki i skupił wzrok na Rachab, dziwiąc się, dlaczego się tu znalazła. Jeśli się nie mylił, a bardzo w to wątpił, leżał w namiocie dla rannych. Co sprowadziło tę kobietę, tak niedawno przyjętą do jego plemienia, w takie miejsce?

– Zanim zmienię ci opatrunek, najpierw skończ bulion. To dlatego się krztusiłeś. Usiłowałam cię karmić.

– Ty zmienisz mi opatrunek?

– Chyba że wolisz, żeby zrobiła to Miriam?

– Oczywiście, że nie. Gdzie Suf? Dlaczego on tego nie robi?

Rachab uklękła obok jego głowy, żeby mógł na nią patrzeć, nie napinając karku. Była bardzo blada.

– Ponieważ twoje opatrunki trzeba było zmieniać często, a on musiał się zajmować innymi pacjentami, nauczył tego Miriam i mnie. Bardzo się starałyśmy, żeby zrobić to jak należy.

– Miriam i ciebie? Opiekowałaś się mną?

Rachab wzruszyła ramionami i sięgnęła po miseczkę.

– Musisz to wypić. Straciłeś mnóstwo krwi i trzeba odbudować twoje siły, żebyś mógł walczyć z infekcją. Od wielu dni gorączkujesz.

Miriam poprosiła ją o pomoc, zrozumiał Szalmon. Wiedział, że jego siostra lubi tę kobietę, ale przecież znali tłumy innych, więc dlaczego wybrała akurat tę? Myśl, że Rachab widziała go tak bezradnego, przyprowadziła go o gęsią skórkę. A jednocześnie musiał przyznać, że nie chce zrezygnować z jej towarzystwa. Nie zamierzał jej odesłać. Przełknął dumę, na ile potrafił.

– To koszerne, prawda?

Uśmiechnęła się.

– To świeży bulion. Kobiety z domu Judy walczą ze sobą o przywilej przygotowywania ci go każdego dnia. Ten zrobiła żona Michała, matka tej ładnej niezamężnej Judyty, która przyniosła go tutaj dziś rano we własnych, pachnących jaśminem rączkach.

– Daj tę miskę.

– Nie sądzę...

– Daj!

– Wybacz, ale nie. Nie dasz rady jej jeszcze utrzymać. Rana zbyt cię osłabiła.

Szalmon omal nie wrzasnął na nią, żeby się wynosiła. Żadna kobieta nie musi mu mówić, że jest słaby jak niemowlę. Jednak przypomniał sobie o śpiącej siostrze i opanował temperament. Gdyby obudził ją swoimi rykami, źle by się odpłacił za jej niezmordowaną opiekę. Rzucił Rachab mordercze spojrzenie, które zapowiadało zemstę. Kobieta pobladła, ale przysunęła się do niego i delikatnie uniosła jego głowę na swoje kolana. W ustach mu zaschło i zapomniał o dalszych protestach. Rachab przysunęła miseczkę do jego ust, a on zaczął pić. Płyn czasem ściekał mu kątem ust, najwyraźniej pozbawiony smaku. Rozjątrzony swoją bezradnością, oszołomiony z powodu niezwyklej bliskości Rachab, na której leżał nagimi plecami, Szalmon przełykał zupę, z każdą chwilą bardziej zły na swoją idiotyczną sytuację. Rachab wytarła mu usta i brodę jak dziecku i znowu go położyła.

– A teraz opatrunek. Boli? – Jej głos zabrzmiał ochryple. Szalmon spojrzał na nią ostro, a potem zmrużył oczy z satysfakcją. Ta ich bliskość chyba i na nią wywierała wpływ. Zapomniał jej odpowiedzieć, a ona nie nalegała, zbierając swoje akcesoria.

Choć starała się być jak najdelikatniejsza, przy zdejmowaniu

starych bandaży na czoło wystąpił mu rześisty pot. Szalmon uniósł rękę, by go wytrzeć i znieruchomiał, widząc kolor swojej skóry.

– Na wszystko, co święte, dziwne światło jest w tym namiocie. Czy nie wydaje ci się, że mam jakiś osobliwy kolor?

– To przez twoją wątrobę. To ją przeszył nóż. Suf twierdzi, że ten organ sam się regeneruje. Ale zajmie to sporo czasu, a dopóki się tak nie stanie, będziesz miał ten żółtawy odcień. W tej chwili najważniejsza jest walka z infekcją. Dlatego tak często zmieniamy ci opatrunki i obmywamy ranę. Miód wyciąga truciznę.

– Skąd macie tyle miodu?

– Zdaje się, że wszystkie pszczoły stąd do Egiptu mdleją na sam widok kobiety z plemienia Judy. Twoja popularność zadziwiła nawet Jozuego, który wstępuje tu dwa razy dziennie, żeby się za ciebie pomodlić. Twierdzi, że powinien się modlić raczej za izraelskie kobiety. – Rachab mówiła to pogodnie, ale jej usta zaciskały się mimowolnie. Ona naprawdę jest zazdrosna, pomyślał Szalmon, starając się nie uśmiechać. Ale podejrzewał, że wygląda jak lis – pomarańczowy i zadowolony.



Rachab obudziła się, słysząc stłumione głosy Miriam i Szalmona. Po czuwaniu przez pół nocy popadła w otępienie, zrodzone z wyczerpania. Nadal czuła zmęczenie i nie potrafiła zdobyć się na to, by się poruszyć. Nie miała też serca ingerować w chwilę prywatności między bratem i siostrą. No, może nie była to aż taka prywatność, bo docierało do niej każde ich słowo.

– Tylko wy dwie opiekujecie się mną? Nie mogłaś znaleźć nikogo innego?

– Proszę cię... Przecież do tego namiotu ustawiła się zakręcona kolejka. A wiesz, kto stoi pierwszy? Dina.

– Niebioso, na pomoc! Mam nadzieję, że jej odmówiłaś?

– Powiedziałam jej, że się z nią ożenisz, jak tylko oprzytomniejesz. Przychodzi tu co godzina, żeby sprawdzić, czy już otworzyłeś oczy.

– To nieprawda! – W głosie Szalmona zabrzmiała autentyczna panika.

– No pewnie, że nieprawda. – Przez chwilę panowała cisza. Gdy Miriam odezwała się znowu, w jej głosie słychać było łzy. – Myślałam, że cię stracę. Rachab była ze mną, gdy Hanani przyniósł tę wiadomość. Wiem, że nie znam jej długo, ale odkąd wyruszyłeś, bardzo mnie podnosiła na duchu. Dlatego poprosiłam ją o pomoc. Suf pokazał nam, co mamy robić, a ona podchwyciła wszystko do ostatniego szczegółu, jak jego najlepsza uczennica. Nie wiem, jak bym sobie bez niej poradziła. Jest wierna jak siostra. Kiedy z troski o ciebie byłam bezradna jak dziecko, ona pamiętała, co trzeba zrobić i dbała o to. Mogłam poprosić kogoś innego, ale pragnęłam spędzić te chwile czekania na najgorsze w intymnej atmosferze. Czy to ci przeszkadza? Jeśli nie chcesz jej obecności, mogę ją poprosić, żeby odeszła.

Rachab wstrzymała oddech. O, dlaczego wcześniej nie dała znać, że się zbudziła? Nie musiałyby przeżywać tego upokarzającego odtrącenia.

Szalmon niemiłosiernie zwlekał z odpowiedzią.

– Przeszkadza mi, że jestem chory i marudny, bez względu na to, kto się mną zajmuje. Nie musisz jej odsyłać. Cieszę się, że zachowała się wobec ciebie jak przyjaciółka. I tak jak ty wolałbym, żeby w takiej chwili zajmowało się mną jak najmniej osób.

– To dobrze. Wypij tę jęczmienną wodę. Suf powiedział, że musisz się nawadniać, na ile to możliwe.

– Sam mogę jeść. Zaraz doprowadzicie mnie do rozpaczty tym karmieniem, wycieraniem i kto wie, coście tu jeszcze wyprawiały. Z tym już koniec. I niech mnie tu odwiedzą jacyś

mężczyźni, bo oszaleję. A skoro już o tym mówimy, to oni będą teraz dbać o moje osobiste potrzeby. Nie chcę, żeby zajmowały się tym kobiety.

Rachab uznała, że czekała już wystarczająco długo. Odwróciła się na posłaniu, przesadnie hałasując, żeby Miriam i Szalmon na pewno zrozumieli, że się obudziła. Czuła się jak oszustka.

– Dzień dobry – szepnęła i wymknęła się z namiotu tak szybko, na ile pozwalało jej rozspane ciało. Nie wypoczywała długo. Gwiazdy nadal świeciły na niebie.

W progu namiotu omal nie przewróciła się o czyjeś ciało.

Przypadkowy kopniak w plecy obudził Hananiego natychmiast. Mężczyzna usiadł gwałtownie.

– Co? Coś się stało?

Rachab przykucnęła przy nim.

– Nie, nic. Szalmon się obudził i pyta o przyjaciół. Ucieszy się na twój widok. Tylko nie męcz go długo. Nie chce się do tego przyznać, ale potrzebuje wypoczynku.

Hanani poderwał się tak szybko, że stopy zaplątały mu się w rozluźnionym pasie. Rachab przytrzymała go za ramię.

– A potem idź do domu i odpocznij. Nie odchodzisz stąd, odkąd przyniosłeś nam wiadomość. Nie wróciłeś do siebie, nawet żeby się przebrać po bitwie.

Hanani pokręcił głową.

– To przeze mnie tu leży – wymamrotał drżącym głosem. Uchylił kłapę namiotu i wszedł do środka. Rachab odprowadziła go wzrokiem, a potem odwróciła się z westchnieniem. Jozue powiedział jej o okolicznościach, w jakich został ranny Szalmon. Kilka osób, w tym Ezra i Jozue, usiłowało przekonać Hananiego, że nie ponosi winy, ale młody człowiek nie chciał o tym słyszeć. Pełnił straż pod namiotem rannych, prawie zapominając o posiłkach. Rachab pokręciła głową i odeszła nad szemrzący strumień. Uklękła i zaczęła się myć na tyle dokładnie, na ile pozwalała jej skromność. W tę ciepłą, ciemną noc chłodna woda



odświeżała i koila. Rachab nie miała czasu się zastanowić, odkąd zajęła się Szalmonem. Teraz, gdy groźba śmierci najwyraźniej minęła, ogarnęła ją chęć płaczu. Potężny, bezgłośny szloch zatrzęsł nią, wyzwalając całe minione napięcie. Szalmon nie umrze. Nie umrze. Uciekała przed pytaniem, dlaczego życie i dobrostan tego człowieka zaczęły tak wiele dla niej znaczyć. Wystarczyło jej, że ogarnęła ją wielka ulga.

Gdy wróciła do namiotu, Szalmon i Hanani już spali, chrapiąc w cichym dwugłosie. Miriam uśmiechnęła się do niej.

– Myślę, że najgorsze minęło – szepnęła.

– Tak, ja też tak uważam. Gorączka spadła. Suf wkrótce przyjdzie i potwierdzi nasze nadzieje. Już prawie świta.

– Teraz najważniejszym wyzwaniem będzie skłonienie mojego brata do wypoczynku. Pod tym względem jest uparty jak muł. Nie ośmielę się mu wyjawiać, ile ma potrwać jego rekonwalescencja. Oszaleje, kiedy dowie się, że za tydzień w namiocie zostanie tylko on. – Miriam roześmiała się na tę myśl. – Wyobrażasz sobie, jak będzie nam utrudniał życie tym burczeniem i warczeniem? – A potem wybuchnęła płaczem, który zatrzęsł całym jej ciałem.

Rachab, która zrobiła to samo niespełna godzinę temu, przytuliła mocno przyjaciółkę.

– Jest jak przerośnięte dziecko! – prychnęła Miriam przez łyżę i powoli się uspokoiła. Rachab puściła ją i cofnęła się o krok. Nie wypadło jej zbyt entuzjastycznie przytaknąć.

Zebrała bandażę i brudne naczynia, żeby je wynieść i umyć. Wychodząc, minęła Sufa, któremu dygnęła po drodze. Wyuczone nawyki nie dawały o sobie zapomnieć. Mimo że wśród Izraelitów nauczyła się większej swobody, zachowała niektóre formalne zwyczaje. Suf uśmiechnął się kącikiem ust i skinął głową, nie zatrzymując się w drodze do pacjentów.

Rachab umyślnie zwlekała z powrotem, by Miriam mogła porozmawiać z lekarzem na osobności. Tak naprawdę sama

potrzebowała trochę czasu dla siebie. Od dziewięciu lat żyła w samotności i lubiła ją. Przez ostatnich siedem tygodni niemal zapomniała znaczenie tego słowa. Wszędzie otaczali ją ludzie. Ledwie udawało jej się myśleć. Ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Kiedy ostatnio przespała całą noc?

Powiesiła uprane bandaże na gałęziach do wyschnięcia i wróciła do namiotu. Suf pewnie już zdążył zbadać Szalmona i wyjść. Miriam klęczała przy bracie, spokojna tak, jak jej się to nie zdarzyło od wielu dni. Rachab odetchnęła z ulgą.

– Dobre wieści? – spytała, siadając obok przyjaciółki.

Miriam skinęła głową.

– Wygląda na to, że jego rany oczyszczają się z infekcji. Nadal musimy czujnie je obserwować. Infekcja zawsze może wybuchnąć na nowo, dopóki rana się nie zagoi, jak powiedział Suf. Ale na razie bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło. Szalmon musi być spokojny i jeść odpowiednie rzeczy. Na szczęście może przyjmować gości, Bogu dzięki. To go rozerwie. Nadal nie wolno mu wstawać ani chodzić, co najmniej przez tydzień. Suf mówi, że i tak cudem tak szybko oprzytomniał. Ale teraz istnieje realna szansa, że całkiem wyzdrowieje i znowu będzie normalnie żyć.

Rachab przymknęła na chwilę oczy. Obie umierały ze strachu, nie potrafiąc przyznać przed sobą nawzajem, że Szalmon może nie odzyskać pełni zdrowia i wigoru. Dla kogoś takiego jak on, byłby to wielki cios, może nie do zniesienia. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Miriam.

– Takie dobre wiadomości! Powinnyśmy je uczcić. Zjesz porządne śniadanie, które ci zrobię, a potem prześpisz się przez parę godzin, bo zaraz i tak siły cię opuszczą. Nie chcę się opiekować dwojgiem pacjentów.

– A ty? Jesteś tak samo zmęczona, jak ja.

– Ja zasnę, kiedy się obudzisz. No, to co takiego przyniosły nam do jedzenia dobre kobiety z rodu Judy? – Rachab znalazła mąkę

i oliwę, z których zrobiła podpłomyki. Podała je z serem, orzechami i paroma ciastkami daktylowymi. Obie najadły się do syta; dobre wieści wróciły im apetyt.

Hanani spał na posłaniu obok Szalmona, a one nie miały serca go budzić, więc Rachab zrobiła Miriam nowe posłanie w głębi namiotu. W stercie rzeczy, które przynosili im tu ludzie, znalazła nieużywaną poduszkę i cienki koc. Z sakwy, którą wczoraj dostarczyła jej Izzie, wyjęła flaszkę wody różanej. Z uśmiechem spryskała poduszkę paroma kroplami. Niech Miriam prześpi parę godzin, otoczona pięknem, nie smrodem choroby. Fakt, że dała się położyć spać bez protestów, świadczył o ogromie jej fizycznego i emocjonalnego zmęczenia. Zasnęła, zanim dotknęła głową poduszki.

Rachab usiadła obok Szalmona. Zmarszczyła nos, czując silny odór. Naprawdę powinna zmusić Hananiego, żeby się umył i przebrał. Ten, jakby słysząc jej myśli, otworzył oczy i przeciągnął się sennie.

– Jak on się czuje? – szepnął.

– Bardzo dobrze. Był tu Suf i powiedział Miriam, że prawdopodobnie wyzdrowieje i będzie się na was wydzierał tak samo głośno, jak poprzednio. Musimy nadal się nim opiekować i nie pozwalać mu zbyt wcześnie wstać.

Na twarzy Hananiego powoli zaświtał uśmiech.

– Nie martw się, osobiście go zwiążę.

– Zanim się do niego zbliżysz, może weźmiesz kąpiel? A w czystym ubraniu zrobisz jeszcze lepsze wrażenie. Przy tobie chorzy pachną jak wiosenne kwiaty.

Hanani podrapał się w pierś.

– Zapomniałem. Nie chciałem się od niego oddalać. Ale masz rację, lepiej się umyję. Wkrótce wrócę.

– Dobrze. Przyrowadź Ezrę i innych niehałaśliwych przyjaciół. Wolno mu przyjmować gości. Ale powiedz im, żeby się miarkowali. Jest bardzo chory, choć może nie chceć tego

przyznać.

Hanani wyszedł energicznie; znowu wyglądał na dawnego siebie, tylko brudniejszego. Rachab pochyliła się nad Szalmonem, zsunęła z niego koc i zaczęła rozwijać bandaż. Krwawienie ustało. Choć rana nadal się jątrzyła, infekcja znacznie zmalała. Jej widok ani zapach nie przeszkadzały już Rachab; tak się przyzwyczaiła do oczyszczania, wycierania, obmywania, natłuszczania, balsamowania i opatrywania ropiejącej rany, że stało się to już najzwyklejszą codzienną czynnością. Czasem odwiedzała innych rannych i wraz z Miriam pomagała ich rodzinom dbać o nich. Nauczyła się lubić poczucie użyteczności, które wiązało się z opieką nad chorymi.

Szalmon przespał cały zabieg; nie obudził się, gdy przyrządzała okład z miodu i sprawnie nakładała go na ranę. Następnie postanowiła go umyć, by pozbyć się gorączki do reszty. Zanurzyła czystą szmatkę w mieszance chłodnej wody i wina daktylowego i zaczęła wycierać jego pierś muśnięciami delikatnymi jak piórko. W końcu wytarła mu stopy, dłonie i czoło. Suf nauczył ją, że przez tę część ciała najlepiej zbija się temperaturę.

Skończyła, opłukała dłonie w winie z wodą i przez chwilę odpoczywała. Spojrzała na brudne szmaty i usiłowała zdobyć się na to, by wstać i je uprać, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie energii. Głowa jej opadła sennie na myśl o następnym obowiązku – podgrzaniu bulionu dla Szalmona i nakarmieniu go nim tak, żeby się nie zakrztusił ani nie obudził. Niemożliwe zadanie.

Ktoś dotknął delikatnie jej policzka, budząc ją z zamyślenia. Szalmon patrzył jej prosto w oczy.

– Jesteś wyczerpana – powiedział głosem ochryplym od snu.

Pokręciła głową z uśmiechem.

– Cieszę się, że nie śpisz. Martwiłam się, czy zdołam cię nakarmić tak, żebyś się znowu nie zakrztusił.

– Dziękuję za wszystko, co zrobiłaś.

Jego przenikliwe spojrzenie sprawiło, że straciła pewność siebie. Przypomniała sobie, że od wielu dni nie miała okazji się przebrać. Pod jego uważnym wzrokiem poczuła się wymięta i zapuszczona, nieatrakcyjna.

– Dobry był to dzień, gdy do nas dołączyłaś – powiedział Szalmon w ciszy.

– Co? – spytała i zastygła z otwartymi ustami. Zapomniała o swoich obawach o to, jak wygląda i gapiała się na niego bezmyślnie. Chyba się przesłyszała. Nie mógł tego powiedzieć. – Co?

Szalmon uśmiechnął się powoli.

– Widzę, że przestałaś już powtarzać moje słowa. Teraz powtarzasz własne.

## Rozdział 17



**P**o osiemnastu dniach znieawidzonej bezczynności Szalmon wstał z łoża boleści i zrobił parę chwiejnych kroków. Nogi mu się trzęsły, ale go niosły, za co dziękował Bogu. Nieprzerwany szereg odwiedzających przyjaciół starał się go podnieść na duchu. Ponieważ został mu tylko ułamek dawnych sił, często zasypiał w środku rozmowy, jak staruszka. Suf uprzedził go, że minie wiele tygodni, zanim wróci do siebie. Jozue kpił z jego niecierpliwości i powtarzał, że powinien się cieszyć, iż w ogóle żyje i że Bóg zwraca mu zdrowie. Szalmon przyznawał mu rację, ale nie potrafił pohamować zniecierpliwienia, które dręczyło go za każdym razem, kiedy ktoś musiał mu pomagać przy jedzeniu, siadaniu lub wypróżnianiu.

Oprócz tej okropnej słabości codziennie dokuczał mu ból, obecny w każdej godzinie czuwania. Warstwy przeciętej skóry, mięśni i organów wewnętrznych płonęły przy każdym ruchu, odbierając mu oddech.

Rachab i Miriam reagowały uśmiechem na jego warknięcia, nie biorąc ich poważnie. Był za to wdzięczny tak samo, jak za ich nieustanną troskę o niego. Ich akceptacja jego humorów sprawiała, że łatwiej znosił sam siebie. Dzięki nim nie miał wyrzutów sumienia. Z Miriam, którą znał przecież przez całe życie, zawsze czuł się swobodnie. Teraz ta wymuszona bliskość z Rachab zrodziła podobne uczucie komfortu. Była miłą towarzyszką, nigdy zbyt natrętną, nieprzyjemną czy

wymagającą. Koła go samą swoją obecnością. Lubił z nią rozmawiać. Często zaskakiwała go swoimi opiniami. Poprzedniego wieczora powiedziała mu, że podczas oblężenia Jerycha zrozumiała istotę święta Pesach. Spytał, co miała na myśli.

– Hanani i Ezra opowiedzieli mi, jak faraon nie chciał wypuścić twojego ludu z Egiptu – wyjaśniła. – Pan zaczął razić plagami jego naród i w końcu zesłał śmierć na wszystkich pierworodnych. Opowiedzieli mi o tym dniu, kiedy lud Izraela usłyszał, że ma pozostać w domach, zamknąć drzwi i oznaczyć ich framugi krwią. Gdy Pan zesłał niszczyciela, który przeszedł przez kraj karząc Egipcjan, ten mijał domy Izraelitów, rozpoznając je po znakach. Byłam z rodziną w Jerychu, gdy Bóg zesłał zniszczenie i śmierć na nasz naród. My także mieliśmy pozostać w domu. Nie złożyliśmy żadnej ofiary, gdyż wtedy nie należeliśmy do domu Izraela, lecz Bóg wybrał szkarłatny sznur koloru krwi, który miałam wywiesić za drzwiami jako znak ocalający nas od śmierci. Zamknięta w moim domu, otoczona śmiercią, a jednak uratowana przed nią, czułam się trochę jak wasi rodzice – wiedziałam, że sam Bóg trzyma nasze życie w swej dłoni.

Jej intuicyjne zrozumienie zamiarów Boga zdumiewało Szalmona. Rozmowy z nią często ożywiały jego monotonną egzystencję. Lubił w niej także to, że potrafiła milczeć i słuchać. Wiedział, że to samolubna decyzja, ale postanowił nie nalegać, żeby kobiety poprosiły kogoś innego o pomoc w opiece nad nim. Wolał, żeby widziało go jak najmniej osób; niechętnie myślał o tym, że miałyby okazywać swoją słabość komuś, kto mógłby go jeszcze bardziej rozdrażnić niepotrzebnym uzalaniem się nad nim.

Jego świat, zwykle tak wielki i rozległy, skurczył się do rozmiarów namiotu. Gdy dwunastego dnia tego uwięzienia zrobił pierwsze kroki na dworze i zobaczył słońce, omal się nie rozplakał z ulgi. Przyjaciele zrobili mu krzesło, wygodne, ale

mocne, takie, na którym łatwo było usiąść i z którego łatwo się wstawało. Usadowiony w nim Szalmon zaczął przyjmować tłumy gości.

Choć otaczały go szeregi ludzi, ubiegających się o jego uwagę, Szalmon uświadomił sobie, że nie widział Rachab od wielu godzin. Zatrzymał idącą po wodę Miriam i szepnął jej do ucha:

– Gdzie Rachab?

Siostra wyprostowała się i założyła ręce na piersi.

– Przy takiej armii wielbicieli nie możesz znieść utraty jednej osoby?

Szalmon zmarszczył brwi.

– Dokąd poszła? – warknął, czując, że żołądek zaczyna mu się skręcać. Jej nieobecność dała mu się we znaki bardziej, niż chciałby to przyznać.

– Do namiotu kobiet.

– Hm. Na długo? – spytał z rozczarowaniem.

Miriam przewróciła oczami.

– Na tyle, ile będzie trzeba. – Obejrzała z bliska czubek swojego paznokcia. – Nie martw się, Abigail przyjdzie, żeby ją zastąpić. Teraz, kiedy jest przy tobie mniej roboty, da sobie radę.

Szalmon odwrócił głowę z irytacją. Co go obchodzi Abigail i jej opieka? Chciał Rachab. Przełknął nerwowo ślinę, kiedy dotarło do niego, co pomyślał. Tęsknił za Rachab. Chciał, żeby wróciła. Łypnął spode łba, zgarbił się w krześle i zignorował skierowane do niego pytanie. Jednym z plusów choroby jest to, że ludzie udają, iż nie zauważają niegrzecznego zachowania.

Wieczorem przyszedł Jozue. Czynił to często podczas rekonwalescencji Szalmona – wielki zaszczyt, zważywszy na jego długą listę obowiązków. Zawsze udawało mu się zajrzeć w chwili, gdy inni goście znikali i w namiocie rannych, w którym pozostał tylko Szalmon, zostawały cztery do pięciu osób. Ustaliło się, że Jozue najpierw rozmawiał sam na sam z Szalmonem, a potem się z nim modlił. Często zapraszał do tych modlitw Miriam i Rachab.



Dziś, gdy przyszedł Jozue, Szalmon leżał już na swojej pryczy. Nadspodziewanie zmęczył się tym dniem spędzonym na dworze i teraz leżał na piernatach, wyzuty z sił i bezradny.

– Podobno pół Izraela przyszło cię odwiedzić tego pierwszego dnia – zauważył Jozue, sadowiąc się na podłodze obok Szalmona.

– Co najmniej. Kazałem im całować mój pierścień i nisko się kłaniać.

Jozue pominął to milczeniem. Rozejrzał się.

– Pomódlmy się. Gdzie Rachab?

– W namiocie kobiet. – Szalmon nie zdołał zupełnie usunąć niechętnego tonu z głosu.

– Nie zrobiła tego, żeby ci dokuczyć – powiedział Jozue z pewnym rozbawieniem. – Bóg tak chciał.

– Czy ja coś mówię? – warknął Szalmon. – Nie jestem aż tak skupiony na sobie.

– Na pewno? – Jozue prychnął śmiechem.

– Jak to miło, że ktoś w tym namiocie ma dobry humor.

– I co z tym zrobisz? – spytał Jozue z nagłą powagą, bez śladu niedawnego śmiechu, przyglądając się mu uważnie.

Szalmon postanowił udawać, że nie rozumie.

– A co mam zrobić? Sam powiedziałaś, że Bóg tak chciał.

Jozue zmierzył go surowym spojrzeniem.

– W sprawie twoich uczuć do niej. Czy tego także chce Bóg?

Szalmon odwrócił głowę. Początkowo chciał się wszystkiego wyprzeć, ale doszedł do wniosku, że na darmo strzępiłby język. Jozue nie dawał się łatwo zwieść ani zagadać. Pozostały mu dwa wyjścia: odmówić rozmowy na ten temat albo zrzucić z siebie ciężar w rozmowie z człowiekiem, którego szanował bardziej od innych. Odetchnął głęboko.

– Nie wiem, co robić.

– Kochasz ją?

Szalmon uciekał przed tym pytaniem jak owca ucieka przed pumami. A jednak zawsze go doganiało. Czy mógł pokochać

kananejską ladacznicę? Czy mógł w ten sposób skazić ród Judy? A jednak kobieta, którą poznał, wierna przyjaciółka, która ceniła innych bardziej od siebie, mówiła prawdę i okazywała dobroć nawet pod presją i w chwili prowokacji, ta kobieta, której czułość być może uratowała mu życie, nie wyglądała jak *zonah*, którą sobie wyobrażał. Myśli mu się plątały, kiedy zestawiał ze sobą te sprawy: kim była Rachab i co zrobiła.

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Mam mętlik w głowie.

– Nie pochodzi on od Boga. Musisz wejrzeć w swoje serce i znaleźć źródło tego mętliku. Pozwól, że coś ci powiem. Jeśli dowiesz się, że ją kochasz, poprę cię, gdybyś zechciał ją poślubić. Podziwiam ją i mówiłem to od samego początku. Sam Bóg ją do nas przyprowadził. Więc będziesz miał moje błogosławieństwo. Ale tylko jeśli ją kochasz. Oboje zasługujecie co najmniej na tyle.

Szalmon spojrział na niego z niedowierzaniem. Czy przywódca Izraela właśnie dał mu pozwolenie na małżeństwo z Kananejką, która niegdyś zarabiała na życie zabawianiem mężczyzn?



Tydzień później Rachab wróciła do namiotu rannych w nowej sukni z bladobłękitnego płótna i z kamienną twarzą. Unikając spojrzenia Szalmona, ominęła grono jego przyjaciół przed namiotem i poszła prosto do Miriam. Szalmon musiał opanować chęć, by wstać i pójść za nią. Dlaczego się z nim nie przywitała? Dlaczego wydawała się tak odległa? Odczekał chwilę, która wlokła się w nieskończoność, dźwignął się z krzesła i poszedł do namiotu. Rachab już pomagała Miriam, słuchając jej relacji z zeszłego tygodnia. Szalmon podszedł do nich, człapiąc tak ciężko, jakby nabawił się podwójnej przepukliny. Stał nad Rachab, która zwijała czyste bandaże, klęcząc na podłodze. Jego serce zadrżało na jej widok.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział.

– Dziękuję. – Zerknęła na niego i znowu spuściła wzrok. – Wyglądasz lepiej. Jesteś mniej pomarańczowy.

– A ty zbladłaś. Nie podobało ci się w namiocie kobiet? Słyszałem, że miło tam spędzić tydzień.

Rachab obląła się szkarłatnym rumieńcem. Początkowo sądził, że ją zawstydził. Czy Kananejki nie rozmawiały otwarcie o tych sprawach? Potem spochmurniał, tknięty nowym podejrzeniem.

– Źle cię traktowały? Czy ktoś cię obraził?

Rachab machnęła ręką.

– Nieważne.

– Ważne! – odparł gwałtownie. – Co się stało? Powiedz.

– Proszę, daj spokój. Nie chcę tym mówić. – Jej głos brzmiał ledwie dosłyszalnie, żałośnie, co prawie doprowadziło go do wybuchu bezsilnej złości. Nie mógł jej zmusić do mówienia. Nie mógł zmusić izraelskich kobiet do szacunku dla tej, która okazała ich narodowi wyłącznie lojalność. Nie mógł nawet zmusić swojego rannego ciała do pochylenia się tak, żeby mógł ją pocieszyć. Ze stłumionym burknięciem odwrócił się i poszedł w drugi kąt namiotu.

Miriam podeszła do niego i położyła mu na ramieniu rękę.

– To głupie – syknął.

– Niestety, to częściowo przeze mnie. Abby powiedziała, że niektóre kobiety się gniewają, bo wybrałam Rachab do pomocy przy tobie. Oczywiście nie winią mnie ani ciebie, tylko ją – za to, że wkradła się w nasze łaski. Wątpię w jej szczerłość.

– Czy Rachab ma cierpieć z powodu dobroci, jaką nam okazała? Nie zgadzam się na to.

– Nie możesz z tym nic zrobić. Tylko byś pogorszył sprawę. Musisz zaufać Bogu. On ją obroni.

Szalmon założył ręce na piersi i wyzywająco uniósł brodę.

– Chcesz, żebym siedział beczynnienie, gdy izraelskie kobiety dręczą Rachab za jej dobroć?

– Chcę, żebyś zaufał Bogu. Zostaw to w Jego rękach.  
Szalmon burknął z irytacją i wyszedł.



Rachab błąkała się bez celu. Zawędrowała o wiele dalej od namiotu rannych, niż zamierzała. Chciała wyjść tylko na chwilę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i zdołać się uspokoić. Miriam, Szalmon i nawet Abigail uparcie unikali rozmowy o tych siedmiu dniach w namiocie kobiet – unikali jej tak skutecznie, że nie mogła skupić myśli. Traktowali ją, jakby miała się rozsypać po jednym niewłaściwym słowie. A ona chciała zostawić za sobą tych siedem piekielnych dni w tym głupim namiocie. Chciała udawać, że nikt nie okazał jej pogardy ani wyższości. Chciała żyć dalej. Nie potrzebowała szczególnego traktowania ani litości.

Na tę myśl parsknęła z gniewem i przyspieszyła. Nagle zatrzymało ją kwilenie dziecka. Rozejrzała się. Zawędrowała daleko od obozu, na zupełnie pustkowiu. Czy uszy ją myliły? Co by w środku takiej dziczy robiło dziecko? To pewnie głos zwierzęcia. Stanęła w napięciu. Poczula, że włosy stają jej dęba. Odwróciła się. Kwilenie znowu się rozległo. Nie było wątpliwości, to głos dziecka. Przerażonego dziecka. Ruszyła w kierunku, z którego dochodził.

– Czy ktoś tu jest?

Krzyk uderzył w niebo, przyprawiając ją o zimny dreszcz. W tym krzyku brzmiało czyste przerażenie. Rachab rzuciła się biegiem; panika przyspieszyła jej ruchy.

– Już idę! Czekaj! Idę!

Gdzie to dziecko? I czego się tak bało?

Omali nie minęła kamiennego wzgórza; w ostatniej chwili błysk koloru zwrócił jej uwagę. Cofnęła się i zaczęła się wspinać. W połowie drogi ujrzała głowę dziecka, małej dziewczynki o gęstych kędziarach, wciśniętej w rozpadlinę w skale. Strój

świadczył, że jest Izraelitką. Rachab ze swojego miejsca widziała tylko jej plecy, ale dziewczynka nie mogła mieć więcej niż trzy, cztery lata.

– Nie bój się, kochanie, już idę. – Dziewczynka nie drgnęła, nawet nie odwróciła głowy w jej stronę. Dziwne. Przerazone dziecko z pewnością garnęłoby się do dorosłego. Co unieruchomiło ją w miejscu, tak skamieniała, zesztyniała? Jeszcze jeden krok i zdołam jej dosięgnąć, pomyślała Rachab. Postawiła stopę na stabilnej półce, wyciągnęła rękę... i zamarła. Naprzeciwko dziewczynki, oddalona o długość ramienia dorosłego mężczyzny, znajdowała się żmija ze śmiercionośnego pustynnego gatunku, którego jad zabiłby dziecko w niespełna godzinę.

Rachab przełknęła z trudem ślinę; w gardle czuła smak żółci. Nie miała żadnej odpowiedniej broni. Nawet uzbrojona, czułaby się na wpół sparaliżowana ze strachu. Panicznie bała się gadów. Zamknęła oczy, wiedząc, że czas nagli.

– Boże Wszechmogący, to Ty stworzyłeś tę żmiję. Spraw, żeby odpełzła.

Zerknęła przez przymknięte rzęsy. Żmija znajdowała się w tym samym miejscu. Jej języczek pojawiał się i znikał. Była w takim kolorze jak piasek, niezbyt długa, niezbyt masywna, choć jej jad mógłby powalić dorosłego mężczyznę oraz jego wielbłąda na dodatek. „O, dlaczego nie kazałeś jej zniknąć? Wysłuchaj mojego błagania! Ja nie dam rady...”.

Żmija podpełzła bliżej.

Rachab jęknęła.

– Chcesz, żebym zabiła to stworzenie, Panie? – szepnęła. – Więc pokaż mi jak. Pomóż nam!

Kątem oka zauważyła kamień, płaski, owalny i ciężki, tuż przy swojej ręce. Wzięła go ostrożnie, nie spuszczając oka ze żmii. Gad nie zwracał na nią uwagi, czujnie prężąc się przed dzieckiem.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedziała Rachab

łagodnie do dziewczynki. – Zaraz pozbędę się tej żmii, a potem razem zejdziemy ze skały i wrócimy do mamy. Dobrze? – Dziecko ostrożnie odwróciło głowę i spojrzało na nią ciemnobrązowymi oczami zognionymi ze strachu. Dziewczynka siedziała niewiarygodnie nieruchomo jak na swój wiek. Rachab skinęła jej głową, usiłując uśmiechem dodać jej odwagi. Ręka, w której trzymała kamień, była śliska od potu, jego krople spływały jej z czoła. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Tylko jedną.

„Panie, wiesz, że nie potrafię rzucać. Proszę, poprowadź moją rękę. Poprowadź ten kamień. Ocal tę dziewczynkę”. Wytarła pot z oczu, zagryzła wargę i wycelowała. Kamień śmignął w powietrzu. Obrócił się. Wylądował z głuchym łupnięciem na głowie żmii, która znieruchomiała na ułamek sekundy. A potem się poruszyła. Żyła! Ranna, krwawiąca i wściekła.

Rachab krzyknęła, chwyciła dziewczynkę w objęcia i poderwała ją z ziemi. Żmija odwróciła się i zaatakowała, z otwartą paszczą, szkarłatną i jadowitą. Wbiła kły w bucik dziewczynki i zacisnęła szczęki z potężną siłą. Ale bucik był pusty. Spadł, gdy Rachab uniosła dziecko w ramionach. Żmija, oszołomiona po ciosie, zmarnowała czas na atak na pusty but. Dopiero potem wyczuła, że ofiara znalazła się wyżej. Puściła płócienny but i uniosła się, by znowu ukąsić, tym razem bosą stópkę dziecka. Rachab zsunęła się po zboczu wzgórza, przytrzymując się jedną ręką, drugą tuląc do siebie dziewczynkę. Kły żmii minęły ją o włos. Rachab jeszcze bardziej przyspieszyła, ocierając sobie bok i zdzierając w pośpiechu skórę z palców.

Gdy tylko znalazła się na dole, rzuciła się do ucieczki. Jej mała pasażerka wczepiła się w nią z siłą dorosłego. Rachab pędziła jak szalona, aż płuca zaczęły jej płucać. Logika podpowiadała, że żmija została daleko w tyle, ale irracjonalny strach przed gadami, które widziała wszędzie, gotowe kąsać ją przy każdym kroku, kazał jej biec. W końcu zatrzymała się, zdyszana i zgięta w pół

usiłowała zaczerpnąć powietrza wyschniętymi ustami. Postawiła dziecko na ziemi, sprawdziwszy, czy nigdzie nie widać żmij.

– Nic ci się nie stało? – spytała, siłąc się na spokój.

Dziewczynka pokręciła głową i wybuchnęła głośnym łkaniem. Rachab przytuliła ją mocno.

– Wiem. Wiem. To było straszne. A ty zachowałeś się bardzo dzielnie. Jak masz na imię? Ja jestem Rachab. A ty?

– Ha... Ha... Hanna.

– Hanna. Powiem wszystkim, że byłaś bardzo odważna. Ale najpierw zaprowadzę cię do moich przyjaciół, Miriam i Szalmona. Oni pomogą mi znaleźć twoich rodziców. Co robiłaś na tym pustkowiu? Zgubiłaś się?

Dziewczynka wyduła ładne wargi i skinęła głową.

– Poszłam sama. Byłam niegrzeczna, tak?

Rachab uśmiechnęła się do niej.

– Troszeczkę.

Piasek wkrótce zacząłby parzyć Hannę w bosą stopę, więc Rachab musiała ją nieść przez resztę drogi. Wzięła ją znowu na rękę i posadziła sobie na biodrze.

– Rodzice muszą się o ciebie bardzo martwić. Chodźmy ich poszukać.

Zaniosła małą do namiotu rannych w nadziei, że Szalmon lub Miriam pomogą jej zlokalizować jej rodzinę. Szalmon jak zwykle miał kilku gości. Na widok Rachab z Hanną umilkli w pół słowa. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że musi stanowić niezwykle widok – w wymiętej szacie, z rękami otartymi do krwi, z żydowskim dzieckiem z jedną bosą stopą.

Szalmon wstał z krzesła powoli i ostrożnie.

– Co się stało?

Rachab wzruszyła ramionami.

– Hanna się zgubiła. Znalazłam ją na spacerze.

– Rachab uratowała mnie przed złą żmiją! – oznajmiła Hanna, wyrywając się z rąk swojej opiekunki.

– Przed czym?!

– Straszna żmija pełzła przede mną bardzo długo, aż Rachab przyszła i rzuciła w nią kamieniem. A potem biegłyśmy i biegłyśmy. Rachab umie szybko biegać.

Szalmon odwrócił się do Rachab.

– Jaka to była żmija? Uratowałaś temu dziecku życie?

Wszyscy spojrzeli na nią uważnie. Zarumieniła się, speszona.

– Jej rodzice muszą się martwić. Może po nich pošlemy?

Młody mężczyzna poderwał się ze swojego miejsca.

– Znam jej rodzinę. Zaraz kogoś przyprowadzę.

Miriam przyniosła wodę dla Hanny i Rachab i dała małe ciastko. Pokręciła głową na widok posiniaczonych dłoni przyjaciółki i zajęła się jej szczypiącymi ranami. Rachab, wyczerpana po tej emocjonalnej i fizycznej próbie, wolałaby schować się w namiocie, ale wszyscy chcieli usłyszeć pełną relację z tej przygody. Dla świętego spokoju streściła krótko wydarzenia, które Hanna ubarwiła szerszymi wyjaśnieniami.

Rozmowy przerwał im dobiegający z oddali płacz. Po chwili między nich wpadła rozpaczająca kobieta i śmiertelnie blady mężczyzna, który trzymał ją pod rękę.

– Moja Hanna! – krzyknęła kobieta. – Gdzie moja córeczka?

Hanna upuściła ciastko i rzuciła się w objęcia matki. Rodzice i dziecko spleli się w jeden czujący, niepodzielny organizm, którego śmiech i łzy łączyły się ze sobą. Rachab cofnęła się o krok i skamieniała. Poznała tę kobietę. Więc to była matka Hanny? Elżbieta należała do tych, które najbardziej znęcały się nad nią w namiocie kobiet. Rachab zaczęła się wycofywać, najdyskretniej jak mogła. Tego spotkania chciała uniknąć za wszelką cenę. Ale zanim zdążyła zniknąć w namiocie, ktoś streścił rodzicom dziecka przygodę Hanny.

– Rachab, ta, co stoi tam, ocaliła twoją Hannę – powiedział przyjaciel Szalmona. – Bez niej dziewczynka by już nie żyła.

Elżbieta odwróciła się jak we śnie. Przez jej twarz przemknęło



wiele emocji. Zdziwienie. Niedowierzenie. Gorzka wyniosłość. Rachab stężała, usiłując przybrać nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Ocaliłaś życie Hannie? – W słowach Elżbiety zabrzmiało oskarżenie. Najwyraźniej doszła do wniosku, że Rachab zmyśliła całą historię.

– Tak! – zawołała Hanna, nieświadoma uczuć, którymi podszyte były słowa matki. – Rzuciła kamieniem w tę brzydką żmiję. Tak strasznie się bałam. A potem Rachab mnie znalazła. Patrz, zgubiłam bucik.

Elżbieta spojrzała na córkę. Mogłaby nie uwierzyć Rachab, ale nie mogła podważyć słów własnego dziecka.

– Dziękuję – powiedziała sztywno po chwili niezręcznego milczenia.

– Zaraz – odezwała się Miriam, wychodząc naprzód. – Mogę spytać, czy byłaś z Rachab w zeszłym tygodniu w namiocie kobiet? – Rachab odwróciła się gwałtownie do przyjaciółki, spłoszona. Miriam musiała domyślić się przyczyny chłodnego zachowania Elżbiety.

– I co z tego? – warknęła Elżbieta.

– Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz? Bóg musiał postawić ją na twojej ścieżce, wiedząc, że wkrótce ocali życie twojej córce. Na pewno tam z nią się zaprzyjaźniłaś. W końcu, jak nakazał Pan: „Przybysza, osiadłego wśród was, będziecie uważać za tubylca. Będziesz go miłował jak siebie samego, bo i wy byliście przybyszami w ziemi egipskiej”. Może Bóg rewanżuje ci się za dobroć, jaką okazałaś Rachab.

Rachab zagryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Po policzkach Elżbiety spłynęły nowe łzy. Kobieta bez słowa przytuliła córkę do piersi i wyszła.

– Pa, pa, Rachab! – zawołała dziewczynka. – Przyjdź się ze mną pobawić!



Rano Rachab obudziła się obolała i posiniaczona po wczorajszej przygodzie i ujrzała w namiocie rannych procesję kobiet z podarkami w dłoniach. Ten widok nie należał do rzadkości. Ponieważ Miriam nie mogła opuścić łoża Szalmona i zadbać o codzienne obowiązki, a ich służąca często zajmowała się rodzinnymi sprawami w obozie, wiele przyjaciółek i znajomych codziennie rano przynosiło jedzenie i niezbędne przedmioty. Ale te dary nie były przeznaczone dla Szalmona ani Miriam. Zaspana Rachab siedziała, oszołomiona, a kolejne kobiety witały ją oficjalnie w domu Izraela. Wczesnym popołudniem sarta prezentów otoczyła ją ze wszystkich stron. Migdały, ciastka miodowe, wełna, naturalne barwniki, oliwa, rzeźbiony grzebień. A kolejka jeszcze się nie skończyła.

Gdy gości zrobiło się mniej, Szalmon usiadł przy niej.

– Miałaś dziś więcej odwiedzin niż ja.

Pokręciła głową.

– Nie rozumiem. Co się stało? W zeszłym tygodniu te kobiety nie mogły ścierpieć mojego widoku. Teraz obsypują mnie prezentami.

Wziął jej dłoń i odwrócił ją wnętrzem do góry. Skóra była rozogniona, a miejscami pokryta strupami. Delikatnie przesunął po niej kciukiem. Po plecach Rachab przebiegł dreszcz. Wyrwała rękę. Szalmon odchylił się z nieprzeniknioną twarzą.

– Ocaliłaś życie Hannie. Te kobiety uświadomiły sobie, że nie zrobiłaś tego dla własnej korzyści. Chyba w końcu do nich dotarło, że cię źle oceniły.

Rachab pomyślała o dziwnych wydarzeniach, które doprowadziły do tej zmiany jej sytuacji.

– Prawie nie wierzę, że to mówię, ale jestem wdzięczna za tę zmię. Bóg nie spełnił dosłownie moich próśb, ale poprzez obecność tego gada sprowadził na mnie dobro.

– Jak to?

– Chcesz znać prawdę? Wczoraj byłam szczerze rozczarowana

postępowaniem Boga. Chciałam, żeby zabrał żmiję. O to się modliłam i wiem, że mógłby to zrobić bez trudu. Mógł kazać temu stworzeniu odwrócić się i ruszyć w odwiedziny do kuzynek w Egipcie czy gdzieś indziej. Tymczasem żmija tkwiła tam, jakby ta skała należała do niej i nawet nie drgnęła pomimo moich modłów i błagań. Dlaczego Pan nie odpowiedział na moje wołanie? Zna moje ograniczenia. Dlaczego zmuszał mnie do walki z jadowitym gadem? Ale to ten gad zmiękczył serca izraelskich kobiet. Ponieważ walczyłam o życie tego dziecka, matki mają teraz o mnie lepsze zdanie. Bóg oszczędził życie Hanny i moje, ale zrobił to w taki sposób, że odniosłam większą korzyść, niż gdybym zrobiła wszystko po swojemu. Wtedy chciałam tylko ocalić Hannę. Bóg miał wobec mnie bardziej dalekosiężny plan, którego nigdy bym nie zrozumiała.

Szalmon pochylił się tak, by spojrzeć jej z bliska w oczy. Rachab wstrzymała oddech, spłoszona jego bliskością. Jego oczy, wielkie i ciemnobrązowe, były usiane czarnymi plamkami. Rachab czuła się, jakby te oczy schwytały jej serce, jakby nad nim zapanowały jak wprawny koniuszy nad koniem. Szalmon uśmiechnął się lekko, jakby usłyszał jej myśli. Odwróciła się, a wtedy delikatnie dotknął jej policzka i zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

- Nie uciekaj. Chcę ci coś powiedzieć.
- Tak, panie? – zachrypiała.
- Podoba mi się, że we wszystkim widzisz Boga. To rzadka zdolność. Bardzo lubię... no wiesz, *to*.

# Rozdział 18



Szalmon leżał bezsennie, oparty o stertę poduszek. Był środek nocy, a on znajdował się we własnym łóżku – luksus, który nadal mu się nie znudził po dwóch tygodniach pobytu w domu. Jozue, posłuszny ostrzeżeniom Sufa, nie zgodził się na jego powrót do cięższych obowiązków. A zatem Szalmon unikał wojskowego szkolenia, podnoszenia ciężarów i długich wędrówek. Poza tym jego życie wróciło do normy. I ku swojemu przerażeniu ledwie dyszał po wykonaniu tego, co kiedyś przychodziło mu bez najmniejszego trudu. W kościach świdrowało mu jakieś natarczywe pragnienie, aż w końcu cień niezadowolenia zawisł nad każdym jego krokiem. Nic go nie cieszyło.

Uderzył pięścią poduszkę, szukając wygodniejszego miejsca. Luksus braku bólu, poczucia zdrowia, uwolnienia z namiotu rannych powinien mu wystarczyć do spokojnego przesypiania nocy i satysfakcjonującego działania w dzień. Tymczasem z każdą godziną stawał się coraz bardziej niespokojny. Męczące myśli kręciły się w kółko, nie prowadząc do żadnej konkluzji.

Całe to rozmyślanie, ten odbierający mu sen wir w głowie skupiał się wokół tego samego tematu: jego uczuć do Rachab. Spędził w jej towarzystwie ponad miesiąc. Przywykł do jej obecności, jej nienarzucającej się opieki, jej inteligentnych wniosków, jej sympatycznego poczucia humoru, jej łagodnej czułości i niezłomnej wiary. Zasłonił oczy dłonią. Unikał Rachab

od powrotu do domu. Wysłał służącego z wartym małą fortunę stadem owiec, podziękowaniem za jej pomoc. Uprzejmie zatrzymała jedną i odesłała resztę. Tę jedną, powiedziała, złoży Bogu w ofierze za to, że go ocalił. Szalmon zbyt się zawstydził, żeby nalegać. Wiedział, że jego dar był w gruncie rzeczy obraźliwy, jakby starał się nim wymazać dług wdzięczności. Jakby chciał ją spłacić i nie być jej winien uczuć ani przyjaźni. Więc zamknął owce w zagrodzie, a siebie w namiocie. Od dwóch tygodni nie widywał Rachab, nie słyszał jej głosu z lekkim akcentem, nie czuł chłodnego dotyku jej długich palców. I stracił sen nie dlatego, że był jej coś winny, ale ponieważ... zakochał się w niej.

No i już. Powiedział to. Przyznał się przed sobą. Wyjawiał to w mroku swojego wzburzonego umysłu. Kochał ją, pragnął jej i tęsknił za nią. I ta rozłąka doprowadzała go do rozpacz. „O Boże, co mam robić?”

Gdyby to była inna kobieta, córka Izraela, czysta, nieskażona, niezhańbiona, te uczucia by go ucieszyły. Zaczął się już bać, że nigdy nie spojrzy na kobietę w ten sposób, że nie jest do tego stworzony. Rozpaczliwie pragnął doświadczyć tej ogarniającej całą duszę namiętności. Zakochać się – to było kiedyś jego największe marzenie. Teraz jego pragnienie się spełniło, a on czuł się jak zbity pies. Jak miał się pogodzić z myślą, że chce za żonę kananejską nierządnicę? Jak jego dzieci będą żyły wśród ludu Izraela, mając takie pochodzenie? Co się stanie z jego rodem? Czy Bóg nie doprowadzi do jego wyginięcia? Osłabienia? Czy go z czasem nie unicestwi?

Kolejny cios w następną pechową poduszkę przesunął pierze w jeden jej róg.

A jednak Jozue powiedział, że zaakceptuje jego małżeństwo z Rachab. Czy zrobiłby to, gdyby Bóg tego nie pochwalał? Czy to naprawdę Bóg, czy on sam ma coś przeciwko temu związkowi? Jego zazdrość, jego monstrualna duma, jego próżność – czy to

prawdziwe potwory, od których zaczęły się jego kłopoty? Czy chodzi o to, że chciał mieć żonę, która wszystkim będzie się podobać – żonę godną podziwu, której będą mu zazdrościć przyjaciele i pożądać wrogowie? Czy bał się, że jej przeszłość w jakiś sposób mu zaszkodzi?

Gwałtownie ściągnął koc z nagiego torsu. Wstał, odrzucając przykrycie. W nieprzeniknionych ciemnościach bezksiężycowej nocy znalazł drogę do wyjścia z namiotu i odetchnął świeżym powietrzem, żeby ukoić pękającą głowę.

Jego duma i przeszłość Rachab nie dawały się pogodzić. Jej historia nie dawała się magicznie zmienić, jego duma wydawała się równie niezłomną przeszkodą, jak jej przeszłość. Był synem Nachszona, przywódcy plemienia Judy, który rządził ponad siedemdziesięcioma tysiącami ludzi! Siostra jego ojca wyszła za Aarona, brata Mojżesza. Szalmon był spokrewniony z najwybitniejszymi synami jego narodu. Jak mógł się związać z kananejską nierządnicą?

Zatem jaki miał wybór? Wyrwać ją sobie z serca i żyć dalej. Czy potrafi to zrobić? Przed oczami stanęła mu jej ukochana twarz. Była taka piękna: jej ruchy, jej uśmiech, jej opuszczenie rzęs, gdy chciała ukryć swoje tajemnice. Uwielbiał jej towarzystwo, jednocześnie kojące i podniecające. Uwielbiał jej żarliwą miłość Boga. Jozue powiedział kiedyś, że Rachab idzie tuż za Panem. Dorównywała tą namiętą pobożnością Szalmonowi, a pod niektórymi względami go przewyższała. Czy mógł z niej zrezygnować tylko z powodu dumy?

Zrobił w rozterce parę kroków, nie pamiętając, że ma na sobie tylko przepaskę na biodrach. Kozy z pobliskiej zagrody spojrzały z niechęcią na nagusa, który zakłócił im sen, i odwróciły się wyniośle. Szalmon uśmiechnął się na widok tego braku zainteresowania. Chciałby tak samo lekceważyć własne problemy.

Czy mógł zrezygnować z Rachab? Pozwolić, żeby poślubiła

innego mężczyznę, trzymała go w ramionach, okazywała mu czułość, dbała o niego, uśmiechała się do niego, rodziła mu dzieci? Ta myśl obudziła w nim nagłą furję, tak dotkliwą, że syknął. To był nowy temat do rozmyślań: fakt, że on odrzuci Rachab, nie oznacza, że inni mężczyźni postąpią tak samo. Była łakomym kąskiem, przecież to widział. Czy ma z niej zrezygnować? „Nie! Nie! Nie!”, krzyknęły jednocześnie jego serce i umysł. Przynajmniej tutaj miały to samo zdanie.

„Bóg miał wobec mnie bardziej dalekosiężny plan, którego nigdy bym nie zrozumiała”, powiedziała. Czy ta miłość, jak żmija, to znak dalekosiężnego planu Boga? Jeszcze zanim Szalmon przyznał przed sobą samym, że kocha Rachab, modlił się, by Bóg usunął to uczucie z jego duszy. Modlił się równie żarliwie, jak Rachab musiała błagać Go o usunięcie gada. Bóg wydawał się równie nieskłony do współpracy jak w jej przypadku. Może miał powód.

„Panie, powiedz mi, co mam robić! Ześlij mi spokój. Nie mogę znieść tej rozterki”. Poczłapał do namiotu i osunął się na łóżko. „Zrobię, co mi każesz, tylko mi powiedz. Proszę”.



Mieszkanie w namiocie z trzynastką ludzi okazało się skomplikowane. Po latach niezależności Rachab z trudem znosiła ten brak własnego kąta. Czasem brak chwili ciszy oraz drażniące oczekiwania sprawiały, że się dusiła.

Jednak te wymogi nowego życia miały jeden dobry efekt uboczny: odwracały jej uwagę od bólu, który nieustannie ćmił w jej duszy. Gdzieś pomiędzy uczeniem się izraelskiego prawa od Szalmona w cieniu rzadko rozsianych palm a zajmowaniem się nim, gdy leżał ranny i nieprzytomny, zdołała się w nim zakochać po uszy. Nie potrafiła określić, kiedy się to stało. Nie miała pojęcia, jak mogła popełnić tak straszny błąd w ocenie.

Zorientowała się w tym, dopiero gdy wróciła do domu. Poczowała się, jakby wydarła z siebie część własnego ciała i zostawiła je pod opieką Szalmona.

On zaś wyraźnie dał jej do zrozumienia, co czuje. Odkąd kapłani oznajmili, że jest oczyszczony, i odesłali go do domu, nie wstąpił do niej ani razu. Swoją wdzięczność dla niej wyraził stadem tłustych owiec, które przyprowadził jego służący. Ale teraz, gdy mógł się już poruszać o własnych siłach i sam decydować, z kim się spotka, unikał jej towarzystwa. To odrzucenie bolało bardziej niż świadomość, że nigdy jej nie kochał. W namiocie rannych byli przynajmniej przyjaciółmi. Tam wydawało jej się, że Szalmon lubi jej obecność. Że lubi jej towarzystwo. Teraz, gdy świat się znowu przed nim otworzył, odrzucił ją, tak jak brudne bandaże.

Wymknęła się z namiotu i ruszyła przez kręty labirynt uliczek między namiotami na otwarty teren. Było jeszcze wcześniej i jej bliscy spali, dzięki czemu mogła się wymknąć bez irytujących wyjaśnień. Szła ostrożnie, nie hałasując, podążając przez ogromne obozowisko Judy na południe, w stronę obozu Zabulona. Oprócz rannych ptaszków i kóz nikt się nie poruszał. W końcu dotarła na skraj obozu izraelskiego i znalazła krętą ścieżkę, której szukała. Odkryła, że prowadzi do oazy, która ku jej zaskoczeniu często bywała zachęcająco pusta. W jej życiu pełnym gwaru ludzi spokój tego odosobnionego miejsca wydawał jej się rajem, którego szukała coraz częściej.

Tu mogła myśleć o Szalmonie i plątaninie swoich emocji. Jak mogła pozwolić, że stała się tak bezbronna wobec jakiegoś mężczyzny? Jak zdołał się wedrzeć za wysokie mury jej serca i usadowić się w samym jego środku, jakby wszystko tu do niego należało? Całe swoje dorosłe życie trzymała mężczyzn na dystans. Potrafiła flirtować z niemal naukową precyzją. Mogła obdarzać swoim towarzystwem nielicznych wybranych i czasem nawet proponować im przyjaźń. Mogła zabawiać mężczyzn



swoim ciałem. Ale zawsze strzegła swojego serca. Nigdy nie otworzyła go przed nikim. Aż do Szalmona.

A to złodziej! Podstępny złodziej! Bez wysiłku, bez starania zabrał wszystko, czego nie chciał, i nawet nie mógł tego oddać.

Co ona teraz robi? Jak ma przetrwać taką niemożliwą miłość? Dlaczego ze wszystkich mężczyzn na świecie wybrała sobie akurat tego, którego odtrącenia mogła się najbardziej spodziewać? „Boże! Błagam, ulecz mnie z tej miłości. Oszczędź mi dodatkowego bólu”.

Rachab skrzyła po raz ostatni i powoli ruszyła w stronę rachitycznej palmy. Znieruchomiała. O pień drzewa opierał się odwrócony od niej mężczyzna, z ciemną głową pochyloną jak w modlitwie. Pewnie ją usłyszał, bo wyprostował się nagle i obejrzał w jej stronę.

– Szalmon! – Omal nie zakrztusiła się tym słowem. Obiekt jej rozpaczliwych rozmyślań stał przed nią, niemożliwie przystojny w nieskazitelnej białej tunice.

– Rachab?

– Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś tu jest. Przepraszam. – Odwróciła się, gotowa uciec w przeciwną stronę. Oby nie pomyślał, że go śledziła!

Poczuła, że Szalmon obejmuje ją w tali i przyciąga do siebie.

– Zaczekaj – szepnął w jej nakryte welonem włosy. – Zaczekaj.

Skamieniała. Dlaczego jej tak dotykał? Serce załomotało tak mocno, że na pewno to poczuł. Stała zeszywniała pod tym dotykiem, niezdolna do ruchu. Szalmon przeniósł ręce na jej ramiona i zmusił, żeby się do niego odwróciła.

– Modliłem się w twojej intencji – powiedział zagadkowo.

– W mojej intencji? – powtórzyła, otwierając szeroko oczy.

Uśmiechnął się kącikiem ust i cofnął o krok.

– Tak. Wiedziałaś, że tu mnie zastaniesz?

Pokręciła głową z taką zaciekłością, że welon jej się zsunął.

– Nie, przysięgam. Nie chciałam cię niepokoić. – Modlił się

„w jej intencji”? Pewnie nie wytrzymała tego ciężaru wdzięczności, jaką jest jej winien za opiekę w chorobie. Jeśli o tym wspomni, chyba od niej oberwie. To, co zrobiła, zrobiła z przyjaźni. To był bezinteresowny dar. Jego próby, by jej za to zapłacić, obrażały ją.

– Chodź, usiądź ze mną. Chcę z tobą porozmawiać.

Pociągnął ją za rękę, a ona poszła za nim, rozpaczliwie pragnąc jego bliskości i jednocześnie życząc sobie znaleźć się na drugim końcu świata. Jego obecność bolała ją tak samo jak nieobecność.

Co on mógł jej powiedzieć? Pewnie nic, co chciałyby usłyszeć. Usiadła obok niego, podciągając kolana do piersi i otaczając je rękami, tak że wyglądała jak ciasno zasupłany węzełek.

Szalmon oparł się o drzewo. Milczał. Parę razy otworzył usta i znowu je zamknął, jakby nie znajdował odpowiednich słów. Rachab przyglądała mu się nerwowo, nie pojmując tego stanu.

– Kiedy przyszłaś, podejmowałem decyzję – oznajmił w końcu.  
– W twojej sprawie. – Głos mu się załamał. – Rachab, chciałbym, żebyś na mnie patrzyła, kiedy mówię.

Zerknęła na niego. Nagły przesywający strach sprawił, że w ustach jej zaschło. Jaką decyzję w jej sprawie podejmował? Czy przemawiał do niej jako przywódca plemienia Judy? Czy przekroczyła nieznana granicę? Czy złamała prawo, obraziła sąsiada, popełniła straszny błąd, zrobiła coś, co nie spodobało się Bogu? W czym zawiniła?

Szalmon zmarszczył brwi.

– I pomogłoby mi, gdybyś nie wpatrywała się we mnie z takim przerażeniem.

– Prze...praszam – wyszeptała, nic nie rozumiejąc.

Skrzywił się.

– Źle zacząłem. Jeszcze nie ochłonąłem ze zdziwienia, że się tu pojawiłaś akurat teraz.

– Naprawdę nie wiedziałam, że tu jesteś. Nie przyszłoby mi do głowy przeszkadzać ci, gdybym...

Pochylił się i zasłonił jej usta dłonią, skutecznie ją uciszając. Przez chwilę trzymał palce na jej wargach, potem cofnął niechętnie rękę.

– Dlaczego tak często zakładasz, że jestem na ciebie zły? Albo że zarzucam ci jakieś wykroczenie? Mylisz się. Uważam, że dziś pojawiłaś się w samą porę. Ucieszyłem się na twój widok. To potwierdziło, że podjąłem słuszną decyzję.

– Naprawdę? – „Jaką decyzję?”.

– Od powrotu do domu wiele o tobie myślałem.

Rachab spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czyżby? – Mimo najlepszych chęci w tym słowie zabrzmiała ostra nuta sarkazmu. Słyszając ją, zacisnęła pięść.

Szalmon odpowiedział leniwym uśmiechem.

– Brakowało mi ciebie.

– To dlaczego mnie nie odwiedziłeś? Gdybyś chciał, mógłbyś przyjść z Miriam. Tymczasem unikałeś mnie i przysłałeś te... owce!

– Unikałem cię, to prawda. Musiałem się zastanowić nad moimi uczuciami. Twój widok tylko by mi wszystko skomplikował.

Rachab znieruchomiała.

– Czujesz coś do mnie?

– Na pewno zauważyłaś. Tak jak ja zauważyłem, że nie jestem ci obojętny.

Rachab cofnęła się gwałtownie.

– Słucham?!

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że mnie nie kochasz. – Nie mogła nie zauważyć zadowolenia, które lśniło w jego ciemnych oczach.

Poderwała się gwałtownie, gotowa odejść. Wstyd otoczył ją jak lodowa powłoka. Zmagać się z nieodwzajemnioną miłością to jedno, a usłyszeć, jak ktoś nazywa to uczucie, obnaża je i rzuca jej w twarz to coś zupełnie innego. Szalmon wstał jednocześnie z nią, zagradzając jej drogę.

– Wysłuchasz mnie, czy nie? – Chwytał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

– Dość już usłyszałam. Puszczaj! Z żydowską panną na pewno byś sobie na tyle nie pozwolił.

– Nie. Ale nie zamierzam prosić o rękę żadnej żydowskiej panny.

– Co?!

– Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Przyszedłem tutaj, żeby się nad tym zastanowić. Żeby zdecydować, co z tobą zrobić. Może zbyt wiele sobie obiecuję, ale kiedy się modliłem, czułem, że Bóg się zgadza. I po raz pierwszy od wielu dni ta udreka, która mnie nie opuszczała, zmieniła się w głęboki spokój. Właśnie postanowiłem iść porozmawiać z twoim ojcem, kiedy się zjawiałś. Na twój widok omal się nie przewróciłem. Rankami często przychodzę do tej oazy i nigdy przedtem cię w niej nie widziałem. I akurat teraz, gdy podjąłem decyzję, by połączyć moje życie z twoim, przysłaś do mnie. Widząc cię w tej chwili, odczułem to jak potwierdzenie.

Świat Rachab zaczął się przechylać. Słowa Szalmona powoli do niej dotarły – ich znaczenie, konsekwencje, rezultat. Zmieniały całą jej przyszłość. Wydarzyło się niemożliwe. Szalmon się w niej zakochał. Wiedział o jej przeszłości, a mimo to ją chciał. Jak ktoś bliski śmierci z zimna, nie od razu stopniała. Jej serce nie dawało się tak łatwo przekonać.

– Ty naprawdę chcesz się ożenić „ze mną”?

Roześmiał się, głęboko i nisko. Zamiast odpowiedzieć, pochylił się i ją pocałował. Dla niej, na której ustach odcisnęło się wspomnienie pocałunków tuzina mężczyzn, jego pieśczęta stała się kompletnym wstrząsem. Ten zwyczajny pocałunek, słodki i nieskomplikowany, władczy dotyk ciała Szalmona, był dla niej czymś nowym. Po raz pierwszy pocałowała mężczyznę, którego kochała. Po raz pierwszy ten dotyk wynikał ze wzajemnego uczucia, wzajemnego pragnienia, wzajemnego oddania. Miała

wrażenie, że to jej pierwszy pocałunek w życiu. Nic w całym jej doświadczeniu nie mogło się z nim równać. Otoczyło ją poczucie przynależności i to ono ją rozmroziło. Szalmon przyglądał się jej bacznie spod na wpół opuszczonych powiek.

– Zawsze mnie zaskakujesz – powiedział i odstąpił od niej.

Tak wiele pytań krążyło jej w głowie, że nie mogła się odezwać. „Czy naprawdę mnie kochasz? Wierzysz, że Bóg pozwoli na takie małżeństwo? Co Izrael powie na nasz związek? Czy potrafisz zapomnieć o mojej przeszłości, puścić ją w niepamięć, żyć z nią?”.

– Jozue – przypomniała sobie nagle. – Co on sobie pomyśli?

– Jozue dał mi swoje błogosławieństwo, zanim zrozumiałem, co do ciebie czuję.

Rachab zamilkła, oszołomiona. Spodziewała się surowych obiekcji, jeśli nie jawnej wrogości. Jozue zawsze okazywał jej dobroć, ale małżeństwo jednego z wielkich przywódców Izraela z byłą prostytutką musiało stanowić zdumiewający precedens, nie wspominając już o tym, że było złym przykładem. Jak zdołała zdobyć poparcie tak wielkiego człowieka?

– Nie wiem, co powiedzieć.

Szalmon objął ją w tali i przyciągnął do siebie.

– Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

Zarumieniona i ogłuszona, powtórzyła za nim:

– Wyjdę za ciebie.

Szalmon mruknął z satysfakcją i znowu ją pocałował; mocno i krótko, odciskając na jej drżącym ciele ślad rozkoszy. Kiedy się cofnął, oparła się o niego bezwładnie. Roześmiał się cicho.

– Rachab, mam do ciebie jedną prośbę.

– Tak?

– Nie chcę długo czekać. Jesteśmy narodem wojującym. Z pewnością czekają nas walki. Pod Aj dowiedziałem się, że nie jestem niezniszczalny. Nie chcę marnować reszty życia na czekanie.

Rachab podniosła głowę.

– Jeśli chodzi o te całe oświadczenia, to... nie wiem. Chyba powinienem trochę poćwiczyć. – Uśmiechnęła się lekko. Myśl, że ten człowiek postanowił związać swoje życie z jej życiem była niemal obezwładniająca.

– Moje oświadczenia nie zrobiły na tobie wrażenia? Może powinienem się wstrzymać i najpierw zwrócić się do twojego ojca, jak nakazuje przyzwoitość. Ale na twój widok zapomniałem o wszystkim i wyznałem ci moje uczucia.

– Nieprawda. Wyznałeś mi moje uczucia, wielkie dzięki.

Parsknął gwałtownym śmiechem i przygarnął ją do siebie bliżej.

– Wybacz. Co jeszcze zrobiłem nie tak?

– W tej chwili zrobiłeś aluzję do niepewnej przyszłości. Powinieneś wiedzieć, że nie podoba mi się myśl, iż mogłabym zostać wdową, zanim jeszcze wezmę ślub. Zatem potraktuj to jako ostrzeżenie, Szalmonie ben Nachszonie. Nie waż się choćby rozważać śmierci lub umierania.

– Zrobię wszystko, by cię zadowolić.

– Potraktuj to poważnie, panie mój.

– Chyba po ślubie nie będziesz mną komenderować, co?

– Przecież powiedziałam „panie mój”, prawda?



Przez resztę dnia Rachab chodziła jak we mgle. W nagłych atakach niedowierzania zaczynała podejrzewać, że oświadczenia Szalmona tylko się jej przyśniły. Potem przypominała sobie jego pocałunki. Takiego uczucia nigdy by sobie nie wyobraziła. Wiedziała, że tego wieczora Szalmon przyjdzie do jej ojca, by spytać go o wiano i kontrakt ślubny. A potem wszyscy się dowiedzą, że Kananejka Rachab wychodzi za przywódcę rodu Judy.

Nikt jeszcze nie znał jej tajemnicy i rodzina spoglądała na nią podejrzliwie, gdy snuła się nieprzytomna jak po urazie głowy, nie odpowiadając na pytania, nie słysząc komentarzy.

– Jesteś chora? – spytała Izzie wczesnym popołudniem.

– Dziękuję. – Przez otaczającą ją gęstą chmurę dotarło do niej, że odpowiedziała ni w pięć, ni w dziesięć. Nic dziwnego, że siostra spojrzała na nią w osłupieniu.

Oslupienie potrafiła zrozumieć. Gdy poczucie nierzeczywistości zaczęło opadać jak kurz za galopującym koniem, Rachab zaczęła się zastanawiać, jak mogła tak się pomylić co do uczuć Szalmona. Jak mogła nie zauważyć, że ją kocha? Nigdy nie przyszło jej to do głowy. Parę razy zastanowiła się, czy jej pożąda. Nie czerpała z tej myśli żadnej satysfakcji, ponieważ znała niezłomny kodeks honorowy Szalmona i wiedziała, że taka niechciana i nieproszona namiętność obudzi w nim tylko niechęć do niej i do samego siebie. Ale miłość? Gdzie ją ukrywał?

Wiedziała, że w sprawach Szalmona miała niewiele pewności siebie. W obecności jego rodu o nieskazitelnej przeszłości jeszcze dotkliwiej odczuwała swoje dawne grzechy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby taki mężczyzna mógł pokochać kobietę taką jak ona. Uważała, że na niego nie zasługuje.

Ale po ślubie chyba nauczy się mu ufać? Chyba w końcu uwierzy w jego miłość, wyrażoną w publicznym, wiążącym zobowiązaniu i zyska pewność, że w jego oczach naprawdę jest godna miłości. Chyba uszczęśliwią się w tym małżeństwie, kojąc niepewność przeszłości i teraźniejszości.



Księżyc oświetlał ścieżkę przed Szalmonem, który szedł odwiedzić swojego przyszłego teścia. Towarzyszyła mu uśmiechnięta od ucha do ucha Miriam i najstarsza bratanica jego

matki, Estera, blada i stroskana. Wszyscy z linii ojca grzecznie wykręcili się przed tą wyprawą. Jozue kroczył obok Szalmona, rozmawiając z nim o szczegółach zbliżającego się ślubu. Nie tylko dał błogosławieństwo temu związkowi, ale zaproponował, że będzie pełnił funkcję ojca pana młodego. Jego obecność ukoili przykrość, jaką sprawiła Szalmonowi nieobecność krewnych ze strony Nachszona.

Imri dostrzegł ich pierwszy, gdy wkroczyli na teren obozowiska. Jego spokojna twarz świadczyła, że Rachab nie uprzedziła bliskich. Szalmon poczuł lekkie rozbawienie. Będzie interesująco. Rodzina, przyciągnięta zjawieniem się szacownych gości, zgromadziła się wokół nich i skłoniła się im z szacunkiem. Szalmon rozejrzał się, szukając Rachab. Poczuł ukłucie rozczarowania, nie widząc jej w pobliżu.

Jozue, jak zwykle władczy, zażądał spotkania z Imrim i jego żoną na osobności. W skromnym namiocie podjęto żydowską delegację z największą gościnnością.

– Imri – odezwał się Jozue, popijając wodę jęczmienną – przyszliśmy tu nie bez powodu. Dziś występuję jako ojciec Szalmona. Przyszedłem prosić o rękę twojej córki.

Imri wyglądał, jakby miał zemdleć.

– Rękę, panie? Chodzi o... małżeństwo? W tym sensie?

– Właśnie.

– Ale twój sługa ma tylko jedną niezamężną córkę, Rachab.

– Właśnie o nią chodzi.

Imri obrócił głowę tak gwałtownie, że zatrzęsły mu się policzki, wodząc wzrokiem od Jozuego do Szalmona i swojej żony.

– Mój pan Szalmon chce się ożenić z Rachab?

– Tak powiedziałem. Więc jeśli wyrażacie zgodę, chcielibyśmy sporządzić umowę małżeńską.

Początkowo pokorne oszołomienie Imriego bawiło Szalmona, ale gorliwość, z jaką zgadzał się na wszystkie żądania



i groteskowy pośpiech w spełnianiu jego próśb zaczęły go denerwować. Ten człowiek praktycznie oddawał córkę za darmo. Niemal zrezygnował z wiana za pannę młodą, nie myśląc o tym, jaki to afront wobec Rachab. Ani razu nie spytał Szalmona o zamiary, jak uczyniłby troskliwy ojciec. Ani razu nie poprosił o dobre traktowanie córki. Tak jakby nie wierzył, że w ogóle ktoś mógłby ją zechcieć. Czy Imri nie cenił dziecka ze swojej krwi i kości? Dlaczego o nie nie dbał? Szalmon przestał zwracać uwagę na pertraktacje, by nie powiększać swojego rosnącego gniewu. Kiedy Jozue określił szczegóły umowy, przyszły pan młody prawie nie wiedział, na co się zgadza.

Nadeszła pora, by wezwać Rachab. Miriam zaproponowała, że po nią pójdzie. Szalmon powoli rozluźnił zaciśnięte szczęki. Myśl, że zobaczy Rachab, trochę ukoła jego rozdrażnienie. Rachab weszła, a on niemal jęknął z wrażenia. Miała na sobie prostą szatę w kremowym kolorze. Wąską talię przewiązała tkanym pasem, podkreślającym jej krągłości. Szalmon wstał i – jak nakazywał zwyczaj – wziął ją za rękę i zaprowadził na miejsce obok siebie. Choć jej twarz wydawała się spokojna, palce były lodowate i drżące.

– Rachab... – zaczął, gdy podniosła głowę. – Twój ojciec zezwolił na nasz ślub. Czy ty również wyrażasz zgodę?

Była to oczywiście formalność. Rachab już się zgodziła, a on nie zamierzał dać się jej z tego wykręcić.

– Tak. – Jej głos brzmiał cicho i pewnie. Serce Szalmona uderzyło mocniej.

– Twój ojciec i Jozue uzgodnili warunki naszych zaręczyn. Oto twoje wiano. – Sypnął w jej dłonie garść złotych monet. Odruchowo chwyciła je, zanim upadły na podłogę. To złoto miało należeć do jej ojca do końca jego życia. Ale Szalmon chciał jej w ten namacalny sposób dać do zrozumienia, iż wysoce ją sobie ceni.

– Mam jeszcze jeden dar. To należało do mojej matki. – Na

kopczyku monet położył delikatne kolczyki ze złota, lapis lazuli i pereł. – Gdy opuściliśmy Egipt, Egipcjanie dali nam przedmioty ze srebra i złota. Większość z nich używamy w przybytku, ale wielu z nas zachowało pamiątki z tego okresu naszej historii. Pamiętam, że moja matka je nosiła. Uradowałbym się, gdybym zobaczył je w twoich uszach.

Rachab odrzuciła monety niemal nieuważnym ruchem, by przyrzeć się wnikliwie kolczykom.

– Dajesz mi klejnoty swojej matki?

– Będą pięknie na tobie wyglądać.

Rachab przesunęła pieszczotliwie palcem po zwisających delikatnych paciorkach ze złota i lapis lazuli. Zatrzymała opuszek na pojedynczej perle na środku każdego kolczyka. Prezent wyraźnie jej się podobał. W porównaniu z monetami kolczyki nie przedstawiały sobą niczego szczególnie cennego, a jednak dla niej znaczyły więcej. „Dajesz mi klejnoty swojej matki?”, spytała. Poruszyła ją emocjonalna wartość tego podarunku. Był jej drogi, bo dla Szalmona jego cena nie wyrażała się tylko w pieniądzu.

Szalmon uświadomił sobie, że wpatruje się w nią z jawnym zachwytem. Inni zauważyli jego wyraźne zainteresowanie, o czym świadczyło kilka powściągniętych uśmiechów i znaczących spojrzeń.

Odkasznął i wstał.

– Robi się późno. – Cieszył się, że nalegał na szybkie zaręczyny. Czekał go bardzo trudne trzy miesiące. Odwrócił się do Rachab i złożył jej tradycyjną obietnicę: – Idę przygotować dla ciebie miejsce. Jutro do ciebie wrócę.

# Rozdział 19



**W** dniu ślubu Rachab Miriam, Izzie i Abigail poszły ra zem z nią do mykwy. Jordan już się uspokoił i choć zimny, zapewniał kilka bezpiecznych miejsc do kąpieli. Kobiety wybrały odosobnione miejsce i rozłożyły rzeczy na brzegach rzeki.

Ledwie Rachab weszła między fale, zaczęła szczekać zębami. Odetchnęła głęboko i zanurzyła się z głową pod wodę. Kiedy się wynurzyła, była pewna, że ma sine wargi.

– Tam jest lodowato!

Izzie usiadła na brzegu i zanurzyła palce u stóp w wodzie.

– Nie martw się, twój mąż cię dzisiaj rozgrzeje.

Zachichotały wszystkie oprócz Rachab, która zgromiła siostrę wzrokiem. Nikomu nie mogła się zwierzyć z tego narastającego napięcia na myśl o czekającym ją wieczorze. Kto by uwierzył, że kananejska *zonah* denerwuje się swoją nocą poślubną? Sama ledwie to rozumiała. Czowała tylko, że niemądre żarty Izzie obudziły w niej lęk, który sięgał zbyt głęboko, by się mu przyjrzeć.

Kobiety nie przeciągały wymaganych rytuałem zanurzeń, bo woda mroziła do szpiku kości. Gdy tylko obmyły się i wypowiedziały słowa błogosławieństwa, wyszły na brzeg i włożyły czyste ubrania.

Na swój ślub Rachab postanowiła pożyczyć od Izzie piękną szatę, utkaną z bladobłękitnego płótna. Gdy w namiocie Izzie jej ją pokazała, Rachab jęknęła z zachwytem. Siostra zdążyła jakoś

w tajemnicy wyhaftować brzeg i dekolt sukni malutkimi białymi kwiatuskami.

– Zatrzymaj ją – powiedziała z ciepłym uśmiechem.

Miriam, która najwyraźniej brała udział w tym spisku, podarowała Rachab pas z długiego rzędu srebrnych kwiatów.

– Odłożyłam ten pas na twój prezent ślubny w dniu, gdy Szalmon powiedział mi, że chce się z tobą ożenić. Izzie zobaczyła go i postanowiła ozdobić sukienkę tak, żeby stanowiła z nim komplet.

Rachab przez lata nosiła ozdobne jedwabie i złote precjoza, ale nigdy dotąd nie czuła się tak pięknie ubrana. Przytuliła Miriam i Izzie.

– Nie umiałabym sobie wyobrazić piękniejszego stroju ślubnego. Nigdy nie zapomnę waszej hojności.

– Zrobiłyśmy to, bo cię kochamy – powiedziała Miriam. – Wiesz, szkoda ukrywać taką piękną pannę młodą podczas *badeken*, ale w Izraelu musi ją przykrywać nieprzezroczysty welon.

– Chętnie go włożę. Kiedy myślę, że setki ludzi będą się na mnie godzinami gapić, mam ochotę uciec. Ale zanim mi go włożycie, potrzebuję jeszcze jednej rzeczy. – Wyjęła i włożyła kolczyki, które dostała od Szalmona. Potrząsnęła głową, żeby perły się zakołysały. – Teraz jestem gotowa.



Imri, Joa, Karem i Gerazim trzymali tyczki ślubnego baldachimu Rachab, gdy szła ku namiotowi Szalmona. Pochód prowadzili Hanani i Ezra, którzy po nią przyszli, z okrzykiem: „Oto nadchodzi panna młoda”. W połowie drogi spotkał ich Szalmon. Wszedł pod baldachim i stanął obok Rachab. Uścisnął jej dłoń. Rachab, która z każdym krokiem bardziej zbliżała się do załamania nerwowego, nie cofnęła ręki, ale nie odwzajemniła

uścisku.

– Powiedziałbym, że pięknie wyglądasz, ale nic nie widzę. Dziwne, że jeszcze się nie przewróciłaś. Da się przez to cokolwiek zobaczyć?

Chciał ją uspokoić i odwrócić jej uwagę, ale nie bardzo mu to wyszło. Sama jego bliskość zdenerwowała ją jeszcze bardziej. Nie chciała jednak, żeby zauważył jej napięcie. Kochała tego człowieka bardziej niż kogokolwiek na świecie i chciała go uszczęśliwić. Dlatego zmusiła się, żeby odpowiedzieć normalnym tonem:

– Idę za zapachem olejku Hananiego. Chyba wylał na siebie wszystko, co miał, żeby uczcić nasz ślub.

Szalmon znowu uściśnął jej dłoń.

– Widzisz te migoczące w dali światełka?

– Tak.

– To dwa rzędy pochodni. Na ich końcu czekają Jozue i Kaleb, by wypowiedzieć nad nami słowa ślubnego błogosławieństwa.

– Dobrze.

– Wtedy zdejmę ci welon.

– Świetnie.

– Nie jesteś dziś bardzo rozmowna. Zaczynam się zastanawiać, czy twój ojciec nie spletał mi figla jak Laban Jakubowi. Pod tym welonem nie ukrywa się chyba Izzie, co?

– Nie. Gerazim miał parę zastrzeżeń do tego planu. Musisz się zadowolić Rachab.

– Tylko jej pragnę.

Na czoło Rachab pod welonem wystąpiły kropelki potu. Nerwy miała napięte do ostateczności. „Co ja wyprawiam? To jakieś szaleństwo. To się nie uda. Czy już za późno, żeby odwrócić się i uciec?”. Pomyślała o tym, co by poczuł Szalmon, ten Szalmon, którego kochała z całych sił. Czy mogłaby go tak upokorzyć? A jednak... co będzie, jeśli za niego wyjdzie i go rozczaruje?

W głowie miała taki mętlik, że prawie nie zauważyła, kiedy

stanęli przed Kalebem i Jozuem. Goście weselni zajmowali wszystkie dostępne kąty. Jozue zaczął recytować siedem błogosławieństw, Kaleb poszedł w jego ślady. Rachab od czasu do czasu wychwytywała urywki tekstu. „Szanować, wspierać i utrzymywać w prawdzie... Błogosławię ich związek... Oby był owocny...”.

Zaczęła ją ogarniać słabość. Błogosławieństwa skończyły się i czyjeś ręce poprowadziły ją trzy razy wokół Szalmona. Szła, jakby oderwana od tego, co się działo, od Szalmona, od samej siebie. Przerazenie oblepiało ją jak gęsta oliwa. Potem zatrzymano ją, a Szalmon uniósł nieprzezroczysty welon z jej głowy i upuścił go na podłogę. Spojrzała na niego, mrugając oczami, a on pochylił się, by pojąć jej usta w pocałunku, jednocześnie cnotliwym i pełnym obietnic. Przeszedł ją lekki dreszcz otuchy i, oparłszy się o Szalmona, powiedziała sobie, że wszystko będzie dobrze.

Ludzie wiwatowali i tłoczyli się, składając hałaśliwe gratulacje. Może wyczuwając bliskie załamanie żony, Szalmon przyciągnął ją w swoje ramiona.

– Zaczniemy ucztować! Potem wymkniemy się, żeby przez parę minut побыć w samotności. Mam ci coś do powiedzenia.

Rachab bezmyślnie naśladowała Szalmona. Stawiała stopy tam, gdzie on, uśmiechała się, kiedy i on się uśmiechał, unosiła kielich, gdy i on go unosił. Włożyła do ust kąsek jedzenia i przestraszyła się, że go zwróci. Potem Szalmon pociągnął ją za sobą przez ścisk i jakoś zdołał wyprowadzić ich w odosobnione miejsce.

Odwrócił się do niej i spytał bez wstępów.

– O co chodzi? Cała się trzęsiesz. Co się stało?

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć, bo sama nie wiedziała, co spowodowało jej reakcję.

– Chyba boję się, że cię rozczaruję i że tego pożałujesz – wyznała.

Przytulił ją mocno do siebie.

– To się nie stanie. – Cofnął się, ale trzymał dłonie na jej ramionach jak most między nimi. – Rachab, powinienem ci to powiedzieć wcześniej, ale te ostatnie trzy miesiące były pełne wydarzeń i rzadko spotykaliśmy się sam na sam. Chcę, żebyś coś wiedziała. Twoja przeszłość dla mnie nie istnieje. Nie ma jej między nami. Nigdy nie będziemy o niej mówić. Nigdy nie będziemy robić do niej aluzji. Przestała istnieć, nie ma jej. Nie chcę sobie o niej przypominać. Wiem, kim jesteś teraz. Tamta inna Rachab nie istnieje. Zbudujemy nasze życie na tym, co jest teraz, a przeszłość pogrzebiemy.

Rachab poczuła w ustach gorzki smak. Wiedziała, że ta przemowa miała dodać jej otuchy. Sprawić, że poczuje się bardziej akceptowana. Jej mąż usiłował podnieść ją na duchu, ale osiągnął odwrotny efekt. Jak miała zabić swoją przeszłość? Jak miała osłonić go przed jej wspomnieniem? A jeśli zrobi albo powie coś, co mimowolnie obudzi wspomnienie tamtych czasów? Zamiast spokoju i bezpieczeństwa Szalmon zepchnął ją w straszny zamęt.

A on, nieświadomy tego, co zrobił, uścisnął ją beztrąsko.

– Musimy wrócić na uroczystość albo ludzie zaczną plotkować. Będziemy mieli siedem całych dni tygodnia poślubnego, żeby o wszystkim porozmawiać. Ale w tej chwili musimy natychmiast wrócić, bo staniemy się na cały miesiąc obiektem sprośnych żartów w plemienu Judy.

Rachab skinęła głową, niezdolna się odezwać.

Dla niej ten ślub był koszmarem. Bardziej niż cegokolwiek pragnęła schronić się w jakimś cichym kącie i przemyśleć konsekwencje decyzji Szalmona. Ale akurat w tę szczególną noc nie miała szans na samotność. Każdy jej uśmiech był kłamstwem, każde słowo fałszem. Jej zachowanie nie zdradzało tego, co czuła. Tego wieczora była zdolna tylko do strachu – strachu, że nie sprosta żądaniom i pragnieniom swojego męża.

Strachu, że w końcu zostanie odtrącona przez tego samego człowieka, którego akceptacja dała jej nową nadzieję i przyszłość.

I choć przyjęcie weselne było okropne, to późniejszych chwil bała się jeszcze bardziej. Teraz miała nastąpić konsumpcja jej małżeństwa. Miała utknąć na siedem dni i siedem nocy w komnacie małżeńskiej razem ze swoim mężem. I będzie musiała nieustannie dbać o to, żeby jej przeszłość nie wdarła się do jej małżeńskiego łóżka i nie skaziła go. Jak niby miała tego dokonać?

Jako komnata małżeńska miał posłużyć namiot Szalmona. Miriam ozdobiła go z wielkim pietyzmem, po czym wyprowadziła się z niego, by zamieszkać na dwa miesiące ze swoją przyjaciółką Elżbietą. Jakże rozpaczliwie Rachab żałowała nieobecności szwagierki! Ale w komnacie małżeńskiej mogli przebywać tylko małżonkowie.

Gdy w końcu zostali sami, Szalmon ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją z namiętnością, która wezbrała w nim przez minione miesiące.

– Moja piękna Rachab – szepnął cicho. W jego ramionach zawsze miała to ciepłe poczucie, że znalazła się na swoim miejscu. Jego pocałunki były najwspanialszym fizycznym doznaniem w jej życiu. Ale tego wieczora ciągle słyszała jego słowa, zbyt dobrze zapamiętane. „Nie chcę sobie o niej przypominać”, powiedział o jej przeszłości. Czy jeśli zacznie go namiętnie całować, przypomni mu o niej? Czy jeśli będzie odwzajemniać jego namiętność, on zacznie się zastanawiać, gdzie nauczyła się tego lub owego? Od początku ich zaręczyn bała się, że nie zasługuje na niego. W końcu Szalmon ocknie się i dostrzeże jej niedostatki. Powoli zaczną go dręczyć zawód i rozczarowanie. Jego dzisiejsze oświadczenie potwierdzało wszystkie jej obawy. W łóżku ujrzy twarze z jej przeszłości i znienawidzi ją za to.

Z każdą nową myślą coraz bardziej paraliżował ją strach.



Skamieniała w jego ramionach. Jej chłód zdziwił Szalmona, który początkowo uznał to za efekt ślubnego zdenerwowania. Zaczął ją uspokajać. Jego pieścizoty były czułe i kojące. Położył ją na materacu, obsypanym różowymi i białymi płatkami, i całował raz po raz. Każdy jego dotyk coraz mocniej ją krępował. Im bardziej Szalmon starał się sprowokować jej reakcję, tym bardziej się zamykała.

W końcu dał za wygraną.

– Czy coś się stało? – W jego głosie nie było rozdrażnienia, tylko zaskoczenie i troska.

Jego dobroć przeniknęła zimny pancerz, który ją otoczył. Może nie zdoła poczuć do niego namiętności, ale jeśli będzie leżała jak kłoda, nie sprawi mu też przyjemności. Co miała robić? Nie potrafiła wyjaśnić swoich uczuć – nie bez poruszania tematu swojej przeszłości.

– To tylko zdenerwowanie. Nie przestawaj.

Nie poruszył się. Wyciągnęła rękę i przyciągnęła go do siebie. Zmusiła ciało, by stało się tak podatne, jak mogło przy tym napięciu, i zrobiła wszystko, co mogła, by dać mu do zrozumienia, że tego chce. W pewnym sensie chciała. Chciała dać mu wszystko, o co prosił, ale była zbyt obolała od ran i lęków, by cokolwiek od niego przyjąć. Łańcuchy jej niewoli i jego niezrozumienia zbyt mocno ich oplatały, by spełnienie ich małżeństwa okazało się czymś innym niż rozczarowaniem dla obojga. Gdy było już długo po wszystkim, Rachab rozplakała się cicho i płakała tak długo, aż zasnęła obok swojego męża, leżącego z szeroko otwartymi, suchymi oczami.



Siedem najgorszych dni jego życia niemal dobiegło końca. Kobieta, którą kochał, zmieniła się w ostrygę, ukrytą w szczelnie zatrzaśniętej muszli. Po kilku katastrofalnych próbach w ogóle

przestał jej dotykać. W jego ramionach stawała się bryłą lodu. Nie rozumiał tego. Gdy po raz pierwszy ją pocałował, wtuliła się w niego tak, jakby pragnęła tylko stać się jego częścią. Potem spoglądała na niego z zachwytem, który wstrząsnął nim do szpiku kości. Patrzyła na niego, jakby nikt nigdy jej nie pocałował. Jakby był jedynym mężczyzną na świecie.

Teraz jego pocałunki zmieniały ją w kamień. Początkowo podejrzewał, że po prostu nie dorównuje Kananejczykom, których znała. Czy czegoś mu brakowało? Po latach spędzonych z Anną wiedział, że to mało prawdopodobne, ale i tak miał ochotę spytać. Jej wstrząśnięte spojrzenie, pełne przerażonej zgrozy, uspokoiło te okaleczające wątpliwości.

A zatem zaczął nalegać na rozmowę, prosić, by wyjaśniła, co się dzieje. Wtedy zamilkła. Odpowiadała monosylabami, niczego nie wyjaśniając. Jego inteligentna, błyskotliwa Rachab zmieniła się w cień dawnej siebie. To jej milczenie bolało go bardziej niż jej fizyczna oziębłość. Na odległość można było wyczuć brak zaufania. Rachab nie wpuszczała go do swojego serca. Jego frustracja powoli zmieniała się w gniew, gniew w urazę, a uraza musiała znaleźć swoje ujście. Co drugie słowo, jakie do niej wypowiadał, ociekało sarkazmem. Wstydział się, że tak ją traktuje, i ten wstyd jeszcze bardziej go drażnił. To przecież jego źle tu traktowano, może nie? Dlaczego miałby mieć wyrzuty sumienia?

Modlił się i wiedział, że ona także to robi. Ale modlili się osobno, nigdy nie dzieląc ze sobą tego doświadczenia. Modlitwy nie przynosiły mu ulgi. Wiedział, że to małżeństwo nie jest błędem, choć okazało się katastrofą. Przy każdej modlitwie czuł potwierdzenie, że żeniąc się z Rachab, wypełnił wolę Boga. Cieszył się, że przynajmniej Pan jest zadowolony, bo o sobie nie mógł tego powiedzieć.

Jego żona weszła do reprezentacyjnej części namiotu, w której odpoczywał. W ostatnich dniach starała się go unikać. Opuszczała każde pomieszczenie, do którego wchodził, w tak przewidywalny

sposób, że byłoby to komiczne, gdyby tak go nie rozczarowywało.

Miała rozpuszczone włosy, kaskady kędziorów, połyskujących w świetle ognia czerwienią. Jak często wyobrażał sobie, że zanurza palce w tych włosach? Właściwie czemu nie?, pomyślał. Była jego żoną. Nie pojmował, co za bzdura nie pozwala jej się do niego zbliżyć, ale nie zamierzał dłużej się z tym godzić.

Podszedł do niej gwałtownie. Zesztywniała. Przez jej oczy przemknął cień strachu i coś w jego sercu złagodniało. Wziął ją pod brodę i uniósł ku sobie jej twarz.

– Kochasz mnie. Dlaczego przede mną uciekasz?

Pokręciła głową. Przygarnął ją do siebie.

– Kochasz mnie. Powiedz to.

– Kocham cię – powtórzyła posłusznie, dygocząc.

– Nie tak. Powiedz, jakby to coś dla ciebie znaczyło. Powiedz to w ten sposób – poprosił i dotknął wargami jej ust, całując ją z mocą zbyt długo powstrzymywanej namiętności. Pocałunek się przedłużył, stał się dziki i głęboki i ku swojej radości Szalmon poczuł, jak Rachab zaczyna się poddawać jego uściskowi.

– Rachab – szepnął, zanurzając palce w jej pachnących włosach. – Rachab, moja żono.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że znowu złodowaciała i przestała reagować. Jęknął z rozpaczą i odstąpił.

– Powiedz! Powiedz, co cię trapi. Przestań ze mną walczyć!

Znowu pokręciła głową, śmiertelnie blada. Odtrącił ją i odszedł z niesmakiem. Ten ślub zmienił ją w mur obronny. Zaloty do niej równały się zderzeniu z cegłą i kamieniem. Po siedmiu dniach miał dość siniaków na całe życie.

## Rozdział 20



**T**warz Szalmona nie zdradzała wewnętrznego zamętu. Teraz, gdy tydzień poślubny się skończył, przynajmniej mógł się rzucić w codzienne obowiązki. Od dziesięciu dni wychodził z namiotu przed świtem i wracał długo po zapadnięciu zmierzchu. Rachab z każdym dniem stawała się coraz chłodniejsza, coraz bardziej odległa, coraz bardziej zamknięta w swojej skorupie. Na swój sposób także szukała zapomnienia w pracy. Gotowała wyrefinowane, złożone posiłki, których niemal nie tykał. Prała jego ubrania i cerowała je. Przędła wełnę. Zajmowała się nawet bydłem, co należało do obowiązków jego służącego i pastuszka. Ale w przeciwieństwie do niego nie chciała tylko zatracić się w czynnościach. Szalmon uświadomił sobie z goryczą, że próbowała mu się przypodobać. Tak jakby ciężka praca miała mu wynagrodzić to, czego mu broniła. Czy naprawdę myślała, że w ten sposób zyska jego aprobatę?

Przez cały ten czas udało mu się unikać Jozuego. Martwił się, że przywódca zauważy, iż coś jest nie tak. Ale szczęście opuściło go, gdy pewnego wieczora wracał do swojego namiotu. Jozue pojawił się nie wiadomo skąd i ruszył u jego boku.

- Jakże się miewa młody małzonek?
- Dziękuję, dobrze – skłamał Szalmon uprzejmie.
- Zatem dlaczego powiadają, że prawie nie bywasz w swoim namiocie? Opuszczasz go przed wschodem słońca, wracasz po zmroku. Czy tak się zachowuje nowożeniec?

Szalmon zmarszczył gniewnie brwi.

– To moja sprawa, kiedy wychodzę i wracam, jeśli pozwolisz.

– Nie pozwolę. – Jozue wziął go pod ramię smagłą dłonią, wolną od starczych plam. – Wiesz, znalazłem ładną, wygodną oazę nieopodal naszego obozu. Czuję, że potrzebuję się odświeżyć. Pójdiesz ze mną, przyjacielu?

Szalmon nie dał się zwieść miłym słowom ani uprzejmości Jozuego. Przywódca najwyraźniej był w nastroju niedopuszczającym dyskusji. Szalmon bez słowa poszedł za nim. Jakby za obopólną zgodą początkowo unikali trudnego tematu małżeństwa Szalmona. Aż do oazy mówili o dwunastu plemionach, problemach obozu, uprawie ziemi, możliwości nowej wojny. Jak na ironię, była to ta sama oaza, w której Szalmon oświadczył się Rachab. Szalmon przełknął gorycz i usiadł, oparty o to samo drzewo, pod którym modlił się w sprawie swojej przyszłości.

Jozue usadowił się naprzeciwko niego, bez trudu krzyżując nogi.

– Chciałem, żebyś ze mną porozmawiał. Widzę, że cierpisz.

– Istnieją rzeczy, o których nie można mówić. Nawet z tobą.

– Niewątpliwie masz rację. Ale czy to na pewno jedna z nich?

A może to duma powstrzymuje cię przed rozmową ze mną?

Szalmon oparł głowę o obłazący z kory pień palmy.

– Nie wiem. Już nic nie wiem.

Jozue położył mu rękę na ramieniu.

– Synu, porozmawiaj ze mną.

Oczy Szalmona niespodziewanie wypełniły się łzami – łzami frustracji i gniewu, łzami rozczarowania, łzami bólu. Nie potrafił zrezygnować z proponowanej pociechy i mądrości. Nie miał wielkiej nadziei, że Jozue zdoła rozwikłać zagadkę, ale myśl o zwierzeniu się z tego ciężaru komuś zaufanemu była zbyt kusząca, więc zaczął – urywanymi, czasem przepełnionymi wstydem zdaniem – opowiadać Jozuemu o swoim małżeńskim

życiu.

Gdy skończył, starszy mężczyzna podrapał się po brodzie.

– Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem. W dniu ślubu powiedziałeś Rachab, że ma nigdy nie mówić o swojej przeszłości. Nigdy nie robić do niej aluzji. Że nie chcesz, żeby ci o niej przypominała, tak?

– Tak. Sam rozumiesz, że zrobiłem wszystko, żeby uwieść tę kobietę. Żeby poczuła się doceniona.

Jozue zakrył usta ręką.

– Co? – warknął Szalmon z rozdrażnieniem. – Nie powiesz mi, że to moja wina.

– Tu nie chodzi o winę, lecz o zrozumienie. Twoja żona musi wiedzieć, że akceptujesz jej przeszłość, a nie, że będziesz udawać, iż jej przeszłość nie istnieje.

– Nie widzę żadnej różnicy.

– Różnica jest ogromna. Synu, kobieta musi się poczuć w miłości bezpieczna. Musi wiedzieć, że jej mąż akceptuje w niej wszystko i nadal ją kocha. Że zna ją na wylot, włącznie z jej dawnymi błędami i wadami charakteru – i nadal ją kocha. To Ziemia Obiecana kobiecego serca. To tam twoja żona znajdzie ukojenie.

– No więc?

– Gdy powiedziałeś Rachab, że chcesz unikać wszelkich wzmianek o jej przeszłości, czy tak naprawdę nie dałeś jej do zrozumienia, że tego jednego nie możesz w niej znieść? Że tej części jej historii nie potrafisz zaakceptować? Że jej nie tolerujesz? Nie możesz z nią żyć? Że nie potrafisz spojrzeć na jej błędy i nadal ją kochać? Czy nie powiedziałeś w ten sposób, że będziesz jej pragnął, tylko udając, że ten etap jej życia nigdy nie istniał? Wygląda na to, że dajesz jej miłość pod pewnymi warunkami. A ona potrzebuje, żebyś kochał ją taką, jaka jest. Nie mówię o pochwalaniu jej złych uczynków, ale przecież ona już wie, co zrobiła źle, i nie trzeba jej tego przypominać. Chodzi mi

o to, byś ofiarował akceptację i uczucie jej, a nie jej uczynkom. Ona musi otrzymać od ciebie tę wiadomość, otrzymywać ją raz po raz, aż w końcu jej serce w nią uwierzy. Tymczasem ty przekazałeś Rachab wiadomość, że nie może być pewna twojej miłości. To jasne, że już poczuła się nie dość dobra dla ciebie. Dodaj do tego osąd swojego serca i... czy to dziwne, że ta kobieta zmieniła się w kamień? Kolejna rzecz, bardziej praktyczna. Kiedy powiesz kobiecie, że nie chcesz, żeby ci przypomniano o jej przeszłości, stawiasz ją przed trudnym wyborem. Podejrzewam, że kamienieje w twoich ramionach, bo boi się, że jeśli cokolwiek zrobi, przypomni ci, iż miała przed tobą kochanków, a wtedy ją odtrącis. Przystaniesz ją kochać. Postawiłeś swojej miłości granice, a ona stara się ich nie przekraczać.

Jakaś przykra, buntownicza myśl wypłynęła na powierzchnię świadomości Szalmona. Chciał zlekceważyć zarzuty Jozuego. Chciał się bronić. To, że wytrzymał z zamkniętymi ustami, zawdzięczał tylko samokontroli. Parę razy przełknął żółć, podchodzącą mu do gardła. Tak bardzo chciał się bronić... Jozue rozważnie czekał, nie przeszkadzając, aż Szalmon uspokoi się na tyle, żeby zastanowić się nad jego słowami. Czy były sprawiedliwe? To pytanie stało się dla niego ważniejsze niż początkowa chęć, żeby się usprawiedliwić. Czy Jozue może mieć rację?

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej czuł się, jakby ktoś uderzył go w brzuch, pozbawiając powietrza. Zarzuty Jozuego miały sens. Nie darował żonie jej przeszłości. Nie tak naprawdę.

– Oszukiwałem się, że zaakceptowałem to, jak Rachab żyła w Jerychu – wykrztusił. – Teraz uświadamiam sobie, że nie chciałem o tym myśleć, ale się z tym nigdy nie pogodziłem. Co ja mam zrobić? Jak mam odmienić moje serce? Jak mam zaproponować jej bezpieczeństwo, którego według ciebie potrzebuje, skoro nie mam go w sobie? Jeśli Rachab boi się, że

moja miłość ma granice, to się nie myli. Rzeczywiście tak jest. Nie mogę znieść tego, co robiła. Kiedy sobie o tym przypominam, mój żar gaśnie. I nie mam pojęcia, jak to zmienić.

– Bo tego nie zmienisz. Nie ty. Ale dla Boga wszystko jest możliwe. Teraz, gdy wejrzałeś w swoje serce i przyznałeś się do błędów, On może zacząć działać. Może cię odmienić.

– Tak się na nią gniewałem, miałem do niej taką urazę, a od początku chodziło o mnie... To ja jestem winny. Nie cenilem jej tak, jak na to zasługuje, bo moje oddanie ma tak wiele warunków i ograniczeń...

Jozue podniósł rękę.

– Zaczekaj. Nie chodzi tylko o ciebie. Rachab także dźwiga własne brzemie. Nie powiesz mi, że piętnastoletnia dziewczyna, sprzedana do nierządu przez własnego ojca, nie ma paru ran na duszy. Powiedziałem ci o jednej – że czuje się ciebie niegodna. Gorsza od ciebie. By małżeństwo funkcjonowało, mąż i żona muszą znać swoją wartość w oczach Boga. Ale ten stary ból da się uleczyć. Choć teraz wydaje się to niemożliwe, jeśli zechcesz, Bóg może za twoją sprawą ją uleczyć.

Myśl, że za jego sprawą Rachab mogłaby zostać uleczona, przyspieszyła bicie serca Szalmona. Pragnął tego ponad wszystko. Przed oczami stanęła mu jej postać – gdy zmieniała mu bandażę, cierpliwie osuszała sączącą się ropę, obmywała go z rozkładających się tkanek. Czy mógł to samo uczynić z jej duszą? Czy mógł uleczyć wrak jej serca? Bóg będzie musiał najpierw zająć się jego twardym sercem, nauczyć go prawdziwej miłości, uwolnić go od własnych więzów, zanim stanie się przydatny dla Rachab.

– Boję się, że ją zawiodę – wykrztusił.

– To możliwe. Nie spodziewaj się doskonałości, ani po sobie, ani po niej. Oboje możecie popełniać błędy podczas tej podróży. Małżeństwo nie stanie się dobre dlatego, że nigdy nie zawiedziesz swojej żony, a ona ciebie. O jego stanie zdecyduje to, w jaki



sposób zareagujesz na te błędy. A teraz pomódlmy się i poprośmy Boga o pomoc.

Po modlitwie Jozue zostawił Szalmona z własnymi myślami. Ciemności zgęstniały tak, że z trudem dawało się w nich rozróżnić zarysy palm i rachitycznego drzewa terpentynowego. Szalmon poczuł taką słabość w kończynach, że nie mógł się podnieść. Zresztą i tak nie był jeszcze gotowy na spotkanie z Rachab. Instynktownie rozumiał, że tylko Bóg może mu pomóc wygrać tę bitwę. Wiedział, że bez częstych modlitw podda się zniechęceniu i pobłądzi. Gdy zaczął się modlić, przed oczami stanął mu obraz Jerycha. Mury miasta – ogromne, wyzywające, prastare – wypełniły jego umysł z niezwykłą wyrazistością. To Rachab, pomyślał. Jest uwięziona za wieloma murami – strachu, odtrącenia, samotności, bezwartościowości.

Ale Bóg zburzył mury Jerycha, ponieważ Izrael słuchał Pana, a nie własnego rozumu. „I on będzie słuchał Pana”. Bóg zburzył mury Jerycha, ponieważ Izrael przy nim trwał – „i on będzie trwał przy swojej żonie”. Bóg zburzył mury Jerycha, bo chciał dać Izraelowi te ziemie – „i Bóg chce oddać Rachab jemu”. Szalmon wierzył w to bez wahania. Rachab miała odzyskać wolność z woli Boga. I to Jego wola da im zwycięstwo. Tak jak Szalmon walczył dla Boga z murami Jerycha, tak będzie walczyć dla Boga z murami, które uwięziły jego bezcenną żonę. W walce o swoją ukochaną będzie prezentował to samo posłuszeństwo, tę samą cierpliwość i upór, to samo niezłomne zdecydowanie, które okazywał w walce z kananejskimi miastami. Jego żołnierskiej duszy się to spodobało.

Do późnej nocy Szalmon walczył z własną opinią o Rachab. Niegdyś z niesmakiem przekonał się, że Imri nie zna wartości własnej córki. Teraz dostrzegł, że sam na swój sposób nie docenił ukochanej, nie ujrzał jej pełnej wartości. Widział w niej dwie kobiety: jedną godną miłości i ceną, drugą skażoną, niechcianą. I ta świadomość ją sparaliżowała, bo jak miała oddzielić od siebie

te dwie połówki? Rachab sama czuła się zhańbiona i poniżona swoją przeszłością, więc nie potrafiła się przeciwstawić jego niewypowiedzianym oskarżeniom. Uważała je za słuszne. Sądziła, że tak wygląda prawda o niej.

Szalmon chciał ją kochać jak należy. Chciał ją cenić i sprawić, by czuła się z nim bezpieczna. Chciał przesunąć granice swojej miłości tak, by jego ukochana poczuła, że do niego należy i że jest z nim bezpieczna. Godzinami modlił się, by Bóg nauczył go kochać ją w taki sposób. Pokutował. Wyznawał swoje grzechy. Modlił się aż do wyczerpania. Przespał parę godzin w cieniu tego samego drzewa, pod którym Bóg powiedział mu, że powinien poślubić Rachab. A gdy słońce znalazło się wysoko na bladobłękitnym niebie, Szalmon ruszył do domu. Po raz pierwszy od wielu dni jego krokom towarzyszyła radość. Szedł jak wojownik, zamierzający podbić bezcenne terytorium.



Rachab drgnęła, gdy Szalmon wszedł do ich namiotu. Był późny poranek. Szalmon nie wrócił do domu na noc, a ona spędziła wiele bezsennych godzin, martwiąc się, że ją zostawił. Spod spuszczonej rzęsy zerknęła na jego przystojną twarz. Nie potrafiła odgadnąć jego nastroju. Stał się nieprzenikniony. Sam jego widok sprawiał, że zlodowaciała, nie wiedząc, czemu przypisać jego nieobecność. Jednak zanim zdecydowała się odezwać, Szalmon podszedł prosto do niej.

Stanął bardzo blisko, jednak nie dotykając jej. Z tej odległości wydawał się jej przytłaczająco wysoki. Miała ochotę się cofnąć, rozdzielić ich większą odległością. Nie posłuchała tego odruchu, wiedząc, że rozdrażniłaby tym męża.

Uparcie milczał, więc to ona przerwała ciszę.

– Czy... czy coś jadłeś? Masz na coś ochotę? Właśnie upiekłam chleb. Jest też wędzony pstrąg i kozi ser.

– Wspaniale.

Odwróciła się z ulgą, żeby przynieść jedzenie. Szalmon chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

– Czy mogłabyś to spakować? Pomyślałem, że wybierzemy się poza obóz, żeby побыć sam na sam ze sobą.

– Sami?

Uśmiech wyłobził bruzdy na jego policzkach. Pierwszy od wielu dni uśmiech, jakim ją obdarzył. Serce zabiło jej mocniej.

– Tak, tak zamierzałem. Ty, ja i jedzenie. Pójdziemy za namiot rannych. Lubiałś tam spacerować, pamiętasz?

– T... tak.

Co to miało być, propozycja zawarcia pokoju? Podniesiona na duchu Rachab uśmiechnęła się nieśmiało. Ale ta chwila nadziei nie trwała długo. Kiedy ta jego aprobata się wyczerpie? Kiedy ona zepsuje wszystko niewłaściwym słowem lub zachowaniem?

– Pomóc ci przy pakowaniu?

– Dam radę. Dziękuję. – Rachab powoli, ociągając się, włożyła do węzełka ciepły jęczmienny chleb, ryby, miękki ser i drewniany kubek na wodę. Nie chciała nigdzie iść. Ta wyprawa skończy się rozczarowaniem. Wiedziała, że Szalmon widzi, że gra na zwłokę; był przerażająco spostrzegawczy. A jednak wcale się nie zirytował ani nie zmartwił. Siedział na dywanie, pogwizdując zawadiacko i wkładając mocniejsze sandały. Gdy nie mogła już dłużej zwlekać, podeszła do niego i zakołysała węzełkiem.

– Obiad podano! – Starła się powiedzieć to bez troski.

– Ach... ale to na nic.

– Co? – spytała zaniepokojona.

– Twoje buty. O wiele za delikatne na taką poważną wyprawę za obóz. W tych cieniutkich podeszwach dostaniesz pęcherzy. Chodź tutaj.

Podeszła do niego z łomoczącym sercem. Dał jej znak, żeby usiadła obok niego. Usłuchała. Przyniósł jej mocniejsze buty. Wyciągnęła po nie rękę.

– Ja się tym zajmę. – Ukląkł przed nią i uniósł jej stopę. Delikatnie rozwiązał jej sandał.

W gardle jej zaschło. Usiłowała cofnąć nogę.

– Mam brudne stopy.

Przytrzymał mocno jej kostkę, nie puszczając, choć się szarpała. Widząc determinację w jego oczach, dała za wygraną. Uśmiechnął się do niej lekko, z aprobatą. Zdjął jej sandały i wytarłszy stopy mokrą szmatką, włożył jej mocniejsze buty.

– Nie było tak źle, prawda? – Opłukał rękę wodą z dzbanka i wstał. – No, żono, idziesz, czy będziesz przez cały dzień tkwić na tym dywanie?

Rachab całkiem zapomniała, że siedzi. Ogarnęło ją otumaniające zdziwienie. Czy Szalmon naprawdę wykonał zadanie zlecane niewolnikom – umył jej stopy i czule je obuł? Co on knuje, ten jej mąż, który jest dla niej zupełną tajemnicą? Dlaczego zjawia się w domu w środku dnia i zachowuje się, jakby nie zaszło między nimi nic złego? Gdzie spędził poprzednią noc? Dlaczego chciał jej poświęcić swój czas? Jego uparcie zaciśnięte szczęki zdradzały, że powie jej to dopiero, kiedy sam zechce. Wstała i omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy wziął ją za rękę, splatając swoje palce z jej. Pochylił się po węzełek z jedzeniem i rzucił jej uśmiech.

– Szkoda by było je zostawić. Po raz pierwszy od wielu dni czuję głód.

Ruszył szybko, wyciągając długie nogi. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Rachab musi podbiegać, żeby za nim nadążyć, i natychmiast zwolnił.

– Przepraszam. Często ci to robię. To z przyzwyczajenia. Miriam mówi, że skaczę jak kozica.

Podjął marsz w tempie wygodnym dla Rachab. Idąc, zabawiał ją opowieściami o swojej pracy, rozważając problemy związane z osadnictwem i uprawą ziemi, które czekały ich w najbliższej przyszłości. Pochlebiał jej, pytając ją często o zdanie i poważnie

rozważając odpowiedzi. Zanim wyszli poza granicę izraelskiego obozu, Rachab trochę się uspokoiła.

Ścieżka, którą wybrał, doprowadziła ich do wąskiego dopływu Jordanu.

– Przejdźmy na drugi brzeg. Jeśli dobrze pamiętam, rosną tam piękne akacje.

Rachab ruszyła naprzód, zamierzając wejść w wodę. Szalmon bez ostrzeżenia chwycił ją wpół i zarzucił sobie na ramiona.

– Nie ma potrzeby, żebyśmy oboje się zamoczyli – rzucił z uśmiechem.

Rachab mimowolnie stężała. Jego bliskość była dla niej torturą. Szalmon spojrzał na nią łagodnie.

– Uspokój się. Nie zrobię ci krzywdy. – W jego głosie, niskim i cichym, nie było urazy ani ironii. Ogarnęła ją ulga. Ulga, że jej głupie, niedające się opanować reakcje nie zniechęcają go do niej tak jak poprzednio. Rozluźniła mięśnie, ale nie potrafiła się zmusić, żeby objąć Szalmona za szyję.

Na drugim brzegu strumienia Szalmon postawił ją na ziemię, zsuwając po swoim ciele. Jej policzki spurpurowiały, ale jeśli zauważył, to tego nie skomentował.

– Co sądzisz? Moglibyśmy zjeść, siedząc na tym niskim kamieniu pod akacją.

Rachab skinęła głową. Zgodziłaby się usiąść nawet na stercie gnoju, gdyby Szalmon tak chciał, do tego stopnia była zaskoczona jego zachowaniem. Podał jej chleb i rybę, których nie mogła w siebie wmusić. Jej żołądek wywracał się na lewą stronę na samą myśl o jedzeniu.

– Trzeba to włożyć do ust i żuć. Za bardzo schudłaś.

Nie słyszała w jego słowach troski, tylko krytykę. Czy w jego oczach zbrzydła? Stała się nieatrakcyjna? Wepchnęła do ust kęs chleba i przełknęła go z determinacją. Utknął jej w gardle. Zakrztusiła się i zaczęła kasłać, zgięta wpół.

– Wypij – rozkazał Szalmon, podając jej kubek z wodą ze

strumienia. Udało jej się upić łyk, a potem drugi. Kaszel zaczął ustępować. – Byłoby łatwiej, gdybyś pogryzła chleb przed połknięciem. Słyszałaś o żuciu? Chodzi o to, żeby rozdrabniać jedzenie zębami.

Rachab uśmiechnęła się mimowolnie. Przy tym opanowanym mężczyźnie czuła się jak niezdara.

– Chyba straciłam wprawę. Zresztą ty też schudłeś. Miło patrzeć, jak jesz.

Po jej słowach spowaźniał. Spojrzał jej prosto w oczy.

– To był dla nas trudny okres.

– Tak.

– Przyprowadziłem cię tutaj, bo chciałem o nas porozmawiać. W domu jest zbyt wiele przykrych wspomnień, żebyśmy czuli się swobodnie. Chciałem znaleźć jakieś odosobnione miejsce, w którym będziemy mogli szczerze porozmawiać.

Na samą myśl o kolejnej poważnej rozmowie zrobiło jej się niedobrze. Teraz zacznie ją męczyć o odpowiedź, której ona nie będzie mu mogła dać.

– Musimy? Naprawdę? To taki piękny dzień. Nie psujmy go.

Wstała i odwróciła się do niego plecami. Jej ciało spięło się do ucieczki, z tego miejsca, od tego człowieka i jego męczących pytań.

Szalmon odezwał się za jej plecami, spokojny i niewzruszony.

– Nie możemy tego unikać. Musimy temu stawić razem czoła. Nie mam do ciebie pretensji za uczucia, które sobie wyrzucasz. Popełniłem wiele błędów. Proszę cię o wybaczenie.

Serce jej się ścisnęło. Zrozumiała z bolesną pewnością – Szalmon chce się z nią rozwieść. To za to przeproszał. To o tym błędzie mówił. Nic dziwnego, że nie wracał przez całą noc i pojawił się w domu w dobrym humorze. Już podjął decyzję. I kto by się mu dziwił? Cała społeczność odetchnie z ulgą. O Boże, nie zniosę tego. Nie dam rady.

– Proszę, nie rób tego! – krzyknęła w trwodze.

W ułamku sekundy przyskoczył do niej.

– Czego? O co chodzi?

Omiał nie zaczęła go błagać, żeby jej nie porzucił, żeby nie odchodził! Ale przecież życie nauczyło ją, że błagania nie odnoszą skutku. Po co się teraz poniżać? Mogła jeszcze uratować resztki sponiewieranej dumy. Zwiesiła pokornie głowę, w milczeniu błagając Boga: „Daj mi odwagę, bym umiała zwrócić mu wolność”.

– Masz rację – powiedziała głosem łamiącym się jak wyschnięty chrust. – Najlepiej będzie się rozwieść.

# Rozdział 21



**M**ilczenie, które zapadło po jej słowach, miało w sobie echo przerażającego gromu. Rachab z zaskoczeniem ujrzała rozpacz na twarzy Szalmona. Pobladł, a na czoło wystąpił mu pot.

– Dlaczego mówisz o rozwodzie? Nie wspomniałem o nim.

– Ale o nim myślałeś. Nie szkodzi. Nie mam do ciebie pretensji. Sama nie widzę innego wyjścia.

– Nigdy o nim nie myślałem. I nie pomyślę. Nigdy.

Nigdy o tym nie myślał? Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że chyba go zraniła. Cierpiał. Cierpiał na myśl, że mogłaby chcieć rozwiązać ich małżeństwo. A dlaczego coś tak okrutnego przyszło jej do głowy? Bo chciała ocalić swoją dumę. Zareagowała tak jak zawsze, gdy spotykało ją coś strasznego. Ukryła prawdziwe uczucia za udawaną siłą i w rezultacie zraniła mężczyznę, którego miała kochać i chronić. By ocalić twarz, zrobiła mu krzywdę.

– Ja... nie mówiłam poważnie – wymamrotała ochryple. – Sądziłam, że tego chcesz, dlatego to powiedziałam.

Szalmon odetchnął głęboko. Jego pierś uniosła się i na chwilę znieruchomiła. Gdy opadła, wraz z wydychanym powietrzem z jego twarzy znikło napięcie.

– Chodź ze mną. Chodź i usiądź obok mnie.

Poszła za nim w odrętwieniu. Jak przez mgłę dotarło do niej, że Szalmon się z nią nie rozstaje. Nie zamierzał jej odtrącić. Z ulgi zrobiło jej się słabo. Miłość do tego mężczyzny przekraczała



wszystkie granice, jakie znało jej serce. Kochała go tak bardzo, że jego utraty bała się bardziej od śmierci.

– Rachab – zaczął, gdy usiedli twarzą w twarz. – Dlaczego myślałaś, że chcę rozwodu?

– Ostatnio było nam trudno.

– Tak, częściowo z mojej winy. Ale to, że związek jest obecnie trudny, nie oznacza, że trzeba go zakończyć. Chcę nad nim popracować, zrobić z niego małżeństwo, jakiego życzy sobie dla nas Bóg. Część tych problemów spowodowałem ja. Źle cię potraktowałem. Niechcący, ale to niczego nie zmienia. Nałożyłem na ciebie nieracjonalne ograniczenie i serdecznie cię za to przepraszam. Nie powinienem był mówić, że nie chcę pamiętać o twojej przeszłości. Zachowałem się głupio. Teraz uświadamiam sobie, że postawiłem cię w niemożliwej sytuacji. I chcę zacząć jeszcze raz.

Rachab ukryła swoje myśli pod spuszczonej rzęsami. W dniu ślubu powiedział to, co naprawdę leżało mu na sercu. W ten sposób udowodnił jej, że nie może znieść jej grzechów ani grzechów popełnionych przeciwko niej. Te słowa wyrażały jego prawdziwe uczucia.

– Chciałabym, żeby to było możliwe – powiedziała powoli i z rozważą – ale nie widzę na to szansy. Nie odmienisz swojego serca. Nie możesz zmienić tego, co czujesz tylko dlatego, że tego chcesz. Moja przeszłość nie zniknie. O, jakże bym tego chciała! Ale ona nie zniknie i zawsze będzie między nami. – Wyrażając to głośno, poczuła się jeszcze bardziej przybita.

Szalmon pochylił się ku niej.

– Kto powiedział, że nie odmienię swojego serca? Czy Bóg nie odmienił twojego? Ja sam siebie nie zmienię, to prawda, ale On może zrobić ze mnie innego człowieka, tak jak zrobił to z tobą.

– Jestem taka sama jak zawsze. Jak się zmieniłam?

– Inne życie odmienia duszę. Nie widzisz, że samo pragnienie poznania Boga świadczy, iż cię kompletnie odmienił? Zaufaj

Bogu, jeśli nie ufasz sobie. Mojej miłości na pewno nie ufasz, wiem to. Spodziewasz się, że zniknie. Że w końcu cię zawiodę, tak jak twój ojciec.

Rachab nigdy nie pomyślała o tym, że niedostatek miłości ojca odbije się na jej związku z mężem. Czy rzeczywiście nie potrafiła zaufać Szalmonowi, ponieważ ufając ojcu, nauczyła się, że każdy ukochany ostatecznie zdradzi? Czy karała go za grzechy swojego ojca? Oparła głowę na rękach i westchnęła.

Szalmon wziął ją pod brodę.

– Widzę, że tu potrzeba czegoś więcej niż słowa. Moje małe Jerycho, będę bardzo uporczywie oblegał twoje mury, by cię zdobyć.

– Jak mnie nazwałeś? – Wyrwała się mu.

– To specjalne imię, które dla ciebie znalazłem.

– Nie chcę, żebyś tak się do mnie zwracał – rzuciła lodowato, obrażona porównaniem do rozpustnego miasta.

– Nie chcesz się najpierw dowiedzieć, dlaczego cię tak nazwałem?

– Nie! Tak.

– Taką wizję zesłał mi Bóg. Pewnie tego nie wiesz, ale dla Izraela podbicie Jerycha równało się z osiągnięciem niemożliwego. Te wysokie mury... – Szalmon pokręcił głową. – Jak mieliśmy się na nie wspiąć? Jak je zburzyć? Ostatecznie to Bóg nas wyręczył. My mieliśmy się tylko pokazywać, dzień po dniu, ignorując wszelkie kpiny, upierając się przy tym, czego On od nas wymagał. Te mury zburzyła nie nasza siła, lecz Boga. I ty jesteś takim warownym miastem, Rachab. Z powodu moich uprzedzeń i ograniczonej miłości początkowo nie miałem środków, by cię zdobyć. Ale do sprawy wmieszał się Bóg. To On mnie odmienia tak bardzo, jak bardzo pragnie odmienić ciebie.

– Więc uważasz, że Bóg za twoją sprawą zburzy moje mury. O to ci chodzi?

– Jeśli Mu pozwolę. I jeśli ty pozwolisz mnie.

– Brzmi to jak coś bolesnego. Zapomniałeś, że byłam na miejscu w dniu, gdy runęły mury Jerycha. Chcesz, żebym przez to przechodziła?

– Tak, jeśli dzięki temu zostaniesz odbudowana.

Rachab odchyliła się do tyłu. Serce biło jej bardzo szybko. Przyciągnęła kolana do piersi i mocno objęła je ramionami.

– Co chcesz zrobić?

Szalmon spojrzał jej prosto w oczy; jego wzrok przeszył ją z precyzją noża Sufa.

– To, co konieczne.

Poczuła, że blednie ze strachu.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Ty musisz mi tylko zaufać. Ten, który sprawił, że wody Jordanu się rozstały, jest więcej niż zdolny uleczyć nasze małżeństwo. Nie zamierzam się poddawać. Z czasem nauczysz się w to wierzyć.

To niezłomne zdecydowanie wrosło w niego jak druga skóra. Jego siła odebrała Rachab głos. Wyglądało na to, że jej życie zmieni się na dobre.

Szalmon wstał i wyciągnął do niej rękę. Chwyliła ją bez zastanowienia. Podniósł ją jednym szybkim ruchem tak gwałtownie, że straciła równowagę i upadła mu na pierś. Objął ją przez jedną cudowną chwilę, a gdy tylko stanęła pewnie, wypuścił ją z uścisku. To sprawiło jej ulgę. Potrzebowała bezpiecznej odległości. Tym razem Szalmon – jakby wyczuwał jej emocje – nie nalegał na przeniesienie jej przez strumień. Bez komentarzy pozwolił, by przeszła przez wodę, mocząc sobie stopy.

Rachab uznała z ulgą, że na razie skończyli, że ten ponury plan zburzenia jej murów został odłożony przynajmniej na resztę tego dnia. Okazało się, że łagodne zachowanie Szalmona wprowadziło ją w błąd.

– Gdy wiele miesięcy temu chcieliście do nas dołączyć, Miriam

opowiedziała mi o twoim ojcu. O ile pamiętam, to on chciał, żebyś została prostytutką. Miałaś wtedy piętnaście lat. Mam rację?

Rachab skamieniała, wstrząśnięta tak, że omal nie zemdląca. Dlaczego musiał o tym wspomnieć?

– Tak.

– Opowiesz mi o tym?

Jako jej mąż miał prawo o to spytać. Dlaczego miałyby mu o tym nie powiedzieć? I tak już wiedział o najgorszym. Czy to nie ona upierała się przy ujawnieniu wszystkich faktów ze swojego życia przed przystąpieniem do domu Izraela? Czy nie zaryzykowała całej przyszłości, by zachować się uczciwie? Więc co ją w tej chwili powstrzymywało?

Przy Miriam mogła wyjawic tylko to, co chciała, uświadomiła sobie. To ona panowała nad sytuacją. Mówiła prawdę, ale nie wnikała w szczegóły. Fakty, które ujawniała, nie zdradzały jej rozterek i wstydu, a i tak trudno było jej o nich mówić. Miała wrażenie, że rozpruwa swoje ciało i ukazuje jego wnętrze. Ale Szalmon żądał więcej. Chciał zobaczyć wnętrze jej duszy.

Pomyślała o decyzji ojca tego strasznego dnia – decyzji, która zmieniła bieg jej przyszłości. Nadal dygotała na samo wspomnienie. Jej własny ojciec uznał ją za zbędną. Z niespodziewaną jasnością zrozumiała, że nauczyła się podzielać jego zdanie. Rozsądek podpowiadał jej, że to on zgrzeszył przeciwko niej, że to on jest odpowiedzialny za przewinę, której nigdy by się nie dopuściła przeciwko własnemu dziecku. Ale teraz uświadomiła sobie, że w głębi duszy przyznawała ojcu rację. Była zbędna. Nadawała się tylko do odrzucenia. I bała się, że Szalmon też to zrozumie, gdy usłyszy jej historię. Skoro własny ojciec uważał ją za nieważną, czy mąż nie dojdzie do takiego samego wniosku, gdy dowie się o wszystkim?

Idąc przez dzikie tereny ku obozowi, czuła żar ciała swojego ukochanego, dotyk muskającego ją ramienia, jego budzącą

zaufanie siłę. Czekał, cierpliwy jak nigdy.

Chciał, żeby mu zaufała. Choć przyznał, że jego miłość ma granice i być może nie zdoła znieść wykroczeń jej dawnego życia, chciał, żeby mu zaufała. Nie, nie jemu. Bogu. Chciał, żeby zaufała temu, co Bóg może zrobić z nim i z nią.

Czy zatem była to kwestia wiary? Niegdyś zaryzykowała dla niej życiem. Była bezwzględnie pewna, że Pan zburzy mury Jerycha i odbierze zwycięstwo wrogom Izraela. Czy teraz nie potrafiła uwierzyć, że Bóg jest na tyle potężny, by zdobyć także serce jej i Szalmona?

A zatem stanęła przed wyborem: zaufać Bogu lub potwornemu lękowi swojego serca. Szalmon także przed nim stanął. Oboje muszą dołożyć starań, jeśli to małżeństwo ma mieć szansę. Nie mogła wpływać na decyzje Szalmona, ale miała wpływ na własne.

Zatrzymała się na środku ścieżki.

– Powiem ci. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć o moim ojcu.

Oczy Szalmona wypełniły się łagodnością. Usiedli na skale, nieosłonięci przed popołudniowym słońcem, bo w pobliżu nie rosły żadne drzewa. Rachab zaczęła opowiadać – powoli, urywkami zdań. Unikała wzroku męża ze strachu, że zobaczy w jego oczach chłód lub pogardę. Mówiła o swoim ojcu, o okolicznościach, które pchnęły go do zdrady. Nie wspominała wiele o Zedeku, który kupił jej niewprawne ciało, kiedy miała tylko piętnaście lat. Wiedziała, że i na niego przyjdzie pora. Szalmon nie zostawi tego tematu. Ale na razie miała siłę tylko na to, by opowiedzieć o decyzji ojca i swojej roli w dalszych wydarzeniach.

Szalmon słuchał, nie przerywając, jeśli nie liczyć paru okrzyków, które mu się wyrwały. Gdy wyjawiała, że nie zgodziła się wstąpić do świątyni, choć to by jej ułatwiło życie, zawołał:

– Nawet wtedy nie zgadzałaś się na bałwochwalstwo! Nic

dziwnego, że Bóg cię sobie upodobał.

Po raz pierwszy opowiedziała komuś tę historię. Było to oczyszczające przeżycie, choć inne emocje zmały ulgę: zmęczenie. Wstyd. Poczucie winy. Czuła się obnażona, zhańbiona. Siedziała sztywno wyprostowana, oddalona od męża. Jeśli nie zbliży się do niego, nie poczuje aż takiego bólu, gdy ją odtrąci.

– Przestań – rzucił. – Przestań przede mną uciekać. – Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. – Zostań ze mną.

Spoczęła na jego piersi, z łomoczącym sercem. Nie potępił jej. Choć wiedział, że spełniła żądanie ojca bez żadnych sprzeciwów, nie pogardził nią. Wsparała plan rodziców tak, żeby odnieśli jak największe zyski. Wiedział o tym, a mimo to czule trzymał ją w objęciach.

Wtedy zdobyła się na najbardziej ryzykowną rzecz w życiu. Nieśmiałym ruchem ujęła dłoń Szalmona. Kosztowało ją to więcej odwagi niż ukrycie izraelskich szpiegów przed królewskimi ludźmi w Jerychu. Ten ruch w jego stronę, bez czekania, aż to on jej dotknie, wymagał wszystkich jej wewnętrznych sił.

Szalmon ścisnął jej palce z siłą, która niemal zmiażdżyła jej kości.

– Moja dzielna dziewczynka – szepnął i pocałował ją. Całował ją i całował, nie wypuszczając jej drżącej dłoni, aż osunęła się na niego, prawie omdlewając.



Był szabat i Izrael odpoczywał. Nikt nie gotował. Nikt nie szył. Nikt nie pracował. Rachab nauczyła się kochać to święto, choć podczas pierwszych dni po ucieczce z Jerycha przymusowe próżnowanie przez cały dzień, gdy tak wiele prac leżało odłogiem, bardziej ją męczyło, niż dawało wypoczynek. Z czasem

zaczęła widzieć szabat jako wyraz Bożej troski o nią. Teraz chętnie go przestrzegała, bez względu na to, jak wiele pozornie ważnych rzeczy musiała zaniedbać.

Dlatego siedziała w bladym świetle jesiennego słońca, wyciągnąwszy przed siebie nogi, i cicho recytowała Szemę, zakrywając oczy prawą ręką. „Słuchaj, Izraelu! Pan naszym Bogiem, Pan jest jedynym...”.

Ziemia poruszyła się delikatnie. Rachab uniosła brwi pod osłoną dłoni. To dziwne; dotąd nigdy jej się to nie zdarzyło podczas recytowania Szemy. Zaczęła jeszcze raz z roztargnieniem: „Słuchaj, Izraelu...”.

Ziemia drgnęła znowu, tym razem mocniej. Krzyk Szalmona, wybiegającego z namiotu, poderwał Rachab na równe nogi.

– Trzęsienie ziemi!

Ziemia zadrżała ponownie. Tym razem nie można było mieć wątpliwości. Rachab jęknęła. Groza stępiła jej zmysły; w odrętwieniu zauważyła, że owce uciekły z zagrody, zburzonej przez wstrząsy. Ich beczenie dochodziło ze wszystkich stron.

Szalmon pochylił się nad nią i wziął ją w ramiona.

– To nic, to nic...

Otoczona jego ramionami poczuła, że strach ją opuszcza. Wiedziała, że Szalmon nie włada ziemią, że nie może jej nakazać, by znieruchomiała. A jednak sama jego obecność dała jej poczucie bezpieczeństwa. Przywarła do niego na długą chwilę.

– Chyba już po wszystkim – powiedział, cofając się nieco. – Jesteś cała?

– Tak. A ty?

Skinął głową z roztargnieniem, wodząc wzrokiem dokoła.

– Zdaje się, że nie ma większych szkód. To było niewielkie trzęsienie.

Jedna ze zbiegłych owiec sąsiadów trąciła pyskiem ramię Rachab, która roześmiała się z ulgą.

– Ktoś tu chce do domu – powiedziała drżącym głosem.

Szalmon uśmiechnął się i poklepał owcę po białym runie na głowie.

– Później będziemy mieć sporo roboty z rozdzieleniem ich... na szczęście owce znają głosy swoich pasterzy. Ale na razie nadal jest szabat. Niech chodzą swobodnie. Nie stanie im się żadna krzywda. Zadbamy o nie po zachodzie słońca.

– Ktoś powinien powiadomić ziemię, że jest święto – rzuciła, zirytowana na niegrzeczne przerwanie modlitw. – Można by się spodziewać, że nie będzie robić kłopotów w dniu Bożym.

W kącikach oczu Szalmona pojawiły się zmarszczki uśmiechu. Rachab znalazła się nagle w jego ramionach. Ogarnął ją spokój. Sam Szalmon był siłą natury równą trzęsieniu ziemi, stawiającą jej świat na głowie. A jednak, zaskakująco, z nikim nie czuła się tak bezpieczna jak ze swoim mężem.



Jednak spokój domostwa Szalmona ben Nachszona zbyt szybko został zmaćony. Szalmon spędził kilka trudnych dni, rozstrzygając spór między dwoma upartymi mężczyznami, grożącymi spokojowi domu Judy. Prowadził długie, trudne rozmowy, od których włosy jeżyły mu się na głowie. Nie znosił tej strony swoich obowiązków przywódcy tysięcy ludzi. Konieczność rozstrzygania sporów drażniła go i wyczerpywała jego cierpliwość. Nie zdając sobie z tego sprawy, przynosił swoją frustrację do domu. Zdenerwowanie zaszło mu za skórę i tam zostało. Długie godziny pracy skróciły czas, jaki poświęcał na modlitwy. Wyczerpały go duchowo i fizycznie. I kiedy był na to najmniej gotowy, wpędziły go w zwadę z żoną.

W środku nocy obudził go krzyk. Żołnierski instynkt postawił go w stan natychmiastowej gotowości. Dotarło do niego, że to krzyczała Rachab, uwięziona w środku koszmaru.

Potrzaskał nią, najpierw delikatnie, potem, gdy się nie ocknęła



– mocniej.

– Rachab! Rachab! – krzyknął, marszcząc brwi z troską. Rachab obudziła się z krzykiem. Szalmon pochylił się, by zapalić oliwną lampę. Rachab drżała, lśniąc od potu. Szalmon dotknął jej czoła; było zimne. Oczy, rozszerzone i niewidzące, wpatrywały się w przestrzeń.

– To tylko zły sen – powiedział, delikatnie zagarniając ją w ramiona. Z troską poczuł zimno całego jej ciała. Nakrył ją kocem, przytulił przez jego grube fałdy, usiłując przekazać poczucie bezpieczeństwa jej nadal dygoczącemu ciału.

Skinęła głową. Uścisnęła ją mocno i przytulił jak dziecko.

– O czym? Możesz mi powiedzieć?

Zesztywniała i odsunęła się od niego.

– O niczym szczególnym. Często je miewam.

– Opowiedz mi.

– Wolałabym nie.

Szalmon westchnął z rozdrażnieniem. Od czasu rozmowy na pustyni egzystowali w przyjaznym rozejmie. On nie naciskał, żeby wyjawiała mu szczegóły swojego dawnego życia. A jednak, z racji ich przyjaznych relacji, spodziewał się po niej czegoś więcej. Co miał zrobić, żeby ją sobie zjednać?

– Kto ci się śnił? – spytał uparcie.

Oblizła wargi. Zauważył, że są wysuszone i spękane.

– Zedek.

Natychmiast rozpoznał to imię i rzucił się na nie.

– Złotnik! Ten, któremu sprzedał cię ojciec.

– Na jeden sezon.

– Czy źle cię traktował? – Starał się, ale nie potrafił opanować głosu. W każdym słowie brzmiała zadra. – Czy to dlatego widzisz go w koszmarach snach?

– Nie. Był... był dość delikatny.

– Rozumiem. I dlatego budzisz się z krzykiem?

– Budzę się z krzykiem, bo go nie chciałam! Nie chciałam go,

ale robiłam wszystko, czego zażądał. Spełniałam każdą jego prośbę, słyszysz? Bo mi płacił. Niczego mu nie odmawiałam. – Wstała z materaca, trzęsąc się bardziej z emocji niż strachu.

Szalmon zlodowaciał. Zbyt późno uświadomił sobie, że nie jest na to gotowy. Nie był gotów na obdarzenie miłością żony w zamian za jej drastyczne decyzje. Przed oczami stanęły mu sceny z jej życia – niestawiającej oporu, dobrowolnej uczestniczki – i zrobiło mu się niedobrze. Usiłował wykrzesać z siebie współczucie, ale ostatecznie zdołał tylko uciszyć słowa krytyki, które same pchały mu się na usta.

– A potem, gdy minęły trzy miesiące, odesłał mnie bez jednego spojrzenia. – Zasłoniła twarz rękami i rozszlochała się rozpaczliwie. – Już mnie nie chciał.

Serce Szalmona załomotało tak gwałtownie, że prawie nie słyszał własnego głosu.

– Kochałaś go? To chcesz mi powiedzieć?

Uniosła zalaną łzami twarz.

– Czy go kochałam? Brzydziłam się nim!

– Można by pomyśleć, że uwolnienie od takiego mężczyzny przyjmiesz z ulgą, nie łzami – wycedził lodowato. – Nie rozumiem cię.

Osunęła się na łóżko, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Może go nie kochałam, ale wolałabym zostać z jednym mężczyzną, a nie przechodzić z rąk do rąk. Poza tym... pewnie nie byłam dla niego dość dobra. Miał mnie dość po trzech miesiącach.

W głowie Szalmona zapanował zamęt. Myśl, że jakiś mężczyzna obmacywał jego żonę, która się na to zgadzała, zaciskała mu żołądek. Myśl o niej, rozpaczającej, że została odtrącona, drażniła go. Rachab powinna raczej obmyślać, jak go do siebie zrazić, niż rozpaczać z powodu końca romansu. Wiedział, że powinien ją pocieszyć, ale nie mógł. Bez słowa chwycił płaszcz, zarzucił go sobie na ramiona i wyszedł. Słyszał

szarpiący serce płacz żony, ale szedł dalej.

Przy zagrodzie kóz osunął się na ziemię, opierając się o płot. Smród zwierzęcego nawozu ledwie do niego docierał. Zamęt, który szalał w nim jak cyklon, zaciskał mu wnętrzności. Zacisnął stwardniałą dłoń i uderzył pięścią w ziemię, dwa, trzy razy, aż szczypanie zadraśniętej skóry przywróciło mu przytomność.

Podciągnął kolana pod brodę i oparł na nich głowę. Przez parę minut gotował się z wściekłości – wściekłości na Zedeka, Imriego, Rachab, życie. Na Boga. „Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego kazałeś jej tak żyć? Dlaczego postawiłeś ją na mojej drodze?”

Odpowiedzią na jego pretensje była wielka cisza. Szalmon odetchnął głęboko kilka razy, walcząc z napływającymi mu do oczu łzami. Pałący gniew powoli wywietrzał mu głowy. Przestał wykrzykiwać pretensje i zaczął mówić. A potem słuchać. I modlić się, a wtedy serce mu zmiękło i coś się w nim zmieniło. Uświadomił sobie, że przy każdej takiej bitwie zyskuje odrobinę terenu. Nie wylądował w tym samym miejscu, z którego wyruszył. Początkowo wydawało się, że płynie z niego to samo – ta sama krytyka, ta sama warunkowa miłość. Ale gdy przyjrzał się sobie tak jak w tej chwili – kiedy Bóg był z nim i go prowadził – zrozumiał, że jego uczucia przeszły realną zmianę. Permanentną zmianę. Wkrótce wrócił do namiotu, do żony, która nadal płakała, skulona na ziemi obok ich zmiętego materaca.

Na jej widok żołądek mu się skurczył. Przeżyła tyle wydarzeń, które mogły doprowadzić ją do nieustannego płaczu. Wojna. Zniszczenie jej świata. Podłość jej nowych sąsiadów. Jej niewyznana miłość do niego. A jednak wtedy ostrożnie szafowała łzami. Teraz zanosiła się szlochem, jakby miała nigdy nie przestać.

Ukląkł obok niej.

– Wybacz mi, Rachab.

Pokręciła głową i rozsłochała się głośniejsze. Wydawało się, że to

łkanie rozszarpuje jej wnętrzności.

– Nie wybaczysz mi?

– Nie. To znaczy, tak. To znaczy... nie ma czego wybaczać.

– Ależ jest. Nie stałem przy tobie tak, jak powinienem. Ale teraz tu jestem. Nie tak jak Zedek, wiesz? Wróciłem do ciebie.

Znowu pokręciła głową bez słowa.

– Rachab, trudno mi słuchać o tobie z innymi mężczyznami. Nie będę udawać, że nie. A dziś jest mi szczególnie trudno, bo jestem zmęczony i nie odmówiłem modlitw. To nie jest usprawiedliwienie, raczej wyjaśnienie. Rozgniewałem się, a nie powinienem. Co gorsze, pewnie kiedyś znowu to zrobię. Ale, ukochana, wróciłem. Jestem tutaj i pragnę cię. Pragnę żyć z tobą na zawsze. Nie jestem Zedekiem.

– Proszę... Możemy to zostawić? Idźmy spać.

Jej udręczone spojrzenie błagało, żeby dał jej spokój na tę noc. Była zbyt nieszczęśliwa, żeby uwierzyć w jego przysięgi, by pojąć zawartą w nich prawdę. Odsunął się od niej, zaciskając zęby. Stracił trochę pola bitwy. Jutro je odbije. Z nawiązką. Jozue ostrzegł go, że zawiedzie Rachab i że ona pewnie zawiedzie jego. Zwycięstwo, przypomniał sobie, nie polega na tym, że traktuje się drugą osobę idealnie. Zwycięstwo czerpie się ze sposobu, w jaki radzi się ze swoimi błędami.

– Dobrze. Porozmawiamy kiedy indziej. Teraz chodź do łóżka.

– Pragnął ze wszystkich sił wziąć ją na ręce i zanieść do wyźbionego łóżka, ale wyczuł, że w jej obecnym stanie ducha jego bliskość sprawi jej tylko przykrość.

Rachab popełzła niezdarnie na posłanie. Szalmon zacisnął zęby i przywołał całą swoją wielką siłę woli, by nie podnieść jej, by jej nie pomagać. Położył się obok niej, starannie unikając kontaktu fizycznego. Nie zbliżył się do niej od tamtych boleśnie niezdarnych prób w początkach tygodnia poślubnego. Historia o ojcu, którą mu opowiedziała, przekonała go, że musi zyskać jej zaufanie, zanim łoże małżeńskie stanie się dla nich miejscem

radości. Dlatego powstrzymał swoje pożądanie. A jednak udało mu się zrobić postępy w oswojaniu jej z jego dotykiem. Codzienne pieszczoty nie zmieniały jej już w kamień. Teraz, gdy całował ją w usta, czuł reakcję jej ciała. Dziś utracił nieco zdobytych terenów. Ta strata go rozdrażniła, zwłaszcza że sam był sobie winny. Przysiągł żarliwie, że wkrótce je odbije.

Bardzo długo nie mógł zasnąć. Gdy się obudził, było już późno. Śniadanie czekało na niego, a żona zniknęła.

## Rozdział 22



**R**achab musiała wezwać na pomoc całą swoją siłę woli, by leżeć nieruchomo u boku męża. Nie potrafiła rozluźnić mięśni. Wydarzenia poprzedniej nocy nie dawały jej spokoju. Już sam fakt, że obudziła się z wrzaskiem jak wariatka, był dla niej wystarczającym upokorzeniem. Mąż pewnie pomyślał, że Kananejczycy dopadli go we śnie, zanim zorientował się, że to tylko jego żona ma koszmary. I jakby tego było mało, wygadała się o swojej hańbie.

Biedny Szalmon. Ile może ścierpieć człowiek honoru? Nie wpadł w szal, ale wyczuła, że pod maską opanowania ukrywa buzujący gniew. Wyszedł, by nie okazać jej obrzydzenia. Wiedziała, że wrócił do niej z poczuciem winy, mając wyrzuty sumienia, że zostawił ją we łzach. To dobre intencje sprowadziły go do niej. Ale teraz dostrzegł mgnienie jej prawdziwego ja i żadne dobre intencje tu nie wystarczą. W chwili słabości ujawniła mu swoją prawdziwą naturę. Pokazała mu, że jego żona jest nierządnicą z krwi i kości, do dna duszy. Zrozumiał to i teraz tylko skrupuły kazały mu pozostać przy jej boku w ciemnościach przedświt.

Zaczęła się modlić z cichą desperacją, sięgając najpierw po dobrze sobie znane słowa. „Błogosławiony jesteś, Panie, Boże naszych przodków...”. Ale nie mogła się skupić na znajomym tekście; jej wewnętrzny lament musiał się wyrazić we własnych słowach. „Panie, nie mam już nadziei. Serce ciąży mi jak kamień.

Jestem odcięta od mojego męża, przyszłości, od Twojej miłości. Ale Ty potrafisz mi wrócić życie. Podnieś mnie z tego grobu rozpacz, daj mi nowe życie i nową nadzieję, proszę”.

Westchnęła i wstała. Niemal bezszelestnie przygotowała śniadanie dla męża, a potem bosy wyszła z namiotu, niosąc sandały w dłoni, żeby nie obudzić Szalmona.

Na szczęście wcześniej umówiła się z Miriam, dzięki czemu miała znakomity powód, żeby uniknąć kolejnej rozmowy z mężem. Przed wyjściem powiedziała o swoich planach sennemu służącemu, który karmił kozy, prosząc go, żeby przekazał tę wiadomość Szalmonowi. Jak tchórz uciekła przed następną dyskusją. Nie chciała stawiać czoła mężowi. Znajdzie sobie kryjówkę na ten dzień. Potem wróci i zniesie ciężar jego niewypowiedzianej pogardy.

Regularnie dwa razy w tygodniu Miriam pakowała jedzenie, leki i bandaże i szła do namiotu chorych. Opiekowała się każdym pacjentem, często zupełnie jej nieznanym. Krewni, zmęczeni nieustanną opieką, przyjmowali jej pomoc z ulgą. Suf i inni lekarze nabrali szacunku dla zdolności młodej kobiety i powierzali jej niektóre skomplikowane przypadki.

Podczas długich dni opieki nad Szalmonem Rachab także odkryła, że pociąga ją opieka nad chorymi. Okazało się, że ma do tego talent. Świadomość, że jest niezbędnie potrzebna innemu człowiekowi, przejmowała ją dreszczem. Ta świadomość pomagała jej przełamać obrzydzenie i mdłości, jakie budziły w niej choroby. Dlatego poprosiła Miriam, by mogła jej towarzyszyć podczas cotygodniowych wizyt w namiocie i to miała być jej pierwsza próba.

Miriam na widok przyjaciółki zaczęła biec i po chwili chwyciła ją w uścisku, który sprawił, że Rachab poczuła się bez żadnych wątpliwości mile widziana.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam!

Rachab uśmiechnęła się, odsuwając daleko od siebie smutne

myśli o mężu. Chciała o nich zapomnieć na tak długo, jak się da.

– Widziałyśmy się przedwczoraj.

– Wieki minęły! Wiesz, jak bardzo chciałam mieć siostrę?

Rachab uwielbiała to, że Miriam nazywa ją siostrą i zawsze okazuje, że przedkłada jej obecność nad większość innych kobiet. Wzięła dziewczynę pod rękę.

– No, siostró, czy jesteś gotowa leczyć chorych?

– Leczyć? Wysoko stawiasz sobie poprzeczkę w pierwszym dniu.

– Ufam, że leczyć będziesz ty.

Miriam przewróciła oczami.

– Tak, ulecę cię z tego wysokiego mniemania o mnie.

Namiot chorych zaintrygował Rachab od pierwszej chwili. Sporządzony ze zwierzęcej skóry i barwiony na jasnoszary kolor, należał do największych, jakie zdarzyło jej się widzieć. Dzięki otworom w jego ścianach świeże powietrze mogło swobodnie krążyć po pomieszczeniu. Każdy otwór miał klapę, którą można było zamknąć podczas zimna lub złej pogody. Równe rzędy dobrze utrzymanych pryczy ciągnęły się w dal, podzielone na sekcje zasłonami z koziego włosia. Pacjenci zostali podzieleni na grupy w zależności od swojego stanu. Ten namiot świadczył o wyrafinowanej organizacji. Namiot rannych wydawał się przy nim mały.

Zważywszy na liczebność populacji Izraela, zaskakująco niewiele pryczy było zajętych. Niektórzy pacjenci jęczeli z bólu głosem zdartym od długiego wysiłku. Inni czuli się na tyle dobrze, że znosili cierpienie w milczeniu. Jeszcze inni spali, szukając ratunku w nieświadomości. Serce Rachab złagodniało na widok ich niedoli.

W namiocie unosił się szczególny zapach – mieszanka słodkiej woni kadzidła, palonego nieustannie jako środek odkażający, połączonej z kwaśnym smrodem potu, moczu i starego jedzenia. Już sam ten odór mógł pozbawić nadziei. U boku pacjentów



przeważnie czuwali krewni o oczach zapadniętych z niewyspania i troski.

Miriam, przyzwyczajona do widoków i odgłosów namiotu, była obojętna na jego wpływ.

Rachab przekonała się, że nie zapomniała, na czym polega opieka nad chorymi. Szybko, intuicyjnie uczyła się nowych umiejętności z godziny na godzinę. Zauważyła, że Miriam wszędzie, gdzie się pojawi, jest witana przyjaźnie, nawet jeśli znajdzie się wśród obcych. Najwyraźniej miała już wyrobioną reputację. Pacjenci, którzy leżeli tu od jakiegoś czasu, polecali ją nowo przybyłym. „Miriam z domu Judy ma najdelikatniejszy dotyk. Będiesz szczęśliwy, jeśli się tobą zajmie”.

Obserwując jej troskliwe zabiegi, Rachab coraz bardziej szanowała młodą kobietę, którą nazywała siostrą. Miriam nie musiała tu przychodzić. Postanowiła pomagać najbardziej potrzebującym. Za tym aktem dobroci nie stał żaden przymus. Rachab pomyślała, że chciałaby choć w połowie być tak dobra, kochana i pomocna jak jej nowa siostra.

W drodze powrotnej do obozu dała wyraz temu podziwowi, usiłując opisać, jak bardzo ceni Miriam.

– Zdaje się, że źle to sobie tłumaczysz – odparła młoda kobieta ze śmiechem. – Mówisz, jakbym zdołała jakoś uciec przed losem Adama i Ewy i przyszła na ten świat bez grzechu. Większego fałszu nie znalazłabyś nawet w naukach kananejskiego kapłana. Moje wady wypełniłyby całą świątynię.

– Proszę cię! Jakie wady?

Miriam przystanęła.

– Żartujesz?

– Skąd! Jesteś czysta i dobra, lecz nigdy dumna. Ani razu mnie nie krytykowałaś, choć wiedziałaś, kim jestem. Dodaj do tego fakt, że jesteś zabawna, ładna, dobra, niewymagająca... czego chcesz więcej? Wszyscy cię lubią. Masz tłumy wielbicieli.

– I bardzo sobie cenię ich dobrą opinię. Szczerze mówiąc,

często się martwię o to, co inni o mnie myślą. To, moja droga siostró, jest postać dumy, którą Bóg potępia z całego serca. Powinnam pragnąć zadowolić Boga, a mniej czasu i wysiłku poświęcać na zyskanie aprobaty otoczenia. Pan nie przepada za rolą drugoplanową. Wiesz, że cię nie krytykuję. Jakżebym mogła, skoro sama jestem winna bałwochwalstwa? Rachab, czyżbyś nie wiedziała, że kiedy Bóg żąda krwi ofiar, by zmyć nieczystość i bunt ludu Izraela, ma na myśli mnie, tak samo jak ciebie? Bóg ocenia moje serce według swoich zasad, nie na podstawie jakiejś iluzji szlachetności, którą mogłabym stworzyć swoimi uczynkami. A według zasad Boga codziennie ponoszę klęskę.

Rachab mocno ściągnęła brwi.

– Przesadzasz. Co za straszny czyn mogłabyś popełnić? A moje życie... Nie możesz się ze mną porównywać.

– Nie robię tego. Porównuję się z oczekiwaniami, jakie Bóg ma wobec nas. Twój problem polega na tym, że porównujesz się ze mną i uważasz się za większą grzesznicę. Ale pod pewnymi względami każdy z nas jest ruiną w oczach Boga. To cud, jak wiele trudu zadaje sobie, żeby uratować nas przed upadkiem.

Resztę drogi przeszły w milczeniu, pogrążone we własnych myślach. Dla Rachab słowa Miriam o jej wadach i grzechu były objawieniem. Nigdy by nie podejrzewała o to swojej szwagierki, która wydawała jej się wcieleniem pewności siebie. Jeszcze bardziej osobliwe było jej pojmowanie Boga, który miałby być niezadowolony w równym stopniu z Miriam, co z Rachab. Boga, który wzywa do odpowiedzialności wszystkich Izraelitów. I każdego uznaje za winnego, ukazując mu sposób zadośćuczynienia za tę winę. Myśl, że w oczach tego Boga miała takie same prawa jak Miriam, oszołomiła ją.

W obozowisku Judy Rachab pożegnała szwagierkę. Pod wpływem impulsu postanowiła odwiedzić rodzinę, której nie widziała od paru dni. Ponieważ dzięki temu mogła odwlec spotkanie z mężem, skierowała się do rodzinnego namiotu

chętniej niż zwykle. Gdy skończyła witać się ze wszystkimi, siostra odciągnęła ją na bok.

– Chodź ze mną. Mam dla ciebie wiadomość. – Izzie, w której oczach migotały iskierki, chwyciła ją za rękę i pociągnęła na oślep przez labirynt namiotów. Rachab obejrzała się tęsknie na namiot rodziców. Przez cały ranek ciężko pracowała, a od czterdziestu minut szła przez pustynię. Na myśl o kolejnej męczącej wyprawie przez labirynt obozu Judy żołądek jej się skręcił.

– Izzie, jestem zmęczona.

– I w złym humorze – dodała Izzie, przerażająco optymistyczna.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Donikąd. Chcę znaleźć spokojne miejsce.

– Tutaj?

– Rzeczywiście. Świetnie. Powiem ci tutaj. – Izzie zatrzymała się i chwyciła obie ręce siostry. – Będę miała dziecko!

Rachab zastygła z otwartymi ustami. Po tylu latach bezpłodności wszyscy uznali, że Izzie już nie zajdzie w ciążę.

– Naprawdę? – pisnęła z radości. – To cudownie!

Izzie podskakiwała ze szczęścia.

– Tak się cieszę! To dzieło Boże. To Pan pobłogosławił Gerazima i mnie. Jestem tak szczęśliwa, że chyba wyskoczę ze skóry.

Rachab przytuliła siostrę i zakręciła się z nią w kółko. W głowie wirowało jej z radosnego zaskoczenia. Izzie znowu ruszyła, trzymając za rękę Rachab, która zapomniała o zmęczeniu i pragnieniu. Przepełniała ją radość. Gdy lawirowały wśród namiotów, Izzie zaczęła opowiadać o wypadkach, które doprowadziły do jej ciąży, i to opowiadanie wprowadziło Rachab w osłupienie.

– Przed twoim ślubem Gerazim i ja postanowiliśmy zaprowadzić jagnię do przybytku i złożyć je Panu w ofierze za to, że oddaliśmy syna... za nasz wielki grzech. Bardzo pragnęłam

błagać Go o wybaczenie, choć tak naprawdę nie sądziłam, żeby mógł mi je dać.

Położyła rękę na piersi, jakby dla ukojenia bólu.

– Mój syn. Mój słodki synek. Kiedy pomyślę o tym, co zrobiłam, serce mi pęka. Żałuję, że wtedy cię nie posłuchałam. Zawsze będę czuć ból tej straty.

Opuściła rękę, a na jej twarzy pojawiło się rozmarzenie.

– Gerazim i ja poszliśmy do przybytku z jagnięciem bez skazy, najlepszym, jakie posiadaliśmy, i stanęliśmy przed kapłanem. Nogi mi się trzęsły ze strachu. Myślałam, że kapłan splunie mi w twarz i wypędzi mnie, gdy usłyszy moje wyznanie. Nie zrobił tego, choć pobladł. Gdy skończył rytuały, wypowiedział nade mną błogosławieństwo i każde słowo było jak rozżarzony węgiel, który musiałam przełknąć. Płakałam, czułam, że płonę. Ale to dziwne uczucie minęło i na jego miejscu pojawił się cudowny spokój, którego dotąd nie znałam. W mojej głowie, sercu, całym ciele... Nie wiem, jak długo unosiłam się w tym spokoju, a kiedy tak mnie otulał, poczułam pewność przesywającą duszę – pewność, że Bóg wybaczył Gerazimowi i mnie. Nie potrafię tego wyjaśnić. Wiem, że na to nie zasługuję. Ale tak było. Myślałam, że na tym koniec. To by mi wystarczyło. Doświadczyć wybaczenia po raz pierwszy od dnia, kiedy złożyłam syna w ofierze – to było aż nadto. A jednak Pan miał dla mnie więcej darów. Tego samego wieczora poczęłam. Czekałam do dziś, żeby się upewnić. Gerazim oczywiście wiedział od początku, ale poza nim nie powiedziałam nikomu. Ty jesteś pierwsza.

Przez następną godzinę Rachab i Izzie rozkoszowały się radością, planując wszystko i wymyślając imiona dla dziecka. Od czasu do czasu któraś z nich piszcziała z radości i rzucała się drugiej w objęcia.

Słońce dawno już zaszło, gdy Rachab oderwała się od siostry i reszty rodziny. Miała za sobą obfity w wydarzenia i zamęt dzień. Jej ciało rozpaczliwie pragnęło odpoczynku, ale umysł się burzył.

Nie była gotowa stanąć twarzą w twarz z Szalmonem. Nie chciała patrzeć w jego zaspane oczy i widzieć w nich potępienie. Nie chciała oglądać jego kształtnych ust, zaciśniętych z wysiłku, by nie wybuchnąć oskarżeniami. Dlatego zamiast wejść do namiotu, usiadła za nim i pograżyła się w rozmyślaniach.

W pewien sposób wydarzenia tego krótkiego dnia odmieniły wiele jej przekonań. Dowiedziała się, że Bóg pociąga kogoś tak pozornie doskonałego jak Miriam do odpowiedzialności za grzechy, które są dla niego poważniejsze niż wydają się Rachab, jednocześnie przebacząc i błogosławiąc kogoś winnego tak okrutnych czynów jak Izzie. Zburzył Jerycho, a ocalił nierządnicę. Co to za Bóg? Wydawał się jednocześnie niemożliwie święty i absurdalnie miłosierny. Jak można połączyć te dwie sprzeczności?

Westchnęła, nie zbliżając się do zrozumienia ani na jotę. Uświadomiła sobie, że księżyc wspiął się już wysoko na niebie, a ona nie może dłużej zwlekać z powrotem do domu. I tak przez swoje spóźnienie nie zrobiła mężowi kolacji. Ruszyła przed siebie ciężkimi, powolnymi krokami.

Szalmon krążył niespokojnie przed namiotem. Na jej widok stanął.

– Gdzieś ty była? – krzyknął.

– Kazałam słuzącemu, żeby ci powiedział...

Szalmon zacisnął szczęki tak mocno, że zarysowały mu się pod skórą.

– Ale kiedy to było! Miriam wróciła przed kolacją. Sprawdziłem. – Te urywane zdania świadczyły, że gniew znowu chwycił go w swoje szpony.

Rachab cofnęła się o krok.

– Poszłam odwiedzić rodzinę.

– Mogłaś kogoś przysłać z wiadomością. – Szalmon stanął tuż przy niej, potężny jak wieża. Musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w twarz i zrozumiała ze skurczem strachu, iż trzęsie

nim furia.

– Prze.. przepraszam – powiedziała bez przekonania, nie rozumiejąc, dlaczego ma taką pretensję o parę godzin. Czy to dlatego, że nie zrobiła mu kolacji? Czy brak pożywienia może aż tak rozgniewać mężczyznę?

– Przepraszasz? – krzyknął. Potem zacisnął usta, chwycił ją za ramię i pociągnął do namiotu, opuszczając za sobą klapę. Dwie lub trzy lampy oliwne, palące się we wnętrzu, rzuciły światło na jego twarz. Stał z rozdętymi nozdrzami i zwężonymi oczami, zaciskając wargi, rozstawiwszy szeroko stopy. Żyły na jego szyi nabrzmiały. Rachab z trudem przełknęła ślinę. Przyciągnął ją do siebie ruchem tak brutalnym, że omal nie wywichnął jej stawów. – Wiesz, przez co przechodziłem od zachodu słońca, nie wiedząc, gdzie się podziałas?

– Martwiłeś się? – Czy to dlatego tak się pieklił? Kolejne objawienie. Lata niezależności nauczyły ją, że jest panią swojego czasu. Nawet miesiące życia z rodziną nie przygotowały jej na to. Tam, jeśli udało jej się wyrwać od różnych męczących obowiązków, mogła rozporządzać swoim czasem. Nikomu się nie tłumaczyła z tego, dokąd szła i kiedy zamierzała wrócić. Nikt nie niepokoił się, gdy została gdzieś parę godzin dłużej niż zwykle.

– Czego się spodziewałaś? Znikłaś bez słowa. Co miałem pomyśleć? Po wczorajszej nocy sądziłem... – Urwał w pół słowa i cofnął się o pół kroku, by nie przytłaczać jej tak swoją bliskością.

Wspomnienie poprzedniej nocy sprawiło, że Rachab zacisnęła zęby. Potem uświadomiła sobie, że on jej nie krytykuje, tylko daje dowód swojej troski. Martwił się o jej samopoczucie po trudnej nocy.

– Martwiłeś się o mnie? – powtórzyła z niedowierzaniem. Ta świadomość i to, że zdenerwował się z jej powodu, jakoś rozluźniły węzeł w jej brzuchu. – Proszę, wybacz – powiedziała, tym razem szczerze.

Odepchnął ją i odwrócił się od niej.

– Dajmy spokój. To koniec.

– Ale...

– Dajmy spokój. Idę spać. – Ku jej zaskoczeniu wziął koc i złożony materac i poszedł na drugą stronę namiotu. Odrzucił zasłonę i wszedł do alkowy dla gości. Rachab poszła za nim, oniemiała. Szalmon gwałtownymi ruchami umościł sobie prowizoryczne posłanie i położył się pod kocem. Od dnia ich ślubu nigdy, nawet podczas najgorszych sprzeczek, nie spali osobno – z wyjątkiem tej nocy, gdy nie wrócił do domu.

– Szalmonie!

– Potrzebujesz własnej przestrzeni. Rozumiem to. Teraz ją masz. Ciesz się nią.

– Ale pozwól mi wyjaśnić...

Machnął ręką.

– Kobieto, cały ten długi dzień siedziałem, słuchając cudzych wyjaśnień. Mam ich dość.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, dotknięta do żywego. Ta nierozsądna i nietypowa reakcja tak ją rozzłościła, że przynajmniej raz przestała się martwić o to, że jest niechciana. Co strzeliło do głowy temu człowiekowi? Czy całkiem stracił rozum? Czemu miota się od furii do zmartwienia i dziecinnych humorów? Bo spóźniła się o parę godzin?

„Znikłaś bez słowa”. Martwił się jej niewyjaśnioną nieobecnością. I pewnie przez te godziny czekania musiał coraz bardziej mieć za złe jej bezmyślność. Pewnie na zmianę bał się najgorszego i wściekał z powodu jej zniknięcia. Ale już to pójscie na drugie posłanie zatęczało dziecinnym naburmuszeniem. Jak mężczyzna, który wytrzymał najgorsze jej ciosy, mógł dać się sprowokować tak nieważnym incydentem?

Przewróciła się na drugi bok. „Potrzebujesz własnej przestrzeni”, powiedział zbyt spokojnym głosem. Czy myślał, że go unikała? No, właściwie to tak. Ale nie unikała samego mężczyzny, jego towarzystwa, jego obecności. To wszystko

uwielbiała. Unikała jego rozczarowania. Jego żalu, że poślubił kobietę, która na niego nie zasługuje. Czy on o tym nie wiedział? Czy może ten jeden raz źle ją zrozumiał? Opuścił ją, urażony, bo poczuł się zraniony i niechciany? Przez nią?



## Rozdział 23



Rzucanie się na posłaniu nie pomogło, a przewracanie z boku na bok także nic nie dało. Gniew Rachab dawno się ulotnił. Teraz zmagala się z osobliwą myślą, że jej pewny siebie mąż może się dręczyć błędnym przekonaniem, iż to ona odtrąciła jego.

Już raz jej zarzucił, że uważa jego miłość za niepewną. No, właściwie to ją trochę zawiódł, troszeczkę, wczorajszej nocy. Zostawił ją, samą, zapłakaną i wyszedł z lodowatą miną. Mógł trwać u jej boku. A on – odszedł.

Czy kiedy nie wracała do domu przez tyle godzin, uznał, że to czyn wymierzony w niego? Że nie wróciła do domu, bo Szalmon zrobił jej przykrość? Że unika go, bo ją rozczarował?

Szalmon, jej dzielny jak lew mąż, który walczył z wrogiem z legendarną odwagą, który codziennie dowodził tysiącami ludzi w czasach wojny i pokoju, którego pewność siebie wydawała się jej niewzruszona, spał w innym łóżku nie dlatego, że jej nie chciał, lecz ponieważ sądził, że to ona nie chce jego. Usiadła na posłaniu. Jeśli ma rację, to leży w niewłaściwym łóżku. A jeśli się pomyliła, to będzie musiała ścierpieć kolejne upokorzenie.

Wstała, starannie wygładziła koszulę i zsunęła z ramion zmierzwiłone włosy. Bezgłośnie podreptała w głąb namiotu i odsunęła zasłonę. W ciemnościach widziała zarys ciała Szalmona, jego odwrócone do niej plecy. Nie dając sobie czasu na zastanowienie, ruszyła, uniosła koc i wśliznęła się pod niego.

Szalmon nie drgnął. Jego oddech nie przyspieszył.

– Co robisz? – usłyszała, gdy już znieruchomiała.

Drgnęła tak gwałtownie, że zaszczękały jej zęby.

– Ś-ś-śpię w moim łóżku.

– To nie twoje łóżko – odparł, nadal odwrócony do niej plecami.

– Moje łóżko jest tam, gdzie mój mąż. – Zagryzła wargę i zmusiła się, żeby podnieść rękę. Miała wrażenie, że ta część ciała należy do kogoś innego. Dotknęła nią ramienia Szalmona. – Moje miejsce jest przy tobie. Nie chcę odchodzić.

Westchnął. Minęło parę chwil. Potem odwrócił się, tak bardzo zbliżając do niej twarz, że jego oddech poruszył jej włosy.

– Więc zostań, jeśli chcesz. Ale nie z obowiązku.

– Chcę być z tobą – wyznała, starając się nasycić głos miłością i pragnieniem, które stały się jej nieodłącznymi towarzyszami. W gęstych ciemnościach poczuła jego rękę na swojej talii. Mocnym ruchem przyciągnął ją w swoje ramiona. Po raz pierwszy tego dnia poczuła, że jej skamieniałe mięśnie się rozluźniają. To niewypowiedziane, które leżało między nimi, nadal pozostało na swoim miejscu, ale na chwilę zapomnieli o nim. Rachab cieszyła się, że może być blisko męża, w jego objęciach.

Wyczuła, że Szalmon jest tak samo daleki od snu, jak ona.

– Moja siostra jest brzemienna – rzuciła, chcąc się podzielić z nim radością.

Szalmon oparł głowę na rękę.

– Cieszę się. Była bezpłodna od wielu lat, prawda?

Rachab opowiedziała mu to, co usłyszała od Izzie.

– Jak myślisz, dlaczego Bóg ją pobłogosławił? Wtedy, gdy spodziewam się miłosierdzia, wymierza sprawiedliwość, a kiedy sądzę, że wymierzy sprawiedliwość – okazuje miłosierdzie.

Szalmon przesunął palcem po jej policzku. Ten zwykły gest obudził w niej dreszcz, a on to zauważył i uśmiechnął się blado,

zanim cofnął rękę.

– Podejrzewam, że nasze grzechy zniekształcają nasze oczekiwania.

– Nie rozumiem.

– Chodzi mi o to, że Bóg zdaje się zachowywać w sposób, który nie ma dla nas sensu, bo nasze oczekiwania są błędne. Pragniemy tego, co nas krzywdzi, i uciekamy przed tym, co nas leczy i krzepi. Myślimy, że dobro jest złe, a zło jest dobre. Bóg postępuje właściwie, ale nas to zbija z tropu. A czasem wydaje nam się po prostu złe.

Rachab zastanowiła się nad jego słowami.

– Czy... czy myślisz, że moje widzenie przeszłości też jest błędne?

Szalmon milczał przez chwilę, dobierając właściwe słowa.

– Myślę, że to mieszanka prawdy i kłamstwa, przez co staje się bardzo przekonująca i dlatego – bardzo niebezpieczna. Ale wydaje się prawdopodobne, że za rzeczy, za które – jak sądzisz – zasługujesz na potępienie, Pan chce ci okazać miłosierdzie.

Rachab zamilkła. Jakże zmieniłoby się jej życie, gdyby mogła w tajnych głębinach serca zacząć wierzyć w obietnicę leżącą u źródła słów Szalmona! Jako kobieta, żona, kochanka, córka, przyjaciółka... Czy gdyby uwierzyła w miłosierne dobro Boga, powstałaby jako inna osoba? Czy gdyby naprawdę wierzyła, że Bóg jej wybaczył, że ją akceptuje, że uważa ją za tę, która do Niego należy – czy to by odmieniło jej życie?

Zmęczenie zaczęło ogarniać jej ciało, sen zmaćcił myśli. Część drętwiejących zmysłów sygnalizowała, że w tej chwili Bóg trzyma ją w objęciach nie mniej realnie niż Szalmon, mocno i bezpiecznie. Potem osunęła się w otchłań snu bez majaków, głębokiego i twardego.



Nazajutrz po zaręczynach Rachab zaczęła tkać dla Szalmona wełnianą tunikę. Chciała mu ją dać jako prezent, symbolizujący jej wielki szacunek do niego. Większość tego, z czym uciekła z Jerycha, dała rodzinie na zakup namiotu i stada. Co mogła ofiarować mężczyźnie, który zdawał się zadowalać prostymi rzeczami?

Potem zauważyła, że Szalmon ma niewiele ubrań, a te przeważnie są stare i znoszone. A przecież zasługiwał na najprzedniejsze stroje! Znała gorszych od niego mężczyzn, mężczyzn pozbawionych jego prawości i charakteru, a posiadających tak wiele, nurzających się w bogactwach. Postanowiła podarować mu wykwinną szatę, która będzie symbolizowała, jak wysoce go sobie ceni. I zdecydowała, że zaskoczy go nią przed zimą. Niestety, tkanie nigdy nie było jej mocną stroną.

W odróżnieniu od Izzie. Siostry czasem się przydają, pomyślała Rachab, z uśmiechem patrząc, jak palce Izzie śmigają nad szczególnie trudnym fragmentem materiału. Poprosiła siostrę, by przyszła i pomogła jej, gdy Szalmon zajmował się sprawami domu Judy.

– Och... – Izzie zakrztusiła się nagle i przestała tkać.

Rachab spojrzała na nią z troską.

– Źle się czujesz?

– To minie. Albo nie. Przepraszam. – Izzie rzuciła się do miski w wejściu do namiotu i pochyliła się, wymiotując. Po paru nieprzyjemnych chwilach usiadła. Rachab bez słowa podała jej kubek wody i szmatkę.

– Przechodzi tak samo szybko, jak przychodzi. W tej chwili już mi dobrze.

– Często tak masz?

Izzie machnęła lekceważąco ręką.

– Niezbyt. Dla tego dziecka mogłabym spędzić cały dzień z głową w kubie. Jest warte wszystkich nieprzyjemności.

Jakiś chłopiec zapukał uprzejmie w słupek środka, prosząc o pozwolenie wejścia.

– Proszę! – zawołała Rachab.

Chłopiec zdjął sandały, zanim wszedł do środka.

– Przychodzę z wiadomością od pana Szalmona. Obawia się, że dziś bardzo się spóźni, i prosi, byś zjadła wieczerzę sama.

Rachab dała chłopcu ciasto z rodzynkami za fatygę i usiadła obok siostry.

– Ten człowiek haruje gorzej niż wół biednego wieśniaka. Już trzeci raz z rzędu nie przychodzi na kolację.

– Może nie smakuje mu to, co gotujesz. Mogę cię nauczyć nowych przepisów.

– Oho, jaka mądra. Odkąd jesteś w ciąży, nagle stałaś się wszystkowiedząca. Mój mąż lubi to, co gotuję, wielkie dzięki. Po prostu ma zbyt wiele obowiązków. W tym problem.

Izzie natychmiast spoważniała.

– Martwisz się o niego?

Rachab wzruszyła ramionami.

– Dopóki jest ze mną, nie narzekam. Zbyt ciężko pracuje. Ale też jest tyle do zrobienia... Słyszę, że Gerazim i nasi bracia tyrają od świtu do zmroku.

– To prawda. Ale przynajmniej będziesz miała kiedy pracować nad tą tuniką. Jeszcze jeden taki tydzień i może nawet ją skończysz.

Późnym wieczorem, przy niewielkim ogniu i małej lampce, Rachab skupiła się na pracy nad prezentem dla Szalmona. Przestała, dopiero kiedy usłyszała kroki męża. Nie mogła się doczekać wyrazu jego twarzy, kiedy zobaczy szatę.



Zbyt wiele zarwanych nocy w końcu odcisnęło swoje piętno na Rachab, która obudziła się parę godzin później niż zwykle.

Otworzyła zapuchnięte oczy i ujrzała Szalmona, siedzącego na puchowych poduchach i w roztargnieniu chrupiącego ciastka z rodzynkami. Zauważył, że się zbudziła i podszedł.

– Dobrze spałaś?

Oparła się na łokciu.

– Tak, dziękuję. – Uświadomiła sobie, że na ogół nie bywał w namiocie o tej porze. Przeważnie wychodził dużo wcześniej. – Nie idziesz do pracy?

– Nie od razu. – Stał nad nią; musiała bardzo odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Zauważył to i usiadł na materacu obok niej, dotykając biodrem jej uda. Niespodziewana bliskość spłoszyła ją tak bardzo, że to, co powiedział, nie od razu do niej dotarło.

– Rachab, czekałem cały tydzień z rozstrzygnięciem naszych problemów. Już dosyć. Jeśli nie zaczniemy oczyszczać tej rany, zacznie ropieć.

Rachab stłumiła jęk. Czy Szalmon nie widzi, że dopiero otworzyła oczy? To nie człowiek, tylko wilk, który rzuca się na nią przy każdej okazji.

– Mogę się najpierw umyć? – spytała z odrobiną ironii.

Jeśli ją zauważył, nie zrobiła na nim wrażenia.

– Oczywiście.

Wstała powoli z łóżka. Szalmon przyglądał się jej chłodno, kiedy podeszła do zasłony.

– Jeśli nie skończysz, zanim zjem to ciastko, pójdę po ciebie – ostrzegł.

Rachab obejrzała się gwałtownie. Jego zaciśnięte wargi i wyzywająco wysunięta broda świadczyły, że nie rzucał słów na wiatr. Ostentacyjnie oderwał duży kawałek ciastka i włożył go sobie do ust. Odwróciła się i pospiesznie wybiegła. Czy ten irytujący człowiek nie może raz dać za wygraną? Po co ją zmusza do babrania się w tym, czego nie można zmienić? W dodatku z samego rana.

Umyła się pobieżnie i włożyła bezkształtną wełnianą suknię. Czesanie włosów wymagało czasu i cierpliwości, których nie miała. Właśnie uniosła czerwonobrazowe kędziory z ramion, zamierzając je związać sznurkiem, gdy obok niej stanął Szalmon. Wyjął sznurek z jej zdrętwiałych palców.

– Skończyłem ciastko. Ty też skończyłaś.

Zacisnęła zęby i odwróciła się do niego.

– O czym mamy rozmawiać?

– O Zedeku.

Machnęła ręką lekceważąco.

– Już o nim rozmawialiśmy.

– Zaczęliśmy, ale nie skończyliśmy. Chcę ci powiedzieć, o czym myślałem, ale nie zrobię tego, stercząc tu jak wielbłąd z karawany. – Nie sprawdzając, czy Rachab za nim idzie, wrócił do głównej części namiotu, pełnej wygodnych poduszek i kolorowych dywanów. Rachab z najwyższą niechęcią powlokła się za nim. Szalmon usiadł na poduszce, ona wybrała dywan. On wyprostował nogi, ona swoje przyciągnęła do piersi. Kiedy on się pochylił, ona się cofnęła.

Szalmon ignorował te nieme akty buntu z taką samą obojętnością, jaką mógłby okazywać dziecku.

– Porozmawiamy o twoim koszmarze.

Rachab, która nie spodziewała się od razu takiego ciosu, zerwała się na nogi. Szalmon zagroził jej drogę tak błyskawicznym ruchem, że aż się go przestraszyła.

– Siadaj!

Stał przed nią jak niezdoyty mur z mięśni i kości. Osłabła i osunęła się na dywan.

– Tak już lepiej.

– Może dla ciebie.

– To prawda. A zatem... koszmar. Ludzie miewają koszmary, ponieważ czegoś się boją. Czego ty się boisz?

– Wścibstwa?

Znowu ją zignorował. Fizyczny opór nie odnosił skutków. Sarkazm nie działał. Co skłoni go do zmiany kursu? Co przebiję jego grubą skórę i uświadomi mu, że marnuje czas i w dodatku sprawia jej straszny ból?

– Tamtej nocy powiedziałaś, że masz koszmary, bo spełniałaś wszystkie żądania Zedeka. Poddawałaś się wszystkim jego pragnieniom. Tak naprawdę mówiłaś – choć wtedy byłem zbyt głupi, żeby to zrozumieć – że wstydzisz się, iż robiłaś to dobrowolnie. Poczucie winy i wstydu zjadały cię z roku na rok, potęgując się z każdym kolejnym aktem nierządu.

Mdłości zacisnęły jej gardło. Na czoło wystąpiły wielkie krople potu.

– Nie chcę o tym mówić – wychrypiała, usiłując opanować panikę. Szalmon pochylił się do niej.

– Ale będziesz. – Obok jej dłoni stał kubek wody. Szalmon uniósł go do ust Rachab. – Pij. – Pokręciła głową. – Nie sprzeciwiaj mi się – rzucił rozkazująco. – Pij.

Usłuchała, zbyt osłabiona, żeby walczyć.

– Lepiej? – spytał, gdy wypila wszystko do ostatniej kropli.

– Nie – powiedziała, choć woda uspokoiła jej skręcający się żołądek.

– Wielka szkoda – mruknął. Jego oczy były jednocześnie łagodne i nieprzeniknione. Rachab wiedziała, że za tymi słowami pojawią się inne i tak się stało. – Nauczyłem się o poczuciu winy czegoś dziwnego. Czasami jest prawdziwe – to potrzeba naprawy jakiegoś przewinienia. Potrzeba otrzymania wybaczenia. Ale czasem mamy poczucie winy za coś, czego tak naprawdę nie uczyniliśmy, co nie jest grzechem. To pierwsze, dobre poczucie winy, dane nam przez Ducha Bożego, prowadzi nas do pokuty. Daje nam spokój. Ale kiedy coraz bardziej grzęzniemy we wstydzie, z którego nie ma ucieczki, którego nie da się odpokutować i zasłużyć na przebaczenie, to zamykamy drzwi przed Bogiem i jego ratunkiem. Nie znam wielu bardziej



niszczących rzeczy niż taki uporczywy wstyd. Twój problem polega na tym, że miotasz się między wstydem i prawdziwym poczuciem winy i nie potrafisz ich rozróżnić.

Rachab prychnęła.

– W moim wstydzie nie ma nic fałszywego.

– Czyżby? Porozmawiajmy o Zedeku. Wykorzystał twoją biedę. Twoje potrzeby. Gdyby był człowiekiem honoru, pomógłby ci, nie wyznaczając egoistycznej ceny. Tymczasem on cię wykorzystał. Miałaś piętnaście lat! Utknęłaś między ojcem, którego słabość była większa niż miłość, i człowiekiem, którego żądza przeważała poczucie honoru.

Rachab zgięła się wpół.

– Powinnaś była się mu oprzeć. Sam tak powiedziałeś.

Szalmon westchnął, jakby jakiś olbrzym nastąpił mu na pierś.

– O, Rachab... Słowa zranionego męża nie zawsze zawierają prawdę. Zostawmy na chwilę mój grzeszny gniew. Przeanalizujmy to z punktu widzenia Boga. W idealnym świecie, gdybyś była dorosłą kobietą, gdybyś miała środki na sprzeciwienie się temu złu, tak – nie powinnaś była kapitulować. Ale byłaś młoda i bezbronna. Nauczona posłuszeństwa rodzicom. Przygniotły cię potrzeby twojej rodziny. Więc skorzystałaś ze swojej znacznej inteligencji, żeby rozporządzić jakoś tym, co miałaś do dyspozycji. Grzechy, jakie popełniłaś, błędą w porównaniu z grzechami popełnionymi przeciwko tobie.

Rachab chciała uwierzyć w jego słowa i chciała wierzyć, że on w nie wierzy. Jej umysł zaczął nawet trochę się otwierać na logikę tej argumentacji. Ale serce nie słuchało. Upierało się przy nurzaniu się we wstydzie. Argumenty nie wystarczały, żeby mogła się wydobyć z tego bagna.

– Zapominasz, że prowadziłam takie życie, nawet gdy uwolniłam się od Zedeka. Nawet gdy stałam się kobietą i zdobyłam niezależność. – Każde słowo zostawiało w jej ustach gorzki posmak. Dlaczego mu to w ogóle mówiła? Chciała, żeby ją

w końcu znienawidził? Żeby ją zostawił?

– Powiedziałem ci, że musisz się zastanowić, do jakiego stopnia twoje poczucie winy jest realne, a do jakiego wyobrażone. Miriam opowiedziała mi twoją historię. Zawsze zastanawiało mnie, że *zonah* miała tylko dwunastu kochanków. Nie mogłabyś ich mieć więcej, gdybyś chciała?

Rachab unikała patrzenia na niego.

– Oczywiście – powiedziała z histerycznym półuśmiechem na myśl, że rozmawia o czymś takim z własnym mężem.

– Zawsze się nad tym zastanawiałem. Jesteś taka piękna. Przecież mężczyźni na pewno się zabijali, żeby z tobą być?

Poczuła mrowienie czegoś zbyt podobnego do dumy. Popularność stanowiła jedną z nielicznych w jej życiu rzeczy, które dały – co prawda, przelotne – poczucie zadowolenia. Tu, obok męża, ta popularność nie miała wielkiego znaczenia – nie przy jej grzechach, które on przeglądał jak brudy do prania.

– Mężczyźni mnie chcieli – wymamrotała.

– A ty ich odtrącałaś. Dlaczego? Nie byłabyś bogatsza, gdybyś...

– Urwał, szukając właściwych słów. – Gdybyś dotrzymywała towarzystwa większej ich liczbie?

– Dość! Proszę, możemy przestać?

– Jeszcze nie. Odpowiedz.

Patrzyła na niego z niemym błaganiem. Zmrużył oczy.

– Odpowiedz – powtórzył uparcie.

Uniosła ręce w powietrze.

– O, dlaczego nie dasz mi spokoju?

– Odpowiedz na moje pytanie. Im szybciej odpowiesz, tym szybciej skończymy.

Jęknęła.

– Chciałam jak najbardziej ograniczyć liczbę mężczyzn.

– Dlaczego?

– Czułam się bezradna. Uwięzłam w tym życiu, którego nie mogłam zmienić, jak sądziłam. Więc starałam się ograniczyć jego

okropność. Ograniczyć moje wykroczenia.

Szalmon pochylił się i pogłaskał jej ramię, lekko je musnął, po czym cofnął rękę.

– Myślę, że Pan zauważa takie wybory. Zauważa serce, które stara się unikać grzechu. Wmówiłaś sobie, że jesteś bezbronna, że nie możesz przestać. Za to musisz odpokutować. Za akty nierządu, do których cię to doprowadziło – także. Ale musisz się pozbyć poczucia winy, które stoi nad tobą jak skorumpowany sędzia, zawsze oskarżający i potępiający. Gdy zgadzasz się na te fałszywe oskarżenia, dobrowolnie bierzesz w nich udział. To tak, jakbym pomagał ludziom z Aj atakować mnie. Musisz zacząć walczyć z tym potępieniem, zamiast się na nie zgadzać.

– Nie potrafię. Poza tym już pokutowałam przed Panem i nic się nie zmieniło.

– Bo nie rozumiesz miłosierdzia Boga. Nie potrafisz uwierzyć i dlatego nie otrzymujesz Jego wybaczenia. Czy nie sądzisz, że Pan może ci dać tę samą dobroć, którą ofiarował Izzie?

„Nie”. Spojrzała w jego spokojną twarz z niemą bezradnością. Szalmon westchnął.

– Obiecuj, że zastanowisz się nad moimi słowami.

Uśmiechnęła się z goryczą.

– Teraz chcesz mieć także moje myśli.

Zanurzył palce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją, natarczywie, władczo, bez litości.

– Chcę wszystkiego – szepnął jej w usta.

## Rozdział 24



Jak on ją irytował! Zawsze dotykał miejsc, których wolałaby nie zauważać. Tak codziennie na dziesiątki sposobów udowadniał jej swoją stałość. Nawet te drażące pytania świadczyły o jego zainteresowaniu nią. Pomijając rozdrażnienie, z każdą godziną kochała go bardziej. Chciała obsypywać go dowodami uczucia, ale nie potrafiła zgadnąć, co mogłoby mu sprawić przyjemność. Pewnego dnia przyszło jej do głowy, że od czasu ich ślubu nie miał wielu okazji, by pobyć z dawnymi przyjaciółmi. Za kawalerskich czasów mógł się z nimi spotykać częściej. Zastanawiała się, czy skromna kolacja w otoczeniu przyjaciół sprawiłaby mu przyjemność. A kiedy wpadła na tę myśl, postanowiła ją zrealizować jeszcze tego samego dnia. Przypuszczała, że Szalmon nie lubi niespodzianek, więc poszła, żeby spytać go o zdanie.

Nadal był zaangażowany przy trudnej sprawie, dotyczącej dwóch wpływowych rodzin. Sąsiadowały one ze sobą, co tylko powiększało ich problemy, ale dzięki temu Rachab mogła szybko odnaleźć Szalmona. Znalazła go, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami przed luksusowym brązowym namiotem. Po obu stronach miał przywódców rodów. Jeden z mężczyzn mówił, poruszając wąskimi wargami tak szybko, że z ust wypryskiwały mu drobne kropelki śliny, lądujące na jego brodzie, wąsach i tunice Szalmona. Od czasu do czasu dziko gestykulował ogorzałymi rękami, wskazując różne kierunki. Szalmon siedział

nieruchomo jak posąg, z nieprzeniknioną twarzą. Rachab dobrze znała tę jego minę. Oznaczała, że jej mąż nie jest zadowolony. Zrobiło jej się żal plującego jegomościa. Może nie była to najlepsza chwila, by zawracać Szalmonowi głowę czymś tak nieistotnym jak ucztą. Poczekaj jeszcze jeden dzień. Przełknęła rozczarowanie i odwróciła się, by odejść.

– Rachab!

Za późno. Już ją zauważył. Poczuli się jak idiotka – przerwała ważną rozmowę z błahaego powodu. Szalmon podbiegł do niej, ściągając brwi.

– Coś się stało?

– Nie. Nic. Przepraszam, że ci przeszkodziłam. Mam tylko niemądre pytanie.

– Bardzo się cieszę z tej chwili przerwy, wierz mi. Spytaj.

– Pomyślałam, że... jeśli się zgodzisz... zaproszę na kolację kilkoro przyjaciół. Twoją siostrę, Ezrę, Hananiego, Abigail, moją siostrę i jej męża.

– To świetny pomysł. Sprawisz mi tym radość.

– Mogę użyć dodatkową porcję ziarna?

Jego brwi znowu zbiegły się ze sobą.

– Nie musisz pytać. To twoje ziarno. Rób, co chcesz. – Jego opryskliwy ton zdradzał zniecierpliwienie.

– Zwykle mąż irytuje się, jeśli żona trwoni jego bogactwa bez pozwolenia.

Szalmon pochylił się do jej ucha.

– Nie jestem zwykłym mężem. Jeszcze tego nie zauważyłaś? – I odszedł, zanim zdążyła powiedzieć, że zauważyła, a jakże. Bardzo dobrze zauważyła.



Goście przybyli przed gospodarzem, który spóźnił się na własne przyjęcie. Gdy w końcu się pojawił, maszerował niczym

nacierające wojska, z twarzą ściągniętą napięciem. Ale po paru chwilach wśród zaufanych przyjaciół i krewnych rozluźnił się i zaczął się uśmiechać. Rachab obserwowwała to z przyjemnością. Każda chwila, poświęcona na przygotowanie posiłku, była warta tego efektu.

Przyjęcie zostało jednogłośnie uznane za udane. Łatwo było zachwycić Izraelitów, którzy przez większą część życia zadowalali się prostym, jednostajnym pożywieniem. A Izraelitki chętnie się uczyły i wyrażały podziw. Wszyscy wyszli późno, a Rachab i Szalmon odprowadzili gości do połowy drogi, jak nakazywał obyczaj. Sprzątanie po wieczerzy trochę potrwało, bo Rachab odesłała służącego na spoczynek. Zdążył przynieść świeżą wodę, więc mogła względnie wygodnie pozmywać talerze, szorując je piaskiem.

Gdy w końcu rozebrała się i położyła, jej mąż już twardo spał. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, przysunęła się do niego. Ostatnim obrazem, jaki został jej pod powiekami, zanim zasnęła, była jego twarz, gdy śmiał się z dowcipnej odpowiedzi Hananiego. Udało jej się uszczęśliwić męża.



Rachab znowu przeszukała materac, pościel, podłogę namiotu, fałdy swojej kremowej sukni. Nic. Z wigorem zrodzonym ze zniecierpliwienia potrząsnęła pasiastym welonem. Nadal nic. Ani śladu. Wczoraj poszła spać, zapominając zdjąć kolczyki. Gdy wstała, w uszach miała tylko jeden. Gdzie się podział drugi? Poduszki toczyły się po ziemi, zasłony falowały, maty furkotały w jej energicznych dłoniach. Nie mogła uwierzyć, że zgubiła kolczyk, który należał do matki Szalmona! Ze wszystkich posiadanych przedmiotów one znaczyły dla niej najwięcej. Naprawdę najwięcej.



Szalmon wrócił do domu i ujrzał go w ruinie. Żona siedziała wśród pobojowiska, wpatrując się w pustkę. Suknię miała w nieładzie, na policzku ciemną smugę, która podejrzenie przypominała popiół. Z jej ucha zwisał jeden kolczyk – pojedyncza perła, kołysząca się wśród ciemnoniebieskiego lapis lazuli. Szalmon ostrożnie wszedł do namiotu. Rachab nawet go nie zauważyła. Podeszedł do niej. Nadal siedziała jak zahipnotyzowana.

– Czy coś się stało?

Obejrzała się gwałtownie.

– Nie usłyszałam cię.

– Widzę. Co się stało?

– O, Szalmonie... Zgubiłam kolczyk! – załkała. – Wczoraj zapomniałam je zdjąć przed pójściem do łóżka, a rano w uchu znalazłam tylko jeden. Szukałam wszędzie, ale bez skutku. Zniknął!

– Bardzo mi przykro.

Z gardła wyrwał jej się śmieszny dźwięk podobny do miauknięcia kotka. Rozłożyła ręce w desperacji. Widać było, że jest w rozpacz.

– Nie były aż tak cenne.

– Dla mnie były!

– Pomogę ci go szukać.

– Szukałam godzinami. Nie ma! Zniknął bez śladu.

– Gdzie szukałaś?

– Przewróciłam namiot do góry nogami. Przeszukałam nawet palenisko!

To wyjaśniało, skąd ten bałagan. I popiół. Szalmon przykucnął przed żoną.

– A na dworze? Odprowadziliśmy gości, a potem w ciemnościach zmywałaś talerze. Mógł ci spaść, zanim się

położyłaś.

– O... – Iskierka nadziei. – O tym nie pomyślałam.

– Poszukajmy.

– Nie, nie. Poszukam później. Przez cały dzień ciężko pracowałeś, musisz być zmęczony. Chodź, zjedz kolację. Poszukam, jak skończysz.

Tak, kolczyki miały dla niego wartość sentymentalną. Należały do jego matki; nadal je widział, kołyszące się w jej uszach. Ale ten sentyment nie sięgał głęboko. Szczerze mówiąc, w tej chwili niczego nie pragnął bardziej niż usiąść, wypić kubek wody jęczmiennej i zjeść to, co przygotowuje mu żona. Jednak rozpacz na jej twarzy sprawiła, że zapomniał o tych planach. Jedzenie stanęłoby mu w gardle, gdyby kazał jej czekać w tym stanie ducha.

– Poszukamy teraz – oznajmił i podniósł ją z ziemi. Jej brak oporu i ulga upewniły go, że podjął właściwą decyzję.

Uznał, że najlepszą strategią będzie systematyczne przeczesanie okolicy. Ruszyli bardzo powoli ścieżkami, po których wczoraj przeszli. Tego dnia nie padał deszcz, a wiatr wiał na tyle gwałtownie, że piasek mógł zasypać coś tak drobnego jak kolczyk. Dlatego ich działania musiały być metodyczne i – na nieszczęście dla Szalmona, któremu burczało w brzuchu – rozpaczliwie powolne. Ich starania nie odniosły żadnego skutku. Szalmon zdawał sobie sprawę, że po wietrznej nocy tak niewielkiego przedmiotu mogą nie odnaleźć mimo nawet najdokładniejszych poszukiwań, ale nie wyjawiał tych wątpliwości, nie widząc sensu w odbieraniu nadziei, dopóki nie jest to konieczne.

Potem wrócili w okolicę namiotu i zaczęli przeczesywać teren, na którym Rachab zmywała talerze. Klęcząc, z głowami tuż nad piaskiem, przesiewali go między palcami. Szalmon spróbował sobie przypomnieć, z której strony wiał wiatr tego ranka i coś go podkusiło, żeby rozszerzyć zakres poszukiwań. Rachab siedziała



na piasku, porzuciwszy nadzieję. Całe jej ciało świadczyło o przygnębieniu. „Nie poddawaj się. Jeszcze nie”. Szalmon nie rezygnował, a coraz silniejsze przecucie skłaniało go do dalszego szukania.

I raptem dotknął palcem wskazującym czegoś twardego i zimnego. Szybko chwycił to coś i strzepnął piasek. Jest! Skarb Rachab – zapomniany, porzucony, zaginiony w piasku. Ślady więcej niż jednej pary sandałów świadczyły, że po delikatnej perle w złotej oprawie przeszło parę osób. Szalmon przyjrzał się ozdobie z nagłym zastanowieniem.

Rachab, która przyglądała się z przygnębieniem jego poszukiwaniom, nagle uświadomiła sobie, co się dzieje. Zerwała się z krzykiem i rzuciła biegiem, przewracając po drodze zapomniany garnek.

– Znalazłeś! – zawołała.

– Mhm.

Dopadła go i wyciągnęła rękę po kolczyk. Odsunął ją.

– Zostaw to – rozkazał.

– Jak to „zostaw”?

– Już jest na nic. Przez całą noc i dzień leżał w piasku. Widzisz te ślady? Ludzie go stratowali. Jest zniszczony.

– Nie, nieprawda! Widzę, że jest cały. Może trzeba go starannie umyć, ale kiedy się nim zajmę, będzie jak nowy.

– Mówię ci, ludzie po nim chodzili. Stał się bezwartościowy.

– Skąd! Klejnoty nie tracą na wartości tylko dlatego, że się zabrudzą. To nadal perła, nawet jeśli ktoś ją zdeptał. I w ogóle – co ty wyprawiasz? Czemu się tak zachowujesz? Oddaj mi mój kolczyk!

– Nie, dopóki nie zrozumiesz.

– Co?! – rzuciła Rachab z irytacją, usiłując wyrwać mu ozdobę. Szalmon odsunął rękę poza jej zasięg.

– To ty jesteś tym kolczykiem.

– Za długo stałeś na słońcu. Dam ci wina figowego.

– Nie trzeba. Chcę, żebyś coś zrozumiała. Cenisz ten kolczyk ponad wszystko, co posiadasz. Owszem, ma pewną wartość ze względu na cenę złota i perły, ale dla ciebie znaczy o wiele więcej. Jest w twoich oczach wyjątkowy. Dlatego jesteś jak ten kolczyk. Nie rozumiesz, że Bóg patrzy na ciebie tak, jak ty na ten delikatny klejnot? Pamiętasz historię stworzenia? Mówi nam, że to On ukształtował nas – ciebie – na swój obraz i podobieństwo. Ten, który stworzył cię na swoje podobieństwo, Ten, który uznał cię za „bardzo dobrą”, musi uważać, że posiadasz wyjątkową wartość. Jesteś dla niego jak ten cenny klejnot. Mówisz, że choć kolczyk się zgubił, leżał w piasku, a ludzie po nim chodzili, nadal ma dla ciebie wielkie znaczenie. Pozostał cenną ozdobą. Mówisz, że choć ludzie go zdeptali, nie stracił na wartości. Nie rozumiesz, że to samo dotyczy ciebie? Może twój ojciec albo Zedek cię odtrącili, ale nie pozbawiło cię to twojej prawdziwej wartości. Może ludzie cię zdeptali, ale to nie zmieniło tego, kim jesteś: dzieckiem Boga, stworzonym na jego podobieństwo.

– Ja tylko szukałam kolczyka – wychrypiała Rachab, blednąc. – Po co mieszać do tego Zedeka?

Szalmon czuł jej udrękę, ale mówił dalej, zdecydowany uzdrowić jej życie.

– Bo chcę, żebyś się od niego uwolniła. To on zmienił cię w ten kolczyk. Mógł cię uwielbiać i cenić, ale wolał cię zdeptać. A kiedy skończył, zostawił cię, leżącą w piasku. Ale nie zmęczył się tobą dlatego, że jesteś męcząca. Nie zostawił cię, bo nie jesteś wystarczająco dobra. Zostawił cię z powodu własnego grzechu. Nie porzucił cię z powodu twoich braków, lecz dlatego, że to jemu czegoś brakowało. To samo dotyczy twojego ojca. Nie doceniając cię, obaj stracili skarb. Tak jakby rzucili złoto na ziemię i odeszli. To ich strata. Spójrz na ten kolczyk. Czy jest zniszczony i bezwartościowy dlatego, że leżał w piasku? Powiedz, że jest zepsuty, bez szansy na naprawę. Powiedz mi, że go już nie chcesz.

Przyjrzał się jej i podjął:

– Bóg także nie może tego powiedzieć o tobie. Jesteś Jego cennym klejnotem. Jesteś Jego niezastąpioną perłą. I nigdy nie straciłaś wartości, jaką miałaś, gdy przyszałaś na świat.

W miodowych oczach Rachab pojawiły się łzy. Sięgnęła po klejnot, tym razem nie próbując go pochwycić, lecz by dotknąć go z rewerencją, na której widok Szalmon wstrzymał oddech.

– Jestem jak ten kolczyk? – wykrztusiła łamiącym się głosem.

Skinął głową. Z bolesnym skupieniem ujęła ozdobę i przyjrzała jej się, migoczącej w jej dłoni. Złoto i klejnoty nie zostały nieodwracalnie zniszczone. Zgodnie z jej przewidywaniami trzeba je było tylko porządnie umyć i wyprostować miękkie druciki, które zgięły się pod ciężarem nieuważnych stóp. Ale kolczyk nie stracił wartości. Złoto nadal było złotem, perła pozostała twarda i lśniąca. Rachab zamknęła ją w dłoni i przytuliła do serca.

Coś w niej pękło – Szalmon widział to wyraźnie. Z jej ust wydarło się zawrodożenie, jak szloch przerażonego i cierpiącego dziecka. Serce niemal mu pękło od tego dźwięku, od tego zastarzałego bólu, który w nim brzmiał. Szalmon przyciągnął ją do siebie w mocny, opiekuńczy uścisk. Dygotała całym ciałem.

– Ćśśś, kochanie, ćśśś – szepnął. Widział, że tak wielki ból nie rozładuje się od razu i nie zamierzał tego przyspieszać. A jednak chciał, żeby wyzwalając ten straszny smutek, czuła, że ma w nim oparcie. Przyszło mu do głowy, że po tym dniu, gdy zobaczył w niej cierpiące dziecko, które w końcu ujrzało odbicie swojej prawdziwej postaci w oczach Boga, nigdy nie będzie mógł krytykować swojej żony. Nigdy więcej nie pomyśli, że mogłaby skazać jego czysty ród. Nigdy więcej nie potępi jej za to, że miała przed nim tuzin mężczyzn. Nie mógłby kochać jej mniej, był od tego daleki – kochał ją jeszcze żarliwiej. Bóg za sprawą tego kolczyka pouczył go tak samo jak ją. A on potrzebował tej lekcji tak samo jak Rachab. Była dla niego bezcennym klejnotem i nic

już nigdy nie pomniejszy jej wartości w jego oczach.

Jej konwulsyjne drżenie zaczęło słabnąć, a zawodzący szloch zmienił się w zwykły płacz. Szalmon trzymał ją w mocnym uścisku, całując jej skroń, głaszcząc włosy. Obudziła w nim instynkt opiekuńczy. Zalała go wszechogarniająca czułość.

– Kocham cię – szepnął, niemal nie zdając sobie sprawy, że to powiedział. Te słowa wypłynęły z niego na naturalnej fali emocji, której nie potrafił zatrzymać.

Rachab przywarła do niego, obejmując jego szyję i plecy, wtulona w niego całym swoim ciałem tak ufnie i żarliwie, że coś w nim stopniało. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bardzo bliski innemu człowiekowi. Rachab szepnęła coś z ustami tuż przy jego szyi; początkowo nie dosłyszał, potem zrozumiał, że powtarza: „kocham cię, kocham cię”, raz po raz. Radość, która wybuchła w nim po tych słowach, omal go nie rozsadziła.

Bardzo długo docierało do niego, że w namiocie znajduje się ktoś oprócz nich, ktoś, kto nieśmiało pokasłuje, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Szalmon uniósł ociężale głowę, nadal trzymając żonę w objęciach. Dopiero kiedy musiał zamrugać, żeby odzyskać ostrość widzenia i dostrzec twarz Ezry, uświadomił sobie, że rzęsy ma sklezione łzami.

– Ezra? – wychrypiał, rozdrażniony tym natręctwem. Chciał, żeby cały świat zniknął i zostawił go sam na sam z żoną.

– Przepraszam, że przeszkadzam – wymamrotał Ezra, unikając jego spojrzenia. – Jozue posłał mnie po przywódców domu Judy. Byłem tu już wcześniej i odszedłem. Ale zostałeś mi już tylko ty.

– Jozue chce się ze mną widzieć? O co chodzi?

– Parę godzin temu przybyła delegacja mężczyzn na osłach. Chcą zawrzeć z nami pakt. Jozue zaprosił przywódców, żeby udzielili mu rady.

– Delegacja! W tej sprawie Jozue może się obyć beze mnie. Nie mogę teraz zostawić żony.

Słowa Rachab załaskotały go w szyję delikatnym tchnieniem

powietrza.

– Idź, kochany. Nie możesz odmówić Jozuemu. Nic mi nie jest.  
Pokręcił głową.

– Nie zostawię cię, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Ezro, powiedz Jozuemu, że jestem potrzebny żonie. Jeśli to coś pilnego, przyjdę. Jednak jeśli zdoła się obyć beze mnie, wolę zostać z Rachab. Dowiedz się więcej i wróć tu, by mi przekazać.

– Nie musisz zostawać ze mną – powiedziała Rachab, gdy Ezra odszedł. – Rozumiem, że masz ważne obowiązki. Izrael cię potrzebuje. – Twarz miała zaczerwienioną od płaczu, a kuszące oczy – przekrwione i zapuchnięte. Nigdy nie wyglądała piękniej. Nadal ją obejmował, nie potrafiąc się z nią rozłączyć. Myśl, że mógłby się od niej choćby odrobinę odsunąć, wydawała się nieznośna.

– Odejdę, jeśli będę musiał. W tej chwili chcę być tylko tutaj.

– Może powinniśmy wejść do środka.

Nagle uświadomił sobie, że obejmował żonę poza ich namiotem. Każdy sąsiad, który by wyszedł na dwór, mógłby ich zobaczyć. Zapadł zmrok, który stanowił jakąś osłonę, ale i tak powinni poszukać bardziej zacisznego kąta. Wstał, niosąc Rachab na rękach, i wrócił do namiotu. Trzymała go za szyję, opierając rękę na jego piersi. W dłoni o długich palcach ścisnęła kolczyk. Uśmiechnął się na ten widok – na jej widok.

W namiocie usiadł na dywanie, opierając się o słupek, nadal z Rachab w objęciach.

– Przyniosę ci jedzenie i picie – szepnęła.

Niemal pokręcił głową, ale zaświtało mu, że ten płacz i napięcie pewnie kompletnie ją wyczerpały. Jedzenie i picie dobrze jej zrobi.

– Ja je przyniosę.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

– To moje zadanie. Pracowałeś tak ciężko, Jozue może cię jeszcze wezwać. Choć tyle dla ciebie zrobię.

– Możesz to robić codziennie, do końca naszego życia, jeśli zechcesz. Ale dziś to ja zadbam o ciebie. – Ku jego zadowoleniu skinęła głową, choć widział, że ta kapitulacja przyszła jej z trudem. Chciał jej dać do zrozumienia, że nie uważa jej za brzemię, że pozwalając się mu sobą zaopiekować, nie traci w jego oczach. „Lata... lata miną, zanim ją tego nauczę”. Jakoś znalazł ciastka z wczorajszej uczyty, ser i suchy podplomyk. Rachab robiła najlepszą wodę jęczmienną, jaką kiedykolwiek kosztował. Już dawno dowiedział się, gdzie ją przechowywała. Przyniósł cały gliniany garnek i postawił obok nich wraz z największymi kubkami, które udało mu się znaleźć.

Tak jak miał to w zwyczaju, przed jedzeniem zwrócił się do Boga. Tym razem modlił się dłużej, dziękując mu za jego dary, wskazówki i miłosierdzie. Dziękował za swoją żonę, ich małżeństwo, za ich przyszłość, za plany Boga, jakiekolwiek by one były. I dziękował Bogu za to, że otworzył im oczy na prawdę. Radość i nadzieja płynęły z niego jak fala, gdy rozmawiał z Panem, bo wiedział, że to wszystko Jego dzieło. Tylko Bóg mógł zmienić zgubiony kolczyk w narzędzie uzdrowienia.

## Rozdział 25



Szalmon odetchnął z ulgą, gdy Ezra wrócił z wiadomością, że Jozue nie potrzebuje jego obecności. Rachab zaproponowała gościowi wielką poduszkę i wodę jęczmienną. Szalmon zmarszczył brwi; wolał, żeby wypoczęła, a nie obarczała się kolejnymi obowiązkami. Łypnął wściekle na Ezrę, któremu Rachab proponowała poczęstunek, i odprężył się, gdy ten pospiesznie odmówił.

– Goście przybyli z dalekiego kraju – powiedział Ezra, upiwszy łyk napoju. – Gdy Jozue spytał, po co do nas przybyli, odparli, że sława Pana rozeszła się daleko. Wiedzą, że pokonaliśmy Oga i Sichona. Słyszeli o cudzie naszej ucieczki z Egiptu. A więc przywódcy ich narodu wysłali ich tutaj z propozycją zawarcia pokoju.

– Skąd mamy wiedzieć, że są tymi, za kogo się podają? – spytał Szalmon. – Że nie mieszkają nieopodal stąd? Nie możemy zawrzeć traktatu pokojowego z sąsiadami.

– Jozue powiedział to samo. Ale oni pokazali nam swoje zapasy. Ich chleb był zapleśniały, bukłaki z winem spękane, a ubrania i sandały zniszczone podczas długiej podróży.

– Rozumiem. Zakładam, że będziemy się modlić i pytać Boga, zanim odpowiemy?

– No, właściwie to nie. Przywódcy uznali, że dowody są wystarczające. Dali tym ludziom słowo, że zawrą z nimi przymierze.

– Bez pytania Pana?

Ezra uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Ja jestem tylko posłańcem. Wiem jedynie, że pozostali przywódcy uwierzyli w to, co mówiła delegacja.

Szalmon odetchnął głęboko.

– Przepraszam. Gdybym chciał wyrazić swoje zdanie, poszedłbym na spotkanie. – Odwrócił się do Rachab. – I nie żałuję, że nie poszedłem.

– A skoro mowa o pójściu – odezwał się Ezra, wstając – pora, żebym poszedł do własnego namiotu.

Rachab i Szalmon też się podnieśli.

– Dziękuję, że przyniosłeś wiadomości.

Odprawdzili go przez część drogi i wrócili do siebie.

Odejście Ezry uświadomiło Szalmonowi, że zrobiło się późno, a on jest zmęczony.

– Chodźmy do łóżka – powiedział do Rachab, przyglądając się jej spod spuszczonej powiek. Starał się, jak mógł, ale jego głos nie brzmiał pogodnie. Ochrypł z emocji. Myśl o Rachab i łóżku w jednym zdaniu tak mu zawróciła w głowie, że ledwie mógł oddychać.

Ale musiał odsunąć od siebie to pragnienie. Nie była gotowa. Tak, zrobiła ważny krok, lecz to nie znaczyło, że miał się zaraz na nią rzucić. Ogarnęło go poczucie utraty, nawet gniewu za to, co im ukradziono. Postanowił nie poddawać się takiemu rozgoryczeniu. Miał za zadanie odbić zagarnięte tereny, odzyskać każdą zrabowaną przez przeszłość część umysłu, serca i ciała Rachab. Pewnego dnia będzie mógł za swoim krewnym Józefem powiedzieć do wszystkich, którzy skrzywdzili jego żonę, a przez to i jego: „Wy niegdyś knuliście zło przeciwko mnie, Bóg jednak zamierzył to jako dobro”. Tak jak to było ze żmiją Rachab, z jego prawie śmiertelną raną, ze zgubionym kolczykiem – Bóg weźmie to najgorsze zło i uczyni z niego dobro. Ale trzeba zacisnąć zęby i wytrzymać.



Noc okazała się nietypowo ciepła. Rachab położyła się w lekkiej koszulce. Chciał ją przytulić, doświadczyć tego nieporównanego wrażenia bliskości, ale jednocześnie coś w nim jęczało z bezsilnego cierpienia. Rachab przejęła inicjatywę, przytulając się do niego nieśmiało. Wiedział, jak wiele kosztuje ją tak oczywista demonstracja uczucia, wiedział, że zwykle tak bardzo boi się odtrącenia, że nigdy by pierwsza nie szukała kontaktu. Teraz za nic na świecie by się od niej nie odsunął. Odwrócił się i przytulił ją do siebie. Zapach jej włosów, mieszanka aromatu róż i jakiegoś nieokreślonego elementu, który należał tylko do niej, przepełniła mu zmysły. Jego palce same wsunęły się w jej włosy i odchyliły jej głowę do pocałunku. Nie był to pocałunek kojący, łagodny, bezpieczny, lecz palący pocałunek namiętności, pragnienia, pożądania. Szalmon drżał z pragnienia, łapczywie czerpał z niej pocałunkami wszystko, co miała do oddania. Ponad wszystko chciał, żeby i ona tak czuła, żeby pragnęła go tak jak on jej.

Była w jego ramionach uległa, rozluźniona. Tak idealnie do niego pasowała. Musiałby się pomodlić, zawołać bezgłośnie Pana, żeby się zatrzymać. O Boże, daj mi siłę, żeby zaczekać, załkał w bezgłośnej męce, po czym się cofnął.

Sporo czasu minęło, zanim uspokoił chrapliwy oddech.

– To przedsmak tego, co będzie – mruknął z krzywym uśmiechem.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Jak... jak ty dobrze robisz... – wykrztusiła bez tchu.

Zrozumiał, że jego dotyk robił na niej wielkie wrażenie, że ona także czuła część jego burzliwego pragnienia. Ta świadomość uspokoiła jego niecierpliwość.

– No pewnie – szepnął, nie potrafiąc się powstrzymać przed uśmiechem. Znowu ją pocałował, tym razem ujarzmiając swoją żądzę i pławiąc się w zachwycie żony. Satysfakcja fizyczna mogła poczekać, ale dusza znalazła zadowolenie.

- Zapomniałam ci powiedzieć! – krzyknęła Rachab, siadając.
- Co? Czego zapomniałaś?
- Mój ojciec jutro wieczorem wydaje ucztę na cześć Izzie i Gerazima. Mamy się zjawić w ich namiocie po zachodzie słońca.
- Ach... Chyba się spóźnię. Pewnie chcesz tam pójść wcześniej i pomóc im w przygotowaniach?
- Jeśli pozwolisz.
- Oczywiście. Przyjdę, jak tylko będę mógł.

Odwiedziny u teściów były dla niego przykrym obowiązkiem. Nie potrafił się pozbyć gniewu na rodziców Rachab. Lepiej niż ktokolwiek znał cenę losu, który zgotowali córce, dlatego przebywanie w ich towarzystwie i udawanie, że wszystko jest w porządku, było dla niego torturą. Czasem zaciskał zęby, żeby nie krzyknąć na ludzi, którzy sprzedali swoją córkę dla zysku. Chciał spytać, czy mają pojęcie, ile kosztowało ją zapełnienie im brzuchów. Lata przywództwa nauczyły go panowania nad sobą, ale tę frustrację mógł tylko powściągać. Nie potrafił jej usunąć. Irytowała go konieczność zachowania milczenia, co było najlepszym postępowaniem dla dobra jego żony.

Zdusił westchnienie, przyciągnął do siebie Rachab i umościł się wygodniej do snu. Jeszcze jeden wieczór powstrzymywanej niechęci go nie zabije.



Rachab przez pół nocy roztrząsała niepojęte odkrycie, że Bóg naprawdę ją ceni. Całe życie nie wystarczy, żeby zatrzeć ten moment w jej pamięci. Czowała się tak, jakby promień miłości przeszył jej obwarowaną murami duszę. Po raz pierwszy poczuła, że jest bezgranicznie kochana i szanowana znacznie bardziej, niż na to zasługiwała. Mgnienie serca Boga, które przez chwilę ujrzała, pomogło jej zrozumieć, że nawet mężczyzna taki jak Szalmon może pokochać kobietę taką jak ona. Była godna

miłości. Od lat nie czuła takiej nadziei. „Godna miłości”.

W tych chwilach oszałamiającego objawienia, zanurzenia w miłości i akceptacji usłyszała w swojej duszy szept Ducha Bożego:

– Jesteś moim darem dla Szalmona. Jesteś skarbem, który chciałem mu podarować.

Choć to Szalmon był darem dla niej, zrozumiała, że Bóg uważał oddanie mu jej za błogosławieństwo, ponieważ w Jego oczach to ona, Rachab, była skarbem.

Dlatego gdy Szalmon przytulił ją z tak nieopisaną czułością i szepnął, że ją kocha... uwierzyła mu. Po raz pierwszy w życiu uwierzyła mu z całego serca. Poczuli się pewni jego miłości.

Była na tyle dojrzała, by mieć świadomość, że to nie koniec podróży ku uzdrowieniu. Wiedziała, że inne okoliczności mogą wstrząsnąć jej pewnością siebie lub ją zmniejszyć. Jednak po przejściu przez tę najciemniejszą dolinę rozumiała, że Bóg przeprowadzi ją i przez inne bitwy. Zmiażdży inne kłamstwa, które jeszcze zaśmiecają jej duszę, i stopniowo ją oswobodzi.

W Jerychu, gdy po raz pierwszy powierzyła się Panu, wiedziała, że jest On potężny. Wielki. Ale tej nocy poznała Jego dobroć. Nauczyła się ufać jego miłosierdziu. On dawał miłość tym, którzy na nią nie zasługiwali, i cenił swoje dzieci bardziej, niż były tego warte.

Izzie dowiedziała się tego dzięki swojej ciąży. Ona zrozumie zdumienie i wdzięczność Rachab lepiej niż ktokolwiek inny. Myśl o spędzeniu całego dnia w towarzystwie siostry sprawiła, że Rachab z uśmiechem wykonywała swoje poranne obowiązki. Nawet męczące przygotowywanie wielkiej uczy pod komendą matki nie umniejszało jej radości. Był to dzień świętowania – dla Izzie i Gerazima, a potajemnie również dla niej i Szalmona.

Słońce wydawało się pełznąć tego dnia ze złośliwą powolnością. Nawet upragnione towarzystwo Izzie nie ratowało Rachab przed niecierpliwym czekaniem na męża. Tęskniła za

nim. Po jego wczorajszej ogromnej bliskości ta nieobecność była jak wyrwa. Rachab upominała się, że zachowuje się jak dziewica, marząca o mężczyźnie, którego zobaczyła zaledwie tego samego ranka. Ale dziś najbardziej cyniczne przytyki padały na jałowy grunt. Nie obchodziło jej, czy zachowuje się jak stęskniona młódka. Pragnęła swojego męża, a on akurat tego dnia się spóźniał.

Wczesnym wieczorem wokół namiotu zaroilo się od gości – świadczyło to o nowych znajomościach, jakie zawarli mężczyźni, pomagając plemionom Izraela w trudach uprawy ziemi. Na różnie piekło się rozkosznie pachnące jagnię nadziewane ziołami. Rachab kręciła się wśród gości, roznosząc świeże podplomyki, mające służyć jako talerze, na których zostaną położone kawałki jagnięciny. Usłyszała burczenie własnego żołądka i uświadomiła sobie, że nie jadła od śniadania z Szalmonem. Znowu rozejrzała się w nadziei, że zobaczy nadchodzącego męża.

Joa pokroił jagnię. Rachab zaczęła roznosić ciężkie półmiski mięsiwa. Mężczyzna, który wydawał się jej znajomy, zastąpił jej drogę.

– Może obdarzysz mnie uwagą? – odezwał się nosowym głosem. Jego wargi pod cienkim wąsikiem lśniły wilgocią.

Rachab odwróciła się ze spontanicznym uśmiechem, wyciągając przed siebie półmisek. Ku swojemu zaskoczeniu ujrzała nieprzyjemnie łakome spojrzenie mężczyzny, przypatrującego się jej krągłościom. Jej niebieska wełniana sukienka była skrojona skromnie, jak przystało izraelskiej mężatce. Nic w jej zachowaniu ani wyglądzie nie zachęcało do takiego nieprzyjemnego zachowania. Nic z wyjątkiem tego, że była Rachab z Jerycha. Zarumieniła się, poczuła dawny wstyd, który ścisnął jej wnętrzości. A potem przypomniała sobie słowa Szalmona: „Jesteś Jego kolczykiem. Jesteś dla Niego jak ten cenny klejnot”.

Ten mężczyzna nie pozerął jej wzrokiem z jej winy. Robił to, bo to on był grzeszny, nie ona. Z wyrachowanym chłodem cofnęła półmisek i odwróciła się od mężczyzny, nie trudząc się odpowiedzią. Ku jej przerażeniu chwycił ją za nadgarstek tak mocno, że omal nie upuściła mięsa na ziemię.

– Powiedziałem, żebyś się mną zainteresowała – wycedził.

– Skoro tak pragniesz zainteresowania, chętnie cię nim obdarzę – rozległ się za jej plecami jakiś głos, zimny jak sztylet. „Szalmon!”. – Zechcesz puścić moją żonę? Czy w tym także mam ci pomóc? – Jego lodowaty uśmiech nie pozostawiał wątpliwości co do znaczenia słów.

Mężczyzna puścił rękę Rachab, jakby go oparzyła.

– Chciałem tylko trochę jagnięciny – wykrztusił. Mimo najwyższych wysiłków nie udało mu się przybrać niewinnej miny.

– Już się najadłeś. Nieprawdaż?

– O... owszem – wymamrotał mężczyzna, który jeszcze nawet nie spróbował rozkosznie pachnącej pieczeni.

– Zatem chyba przyznasz, że nie ma powodu, byś tu dłużej przebywał?

– Chy... chyba tak. – Mężczyzna spojrział tęsknie na półmisek, starannie omijając Rachab wzrokiem, i wyszedł.

– Prostak – prychnęła Rachab. – Pokazałabym mu, gdzie jego miejsce, gdybyś mnie nie uprzedził.

– Wiem, ale to mi sprawiło przyjemność. Nie masz mi tego za złe?

– Nie. Przyznam się, że nawet mi się to podobało.

Szalmon uśmiechnął się, spoglądając jej w oczy.

– Muszę się przyzwyczaić do odpędzania twoich wielbicieli. Mam za swoje, skoro zachciało mi się ożenić z tak piękną kobietą.

Serce Rachab omal nie wyskoczyło jej z piersi. Szalmon zdołał wyczarować komplement z obelżywego zachowania obcego. W jego oczach nie zasługiwała na ten brak szacunku. Choć sama

już doszła do tego samego wniosku i odrzuciła wstyd, który ją ograniczał, to dodatkowe świadectwo potwierdziło jej rację. Szalmon uznał, że to jej wartość przyciągnęła tego natręta, nie jej nieczystość. Dzięki temu zyskała nieco więcej tej nowej, delikatnej pewności siebie. Uśmiechnęła się olśniewająco.

– Właśnie tak – odparła przekornie.

Zanim Szalmon zdążył odpowiedzieć, Imri podszedł do nich, wycierając pot z wysokiego czoła.

– Dobry wieczór, Szalmonie. Rachab, zechcesz zatańczyć?

Rachab omal się nie zakrztusiła.

– Zatańczyć? Raczej nie, ojcze.

Imri nie zwrócił uwagi na jej gwałtowną odpowiedź.

– Szalmonie, widziałeś kiedyś, jak twoja żona tańczy?

– Nie.

– A powinienes. W Jerychu była znana ze swojego tańca. Niewiele kobiet mogło dorównać jej wdziękowi.

– Ojcze! – W głosie Rachab pojawiło się rozdrażnienie. Imri mówił prawdę, rzeczywiście była biegła w sztuce tańca, w którym wyrażała raczej emocje niż zmysłowość, raczej uwodzicielską płynność ruchów niż nieprzyzwoite kołysanie biodrami. Rachab nigdy nie zadała sobie trudu, by nauczyć się prowokujących tańców, wykonywanych przez inne jerychońskie nierządnicę. Nigdy nie musiała. Jej styl, choć ozdobny, przyciągał wielbicieli obu płci. Dlatego opierała się teraz nie ze strachu, by nie przekroczyć granic, lecz z pragnienia, by nie zwracać na siebie uwagi. Chciała żyć spokojnie, z dala od innych. Chciała wtopić się w tłum, a nie wyróżniać się z niego dzięki prezentowaniu swoich talentów. – Nie tańczę – oznajmiła.

– Chciałbym cię zobaczyć – przerwał jej Szalmon łagodnie.

Otworzyła usta. Nie wierzyła własnym uszom. Ojciec i Szalmon się sprzymierzyli? Miała w sobie dość kobiecej próżności, by zaspokoić ciekawość Szalmona. Rola obiektu jego podziwu stanowiła pokusę, którą niełatwo było odeprzeć.

– Zatańczę... ale tylko dla ciebie – obiecała, patrząc mu prosto w oczy. Szalmon przestał oddychać, a jego twarz poczerwieniała.

– Ha! – krzyknął Imri i odszedł.

Rachab zachichotała.

– Podam to mięso, zanim ostygnie.

– Mięso? A co z moim tańcem?

– W swoim czasie.

– Broda mi posiwieje, zanim się doczekam.

– Będziesz wyglądał bardziej dystyngowanie! – zawołała bez najmniejszego współczucia, odchodząc. Goście domagali się pysznego mięsa i półmisek szybko opustoszała. Szalmon przechwycił żonę, zanim rodzina zdążyła obarczyć ją kolejnym obowiązkiem.

– Poświęć mi chwilę – poprosił, pociągając ją w mniej zatłoczony kąt. Udało mu się znaleźć pieńek, na którym usiadła, a sam usadowił się na ziemi u jej stóp. – Zauważyłaś, z jaką dumą mówił twój ojciec, chwając twój taniec?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Nie.

– Rozjaśnia się, gdy o tobie wspomina. Jesteś mu naprawdę droga.

W milczeniu przemyślała jego słowa.

– W pewnym sensie to jeszcze gorzej.

– Dlaczego?

– Ponieważ mnie kochał, ufałam mu z całego serca. I wierzyłam we wszystko, co o mnie powiedział, we wszystko dobre i złe, prawdziwe i nieprawdziwe. Wierzyłam też w to, o czym świadczyły jego czyny. Do dziś walczę z przekonaniem, że miał co do mnie rację. Jego słowa wydają mi się prawdziwsze niż moje własne. Gdyby był złym człowiekiem, zdołałabym zignorować to, co mówi. Może nauczyłabym się podważać jego opinie. A tak wierzyłam mu we wszystkim. Gdyby nie Pan i twoja miłość, nie zdołałabym uciec przed fałszywymi przekonaniem,

które we mnie nieświadomie wyrobił.

– O tym nie pomyślałem. Przyznaję, że walczę z gniewem, kiedy o nim pomyślę. Jego czyny miały tak wielki wpływ na nasze życie... Trudno mi się pozbyć urazy.

Rachab skinęła głową ze zrozumieniem.

– Na tym polega problem ze złymi czynami. Rozlewają się na życie innych. Oto ty, Izraelita, odczułeś wpływ decyzji, którą mój ojciec podjął jedenaście lat temu w Jerychu. Pocięszam się, że Pan potrafi przewyciężyć nasze błędy.

– Cieszę się, że to mówisz. Myślisz, że Izzie i Gerazim obrażą się, jeśli wyjdziemy? Muszę ci przekazać pewne wieści.

Rachab poczuła dżgnięcie strachu.

– Złe wieści?

Twarz Szalmona stała się nieprzenikniona jak maska.

– Niekoniecznie. Po prostu prywatne.

Ta enigmatyczna odpowiedź sprawiła, że jej żołądek się skręcił. Małżeństwo z przywódcą plemienia Judy miało i bolesne strony.

– Powiem Izzie. Zrozumie.



Kiedy wracali, Szalmon trzymał ją za rękę. Czowała, że chce poczekać z przekazaniem jej wiadomości, dopóki nie znajdą się w zaciszu domu i choć niepokój skręcał jej wnętrzości, uszanowała jego życzenie. Zacisnęła usta i mocno trzymała go za rękę, ale gdy przekroczyli próg namiotu, nie mogła znieść tego ani chwili dłużej. Zanim Szalmon zdążył zapalić lampę, odwróciła się do niego.

– Mów!

Spokojnie dokończył czynności i usiadł.

– Niepokoją mnie przybysze, którzy wczoraj zawarli z nami traktat pokojowy. Chcę za nimi pojechać i sprawdzić, czy powiedzieli nam prawdę.



– Ci ze spleśniałym chlebem i znoszonymi butami?

– Tak. Coś w ich historii mnie niepokoi. To tylko ostrożność, nic więcej. Chcę za nimi jechać przez parę dni, żeby zweryfikować ich historię.

Rachab pomyślała o tym, co mogło mu się przytrafić. Misje szpiegowskie na kananejskich drogach nie były bezpieczne dla żadnego Izraelity. Każdy krok w głąb niepodbitego kananejskiego terytorium pociągał za sobą mnóstwo zagrożeń. Pół biedy, jeśli goście byli tym, za kogo się podawali. Jeśli nie byli, należało się obawiać ich reakcji. Z pewnością nie przyjęliby zdemaskowania z pogodą ducha.

Poślubiła żołnierza. Żołnierze narażają się na niebezpieczeństwo. Jako jego żona miała obowiązek jak najbardziej ułatwić mu wykonywanie pracy. Obarczanie go własnymi troskami w niczym mu nie pomoże. Dlatego przyjęła wieści ze spokojem.

– Wybierzesz się sam?

– Ezra i Hanani zgłosili się na ochotnika.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Mają doświadczenie w szpiegowaniu.

Szalmon roześmiał się, także bez wesołości.

– Trzy to szczęśliwa liczba. Możemy się szybko przemieszczać i łatwo się ukryć w razie potrzeby. Mamy cały dzień opóźnienia, więc weźmiemy wierzchowce.

– Co zrobisz, kiedy się dowiesz?

– Wrócę i powiadomię Jozuego. Nie możemy ich zaatakować, bo zawarliśmy z nimi układ, który wiąże nam ręce. Ale musimy znać prawdę.

– Mam spakować jedzenie dla trzech osób? Na ile dni?

– Hanani i Ezra przyniosą własne zapasy. Cztery dni powinny wystarczyć. Pokażę ci, jak spakować lekką paczkę. Najbardziej zależy nam na szybkości, więc prowiant nie może nas spowalniać.

Skinęła głową i impulsywnie chwyciła go w objęcia.

– Będę za tobą tęsknić.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Jesteś cudowna, wiesz? Szczerze mówiąc, bałem się powiedzieć ci o tym. Nie mogłem znieść myśli o łzach i biadaniu. Niektórzy moi przyjaciele tak mają przy każdym wyjeździe. Powinienem wiedzieć, że po tobie mogę się nie spodziewać takiej reakcji. Z drugiej strony żaden mężczyzna nie lubi, gdy jego żona wydaje się niezainteresowana jego wyjazdem. Albo lodowacieje. Ty zdołałaś wyrazić czułość i spokój w odpowiednich proporcjach. Dziękuję ci za to. Dzięki temu będzie mi łatwiej wyjechać.

## Rozdział 26



Rachab z roztargnieniem przygotowała się do snu. Szalmon miał rano wyjechać na niebezpieczną misję, która mogła kosztować go życie. Może go nigdy więcej nie zobaczy, nigdy więcej nie weźmie go w ramiona, nigdy więcej nie usłyszy jego pięknego głosu. Nie potrafiła długo rozmyślać o takiej możliwości. Dzisiaj nawet kilkugodzinna rozłąka łamała jej serce. Perspektywa rozdzielenia na kilka dni była nie do zniesienia.

Położyła się obok niego. Choć się nie ruszał, jego skamieniałe ciało świadczyło, że nie śpi. Kiedyś wyznał jej, że często przed misją nie potrafi zasnąć.

Przez parę chwil leżeli obok siebie, nie rozmawiając, nie dotykając się. Nagle Szalmon odwrócił się i chwycił ją w ramiona.

– Rachab – szepnął i przycisnął wargi do jej ust. Przeciągnął ten pocałunek, przeciągnął go z bolesną cierpliwością i czułością, aż wtuliła się w niego. Wtedy przesunął ją tak, że znalazła się prawie pod nim. Dotknął jej, pocałował jej szyję. Jego oddech przyspieszył.

Rachab utknęła między ogłuszającym pożądaniem, całkowicie dla niej nowym, a zbyt znajomym przerażeniem. Stare lęki znowu wróciły. Strach, że tu, w jego ramionach, w tym łóżku, znowu stanie się Rachab z Jerycha. Jednocześnie czuła, że umrze, jeśli Szalmon zaprzestanie tych rozkosznych pieszczot i że umrze, jeśli nie przestanie.

A on wyczuł jej wahanie, odetchnął głęboko i uniósł się na

łokciu.

– Przepraszam. Nie jesteś gotowa.

Wzięła w obie ręce jego kochaną twarz.

– Nie chodzi o to. Dajesz mi rozkosz, o jakiej nie miałam pojęcia.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

– Powiedz, co cię dręczy – powiedział ochryple. – Pomóż mi zrozumieć.

Omali się nie rozplakała.

– Tak trudno o tym mówić.

– Wierzę. Ale proszę, żebyś przeszła przez to cierpienie. Zaufaj mi.

– Przytulisz mnie? – spytała załamującym się, dziecięcym głosem.

Szybkim ruchem zamknął ją w ramionach.

– Ze mną jesteś bezpieczna. Po prostu mów. – Przyjrzał się jej uważnie w słabym świetle lampy. Znała to spojrzenie – to, które przeszywało ją na wylot i docierało do zakamarków umysłu, których, jak sądziła, nikt nie dostrzega. Poddała się temu badaniu. Nie chciała nic przed nim ukrywać.

Jej oddech, parzący ją w płuca, przyspieszył. Jutro jej mąż wyruszy na misję, zagrażającą jego życiu. Chciała, żeby odchodząc, wiedział, że nie dzielą ich żadne mury. Dlatego mogła zaryzykować wszystko, nawet to, że ją odtrąci.

– Szalmonie, tylko ciebie kochałam. – Gestem ręki objęła ich łóżko. – Przed tobą to wszystko było tylko udawaniem. Udawaniem, rolą, pracą. Jeśli była w tym jakaś przyjemność, to zmieszana ze strasznym wstydem. Za każdym razem, gdy mnie dotykasz, boję się, że ta dawna ja wydobędzie się ze mnie i że to zauważysz. Nie wiem, jak się zachować w łóżku. Nie umiem być żoną.

– Więc pozwól, że będę dla ciebie mężem – powiedział kojąco.

– Pozwól, że cię poprowadzę. Przy mnie nie musisz grać. Nie

musisz robić nic poza tym, co podpowie ci miłość albo pożądanie. Nie chcę od ciebie niczego z wyjątkiem tego, co dasz mi z własnej woli. Kiedy cię dotykam, to daję wyraz miłości, która mnie przepenia. Pragnę się z tobą połączyć. Moje ciało wyraża pragnienie duszy. Nie mam zamiaru cię wykorzystywać do rozładowania żądy. W ogóle nie mam zamiaru cię wykorzystywać. Chcę tej bliskości, która dotyczy każdego aspektu naszego życia. Wspólnego życia. Pozwól mi się dotykać w ten sposób. I sama też mnie tak dotykaj. Niczego się po tobie nie spodziewam, ukochana. Nie musisz udawać. Kochaj mnie, a poczuję to i będę zadowolony.

Rachab w milczeniu przemyślała jego słowa. Odważnie, choć niepewnie, uniosła rękę i położyła ją na jego piersi.

– Chcę spróbować zrobić to na twój sposób – wykrztusiła z trudem.

Szalmon przyjrzał się jej bardzo uważnie.

– Mam tylko jeden warunek, z którego nie zrezygnuję. Kiedy znowu wrócą dawne wspomnienia, kiedy mój dotyk zacznie ci się kojarzyć z pracą lub wstydem, masz mnie powstrzymać. I choć nie będzie to dla mnie przyjemne, tysiąc razy gorzej byłoby dowiedzieć się później, że przeze mnie poczułaś przykrość lub upokorzenie. Sama myśl, że mógłbym cię jakoś skrzywdzić, wywraca mi żołądek na lewą stronę. Rozumiesz? Obiecasz, że zrobisz, o co cię proszę?

– Obiecuję – szepnęła. Wiedziała, że nie będzie jej łatwo dotrzymać tej obietnicy. Powstrzymanie go, ponieważ ona nie czuje się dobrze, wydawało się jej najbardziej egoistyczne na świecie. Czy nie będzie miał do niej pretensji za to, że tak wiele potrzebuje? Tak wiele żąda? A jednak wierzyła mu, gdy powiedział, że czułby się gorzej, gdyby nie wyraziła swoich potrzeb. Musiała zaufać, że da radę unieść ciężar jej kalectwa i nie zrezygnuje z niej.

A on znowu szepnął, jakby czytał w jej myślach:

– Zaufaj mi. – I znowu ją pocałował, wsuwając palce w jej włosy i unosząc jej twarz, żeby pogłębić pocałunek. – Podoba ci się to? – spytał później i zmusił ją do odpowiedzi, kiedy usiłowała to przemilczeć. – A to? – nalegał uparcie, aż nauczyła się mówić szczerze o swoich doznaniach. – Chcę wiedzieć, co lubisz. Powiedz mi. Chcesz tego? Mam przestać?

– Nie! – krzyknęła, a on się roześmiał triumfalnie, prawdziwie męskim śmiechem, od którego przeszedł ją dreszcz.

Tej nocy w łóżku swojego męża nauczyła się czystości. Nauczyła się, że nie ma nic brudnego, grzesznego czy rozwiązłego w dotykaniu, oddawaniu się temu, z kim połączył ją Bóg. I zaczęła rozumieć, że Szalmon chętnie zniesie zwłokę dla jej dobra. Cieszyło go tylko to, czym mógł się cieszyć razem z nią i nie miał urazy o różnice między nimi. Im większą swobodę jej dawał, tym łatwiej przychodziło jej znajdować rozkosz w jego ramionach. Tej nocy Rachab zostawiła za sobą Jerycho z jego potężnymi murami.



Ranek nadszedł zbyt wcześnie. Pożegnanie z Szalmonem złamało jej serce. Widziała, że mąż myślami jest już na wyprawie. Uścisnęła go szybko, starając się zapamiętać dotyk jego ust, kształt jego dłoni, odcisniętych na jej plecach, łaskotanie jego czystej brody, szeroką pierś, która zdawała się ją otaczać. Potem go puściła, wyczuwając jego niecierpliwość. Poszła z nim do namiotu Kaleba, gdzie czekali już Ezra, Hanani i Miriam. Jozue dał im trzy szybkie osły, które już stały w gotowości, spokojnie przeżuując paszę. Tu, wśród ludzi, jej pożegnanie było oficjalne i powściągliwe. Ale Szalmon, najwyraźniej niemający żadnych obiekcji, znowu wziął ją w ramiona i uścisnął z namiętną władczością.

– Wrócę po jeszcze – szepnęła jej do ucha i już go nie było.

Ku radości Rachab tego wieczora Miriam wprowadziła się do namiotu. Rachab pomogła jej ułożyć ubrania w rzeźbionej skrzyni z akacjowego drewna. Według standardów Jerycha jej dobytek prezentował się skromnie, choć całkowicie wystarczał izraelskiej pannie. Mimo to Rachab obiecała sobie, że gdy tylko skończy tunikę dla Szalmona, utka materiał na nową suknię dla swojej szwagierki.

Czekanie w samotności przez te dręczące godziny nieobecności męża byłoby nie do wytrzymania. Obecność Miriam sprawiała jej radość. Nauczyły się przebywać w swoim towarzystwie w namiocie rannych. Nie drażniły się nawzajem, nie czuły się przy sobie skrępowane. Pasowały do siebie – Miriam przyjazna i pomocna, Rachab zorganizowana, ale nie władcza. Często razem się modliły. Rachab czuła się wtedy najbliższa Boga i pełna nadziei, przynoszącej ulgę od niemal nieustannej troski o Szalmona.

Drugiego dnia po powrocie Miriam do domu obie wstały wraz ze słońcem i ruszyły do namiotu chorych z pakunkami przygotowanymi poprzedniego dnia. Rachab chętnie powitała zajęcie, które mogło zająć jej myśli.

Ku jej zaskoczeniu w roli atrakcji odwracającej uwagę najlepiej spisała się Miriam. Niespodziewanie wdała się w gorącą dyskusję z żoną pacjenta. Rachab rozumiała gniew szwagierki, ponieważ owa kobieta, poślubiona niejakiemu Benjaminowi, który cierpiał na wyniszczającą chorobę, była nieprzyjemna i wiecznie narzekająca. Nawet anioł straciłby do niej cierpliwość.

Suf przydzielił Beniamina pod opiekę Miriam w nadziei, że jej dokładne zabiegi poprawią jego stan. Rachab zajmowała się właśnie chłopcem śpiącym obok Beniamina, gdy kobieta wróciła do namiotu i ujrzała Miriam przy jej mężu.

– Co robisz? – krzyknęła.

– Jestem Miriam z domu Judy i pomagam przy chorych – odparła Miriam, jak zwykle spokojna. – Suf kazał mi zająć się

twoim mężem.

Kobieta skrzywiła się z odrazą.

– Ten niekompetentny szakal? Akurat będę przestrzegać jego zaleceń.

Miriam skamieniała.

– Chcesz, żebym przestała się opiekować twoim mężem?

– Opiekować? Nazywacie to opieką? Zrobiliście mu więcej złego niż dobrego. Zabieraj te łapska!

Miriam zacisnęła usta i wstała.

– Jak sobie życzysz. – Jej cierpliwość, i tak już wystawiona na próbę, ostatecznie się skończyła, gdy kobieta zaczęła karmić Beniamina stałymi pokarmami, surowo zakazanymi przez Sufa.

– Przestań mu to dawać! Od tego rozchoruje się jeszcze bardziej!

– Jakim prawem mnie pouczasz, czym mam karmić mojego męża?

– To jedzenie nie wyjdzie mu na zdrowie. Potrzeba mu lekkich płynów.

– Nie widzisz, jaki jest chudy? Mam go jeszcze głodzić, kiedy i tak marnieje? Pilnuj swojego nosa, ty wścibska judejska dziewucho. Wiem, co jest najlepsze dla mojego męża.

Miriam ruszyła na kobietę jak burza.

– Jeśli umrze, ta śmierć spadnie na ciebie! Jeszcze nigdy w całym Izraelu nie spotkałam tak źle wychowanej, egoistycznej, bezmyślnej kobiety!

Rachab wstała, myśląc, że jeśli ktoś się nie wmiesza, sytuacja stanie się nieciekawa. Na szczęście Suf musiał dojść do podobnego wniosku. Podszedł do kobiet i odciągnął Miriam.

– Nie da się jej przemówić do rozsądku, dziecko. Daj spokój – szepnął.

W drodze do domu Miriam milczała, roztargniona i ze zmarszczonym czołem. Otworzyła usta dopiero na terytorium domu Judy.

– Przynajmniej pozbyłaś się złudzeń o mojej doskonałości.



– Czy powiedziałaś coś, na co nie zasłużyła? – odparła Rachab. – Większość osób wybuchłaby już dawno.

– Nie twierdzę, że miała rację. Chodzi o moją reakcję na jej zachowanie. Ona cierpi, Rachab. Boi się o męża. Mogłam okazać więcej zrozumienia.

Rachab zmarszczyła brwi.

– Miriam, przecież tam byłam. Wierz mi, to ty zostałam źle potraktowana.

– Mam tego świadomość. Ale ona odpowie za to przed Bogiem, nie przede mną. Ja powinnam kierować się miłosierdziem. To dlatego Bóg wymaga ode mnie ofiary, gdy podejmę złą decyzję, prawda? Po to, by okazać mi miłosierdzie. Czy i ja nie powinnam tak samo traktować innych? A jednak bardzo mi trudno jej wybaczyć. Nie chcę tego. Wolę nurzać się w swoich pretensjach. Dzięki temu myślę o jej błędach, nie o własnych.

Rachab zamilkła. Słowa Miriam obudziły w niej dawny ból. Ona także miała kłopot z wybaczeniem i miłosierdziem – i zmagala się z nim bardziej niż jej szwagierka. Nigdy nie wybaczyła ojcu. W każdym razie nie naprawdę. Pomagała mu finansowo, ocaliła mu życie podczas upadku Jerycha, ale przez te wszystkie lata miała do niego żal i nie zapomniała o złu, które jej wyrządził. Ostatni raz powiedziała do niego „abba” jako piętnastolatka.

Miriam walczyła ze sobą, ponieważ chciała okazać innym wybaczenie, które dał jej Bóg. Choć jeszcze nie dojrzała do tego, by wybaczyć żonie Beniamina, przynajmniej się starała. Czy Rachab nie powinna zrobić tego samego dla ojca? Czy nie powinna prosić Boga o to, by odmienił jej serce? Teraz to ona pogrążyła się w gorzkich rozmyślaniach. Wydawało się, że prośba o takie wybaczenie jest już przesadą.

Tego wieczora po kolacji Rachab zwierzyła się z tych myśli Miriam. Odślonięcie się, konieczne do tego rodzaju rozmowy, było dla niej nowym doświadczeniem. Otwarcie się w relacji

z Szalmonem zaczęło wpływać także na jej kontakty z innymi ludźmi. Zamiast tać wszystko ze strachu przed odtrąceniem, dzieliła się szczerze swoimi tajemnicami. Była pewna miłości Miriam, więc bez ogródek opowiedziała jej o swoich niedostatkach. Ta szczerowość została nagrodzona uczuciem bliskiej więzi, prawdziwego połączenia z Miriam. A im częściej się zwierzała, tym mniej samotna się czuła.

Miriam zamyśliła się głęboko, usłyszawszy jej zwierzenie.

– Chyba słusznie wierzysz, że musisz mu przebaczyć. Ale może ci to nie przyjść z łatwością. Czy on kiedykolwiek poprosił o przebaczenie?

– Nie.

– Może nawet nie wie, że powinien. To możliwe, że sam się rozgrzeszył z tej decyzji. Co znaczy, że musisz się nauczyć wybaczyć komuś, kto nie żałuje swojego czynu. Nie jest to łatwe, ale tak trzeba.

– Uch! Na samą myśl o tym dostaję niestrawności.

– Poprośmy Boga o pomoc. Jeśli tego chce, musi natchnąć cię siłą. Pomyśleć, że nie potrafię wybaczyć tej nieszczęsnej żonie Beniamina! Nie umiem sobie wyobrazić, jak ciężko musi być tobie...

Gdy po modlitwie Rachab wyszła z namiotu, żeby zmyć naczynia, ujrzała idącego w ich stronę mężczyznę. Jego znajoma postać, wdzięczne ruchy długich nóg i szerokie ramiona zaparły jej dech w piersiach.

– Szalmon! – Rzuciła talerze na ziemię, zakasała spódnicę i rzuciła się ku niemu biegiem. Roześmiał się głośno, kiedy rzuciła się w jego rozpostarte ramiona.

– Co za powitanie po dwudniowej nieobecności! Co zrobisz, kiedy odejdę na dwa tygodnie?

– Nie każ mi się tego dowiadywać, ty nikczemniku.

Pocałował ją mocno.

– Myślałem, że upiększyłem to w wyobraźni – mruknął. – Ale

jednak nie.

Rachab przywarła do niego, nie chcąc jeszcze rozluźnić objęć.

– Chodź i przywitaj się z Miriam. Wróciła do domu i bardzo się ucieszy na twój widok.

– Nie mogę iść, kiedy tak na mnie wisisz – odparł z uśmiechem.

Trzepnęła go w ramię.

– Właśnie że możesz!

– Masz rację. – Wziął ją na ręce, a ona pisnęła z zachwytu. Po chwili Miriam wydała taki sam pisk, widząc brata, który powrócił cały i zdrowy ze swojej misji.

Przy kolacji, złożonej z wędzonej ryby i ciastek z rodzynekami, Szalmon przekazał im wiadomości.

– Tak jak podejrzewałem, mężczyźni, z którymi Izrael zawarł traktat pokojowy, mieszkają bardzo blisko stąd. Przybyli z Gibeon i kilku innych pobliskich miast.

– Gibeon? Przecież to wielkie miasto! – zawołała wstrząśnięta Rachab.

– Jedno z królewskich miast, o wiele większe od Aj – zgodził się Szalmon z westchnieniem. – Są też bardziej niepokojące wieści. Mam dowody, że Adonisedek, król Jerozolimy, usiłuje połączyć wojska władców Hebronu, Jarmutu, Lakisz i Eglonu w jedną ogromną armię.

– Co teraz?

– Przede wszystkim Jozue posłał paru przywódców do Gibeonitów, by zrozumieć, dlaczego nas oszukali. Daliśmy słowo, więc nie możemy się zwrócić przeciwko nim. Ale Jozue też ma plan. Zamierza zrobić z nich drwali i nosiwodów Izraela. Od tej pory będą wykonywać tylko pracę fizyczną. To ich kara za to, że nas oszukali.

– Co z armią, którą zbiera Adonisedek? – spytała Miriam.

Szalmon spuścił głowę.

– Wielka armia oznacza tylko jedno.

Nikt nie powiedział tego słowa, ale wszyscy je pomyśleli.

„Wojna”.



Jak się okazało, pięciu amoryckich władców także obmyśliło podstęp. Zamiast zaatakować bezpośrednio Izrael, napadli na Gibeon i pozostałe prowincje, które zawarły pokój z Izraelem. Usłyszawszy te wieści, Rachab zrozumiała, że jej męża czeka kolejna walka. Izrael nie będzie beczynn timer przyglądał się, jak sąsiedzi unicestwiają ich sprzymierzeńców. Rana Szalmona po bitwie pod Aj już dawno się zagoiła, a on odzyskał wigor. Nic nie mogłoby go zatrzymać w domu.

Jozue zarządził wymarsz późnym wieczorem. Wojska miały opuścić Gilgal i iść przez całą noc, by zaatakować Adonisedeka z zaskoczenia. Tej nocy, gdy Rachab leżała bezsennie na posłaniu, wiedząc, że Szalmon maszeruje ku swojemu przeznaczeniu, walczyła ze strachem większym niż jakikolwiek dotąd jej znany. Jej serce nie mogło znieść myśli o utracie męża. Miała wrażenie, że zaraz wyskoczy ze skóry, jakby jej dusza chciała uciec z ciała, zostawić je, umknąć przed tym strasznym, rozszarpującym ją strachem. Serce łomotało jej tak szybko i tak mocno, że omal nie rozsadziło piersi. W takiej panice nie była zdolna do rozsądnego myślenia, choć się starała. Jej ciało nie przyjmowało pociechy. Szalało w nielogicznej gorączce, która nie chciała się skończyć.

Nagle, w trakcie tego doświadczenia, które prawie ją zabijało, usłyszała szept, krótkie słowa: „Moja córeczko...”. Rozpoznała ten głos, to połączenie ogromnej siły i niebywale miłości. „Moja córeczko...”. Atak paniki skończył się gwałtownie. Nie była sama. Po kolei przypominały jej się argumenty. Izrael walczył inaczej niż inne narody. Jej Wojownikiem jest Pan. To on stoi na czele swojego ludu. To on za sprawą cudu otwiera drzwi do zwycięstwa. Przypomniała sobie, że Bóg przemówił do Jozuego przed wymarszem, że powiedział mu, iż armia Adonisedeka nie

zdoła oprzeć się potędze Izraela.

A co najważniejsze, przypomniła sobie, że Szalmon bardziej należy do Boga niż do niej. Pan się nim zajmie. I zajmie się nią. Jej los, jej przyszłość nie leżą w rękach Szalmona, lecz Boga. Cokolwiek stanie się z Szalmonem podczas tej bitwy – i wielu kolejnych – Rachab mogła powierzyć swój los Temu, który przeprowadził ją już przez tak wiele prób. Musiała pamiętać, że Szalmon nie jest jej Panem, tylko mężem.

Nie pozbyła się całkowicie strachu o ukochanego mężczyznę, ale ten strach już jej nie pożerał. W jej sercu Bóg stał się większy od lęku.

Następnego ranka poszła z wizytą do rodziny, zabierając ze sobą parę figowych ciastek, które przygotowała poprzedniego dnia. Jej ojciec lubił je najbardziej. Znalazła go w namiocie. Naprawiał lampę. Kiedy wstał i rozprostował ręce, żeby rozluźnić mięśnie, przed oczami stanęło jej wspomnienie. Miała trzy lata, a ojciec podniósł ją w górę i obrócił w powietrzu, wołając: „Moja córeczko!”. Dokładnie tak, jak Bóg odezwał się do niej w godzinie strachu. Czyżby Pan chciał, żeby coś zrozumiała? Bóg zastąpił jej ojca. Kochał ją i bronił wtedy, gdy jej ojciec nie mógł tego zrobić. I chciał, żeby pamiętała, iż mimo swojego wielkiego błędu ojciec także ją kochał.

W tej chwili perspektywa wybaczenia mu, zapomnienia o goryczy jego zdrady stała się nie tylko możliwa, ale też nieodparcie pociągająca. Może innego dnia będzie znowu musiała ze sobą walczyć, znowu starać się zapomnieć o tej urazie, ale teraz mogła zrobić ten krok z prawdziwym spokojem ducha. Zastanawiała się, jak dać ojcu do zrozumienia, że zaszła w niej ta ogromna zmiana. Gdyby mu powiedziała, że mu wybaczają, poczuliby się raczej urażony. Jeśli, jak sugerowała Miriam, uważał, że zachował się w usprawiedliwiony sposób, wybaczenie Rachab tylko by go rozgniewało. Wskazywałoby, że córka go potępia. Każdy akt wybaczenia w swej naturze wskazuje

na to, że jest co wybaczać. Po jej słowach ojciec nie doznałby ulgi, lecz poczuł się osądzony. A jednak nie mogła wyjść, nie dając mu do zrozumienia, że tego dnia runął mur między nimi.

Cicho podeszła do niego i podała mu ciastka na dłoni.

– Dla ciebie, *abba*.

Minęło jedenaście lat, odkąd ostatnio go tak nazwała.

Drgnął; przez chwilę stał i patrzył na nią niepewnie. W oczach pojawiły mu się łzy. Nie spojrział nawet na ciastka.

– Jak powiedziałaś? – spytał drżącym głosem.

– *Abba*.

Wyciągnął trzęsącą się rękę i jeden, jedyny raz pogłaskał ją po głowie.

– Moja córeczka – szepnął łamiącym się głosem. Potem odwrócił się i wyszedł na dwór. Rachab położyła ciastka na talerzu i otarła oczy.



Tego dnia narodem Izraela wstrząsnęło niezwykle wydarzenie. Słońce zatrzymało się na środku nieba. Wisiało w najwyższym punkcie swojej drogi przez wiele godzin. Cały dzień. Ludzie wychodzili raz po raz z namiotów, jakby nie mogli uwierzyć, że im się to nie przyśniło lub nie przywidziało. Nikt nigdy nie słyszał o czymś takim. Nigdy.

W końcu, gdy stracili już rachubę czasu, pojawił się posłaniec z wieściami. Jozue modlił się, by słońce znieruchomiało nad Gibeonem, by mógł dokończyć bitwę i pokonać wrogów. Ku zdumieniu wszystkich słońce usłuchało, bo Bóg spełnił nieprawdopodobną prośbę przywódcy. Rachab pomyślała, że świat chyba już nigdy nie ujrzy takiego dnia.

A jednak... co było większym cudem? To, że słońce może opóźnić swoją wędrówkę przez nieboskłon, czy to, że kobieta zdoła przebaczyć ojcu najstraszniejszy grzech?



Szalmon wrócił z bitwy wyczerpany, ale cały i zdrowy. Sam jego widok był dla Rachab radością. Dumnie pokazała mu szatę, którą wykończyła w tych dręczących godzinach jego nieobecności. Włożył ją natychmiast i oznajmił, że to najpiękniejszy strój w całym Izraelu, na co Miriam parsknęła śmiechem, a Rachab się zarumieniła. Z okazji jego powrotu przygotowały ucztę. Po nieporównanym zwycięstwie Izraela wszyscy byli rozradowani i uroczystościom nie było końca. Gdy goście poszli w końcu do domu, Rachab po raz pierwszy zatańczyła dla Szalmona.

Jej taniec trwał bardzo krótko. Zanim zdążyła zaprezentować bardziej skomplikowane kroki, mąż chwycił ją gwałtownie w ramiona.

- Nie skończyłam – rzuciła żartobliwie.
- Ani ja – zapewnił ją.



Później, gdy leżeli w swoich ramionach, Rachab odezwała się niewinnie:

- Ezra to wspaniały mężczyzna. Nieprawda, panie mój?
- Powieki Szalmona, niemal przymknięte we śnie, uniosły się gwałtownie.
- Słucham?
- Ezra. Mówiłam, że to godny podziwu mężczyzna.
- Czy istnieje jakiś powód, dla którego wychwalasz zalety innego mężczyzny w naszym łożu małżeńskim?
- Miriam lepiej by ci na to odpowiedziała.
- Szalmon odrzucił koc i poderwał się z posłania.
- Miriam? A co Miriam ma z tym wspólnego?
- Pewnie by się zgodziła, że Ezra ma wiele godnych podziwu zalet.

– Miriam jest dzieckiem – warknął Szalmon.

Rachab zachichotała.

– Możliwe, ale większość młodych kobiet w jej wieku już chodzi w pierwszej ciąży.

Szalmon zmarszczył brwi.

– Hmm. No tak, przez ostatnie miesiące trochę podrosła.

Rachab zasłoniła usta ręką i spuściła wzrok. Szalmon założył ręce na piersi.

– No więc, o co chodzi?

– Ezra bardzo ją lubi.

– Ten chłopak od roku gapi się na nią jak cielę. Myślisz, że tego nie zauważyłem?

– To nie chłopiec, mężu. Połowa kobiet z domu Judy chętnie ujrzałaby w nim zięcia. A Miriam go lubi.

– Tak powiedziała?

– Niewykluczone.

Szalmon uderzył pięścią w poduszkę i spojrzał na Rachab.

– To dlaczego ten chłopak... no dobrze, mężczyzna... nie przyszedł ze mną porozmawiać? Dlaczego moja żona musi mnie o tym informować w zaciszu naszego łóżka?

– Może dlatego, że za każdym razem, gdy Ezra zbliża się do Miriam, patrzysz, jakbyś chciał go zamordować. Przy tym ciągłym łypaniu na niego spode łba raczej nie spodziewa się ciepłego przyjęcia. A jedynym jego grzechem jest to, że kocha twoją siostrę.

Szalmon uniósł ręce.

– Uspokój się, kobieto. Niech ci będzie. Ezra jest godnym podziwu mężczyzną, a ja przestanę na niego tak patrzeć. Coś jeszcze?

– Jesteś wcieleniem wspaniałomyślności, panie mój.

Szalmon pochylił się i pocałował żonę.

– Jestem tylko wdzięczny, że stanęłaś po stronie Izraela – szepnął i pocałował ją znowu, zanim zdążyła coś powiedzieć.



# Epilog



**D**ziecko darło się, na ile pozwalały mu zdrowe płuca. Szalmon podniósł je i zakołysał.

– Uspokój się, synu, albo matka zarzuci ci łakomstwo.

– Jest łakomy – wymamrotała Rachab, otwierając jedno oko. – Dopiero przestał ssać. – Wyciągnęła ręce, a Szalmon ułożył syna w jej ramionach.

– Cicho, skarbie. Mama jest przy tobie. Zajmie się tobą.

Dziecko zaczęło ssać z zapamiętłym ciamkaniem.

Szalmon parsknął śmiechem.

– Zdecydowanie nie odziedziczył po tobie dobrych manier. – Jakby na potwierdzenie tych słów, chłopczyk puścił bąka. Oboje uśmiechnęli się, słysząc ten bulgoczący dźwięk. – No, może wdał się w twojego brata.

– Ach, to tylko dolny kaszel. Daj mu spokój.

– Nie mam nic przeciwko temu. W odróżnieniu od kobiety, która go poślubi.

– Ciekawe, kto to będzie?

Szalmon pochylił się i pocałował dziecko w policzek.

– Synku, cokolwiek zrobisz, zaczekaj na właściwą kobietę. Nawet gdybyś miał posiwieć, zanim ją spotkasz, nie zgadzaj się na kompromis. Czekać cierpliwie.

– Mhm. I traktuj żonę dobrze od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczysz. Nie jak niektórzy, których imienia nie wspomnę.

– Nie wiem, o co chodzi twojej matce.

– O, Szalmonie... Modlę się, żeby był tak szczęśliwy jak my. Modlę się, by Bóg pobłogosławił go dobrą żoną, która da mu radość – i synem, który będzie spadkobiercą twojego rodu.

– I twojego – szepnął Szalmon, całując żonę. Wyprostował się i otworzył klapę namiotu. Do środka wpadły promienie słońca. – Zastanawiam się, co będzie z naszym rodem. Zastanawiam się, jacy mężczyźni i kobiety przyjdą na świat za naszą sprawą i jak będą żyć.

– Zastanawiam się, jak posłuży się nimi Bóg.

– Tak, nad tym najbardziej.

– No, mały Booze, masz nad czym rozmyślać, prawda?

Niemowlak beknął. Rachab i Szalmon parsknęli śmiechem.

# Podziękowania



Ogromnie dziękuję Wendy Lawton z agencji literackiej Books and Such, która wzięła mnie pod swoje skrzydła i zmieniła moje życie. Słowa nie potrafią wyrazić mojej wdzięczności wobec Paula Santhouse'a z Moody Publishers, który uwierzył w tę książkę i tak wiernie jej sprzyjał. Chciałabym także podziękować Duane Sherman i innym oddanym pracownikom Moody, których niewiarygodny doping i ciężka praca sprawiły, że każda część procesu wydawniczego była czystą radością.

Pisanie to samotna czynność, ale nawet najbardziej samowystarczalni pisarze potrzebują towarzystwa kilku zaufanych przyjaciół. Tym, które wspierały mnie podczas tej podróży, czytały moje pierwsze szkice, kochały mnie i modliły się za mnie – Karen Connors, Janice Johnson, Cheryl Mallon, Tegan Willard, Kathi Smith, Lindzie Stricland i Emi Trowbridge – przesyłam najserdeczniejsze podziękowania. Bez was dawno bym się poddała. I Millie Tolley – jestem bardzo wdzięczna za twoje modlitwy i oczy, które widzą. Dziękuję również Leslie Goetler, która podczas pracownitego stażu znajdowała czas, żeby uzyskać dla mnie informacje medyczne oraz Persh Parker za pokazanie mi, w jaki sposób można przekroczyć wezbraną rzekę.

Specjalne podziękowania kieruję pod adresem mojej najbliższej przyjaciółki Rebeki Rhee, która przyniosła mi choinkę, kiedy ja nie miałam na to czasu, i gotowała dla mnie zupy podczas długich zimnych nocy. Rebecca, Beth, twoja przyjaźń

przez te lata była dla mnie jednym z największych błogosławieństw. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Serdeczne podziękowania dla moich rodziców za wolność, którą obdarzali mnie przez całe życie, w tym za to, że pozwalali mi czytać przy stole, gdy byłam dzieckiem, i pokochać Jezusa, gdy dorosłam.

A wielu kobietom, które zainspirowały tę opowieść swoją odważną walką z trudami życia – trudami, które prowadzą do wstydu i potępienia samych siebie – chcę powiedzieć: jesteście dzielnyimi kobietami (Księga Rut 3.11).